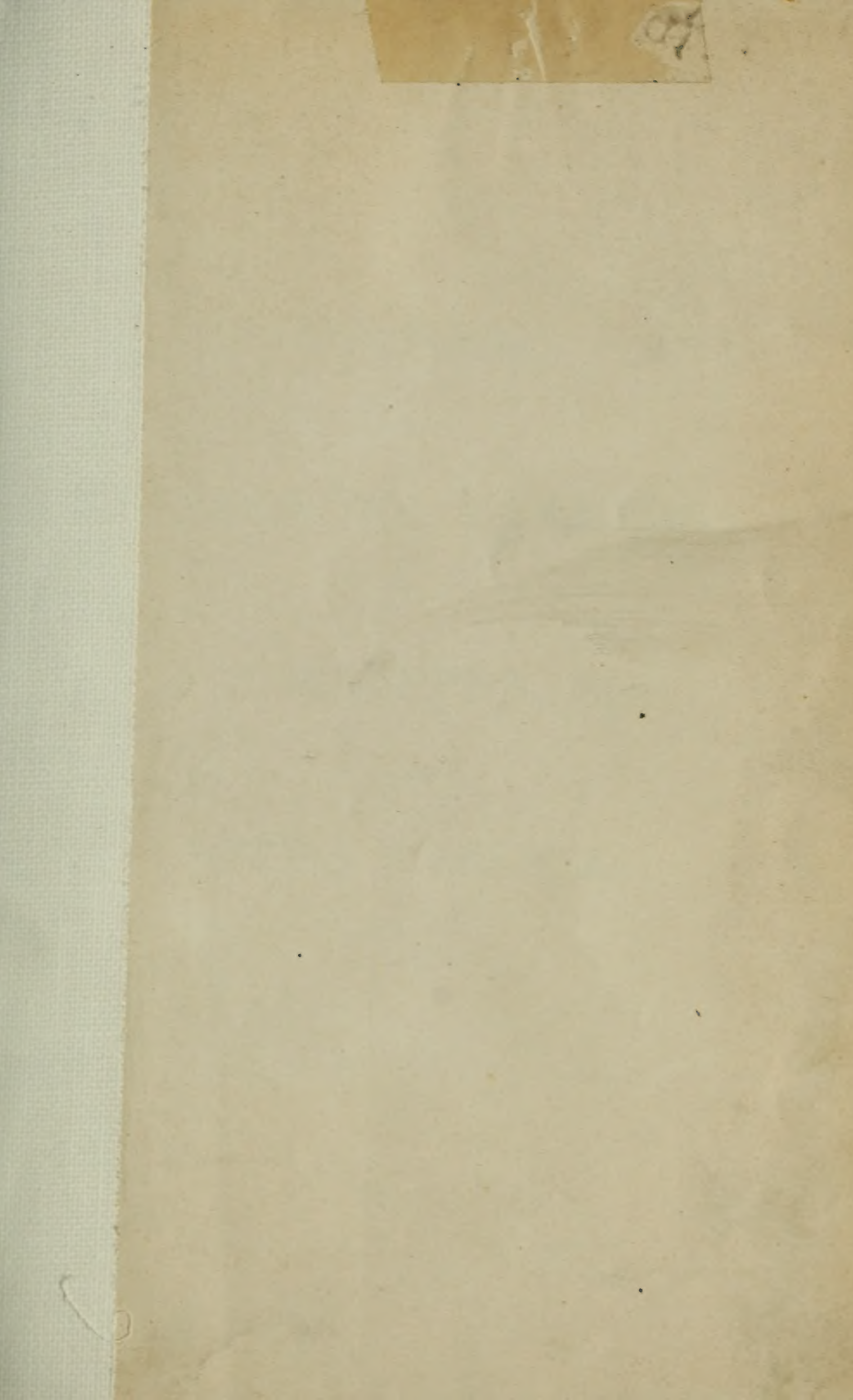


TŁÓMACZENIA

A. E. ODYŃCA



KORSARZ.

NARZECZONA Z ABYDOS.

MAZEPPA.

NIEBO I ZIEMIA.

TŁÓMACZENIA
ANTONIEGO EDWARDA
ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM III.

KORSARZ.

NARZECZONA Z ABYDOS.

MAZEPPA.

NIEBO I ZIEMIA.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.
1874.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Сентября 1872 г.

Czcionkami Gazety Lekarskiéj.

JULJANOWI KORSAKOWI

NA PAMIĄTKĘ NIEZMIENNÉJ OD DZIECIŃSTWA PRZYJAŹNI.

POŚWIĘCAM

A. E. O.

KORSARZ.

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.

— „I suoi pensieri in lui dormir non ponno.

Tasso. Canto. X. *Gerusallemme Liberata.*

PIEŚŃ PIERWSZA.

—„ Nessun maggior dolore,
„Che ricordarsi del tempo felice
„Nella miseria . . . .
Dante

I.

„Na modrych głębiach jasnéj morskiéj wody,
Jak ona z wiatrem, buja duch swobody;
Jak burza nad nią, grzmi nasza potęga.
Gdzie wiatr, gdzie fala, gdzie miecz nasz dosięga,
Tam dom nasz, państwo, łup naszéj odwagi!
Mórz i flot berłem jest maszt naszéj flagi.
Nam w dzikiém życiu czuć wciąż, niespodzianie,
W każdym dniu nowość, rozkosz w każdéj zmianie!—
O! i któż pojmie?—nie ty zniewieściały!
Cobyś mdlał patrząc na wzburzone wały;
Nie ty pieszczochu! co wiek w zbytkach trawisz,
Śpiąc nie spoczywasz, bawiąc się nie bawisz;

O! i któż pojmie?—prócz tych samych, którzy
Pląsali z falą rozigranéj burzy:
Tę pełność życia, ten war krwi co pali
Serce żeglarza na bezdrożnéj fali;
Tę żądzę bojów, tę pewność zwycięztwa,
Ten szał, tę rozkosz śród niebezpieczeństwa?...
Gdzie trwożni rozpacz—my tryumf znajdujem;
Gdzie słabi mdleją—my żyjem i czujem:
Czujem, jak w piersiach krzepi się i wzmaga
Duch i nadzieja, siła i odwaga!...
  Nie strach nam śmierci—byle wprzód lub razem,
Wróg u stóp naszych skonał pod żelazem:
Byle wprzód z życia rozkosz wyssać w życiu!—
Gdy ginąć—cóż ztąd, w bitwach czy w rozbiciu?—
Niech bojaźliwy zakochaniec świata
Woli w niemocy długie jęczeć lata,
I w puch przed śmiercią kryje się, nim skona!
Nam łożem piasek lub trawa zielona.
Gdy strach zeń duszę dzień po dniu wywleka:
Nam cios, strzał jeden—duch wolny ucieka!
  Jemu niech dziedzic pyszną złoci trumnę,
Radzi że umarł, niech stawią kolumnę;
Po nas łzy płyną—krótko, ale szczerze,
Gdy nas w swe głębie ocean zabierze.
Nam ku czci nawet w biesiadniczém kole
Puhar pamięci zaiskrzy na stole;
Nagrobkiem dla nas zabrzmi chwała męztwa:
Gdy pozostali dzieląc łup zwycięztwa,
Wspomną poległych, i rzekną ze łzami:
„Szkoda, że mężni nie dzielą go z nami!“ —

II.

Taka pieśń brzmiała na wyspie korsarzy,
Wkrąg przy ogniskach ponadbrzeżnéj straży,
I bijąc echem o chropawe głazy,
Jak one twardy był ton i wyrazy,
Leżąc na piasku rozrzuconą zgrają,
Ci ostrzą bronie, ci piją lub grają,
Probują strzelby, handlują łupami,
Nie patrząc nawet na krew, co je plami.
Brzmią szczęki siekier ciosających łodzie:
Ów marząc patrzy po dalekiej wodzie,
Ów czyha rychło ptak mu w sidła wleci.
Mokre na słońcu rozwieszają sieci:
A każdy coraz pogląda ku morzu,
Czy gdzie nie dójrzeć żagla na przestworzu,
Lub wspominając ostatnią wygraną,
Radzą zkąd znowu świeży łup dostaną.—
Zkąd? wódz niech myśli!—im tylko przystało
Ufać, iść za nim, i uderzać śmiało.—
Któż jest tym wodzem?—Od brzega do brzega
Imię się jego jak piorun rozlega,
To dość—o resztę nie troszczy się rzesza.
W bitwach on tylko z ich tłumem się miesza,
Zresztą sam zawsze;—krótkie jego słowa,
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.
Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem
Nie zasiadł wesół za biesiady stołem,
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili:
Lecz mężny—męztwu hardość wybaczyli.

Próżno go kolej pełnego kielicha
Wabi w przechodzie: on z wzgardą odpycha;
A jego uczta!—najlichsi z czeladzi
Wzajemby z wzgardą odepchnąć ją radzi.
Jadło, chleb suchy; napój, czysta woda.
Zbytkiem nie częstym, owoc lub jagoda,
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,
Jakby związany ślubem pokutnika.
Ale im żądze zmysłów trzyma srożéj,
Rośnie w nim dusza, i siła się mnoży.
„Płyń tam!"—wnet płyną;—„rób to!"—wnet zaczęto;
„Za mną, i naprzód!"—poszli, i łup wzięto.
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka:
Każdy drżąc słucha, lecz pytać się lęka.
Szyderczy uśmiech, wzrok i twarz surowa,
Karcą zuchwalca za niewczesne słowa.

III.

„Patrz! żagiel, żagiel!—Nastawcie lunety!—
„Zkąd?—czyja flaga?—czy zdobycz?"—niestety!
Nie zdobycz—jednak cieszą się weseli:
Z masztu czerwoną chorągiew ujrzeli.
„Nasza łódź, nasza! powraca z wyprawy!—
Dmij w pełne żagle, dmij wietrze łaskawy!
Nim słońce zajdzie, zawinie do brzegu.—
„Patrz, patrz, jak lekka! zda się pląsa w biegu..
Jak wzdyma skrzydła!—jak buja wspaniale!
Z szumem przed sobą prze kipiące fale.
Weszła w zatokę—patrz! idzie jak żywa,
Zda się żywioły do walki wyzywa!

Możeż się lękać burz, bitew, lub trudu,
Pan takiéj łodzi, wódz takiego ludu?“—

IV.

Skrzypią powrozy, krzyczą robotnicy,
Opadły żagle — łódź drga na kotwicy.
Spuszczają czółno:—w podwójnym szeregu
Siedli wioślarze i pędzą do brzegu.
Wkoło na piasku tłum zebrany czeka,
Poznaje, woła, i wita zdaleka.
O! słodkie głosu przyjaznego dźwięki!
O! słodki uścisk przyjacielskiéj ręki!
Gdy wita w porcie żeglarza z wyprawy,
Gdy na bezpieczny brzeg wiedzie go z nawy;
Słodkie łzy, uśmiech, słodkie zapytania,
Gdy pocałunek odpowiedzi wzbrania!...

V.

Wieść się rozbiegła, tłum rośnie z pośpiechem,
Gwar, ciżba, wrzawa, przerywana śmiechem,
I głosy kobiét znać w cichszéj rozmowie:
Imię kochanka, męża, w każdém słowie.
„Czy zdrów? czy żyje? czy na brzeg wysiądzie?
Czy dziś, czy jutro zabawi na lądzie?
Gdzie był? co robił? czy bił się walecznie?
Mniejsza, co zyskał? gdy wrócił bezpiecznie;
Lecz czy nie ranny? dla czego nie z wami?
Czyż on nie wiedział że czekam ze łzami?“—

VI.

—„Gdzie jest wódz?—ważne przywozim nowiny.
Śpieszmy! czas nagli, drogie są godziny.—

Dzięki wam, bracia, żeście braciom radzi!
Lecz niech nas Żuan do wodza prowadzi.
Wrócim za chwilę—zostańcie tu bliscy,
Wnet, co kto zechce, dowiecie się wszyscy.“—
I poszli, kędy na najwyższéj górze
Zamek ich wodza wzbija się nad morze,
Śród bujnych krzewów i kwiatów pachnących,
Gdzie tysiąc zdrojów, świeżością dyszących,
Srebrzy się szemrząc po złomach granitu.
Poszli pod górę—dochodzą do szczytu.
Któż to nad brzegiem przepaścistéj skały,
Wsparty na mieczu, spogląda na wały?—
To on! wódz! Konrad!—sam, jak zwykle—myśli.
„Idź naprzód, Żuan! powiédz żeśmy przyszli.
Okręt nasz widzi;—powiédz, że go prosim
O posłuchanie, ważną wieść przynosim.
Idź! my nie śmiemy; wiész jak się wnet zżyma,
Gdy mu kto nagle stanie przed oczyma.–

VII.

Przystąpił Żuan—Konrad spójrzał srogo,
Wysłuchał, skinął, że się zbliżyć mogą.
Przyszli—ukłonem witają zdaleka.
Powitał wzajem—na słowa ich czeka.
„Wodzu! przynosim list od Greka szpiega,
Co nas o łupach i wrogach ostrzega.
Ważność tych wieści sam wódz niech oceni.
My też...“—„Już dosyć!“—zmilkli zawstydzeni.
Wziął list—ciekawi poglądają z boku,
Wrażenia wieści dójrzeć w jego oku.

Zgadł myśl—czytając twarz zwrócił na stronę,
Może by ukryć uczucia wzburzone.
Skończył—na świstku coś pisze.—„Żuanie!
Gdzie jest Gonzalwo?“—Włodzi.—„Niech zostanie!
Nieś mu ten rozkaz!—Wy nie stójcie dłużéj,
Każdy na miejsce, gotów do podróży!
Na waszéj nawie sam z wami dziś płynę.“—
—„Dziś, wodzu? w nocy?—„Dziś w dzień, za godzinę.
Wiatr będziem mieli.—Minuty nie zwlekać!
Wziąć mój płaszcz, pancerz—u portu mię czekać!
„Ty weź mą trąbkę i strzelbę opatrzyj!
Zamek źle spuszcza—oczyść go i natrzyj!
Wezwać płatnerza! niech mój miecz bojowy
Natoczy ostro i da mu hart nowy.
Rękojeść zwłaszcza niech szerzéj rozkuje:
Ta broń mię gorzéj niż bitwa morduje.—
Śpieszcie! na hasło że czas już odpłynąć,
Dać ognia z działa i żagle rozwinąć!“—

VIII.

Kazał—posłuszni odeszli w pokorze.—
Nie w smak im znowu puszczać się na morze,
Gotowi jednak:—Konrad sam prowadzi.
Dokąd?—któż pyta gdy on co uradzi?—
Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia
Nikt z nich nie słyszał; którego zdaleka
Sam widok, twarz ich bladością powleka:
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.

Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?—
Potęga myśli, duszy czarnoksięstwo!
One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja.
Tém on ich wolę pod rząd swéj podbija.
Walczy ich ręką, sam jak mistrz sprężyny:
Gmin dziełem jego własne mniema czyny.
Jest, było, będzie—to bieg świata tego,
Wielu pracować musi dla jednego.
Lecz niech nieszczęśnik, co w trudach umiera,
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera!
Niechby znał ciężar, co wielkość nań zwala—
O! jakże lżejsza niższych cierpień szala!—

IX.

Nie na wzór świata dawnego mocarzy,
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,
Konrad nic w sobie nie ma nad człowieka.
Blask czarnych oczu ćmi smutna powieka.
Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
Włos kruczy bujno pierścieniami spada.
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,
Ani się wzrostem wyniósł nad innymi.
We wszystkiém jednak biegły wzrok badacza
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą,
Że tak jest, czują; lecz czemu? nie wiedzą.—
Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła,
Znać dumę, któréj poskromić nie zdoła.

Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi:
Więcéj niż mówi, znać że tai w głębi.
Szybka gra rysów nagle się mieniących,
Wabi ciekawość, lecz męsza patrzących,
Jakby w tym duszy posępnym pomroku
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku.—
Tak o nim sądzą—prawdy nieświadomi.
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma? —
Umie on sztukę—gdy ciekawość skryta
Mniema że z twarzy myśl jego wyczyta —
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie,
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,
Aż zadrżeć musi, by go wzrok Konrada
Nie przejrzał całkiem, niż on coś w nim zbada.
W szyderczym jego, chociaż głośnym śmiechu,
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu,
Jest coś, co w sercu słyszących go ludzi
I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
Wzrok jego gniewny, zabija Nadzieję,
Przed groźbą jego, Miłosierdzie mdleje.

X.

Wstręt ma iść na jaw złéj myśli katusza,
Wewnątrz to, wewnątrz—tam pracuje dusza!
Miłość jest szczera, śmieje się, czy wzdycha:
Ale nienawiść, lecz zbrodnia, lecz pycha,
Drgnieniem ust chyba, uśmiechem goryczy,
Zdradzą ci przepaść głębi tajemniczéj.

Z gry chyba rysów, z mieniącéj się twarzy,
Poznasz namiętność, gdy się w piersiach żarzy.
Lecz kto chcesz dójrzeć jéj pełnię lub zmiany,
Wtenczas patrz chyba, gdyś sam nie widziany!—
Patrz! gdy wódz w nocy, z rozognionėm czołem,
Załamał ręce, szybkiém chodzi kołem,
I nagle stanie, i zadrży—czy w ciszy
Śledzącéj zdrady kroków nie dosłyszy?—
Patrz, jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!
Iskrzy, mgli, krzepnie, i znów ogniem bucha.
Patrz—jeśli zniesiesz widok téj katuszy,
Jaki los jego! jaki pokój duszy!
Jak cel zawiści gminu, śród ukrycia
Pożywa owoc występnego życia!
Patrz! tam go poznasz;—lecz któż tak z badaczy
Przejrzy człowieka?— kto ducha obaczy?—

XI.

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogiego wodza zbojeckiéj gromadzie.
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.
Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec,
By drżeć, zbyt mocny; by uledz, zbyt hardy;
Za chęć być dobrym—cel szyderstw lub wzgardy:
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło.

Z urągowiskiem wbrew stając obłudzie,
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,
Dla których lepiéj darów swych używszy,
Znalazłby szczęście, i stał się cnotliwszy.—
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie, za swój cel na ziemi:
Za winy kilku, mścić się nad wszystkiemi.—
Czuł się występnym—lecz dumny, rozumiał
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie
Czyni to skrycie, co mężny na jawie.—
Nienawidzony, wiedział, że u ludzi
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi:
Przestawał na tém;—zimny, dziki, hardy,
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.
Stronić, drżeć przed nim, potępiać go, skarżyć,
Kląć, może każdy—lecz nikt lekceważyć!
Depcą robaka—lecz któż bez bojaźni,
Kto nie pomyśli, nim węża rozdraźni?
Robak się zwinie, i nie mszcząc się kryje,
Wąż zginie, ale i wroga zabije.
Sam się nań rzuci—łamie się, passuje,
Choć nie pokona—krew jadem zatruje.

XII.

Nikt nie zły całkiem:—i w duszy Konrada
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.
Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci
Namiętność godna szaleńców lub dzieci;

Sam, próżno rozum przeciw niéj wytęża—
W nim nawet miłość wolę przezwycięża.
Tak! jest to miłość—wzajemna—płomienna.
Jedyna dotąd, i niczém niezmienna!—
Tłum się mu branek na oczy nawija:
On ich ni stroni, ni szuka—lecz mija.
Nie jedną piękność w mocy swojéj trzyma:
Żadnéj słodszemi nie uczcił oczyma.
Tak, jest to miłość!—jeżeli myśl tkliwa,
Stateczna w probach, w każdéj chwili żywa,
Któréj samotność, świat, szyderstwo ludzi,
Ani, co większa, sam czas nie ostudzi;
Któréj ni zmienne fortuny igrzysko
Nie zaćmi smutkiem—póki *Ona* blisko;
Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,
Cierpkiego na *Nią* słowa nie dozwoli,
I bez pociechy woli znieść katusze,
Niż ich podziałem zasmucić *Jéj* duszę:
Jeśli myśl taka, niezmienna, nie płocha,
Jest tém, co zowią kochaniem—on kocha!
Występca, zbrodzień, z każdéj cnoty zboczył,
Przeciw téj jednéj w niczém nie wykroczył;
Ona, gdy wszystkie zgasły po kolei,
Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

XIII.

Zaczekał nieco—brew marszczy ponuro,
Aż śpiesząc z braćmi Żuan znikł za górą.
„Straszna wieść!—tylem niebezpieczeństw przebył,
Cóż jest, żem nigdy jak dziś smutny nie był?—

Źle wróży serce—ale się nie boi,
Ni mię tak ujrzą towarzysze moi.—
„Idziem śmierć spotkać:—lecz gdybym tu zwlekał,
Pewniéjbym śmierci i hańby doczekał.
Dziś, gdy plan pójdzie, los wzmoże w potrzebie,
Przybędzie płaczu na naszym pogrzebie!—
„O! niech spokojnie, niech śpią rozmarzeni,
Przyśpieszę dla nich świt takich promieni —
Wiej tylko wietrze!—tak jasnych i ciepłych,
Że aż krew zawre w ich sercach zakrzepłych!—
„Czas do Medory!—Milcz, milcz serce moje!
Nie mogąc siebie, czyż ją uspokoję?—
Jednak jam śmiały!—Lecz tu wszyscy śmieli,
Gad, gdy się broni, równą śmiałość dzieli.
Zwierząt nie ludzi godna jest odwaga,
Gdy ją strach śmierci lub chęć łupu wzmaga.
Gardzę jéj chwałą!—Cel godny méj dumy
Był, uczyć garstkę, jak zwyciężać tłumy.
Wódz ich, nie dałem krwi ich marnie płynąć.—
„Lecz dziś!—dziś trzeba zwyciężyć, lub zginąć.—
Ha! to los wojny!—i nie to mnie smuci.—
Lecz wieść tam wszystkich, zkąd żaden nie wróci,
Albo tu drzemiąc dać się ująć w pęta?...
Czyż pamięć wodza nie będzie przeklęta,
Co przywiódł na to: że aby się zbawić,
Na jedną kartę trzeba wszystko stawić?...—
Losie mój, losie! czuję dłoń twą groźną.
Zbaw, jeśli możesz—jeszcze nie za późno!“—

XIV.

Tak dumał w sobie, aż idąc ponury
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.
Wstrzymał się u drzwi;—głos się ozwał w ciszy,
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;
I taką piosnkę posępnéj czułości
Nócił z za kraty jego „Ptak piękności.“

„Żyje w méj duszy myśl-tajemnica,
„Drży mi na ustach, gore w spójrzeniu,
„Gdy obok ciebie patrzę w twe lica:
„I znów się w dawném kryje milczeniu.

„Jak lampa w grobie, skryta przed okiem,
„Myśl ta w mém sercu błyska i tleje,
„Smutek jéj blasku nie ćmi swym mrokiem,
„Choć sam jéj blaskiem nie rozjaśnieje.

„Przyjdź, gdy ja umrę, do méj mogiły,
„Pomódl się za mnie, łzę wyléj po mnie!
„Téj tylko myśli znieść nie mam siły,
„Że ty, mój luby, zapomnisz o mnie!—

„Nie wstyd jest płakać zeszłych ze świata.
„Raz piérwszy proszę—łzy i wspomnienia.
„Będzie to piérwsza, jedna zapłata,
„Mojéj miłości, mego cierpienia!“—

Porwał się Konrad, pchnął drzwi, i z pośpiechem
Wszedł — strόny arfy brzmiały jeszcze echem.
„Smutna, Medoro, jest twoja ballada!“ —
— „Chciałżbyś wesołéj, gdy nié ma Konrada? —
Gdy ciebie nié ma, a żal miota duszą,
Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.
Każdy ton, serca uczucia wydaje;
Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —
„Ach! ileż nocy, na bezsenném łożu,
Marzę jak we śnie, o skałach, o morzu!
Zmierzcha — ja myślę że niebo się chmurzy;
Wiatr ledwo szemrze — mnie słychać szum burzy.
Cóż, gdy posępném odezwie się wyciem?
Zda się, że jęczy nad twojém rozbiciem! —
Zrywam się, patrzę, czy stróże niekarni
Nie dali zgasnąć portowéj latarni,
I o pogodę gwiazd pytam oczyma.
„Nastał poranek — ciebie jeszcze nié ma!... —
Jak wtedy zimno na me serce wiało,
Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało! —
Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie.
Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie! —
Wreście — postrzegam maszt, okręt — tu płynął,
Witam go, czekam; — zbliżył się — i minął.
Znów drugi! — twój był. — Powróciłeś z boju.
„O! mój Konradzie! mam-że w niepokoju
Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego
Nie ujmie powab szczęścia spokojnego? —
Masz dosyć skarbów — ach! więcéj niż trzeba;
Znajdziem kraj milszy, pogodniejsze nieba.

Pójdźmy!—O siebie wiész że się nie boję.—
Lecz twoje szczęście—lecz ach! życie twoje!...
Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,
Tak razem srogie dla drugich, tak mściwe!...“—
—„Tak, moja luba! dziwne jest to serce.
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija:
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija! —
„Bez żadnéj zniskąd pociechy, prócz ciebie,
Bez celu w życiu, bez nadziei w Niebie,
W duszy się mojéj tak wiąże i splata
Miłość dla ciebie z nienawiścią świata,
Że gdy się jedna, wnet druga ostudzi:
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi!—
„O to się nie bój!—przeszłość moja cała
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.
Lecz uzbrój serce!—raz jeszcze, Medoro!
Dziś—muszę jechać—ale wrócę skoro.“—
—„Jechać! dziś jeszcze?—ach! jam to przeczuła!...
Tak znikły wszystkie sny, com sobie snuła,
Sny moje złote!...—Lecz dziś?—być nie może!
Łódź ledwo przyszła, maż znów iść na morze?
Nie czekać drugiéj?—Znużeni jéj ludzie
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie!...—
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.
Igrasz z mém sercem!—ono ci wybaczy,
Lecz z takich żartów blisko do rozpaczy!—
„Milcz, milcz, Konradzie!—nie jedziesz dziś!—wierzę.
Pójdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę!

Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jéj, ni zastawić.
Lekki trud wprawdzie ucztę ci przyprawić!
Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,
Im bliższy słońca, tém prędzéj dojrzewa.
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu
Najświéższą wodę znalazłam w strumieniu.
Pójdź! niech cię sorbet orzeźwi po skwarze:
Patrz, jak się iskrzy w kryształowéj czarze!
Wina ty nigdy skosztować nie raczysz,
Drżysz jak Muzułman gdy puhar obaczysz.—
Nie sądź, że ganię—o! nie!—to mnie cieszy,
Że i w tém nawet różnisz się od rzeszy.
„Lecz pójdź! stół gotów; ja okna zasłonię.
Srebrna ta lampa, patrz, jak jasno płonie!
Wezwę mych dziewic—niech zaczną w około
Lub raźny taniec, lub piosnkę wesołą!—
Lubisz mą arfę—czy chcesz?—wnet nastroję.
Lub jeśli wolisz, będziemy oboje
Czytać z Arjosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.—
Po tobie jednak mnie byłoby smutniéj!
Gdybyś dziś jechał, zrobiłbyś okrutniéj,
Okrutniéj nawet niż Tezeusz zdradny!—
„Wiém, ty się śmiejesz, gdy ci Aryadny
Wyspę niekiedy wskazuję z wysoka,
A mnie myśl smutna łzy pędzi do oka:
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił?—
Aleś ty lepszy! tyś do mnie powrócił!“—
—„Wróciłem, luba, i powrócę znowu,
Zawierz miłości i Konrada słowu.

Wrócę, i rychło;—lecz teraz już chyża
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.
Gdzie? po co jadę?—szkoda chwil na słowa,
Gdy je ma skończyć najgorsze: bądź zdrowa!
Odkryłbym jednak—lecz już czas zbyt drogi.
Nie bój się! wcale nie straszne są wrogi.
Tu ci zostaje straż silna, podwójna,
Będziesz bezpieczna—o mnie bądź spokojna!
Nie baw samotna, gdym ja oddalony.
Jadących ze mną poruczam ci żony.
W tém miéj pociechę, że po tém zwycięztwie,
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie.—
„Słyszysz! dźwięk trąbki?—ha! łódź już gotowa.—
Jeden wzrok, uścisk!—raz jeszcze!—bądź zdrowa!“

Łkając na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami.
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bladości w twarzy i rozpaczy w oku.—
W całéj dzikości bezładnego wdzięku,
Włos jéj po jego rozesłał się ręku;
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie
Świadczą w niéj tylko cierpienie i życie....
Zagrzmiał huk działa—odjazdu godzina!
Słońce zachodzi—on słońce przeklina.
Strzał drugi, trzeci;—ścisnął z uniesieniem
Niemą od żalu, proszącą milczeniem,
I drżącym krokiem zaniósł ją na łoże.
Spójrzał z rozpaczą—raz ostatni może!
Dreszcz przebiegł serce:—uczuł, że dla niego
Prócz niéj na świecie nic nié ma miłego.

Dotknął ust, zimne;—spotkał wzrok, wpół zgasły.—
Zwrócił się nagle—drzwi z łoskotem trzasły.

XV.

„Co? już go nié ma?“—straszliwe pytanie,
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie!
Myśl nie śmie wierzyć, że oczy nie mylą—
Przed chwilą jeszcze tu stał—był przed chwilą—
Gdzież jest?—Wybiegła obłąkanym krokiem,
Aż łzy jéj wreście lunęły potokiem,
Bujne, gorące;—myślą za nim woła:
„Bądź zdrów!“—wymówić nie śmie, i nie zdoła.
Ach! bo w tém słowie—choć się chcą uśmiéchać
Wiara, Nadzieja—Rozpacz tylko słychać.
W bladych jéj rysach, jak w twarzy z kamienia,
Tchnie dziki wyraz wiecznego cierpienia;
Oczy jéj modre, szkliste, bez promieni,
Jak gwiazdy we mgle błądzą po przestrzeni.
I ach! dostrzegły—to on!—już daleki!...
Wtedy raz jeszcze z pod łzawéj powieki
Błysły, jak słońce z za deszczowéj chmury.
Próżno! nie spójrzał, znikł w zaroślach góry.
„Poszedł!“—Jak posąg blada, nieruchoma,
Łkające piersi przyciska rękoma.
Spójrzała jeszcze—port przed jéj oczyma:
Bielą się żagle i morze się wzdyma.
Nie patrzy więcéj — w drzwiach błysła jéj postać—
„Prawda więc!—jedzie!—saméj kazał zostać!“—

XVI.

Szybko wprost z góry, na głaz skacząc z głazu,
Biegł Konrad—nazad nie spójrzał ni razu.
Lecz drżał ilekroć ścieżka przed nim boczy,
By na zakręcie nie wpadła mu w oczy
Samotna jego, lecz miła mu wieża.
Zawsze go piérwsza witała z nadbrzeża,
Jak on ją z morza!—i ona w niéj, ona!
Burzliwéj duszy gwiazda niezamglona!—
Jeden wzrok jeszcze—a moc w nim rozbroi.
Nie śmié go ujrzéć; pomyśléć się boi.
Że mógłby zostać;—chciałby—któż mu broni?—
Zostać?—by zginąć od katowskiéj dłoni?—
Nie, nie!—Raz jednak, chciał stanąć, chciał wrócić,
Na los zdać wszystko, zamiar na wiatr rzucić —
Nie!—myśl niegodna!—nie!—prawego męża
Płacz niewiast mięknczy, ale nie zwycięża.—
Ujrzał swą nawę—zważa wiatr przychylny,
Zwrócił myśl ku nim—i znów w sobie silny,
Znów chyżéj naprzód;—i gdy z brzegu słyszy
Wesołą wrzawę mężnych towarzyszy,
I łoskot fali, co pod wiatrem rosła,
I hasła majtków, i szybki szum wiosła:
Gdy widzi okręt—maszt niebu urąga,
Rozskrzydlił żagle, kotwicę wyciąga:—
Gdy widzi czółna, w których ludzie zbrojni
Płyną na okręt—jak wszyscy spokojni!
Choć jak śnieg biało i gęściéj od śniegu
Chustki żon ku nim powiewają z brzegu;

Gdy widzi zwłaszcza, jak z masztu zwieszona
Igra z wiatrami chorągiew czerwona—
Sam się zadziwił, że był słabym tyle,
W wielkim zamiarze zachwiać się na chwilę.
Żar w jego oczach, dzikość w jego duszy,
Uczuł sam siebie—nic go już nie wzruszy.
Pośpiesza, bieży—aż zbiegł gdzie równina,
Co skałę kończy a brzeg rozpoczyna.
Tam zwolnił kroku;—świeżość bliskiéj głębi
Krzepi znużenie, ogień lica ziębi;
Lecz stanął raczéj, by zimną odwagę
Wrócił swéj twarzy, swym krokom powagę,
Wprzód nim go ujrzą.—Konrad sztukę umie,
Jak tając dumę, tłum zhołdować dumie.
Wyniosłość lica, i zimną postawę,
Co stroniąc niby obudza obawę;
I wzrok, i uśmiech, co choć serc nie zraża,
Hamuje płochość i śmiałość przeraża;
Wszystko ma w mocy, by zgraję zaślepić,
Rozbroić opór, i władzę ukrzepić.
Lecz gdy chce ująć—z ufnością przyjaźni
Każdy wnet pierwszéj zapomni bojaźni,
Niewolnik, z duszą na rozkaz gotową.
Nad dary drugich, droższe jego słowo,
Gdy jakby z serca głębi tajemniczéj
Zagra do serca głos tęsknéj słodyczy.—
Lecz rzadko słodycz w parze z jego duszą:
Nie dba czy zechcą, gdy co każe, muszą.
Czy podłość drugich, czy dumy szaleństwo—
On depce miłość, by mieć posłuszeństwo.

XVII.

Wkoło broń straży brzękła czcią wodzowi.
Zbliżył się Żuan.—„Czy wszyscy gotowi?“—
—„Już są w okręcie; ostatnie przy lądzie
Czółno to czeka, póki wódz nie wsiądzie.“—
„Miecz mój, płaszcz, trąbkę!“ -- Miecz przypiął z nie-
[chcenia,
Trąbkę ma w dłoni, płaszcz zwiesił z ramienia.
„Zawołać Pedra!“—Przyszedł—Konrad wita,
Pierwszemu z wodzów grzeczność należyta.
„Weźmij ten papier!—zawiera rozkazy.
Ważne—bacz pilnie na wszystkie wyrazy.
Anzelmo także, jak skoro przybędzie,
Ma je wykonać.—Straż podwoić wszędzie!
Za trzy dni, jeśli—jeśli wiatr posłuży—
Powrócę. Bądź zdrów!“—i nie zwłócząc dłużéj,
Podał dłoń, ścisnął—skinął na wioślarzy,
I skoczył w czółno z wyniosłością w twarzy.
Ruszyły wiosła—jak gwiazd droga mléczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.
Dopłynął nawy—stoi na pokładzie.
Gwizhięto z góry—ruch w całéj gromadzie.
On zważa okręt, jak lekki na fali,
Jak słucha steru—uważa, i chwali.
„Gdzie jest Gonzalwo?“—Zbliżył się młodzieniec,
W skłonionéj twarzy radości rumieniec.
Uprzejme słowo wódz już w ustach trzyma—
Czegóż się wezdrgnął? czy się gniewem żżyma?—
Ach nie!—on ujrzał swą wieżę na skale,
Wspomniał rozstanie, zgadł Medory żale,

Jeśli na okręt spogląda w tę chwilę.—
Nigdy on, nigdy nie kochał jéj tyle!—
Lecz nim noc minie, wiele zrobić trzeba.
  Odwrócił oczy, spójrzał w błękit nieba,
I wnet z Gonzalwem zszedłszy na spód nawy,
Odkrywa cele i środki wyprawy.
Przed nimi mappa i lampa na stole,
I kompas; w ręku cyrkiel i półkole.
Północ—czuwają; twarz obudwu groźna.
Bezzsennym oczom któraż chwila późna?—
  Tymczasem w żagle dął wiatr pożądany,
Okręt jak sokół leci przez bałwany;
Sto wysp minęli sterczących granitem:
Cieszą się—celu dopłyną przed świtem.
  Już przez szkła nocne liczą bez obawy,
W ciasnéj zatoce natłoczone nawy
Baszy Seida; widzą, jak niedbali
Stróże przy ogniach gasnących czuwali!..—
Okręt ich kołem obiegł czaty przednie,
Wszedł, gdzie bezpieczny skryłby się choć we dnie.
Przy pustym brzegu, za skałą wysoką,
Straży ni szpiega nie dójrzy go oko.—
Konrad na pokład zgromadził swych ludzi,
Do powinności—lecz nie ze snu, budzi.
Wsparł się na poręcz, rozkazy objawia,
Rozmawia zimno—choć o krwi rozmawia.—

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

„Conoscete i dubbiosi desiri?"
Dante.

I.

W zatoce Koron las masztów się jeży,
Na zamku Koron lampy błyszczą z wieży,
Tam Seid Basza częstuje żołnierzy.
Święci swój tryumf—jutro spodziewany—
Gdy zbójców zgromi i pojma w kajdany.
Tak na Allaha przysiągł swemu Panu.
Wierny przysiędze i słowom firmanu,
Zwołał swe nawy;—coraz w liczbę rosną,
Tłum coraz większy tryumfuje głośno.
O łup, o branki, przed wzięciem się kłócą,
Jeszcze nie wyszli, już pewni że wrócą.
O świcie dosyć niech pod żagle wsiędą,
Przed zmrokiem zbójców port i łup zdobędą! —

Tymczasem straże mogą spać bezpiecznie.
Nie dość jest bić się — niech marzą walecznie!
Lub gdy sen komu nie cięży w powiekach,
Może ramienia probować na Grekach!..
O! godne czyny barbarzyńskiéj dłoni!
Katować więźnia, gdy się sam nie broni;
Napaść dom Greka, sprzęt skruszyć pod nogą,
Bić — byle tylko nie zabić nikogo! —
Dziś są łaskawi—nie chcą, czy nie mogą.
Gdzie niegdzie tylko słychać jęk i razy.
Lecz to żart!—Basza zakazał obrazy.
Wzdłuż brzegu wszędzie śmiech, muzyka, wrzawy:
Kto kochasz głowę, śmiej się, dziel zabawy!
Bo dziś muzułman wesół — choć bez wina,
Wytężył dowcip—łaje i przeklina.

II.

W biesiadnéj sali, w lśniącym złotogłowiu,
W białym zawoju, wsparty na węzgłowiu,
Seid śród gości spogląda wesoły.
Skończona uczta, odstawione stoły.
Twarz jego płonie, ogień iskrzy z oka:
Pije on, mówią, napój nie Proroka.
Nie śmieją drudzy; prawowierni, trzeźwi,
War wonnéj mokki myśl w nich tylko rzeźwi.
Z długich cybuchów dym bucha wokoło,
Gdy Almy w środku tańcują wesoło.
Jutro na bitwę!—lecz dziś, w nocnéj porze,
Nie dość bezpiecznie puszczać się na morze!

Na wzdętych falach sny nie tak powabne,
Jak gdy ich łoże kołysze jedwabne! —
Więc się dziś bawią;—jak błyśnie świtanie,
Pójdą, bo muszą—nadzieja w Koranie!
Choć widok floty i gwar tłumnéj rzeszy,
Ziemską nadzieją niemniéj dumę cieszy.

III.

Ze czcią bojaźni, od wnętrznych podwoi,
Idzie niewolnik, co w nich stróżem stoi.
Schylił się, czołem uderzył podłogę,
Nim w drżących ustach głos rozwiązał trwogę.
„Derwisz podróżny, zbieg z więzów korsarzy,
Przybył, i czeka czy się wejść odważy?“—
W skinieniu Baszy zgadł znak jego woli.
Odszedł.—Wszedł Derwisz—zbliża się powoli.
Skromnie na piersiach krzyżuje ramiona,
Krok jego słaby, źrenica spuszczona.
Trudów, nie wieku, starość znać z postawy,
Twarz jego blada z postów, nie z obawy.
Poświęcon Bogu włos spada szeroko,
Okryty czapką okrągłą, wysoką.
Długa, powiewna, rozpuszczona szata,
Obwija piersi—oziębłe dla świata.
Pokorny, jednak pan siebie, bez strachu
Spotyka oczy iskrzące wzdłuż gmachu.
Nikt nie śmie pytać, lecz wszyscy ciekawi
Co wnet spytany przed Baszą objawi.

IV.

„Zkądeś Derwiszu?—„Przez zbójców pojmany,
Uszedłem z więzów.“—„Gdzie? kiedy zabrany?“ —
—„Do wyspy Scio z portu Skalanowy
Płynął nasz okręt, wiózł towar handlowy.
Nie szczęścił Allah—wola jego święta!
Napadli zbójcy, nawa nasza wzięta,
Towar złupiony—myśmy poszli w pęta.
Nie miałem bogactw, śmierci się nie bałem,
Lecz tracąc wolność, straciłem co miałem.—
Długo mię gniotła przemoc świętokradzka;
Aż dziś noc ciemna i łódka rybacka
Tu mię zbawiły—tu, w opiece twojéj,
Potężny Baszo! któż się zbójców boi?“—
—„Jakże ci zbójcy? jak zbrojni? czy śmieli?
Myślisz że opór stawićby mi chcieli?
Czy wiedzą o mnie, że z jutrzejszą gwiazdą
Mam zniszczyć ogniem skorpijonów gniazdo?“—
—„Baszo! wzrok we łzach nie wiele dostrzega,
Trudna więźniowi przenikliwość szpiega.
Słuchałem tylko morskich fal łoskotu,
Ptastwu morskiemu zazdroszcząc przelotu;
Widziałem tylko—ach! przez kraty ciasne,
Niebo—zbyt czyste, słońce—zbyt mi jasne;
I żeby inném czém zająć mą duszę,
Czułem że wolność wprzód odzyskać muszę.—
Lecz z méj ucieczki znać że się nie strzegą,
Że się nie muszą obawiać niczego.

Sposobność ujścia próżnoby mi znikła,
Jeśliby brzegów strzegła czujność zwykła.
Niebaczność straży, jak mojéj podróży,
Równie zbliżeniu twéj floty posłuży.—
„Lecz Baszo! głosu i sił mi już braknie,
Trud odpoczynku, głód posiłku łaknie.
Pozwól, bym odszedł.—Pokój, pokój z wami!
Odchodzę za was modlić się ze łzami.“—
—„Stój, stój Derwiszu! mam cię jeszcze badać.
Stój!—słyszysz? każę—musisz odpowiadać.
Usiądź! wieczerzę przyniosą ci słudzy,
Nie będziesz pościł, gdzie ucztują drudzy.
Powiész mi potém, jak naoczny świadek,
Krótko i jasno—nie lubię zagadek.“—
Nie wiedzieć czemu, Derwisz drgnął—i srogo
Z pod brwi zmarszczonych spójrzał jakby z trwogą.
Łaska w nim Baszy nie budzi wdzięczności,
Ni go snać wzrusza cześć obecnych gości,
Bo przygryzł wargę, i bladość niezwykła
Jak błysk po licu przebiegła i znikła.
Usiadł w milczeniu, i w rychle na nowo
Przybrał wzrok zimny i postać surową.
Przynieśli ucztę—wykwintne potrawy.
Jakby w nich jadu lękał się zaprawy,
Zadrżał na widok, ze wzgardą odpycha—
Dziwna w zgłodniałym wstrzemięźliwość mnicha!—
—„Co ci Derwiszu?—jedz!—ust ci nie splami
Psie jadło Giaurów; tuś nie ze zbójcami.—
Co? sól odpychasz?—zgody zakład święty,
Co podzielona koi gniew zawzięty,

Sprzysięgłe na się łączy pokolenia,
I serc nieprzyjaźń w braterstwo przemienia?...“
—„Sól jest przysmakiem;—pożywieniem mojém
Są polne zioła, woda mym napojem.
Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem
Bronią mi łamać chleb z bratem, czy z wrogiem.
To cię zadziwia—i może obruszy.
Lecz względy ziemskie nie zbawią méj duszy.
Ty, ni sam Sułtan nie zmusi mię niczém,
Bym dotknął uczty przed ludzi obliczem,
Bo gdy raz zgrzeszę, gniew mi Mohammeda
Do świętéj Mekki pielgrzymować nie da.“—
—„Dobrze, Derwiszu! gdyś tak bogobojny,
Powiédz mi tylko—odejdziesz spokojny—
Ilu ich?—Cóż to? ha! to nie jest zorze!
Co za meteor? co za blask na dworze!
Patrzcie! nad portem jakby ognia morze!—
Pożar! do broni! śpieszcie! pożar! zdrada!
Flota się pali! a jam tu—o! biada!
Przeklęty Derwisz!—przyszedł w sidła zwabić,
Giaur, szpieg przebrany!—pojmać go i zabić!“—

Porwał się Derwisz na wybuch płomieni,
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni.
Porwał się Derwisz—nie już w mniszym stroju,
Lecz jak wojownik gotowy do boju.
Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni:
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni!
Hełm nizki, lśniący, nad nim czarne pióro.
Twarz się zczerniła, oczy ogniem gorą.

Jak na zjawisko piekielnego ducha
Pierzchły z serc Turków męztwo i otucha.
Tłoczą się, biegną, śród zgiełku, śród gwaru —
Tu blask pochodni, tu łuna pożaru!
Krzyk, hałas, groźby, przekleństwa i jęki,
Huk trąb i bębnów, i oręża szczęki
Grzmią po powietrzu—jakby z mocą wściekłą
Całe na ziemię wyparło się piekło.
Zlękłe, zdumione, obłąkane straże,
Patrząc na morze, na niebo w pożarze,
Nie widzą pana—nie słyszą, co każe.
Próżno wre Baszy wściekłość rozdąsana:
„Pojmajcie szpiega! pojmajcie szatana!“—
On ujrzał popłoch—cofnął krok rozpaczny,
Którym się na śmierć miotał nieobaczny,
Gdy pośpiech braci, wcześniéj niż zalecił,
Niż wydał hasło, pożarem zaświecił.
On ujrzał popłoch—trąbkę do ust złożył,
Dźwięk krótki, ostry, trzykroć się powtórzył.
Odpowiedziano.—„Wy tu, bracia mili!
Mogłżem posądzać, w niebezpiecznéj chwili
Że mię umyślnie samym zostawili?...“—
Rzekł, miecz i ramię puścił w krąg szeroki,
Jakby chciał piérwszéj powetować zwłoki.
Przestrach we wrogach, męztwo w nim podwaja.—
Pierzchła przed jednym rozpłoszona zgraja.
Toczą się głowy po krwawéj podłodze,
Nikt nie śmie dostać: żołnierze i wodze,
Nieufni w dłoni, zaufali w nodze.

Seid ostatni w pierzchających tłumie,
Grozi, klnie, błaga—wstrzymać ich nie umie.
Mężny—sam jednak spotkania unika:
Strach uolbrzymił siłę przeciwnika.
Spójrzał z rozpaczą gdzie flota się pali,
I rwąc swą brodę, wściekły wybiegł z sali.
Nie czas już czekać:—przełamano wartę,
Bramy pałacu runęły wyparte.
Wpadają zbójcy.—Próżno trwoga blada,
Próżno pokora na kolana pada,
U nóg zwycięzców próżno składa miecze:
Przeszli—krew wrząca strumieniami ciecze.
Pędzą, gdzie znowu brzmi trąbka Konrada,
I jęk ginących tryumf zapowiada.
Wpadli—okrzykiem witają weseli:
Śród stosu trupów zwycięzcę ujrzeli!
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,
Jak syty tygrys w krwi rozlanéj broczy.—
Krótka rozmowa: „Flota już w perzynie!“—
—„Dobrze! Lecz Seid musi zginąć.“—Zginie!“—
—„Za mną, i naprzód! z ogniem i żelazem!
Płonie port—czemuż i miasto nie razem?“—

V.

Skorzy na rozkaz—każdy żagiew chwyta,
Miasto i zamek jedną łuną świta.
Z dziką rozkoszą Konrad się uśmiecha:
Wezdrgnął się nagle—jakież słyszy echa?
Ha! to jęk niewiast!—jak dzwon na pogrzebie
Wstrząsł sercem jego—tak twardém w potrzebie.

„Harem się pali!—za mną! do obrony!
Śpieszcie! pomnijcie—i my mamy żony.
Na nie ach! spadnie krew niewiast;—pomnijcie!
Nie krzywdzić żadnéj, kto stoi o życie!
Śmierć nieść mężczyznom—lecz pomoc kobiécie!—
Ach! jam zapomniał!—lecz czyż Bóg przebaczy
Sprawcy niewinnych śmierci i rozpaczy?—
Idź kto chcesz za mną! ja choćby sam, idę
Odeprzeć od nas téj zbrodni ohydę!"—
I skoczył w ogień po wschodach runących,
Wyłamał otwór we drzwiach gorejących;
Po rozpalonych kamieniach podłogi,
Śród kłębów dymu i iskier pożogi,
On, i w ślad za nim śpieszący bez trwogi,
Wpadli—porwali--każdy na swych rękach
Unosi jedną—nie myśląc o wdziękach,
Ośmiela, cieszy, błaga, uspakaja.
Zna cześć piękności Konradowa zgraja.
Nie iść w ślad wodza najdzikszy się sroma,
Ratuje słabość—krwawemi rękoma.
Lecz któż jest? któż jest ta piękna i blada,
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada?—
Postać niebianki, tronu godne lica,
Anioła godne!—Któż jest ta dziewica?—
Pani haremu—Baszy niewolnica.

VI.

Krótko wódz spójrzał na wdzięki Gulnary,
Krótko ośmielał niosąc przez pożary,
Krótko pożegnał; — nie czas stać spokojnie!—

Gdy litość chwilę sfolgowała wojnie,
Wróg nieścigany zaczął się ozierać,
Zwalniać krok, stawać, zwracać się, opierać —
Widzi to Seid—widzi i poznaje,
Przed jaką garstką pierzchły jego zgraje.
Wstydzi się błędu—wstyd wściekłość w nim draźni,
Gdy widzi dzieło zbyt skoréj bojaźni.
„Alla il Alla!“ okrzyk zagrzmiał w gminie,
Każdy jak wściekły, pomści się, lub zginie.
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci! —
Lecą do boju, po trupach swych braci.
Znów szczęk, wrzask, ciżba—wre bitwa straszliwa.
Szczęście jak nagle wezbrało—odpływa.
Zwycięzcy tłuszczą ściśnieni zuchwalczą,
Już nie o tryumf, o swe życie walczą.
Ujrzał wódz—pojął, zgadł niebezpieczeństwo.
Słabnie przed tłumem siła—choć nie męztwo.
„Jeszcze raz, za mną! rozbić zgraję trwożną!“—
Kupią się—biegną—uderzyli—próżno!
Wszystko stracone!—wróg ciaśniéj otacza,
Nikt ujść nie zdoła, lecz nikt nie rozpacza.
Jeszcze są w szyku!—ha! już przełamani,
Już rozpierzchnieni, ujęci, zrąbani!....
Kto został, milcząc passuje się w gminie,
Aż z trudu raczéj niż z rąk wroga zginie;
Aż choć raz jeszcze, w konwulsyjnéj pięści,
Na czaszce wroga mściwy miecz zachrzęści.

VII.

Lecz nim tłum dziki wszcząwszy bój zażarcie,
Sam się na wstępne odważył natarcie,
Wraz ze swą panią, dziewice Gulnary,
W domu mieszkańca jednéj z niemi wiary,
Z rozkazu wodza umieszczone skrycie,
Przestały bać się o sławę i życie.
Z łez i Gulnary oschło czarne oko,
Lecz smutna, milczy i duma głęboko.
Tkwi w jéj pamięci wybawca z płomienia,
Dźwięk jego głosu, blask jego spójrzenia.
Dziw jéj, że zbójca, śród boju dzikości,
Zdał się być czulszym, niż Seid w miłości.
W pieszczotach nawet Baszy niewolnica
Czuć musi łaskę, jaką pan zaszczyca;
Korsarz niósł pomoc, osłodę boleści,
Jak hołd należny godności niewieściéj!...
„Źle jest—co gorsza—wiém, że próżno żądać.
Chciałabym jednak — muszę go oglądać.
Winnam mu życie moje i tych branek.—
Zapomniał o niém mój pan—mój kochanek!“—

VIII.

I wnet go widzi—gdzie bój najzaciętszy,
Jęk najgłośniejszy, i tłok coraz gęstszy.
Sam wpośród trupów szczęśliwszych już braci,
Cofa się, groźny w licu i postaci.

Każda piędź ziemi krwią za nim przesiękła.
Mięsza się pogoń, ustaje zalękła —
Aż w krwi ślizgocie krok się jego zwinął.
Zachwiał się, upadł—chce zginąć, nie zginął,
Wzięty!—Ha! zbrodnia nie ujdzie bezkarnie,
Niech tylko zemsta wymyśli męczarnie!—
Tamują rany—śmierć nie czyni zadość.
Kroplą po kropli przelać krew, to radość,
Jęki po jękach słyszeć, gdy je wyda,
To będzie rozkosz dla Baszy Seida!—
Obyż mąk rodzaj wynaleźć, wykonać,
By wciąż w nich konał, nigdy nie mógł skonać!—

Widzi Gulnara—tenże to syn męztwa,
Przed chwilą jeszcze wódz i pan zwycięztwa,
Którego słowo lub ręki skinienie
Tysiącom niosło śmierć lub przebaczenie?—
On to!—bezbronny, lecz mężny w złéj doli,
Życie go tylko, że je ustrzegł, boli.
Rany ma lekkie, choć sam ciosy wabił,
Choćby całował miecz coby go zabił.
Niktże z tysiąców—jednego potrzeba—
Nie chce go posłać—mniejsza! czy do nieba?
Samże on z braci ma zostać na ziemi,
On, co śmierć spotkać śpieszył przed wszystkiemi?...—
Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło
Ze szczytu upadł pod Fortuny koło:
Czuł złe, co zbroił; czuł blizkie katownie,
Czuł hardość wroga—czuł gorzko, gwałtownie;

Ale taż duma, co go w głąb strąciła,
Wzmogła w nim serce, i boleść pokryła.
Wzrok pogardliwy i twarz obojętna,
W jeńcu, zwycięzcy jeszcze noszą piętna.
Ranny, znużony—lecz gdzież są w téj chwili
Coby spokojniéj i mocniéj patrzyli? —
Słucha bez gniewu, jak stojąc zdaleka
Podła nań tłuszcza urąganiem szczeka;
Mężni, co zblizka w boju go widzieli,
Szanują w więzach dłoń, przed którą drżeli.
Ledwo nań który z wiodącéj go straży,
Żaden beze czci spójrzéć się nie waży.

IX.

Posłany lekarz—nie litość posyła —
Ma rzec, co w mękach zniesie jeńca siła.
Znalazł jéj dosyć, by dźwigać kajdany;
Znalazł dość czucia, by czuć ból zadany;
Jutro więc, jutro, gasnąc na gór szczycie,
Słońce obaczy pierwsze na pal wbicie,
A rano z morza w zwykłéj wstając mocy,
Ujrzy jak dotrwał w mękach całéj nocy.
Z mąk to najsroższa, najdłuższe z cierpienia;
Z bolem konania łącząc żar pragnienia,
Śmierć, jedną ulgę, z dnia na dzień oddala,
Gdy już ćma sępów kracze wkoło pala.
„Ach! wody! wody!“—Zemsta się naśmiewa,
Wskazuje puhar—zbliża—i rozlewa.
Próżno nieszczęśnik usta ku niéj kwapił:
Skończyłby cierpieć, gdyby się raz napił.

To wyrok jego.—Odeszli strażnicy,
On został—jeden, w kajdanach, w ciemnicy.

X.

Któż uczuć jego pojąłby męczarnie,
Gdy on, ofiara, sam ich nie ogarnie?
Noc, wojna, zamęt, w myślach jego duszy:
Wszystkie w niéj siły mdleją od katuszy,
Wszystkiemi jego uczuciami miota
Nieżałująca, rozpaczna zgryzota,
Ów wróg nasz mściwy, co milcząc w potrzebie,
Po czasie woła: „ostrzegałem ciebie!“—
Próżno!—pierś mężna, jadem jéj zatruta,
Klnie albo milczy—dla słabych pokuta!
Przed chmurą ciosów, czyż obwód jéj tarczy
Okryciu serca wielkiego wystarczy?—
W téj nawet chwili, gdy na wpół jak w grobie,
Całe swe życie czuje, widzi w sobie,
Żadna w niém zbrodnia nad inne grożąca,
Żadna namiętność, ni myśl panująca,
Nie ćmi się przed nim tak, aby swym cieniem
Resztę przynajmniéj skryła przed wspomnieniem.
Nie!—okiem ducha patrzy on od razu
Na całą przestrzeń dzikiego obrazu:
Widzi rozpierzchłe sny dumnéj wielkości,
Skażoną chwałę, łzy, rozpacz miłości,
Znikłe nadzieje szczęścia, czcze zamiary,
Tryumf swych wrogów, kaźń swéj blizkiéj kary!...—
Przeszłość się czerni, jak otchłań bezdenna,
Przyszłość, jak chmura gromami brzemienna;

Czyny i słowa, złe myśli i chęci,
Co jak ćma nocna kryły się w pamięci:
Błędy wesołe lub miłe w swym czasie,
Lecz z których dzisiaj każdy zbrodnią zda się;
I wszystkie krzywdy, któremi przewinił,
Co choć utaił, sam wié że uczynił,
Których naprawić nie ma już sposobu:
Wszystkie, jak duchy z otwartego grobu,
Wznoszą się z serca, okryte żałobą,
I groźnym palcem wołają za sobą...
Wszystko on widzi—nim zwierciadło duszy
Ockniona duma porwie i rozkruszy.
Tak! duma pokryć, odwaga znieść śmiało
Potrafi wszystko — wszystko co się stało;
Lecz któż bez trwogi?—cóż ztąd że ukryta?
Godzien jest tylko chwały hipokryta:
Nie nędznik, co się wprzód chełpiąc, ucieka,
Lecz ten, co nawet widzi śmierć—i czeka;
Lub gdy weń godzi grot niechybny losu,
Bieży w pół drogi na spotkanie ciosu.

IX.

W warownéj izbie, na najwyższéj wieży,
Okuty Konrad na posłaniu leży.
Pałac spalony — ta wieża zamyka
Baszę, kobiéty, dwór i niewolnika.
Nie wini Konrad o srogość zwycięzcę,
Sam mu los równy gotował po klęsce.
Duma sam w sobie:—strach, zgryzotę przemógł;
Lecz jest myśl jedna, któréj uśpić nie mógł,

Któréj pomyśléć nie śmiał:—jak te wieści
Przyjmie Medora? jak zniesie boleści?...—
Wtenczas—raz tylko wtenczas—z cichym jękiem
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem
Wzniósł nagle ręce—jakby zerwać żądał
Więzy, na które z wściekłością poglądał. —
Lecz udał męztwo. czy się w nie uzbroił:
Zaśmiał się gorzko, i gniew uspokoił.
„Teraz niech przyjdą!—niech znajdą katusze
Gorsze! niech znajdą!...—Lecz odpocząć muszę."—
Rzekł, padł na łoże, zamknął skrzące oko,
I co bądź marzy—znać że śpi głęboko.

Noc jeszcze—północ już była minęła,
Gdy pożar floty i bitwa się wszczęła.
Jak Konrad w planach, godna wodza rzesza
Skora w pełnieniu i w pracy pośpiesza.
Nie było złego, choć w tak krótkiéj chwili,
Coby go mogąc, wrogom nie zrobili.
W godzinie Konrad—korsarz na pokładzie,
Na lądzie rycerz, derwisz na biesiadzie,
Odkryty, blizki śmierci, ocalony,
Zwycięzca, tyran, zbawca, zwyciężony,
Jeniec, w kajdanach, jak zbrodzień po wojnie
Skazany na śmierć—i usnął spokojnie!

XII.

Śpi—uśmiech w ustach, łza lśni z pod powieki,
Oddycha lekko—oby spał na wieki!—

Któż się to zbliża z łzawemi oczyma?
Wrogi odeszli, przyjaciół tu nié ma!
Seraf-li. niebios utaiwszy blaski,
Niesie mu we śnie zwiastowanie łaski?—
Nie!—choć anielska w licu piękność świta,
Ziemski to tylko jest anioł—kobiéta!
Wzniesioną lampę w jednéj trzyma dłoni,
Drugą jéj światło przed uśpionym chroni,
By blask niewczesny nie padał na oczy,
Co z snu otwarte, wnet znów śmierć zamroczy.
W powiewnéj bieli, postać jéj w milczeniu,
Jak duch wiejący, posuwa się w cieniu.
Lekka, wysoka—pierś tylko i lica
Mdłe światło lampy zaledwo oświéca.
Włos rozpuszczony—na białéj odzieży
Jak smug ciemności, wpół na piersiach leży,
Wpół spływa z ramion;—stopa jak śnieg biała,
I jak śnieg cicho na ziemię spadała.—
Któż ona?—Sama, w nocy, mimo straży,
Jak tu wejść mogła?—jak się wchodzić waży?—
O! spytaj raczéj, przed jaką przeszkodą
Zadrży kobiéta, gdy jéj duszę młodą
Czułość i litość, jak Gulnarę wiodą?—
Nie mogła usnąć—i gdy Basza we śnie,
Marząc o klęsce, klnie, jęczy boleśnie,
Marząc o jeńcu, nakazuje męki:—
Wstała, i sygnet zdjęła z jego ręki,
Znak jego woli: który gdy okaże,
Wszelkie wnet przed nią rozstąpią się straże.

Przeszła bezpiecznie—nikt o nic nie bada.
Znużeni bojem strażnicy Konrada,
Zazdroszcząc więźnia spoczynkowi, sami
Wpół senni ziemię zalegli przed drzwiami.
Ujrzeli pierścień—mało się kłopocą
Kto go przynosi, gdzie idzie, i po co?—

XIII.

Patrzy zdumiona—„On śpi?—gdy z rozpaczą
Tysiące po nim, lub na niego płaczą?...
Ja sama nawet!....—Jakaż czarów siła
Tak mi go nagle drogim uczyniła? —
Zbawił mi życie, poświęcił sam siebie—
Mamże go wzajem opuścić w potrzebie?—
Nie!—chcę mu pomódz—nie dbam o sąd ludzi.—
Lecz cicho!—westchnął—poruszył się—budzi!“—
Podniósł wzrok—blaskiem zaślepione oczy
Zdają się wątpić czy sen ich nie mroczy.
Lecz ruszył ręką—głuchy brzęk okowu
Dowiódł, że żyje, i cierpieć ma znowu.—
„Któż jest ta postać? Anioł stróż z wejrzenia!
Zbyt zda się piękny na stróża więzienia. —
—„Nie znasz mnie?—jestem z tych, co czują wdzięczność
Za czyn, do jakich rzadkoś miewał zręczność.
Patrz! czyż nie pomnisz, żeś sam swą odwagą
Wyrwał mię z ognia, ustrzegł przed zniewagą?...—
Przyszłam—nie pytaj po co?—lecz nie szydzić.
Ja cię nie mogę, nie chcę nienawidzić.“—
—„Jeśli tak, pani! jesteś więc tu jedna,
Której śmierć moja uciechy nie zjedna.

Tém gorzéj!—smutku nie radbym ci sprawić.
Lecz dziś ich pora!—chcą, mogą się bawić.
Słuszna im jednak wdzięczność niewolnika,
Że tak pięknego szlą mu spowiednika.“—
Z najgłębszym smutkiem niekiedy się mięsza
Dziwna wesołość:—serca nie pociesza.
Choć błyszczy w oczach, łza z nich nie osycha:
Uśmiéch jéj gorzki—jednak się uśmiécha.
I nieraz światu, zamiast pożegnania,
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania,
Co choć nie radość, jak zda się, go budzi,
Złudza drugich—lecz któż siebie złudzi? —
Co bądź czuł Konrad—jak łuna z ogniska,
Dzika wesołość w rysach jego błyska.
Mówił z uśmiechem, z szyderstwem na poły:
Wesołe słowa, i ton ich wesoły—
Znać że mu obcy; w burzliwém swém życiu
Rzadko miał porę miewać go w użyciu.

XIV.

„Korsarzu! pal twój gotów—lecz ma władza
Często gniew Baszy i wyrok złagadza.
Chciałabym—tak jest—chcę, muszę cię zbawić.
Dziś nie!—dzień blizki mógłby nas wyjawić.
Lecz dość zyskamy, jeżeli, jak wróżę,
Czas twojéj kaźni do jutra przedłużę.
Dzisiaj nic więcéj nie żądaj odemnie,
Gdyżbyśmy tylko zginęli daremnie.“—
—„Ja nic nie żądam—niech się kres mój zbliży!
Spadłem zbyt nizko, bym się bał spaść niżéj.

Więc oszczędź sobie trudu, mnie życzenia
Bym jak zbieg podły uchodził z więzienia.
Gdym nie zwyciężył—mamże z braci całéj
Sam, nie śmiąc umrzeć, powracać bez chwały?...—
„Jest wszakże jedna—o któréj duch marzy.
Któréj łzę zda się że czuję na twarzy!...
W życiu mém dotąd jedyne pociechy
Były: mój okręt, mój miecz, jéj uśmiechy,
I Bóg mój niegdyś!—przeszłość to daleka!
Jam się Go z młodu, dziś On mnie wyrzeka.
Za niecześć ojca, mściwy karze sędzia.
Zwyciężcy moi Jego są narzędzia!
Nie czas już wszakże, bym rozpacznik podły
Samolubnemi znieważał go modły!
Nie!—nie mam prawa prosić—i nie proszę.
Co zesłał, cierpię; co znieść mogę, znoszę.—
Miecz mój z niegodnéj wytrącono dłoni,
Niegodnéj dźwigać jak on wiernéj broni.
Okręt mój wzięty—lecz ta, tak mnie droga!...
Ach! za nią jeszcze chciałbym prosić Boga.
Ona jest wszystkiém dla mnie—a te wieści
Skruszą jéj serce ogromem boleści!—
Ta myśl jest dla mnie nad śmierć sroższą karą.—
Ona tak tkliwa, tak piękna!—Gulnaro!
Nimem cię ujrzał, przeszły lata długie,
Żem nie pomyślał, czy są piękne drugie.“—
—„Ty więc już kochasz?—ty już kochasz inną?—
Cóż mi to znaczy?—nic, nic nie powinno!
Jednak—ty kochasz!—ach! ja zajrzeć muszę
Duszy, wzajemną kochającéj duszę,

Która nie czuje, i nigdy nie czuła
Téj czczości serca—co moje zatruła.“—
—„Twoje?—sądziłem, że z ogniów haremu
Jam cię ratując, zachował lubemu.“—
—„Seid mój luby?—ach! nie! nie mój luby!
Niegdyś to serce, dziś już wzięte w kluby.
Długo się niegdyś ubijało we mnie,
By czuć wzajemność—niestety! daremnie.
Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,
Lecz czułam, czuję—wprzód trzeba być wolną.
Jam niewolnica—cóż że z łaski pana
Na panią innych niewolnic wybrana?
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą,
Podląca wierność, pod dozorców strażą:
Lecz trudniéj jeszcze, gdy wstręt serce mrozi,
Udawać czułość—bo pan gniewem grozi!
Stokroć w dzień muszę w duszy méj złorzeczyć
Zimnym „czy kochasz?“—nie śmiejąc zaprzeczyć.
Bierze mą rękę—ni daję, ni bronię,
Krew w niéj jak martwa, ni krzepnie, ni płonie.
Patrzy mi w oczy—niezmięszana stoję;
Ust jego żarem nie palą się moje.
Sama się sobą muszę tylko brzydzić.
Nie dość kochałam, by choć znienawidzić.
Nie, nic nie czuję!—Odchodzi—nie pytam
Gdzie? kiedy wróci?—Powraca—nie witam,
Nie widzę prawie.—Straszliwa rozwaga,
Czuję, jak coraz wstręt i sytość wzmaga.
O! gdybyż wreście nasycon wzajemnie,
Chciał sobie milszą wynaleźć odemnie,

I mnie zostawił — przed godziną boju
Mogłabym jeszcze powiedzieć: w pokoju!—
Lecz już się stało! — Dzisiaj jeszcze muszę
Udawać czułość—nim twe więzy skruszę.
Za smutne życie ocalone brance,
Zbawcę mojego chcę wrócić kochance;
Wrócić jéj sercu szczęście i wesele,
Jakiego sama z nikim nie podzielę.—
Bądź zdrów!—dzień świta, straże zejść nas mogą.—
Nie umrzesz dzisiaj—okupię cię drogo.“—

XV.

Rzekła, i ręce okute Konrada
Z tkliwą pokorą do serca przykłada.
Poszła, jak przyszła—jako sen przelotny.
Byłaż tu ona?—znówże on samotny?—
Jakażto kropla, jak brylant promienny,
Lśni na okowach od jasności dziennéj?
Łza to najświętsza—niewieściéj czułości—
Najdroższa perła, co z morza Litości
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,
Już wygładzona w Cherubina dłoni!
O! jak urocza, jak silnie zwycięzka,
W oczach kobiéty, jéj łza czarnoksiężka!
Broń jéj słabości—razem miecz i tarcza,
Jak do obrony, do zwycięztw wystarcza.
O! nie patrz na nią!—Cnota z drogi boczy,
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.
Jedna łza w oku Egipskiéj królowéj—
Pierzchnął bohatér, świat poszedł w okowy.

Lecz nie potępiać błędu Tryumwira!—
Tylu się Nieba, nie ziemi wypiéra,
Rzuca się w piekło, wieczność w mękach pędzić,
By zalotnicy kilku łez oszczędzić!—

XVI.

Ranek—przez kraty na twarz więźnia pada
Dzień—co kres wszystkich dni mu zapowiada.
Dzień już bez jutra! a w nim pamięć *wczora*,
Straszniejsza stokroć, niż widok upiora!—
Wczora pan morza, wódz dzielnych zastępów!—
Dziś, jeniec wrogów—może pastwa sępów,
Kiedy to słońce, co wschodzi tak jaśnie,
Okiem już jego niedojrzane zgaśnie,
Gdy wkoło świeżość chłodu wieczornego
Ożywi wszystko—wszystko oprócz niego!...—

KONIEC PIEŚNI DRUGIÉJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

„Come vedi — amor non m'abbandona." —
Dante.

I.

Zwolna — piękniejsze niż w dziennéj kolei,
Zniża się słońce za wzgórza Morei.
Nie w mgle, jak indziéj, blade, bez promieni,
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.
Po śpiącéj głębi smugiem złota ciska,
Wre zda się woda, gdy z drżeniem połyska.
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,
Bóg wesołości, spójrzeniem wesołém,
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny,
Port niepodbitéj zaległ Salaminy.
Przez głąb wąwozów, we zwierciadłach fali,
Krwawą purpurą horyzont się pali,

Gdy na gór szczycie, jak złota korona,
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona;
Aż wreście blaski zagarnąwszy całe,
Utonie do snu za Delficką skałę.

Taki był zachód dnia, w którym przed wieki
Najmędrszy z Greków miał zawrzeć powieki.
Jak wtedy jego uczniowie płaczący
Drżeli o każdy promień konający,
Gdy jak to słońce, z niém razem, przed niemi
Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi!
„Jeszcze nie!—jeszcze!—słońce zachód zwleka,
Chwila rozstania jeszcze jest daleka!“ —
Lecz słońce patrząc w konające oczy,
Blask swój przed niemi i swe barwy mroczy;
Żałobę zda się po kraju rozlewać ,
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.
I nim Cytery zakryła go skała,
Puhar stał próżny — duch uleciał z ciała —
Duch, co dla prawdy śmierć i trwogę przemógł,
Co żył, i umarł —jak nikt drugi nie mógł,

Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów
Wzbija się nocnych królowa błękitów.
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,
Nie ćmi jéj kształtu, ani lic nie chmurzy.
Owdzie śród ruin, pełnym wzrostem dumna,
Blaskiem jéj dawna bieleje kolumna;
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,
Młody jéj obraz połyska się w zmierzchu.

Gajem oliwne rozsadzone drzewa,
Gdzie skromny Cefiz wązki nurt przelewa;
Między cyprysy gronami stojące,
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące;
I owa palma, samotna stróżyni
Przy Tezeusza zwalonéj świątyni,
Wszystkie koleją przynęcają oczy —
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy!

Wojną z wiatrami Neptun zmordowany,
Do snu Egejskie uciszył bałwany.
W pręgach jasności złota i błękitu,
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w nocnéj uśmiecha pogodzie!

II.

Czas do méj treści—czyż myśl od niéj boczy?
O! ziemio Grecka! o! kraju uroczy!
Któż, gdy cię poznał—o czémkolwiak pienia,
Nie rad w nich twego uświęcić wspomnienia?
Kto widząc z Aten zachód twego Feba,
Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba?—
Nie ten, co z gościa jakby syn twéj ziemi,
Niezmienny miejscy, ni laty długiemi,
Myślą po tobie dawne licząc ślady,
Żyje zaklęty między twe Cyklady!
Ni hołd ten obcym pieśni swéj uważa.
Twą była, wyspa mojego korsarza—
Wyzwól ją z jarzma, którém wróg znieważa! —

III.

Słońce już zaszło—i jak wyspa cała,
Z ostatnim jego blaskiem pociemniała
Dusza Medory;—trzeci dzień przeminął.
Dziś on miał wrócić:—zbłąkał się? czy zginął?—
Burzy nie było, wiał wciąż wiatr łaskawy.
Anzelmo wczoraj powrócił z wyprawy,
Lecz wieść jedyna, którą opowiada,
Jest, że nie spotkał okrętu Konrada.
O! gdyby spotkał!—chociaż krwawszych w treści,
Innychby w skutku doczekano wieści!—
Noc, wiatr dmie zimny:—ona przez dzień cały
Z okna swéj wieży patrzyła na wały,
Łudząc się widmem to masztów, to żagli.
Nie może dłużéj—niespokojność nagli.
Zbiegła nad morze, i w lekkiéj odzieży
Błądzi niebaczna wzdłuż płaskich wybrzeży.—
Próżno ją fala pryskająca z brzega,
Oblewa rosą, o burzy ostrzega:
Nie dba, nie zważa, w tył kroku nie ruszy,
Nie czuje zimna—jéj zimno w jéj duszy!
Aż straszna pewność tak myśl jéj obległa,
Że gdyby wtedy kształt jego postrzegła,
Lubby ją rozum, lub dusza odbiegła.

Wtém łódka jakaś weszła do przystani.
W niéj kilku ludzi—wszyscy krwią oblani,
Wszyscy Konrada towarzysze śmieli.
Uszli—jak?—sami prawie nie wiedzieli.

Widzą Medorę, poznali zdaleka. —
Zbliża się—milczą—każdy zda się czeka
Aż drugi zacznie, sam w duszy niewieściéj
Bojąc się zbytniéj obudzić boleści.

Ona nie pyta—ona wszystko zgadła—
Jednak nie blednie, nie drży, nie upadła.
W dziewiczéj piersi wielkie czucia żyły,
Dotąd swéj własnéj nieświadome siły:
Póki nadzieja — bała się, płakała;
Straciwszy wszystko—czułość skamieniała.
I głos się w sercu z dziką ozwał mocą:
Kto wszystko stracił, bać się nie ma o co!—
Nadludzkie męztwo! jakie w sercach ludzi
Szał chyba tylko, albo rozpacz budzi!—
„Milczycie?—dobrze!—ja nic nie chcę wiedzieć.
Nic—jedno tylko—ktoby mógł powiedzieć?...
Nie patrzcie na mnie z twarzą obłąkaną!—
Prędko i krótko—gdzie go pochowano?“ —
—„Pani! nie wiemy;—zaledwośmy sami
Z życiem ujść mogli.—Lecz jest między nami
Co utrzymuje, że wódz nie zabity,
Że jest w niewoli: że go sam ukryty
Widział pod strażą:—ranny, ale żywy.“ —
Nie słucha więcéj—wieści przeraźliwéj
Nie zniosło serce:—przytomność i siła
Razem krzepnącą duszę opuściła.
Chwieje się, padła—i na wpół umarłą
Możeby morze mogile wydarło,

Lecz wnet ze łzami, choć dłońmi twardemi,
Skorzy w ratunku podnieśli ją z ziemi.
Nie ma sił stąpić — na rękach ją niosą —
Skroń, piersi, morską oblewają rosą,
Aż barwa życia wróciła na lice. —
Posłali zbudzić śpiące służebnice,
I wnet, matrony zostawiwszy przy niéj,
Odchodzą szukać Anzelma jaskini,
Smutnéj wyprawy oznajmują skutki:
Zbyt długa powieść, na tryumf tak krótki!

VI.

Złożono radę—słowa się zatliły
Groźbą i zemstą;—nie patrzą na siły,
Powinność woła!—zda się że Konrada
Duch jeszcze z nimi na radzie zasiada.
Co bądź go czeka, poprzysięgli zgodnie
Albo go zbawić, albo pomścić godnie.
Biada niewiernym!—bo jeszcze zostali
Śmieli na wszystko i o nic niedbali!—

V.

W haremu swego głębi niedostępnéj
Zamknął się Seid, i duma posępny.
Miłość, nienawiść naprzemian nim włada,
Gdy lub Gulnarę wspomni, lub Konrada.
U stóp mu siedzi piękna niewolnica,
Wzrokiem obawy patrząc w jego lica.

Mroczne;—daremnie jéj piękność i sztuka
Iskry uczucia w sercu jego szuka,
On licząc niby kaliwa różańca,
Kroplami w myślach przelewa krew brańca.

„Baszo! dniem chwały dziś cię Allah darzy,
Bitwa wygrana, w więzach wódz korsarzy.
Ma umrzeć — słusznie! — wart twéj nienawiści.
Lecz czyżbyś większych nie osiągł korzyści,
Gdybyś pozwolił — sam to rozważ ściśle,
Ja radzić nie śmiem, lecz mówię co myślę —
By on wszystkiemi skarby, które złupił,
Ten raz, na krótko z więzów się wykupił.—
O skarbach jego wieść cuda rozgłasza,
Radabym żeby posiadł je mój Basza!—
On znów, osłabion klęską poprzedniczą,
Z resztą swych łatwą stałby się zdobyczą.
Lecz gdy tu zginie, tamci zdjęci zgrozą
Uciekną z wyspy i skarby uwiozą.—
— „Słuchaj Gulnaro! gdyby mi za każdą
Kroplę krwi jego, dyamentu gwiazdą
Zapłacić chciano; za każdy włos jego
Dawano sztabę złota dziewiczego;
Gdyby, jak plotą arabscy bajarze,
Skarb w Salomona zamknięty pieczarze
U stóp mi sypał:—za te wszystkie dary
Jednąbym chwilą nie zwlókł jego kary,
Gdybym nie wiedział, że raz w mojéj mocy,
Ujść z niéj nie zdoła, ni znajdzie pomocy.

Tymczasem myśléć kazałem w seraju,
Nad wynalazkiem nowych mąk rodzaju,
I sam rozmyślam, jakich środków użyć,
By ból powiększyć, a życie przedłużyć.“—
—„Źleś sobie, Baszo! myśl mą wytłómaczył.
Nie chcę, nie radzę, abyś mu przebaczył.
Nie!—chiałam tylko wskazać ci sposoby
Zyskania skarbów;—gdyż co do osoby—
Choćbyś go puścił—w tym, w jakim jest stanie,
Nigdy on całkiem wolnym nie zostanie:
Sam ranny, banda zmniejszona połową,
Byleś chciał, pojmać mógłbyś go na nowo.“—
—„Mógłbym go pojmać?—i chcesz, bym dla tego
Miał go dziś puścić?—dziś już pojmanego?
Puścić psa Giaura, zbójcę, wroga mego?..
Puścić?—i może powiedzieć, na czyje
Prośby? i komu zawdzięcza że żyje?..
Chcesz bym go może nagrodził, pochwalił,
Że mnie chciał zabić, lecz ciebie ocalił?...—
Mądrze doradzasz!—Słuchaj, ja téż radzę—
Co powiém, zapisz w sercu i uwadze.—
Nie wierzę tobie, kobiéto!—w téj chwili
Stwierdziłaś sama, co drudzy mówili.—
Mów! czy gdy ciebie unosił z pożaru,
Ujść z nim natenczas nie miałaś zamiaru?..
Lecz nie!—milcz raczéj!—ten ogień na twarzy,
Sam już cię więcéj, niżbym żądał, skarży.—
Więc strzeż się, piękna! rada innych zbawiać,
Patrz, czy za tobą będzie się kto wstawiać?—

„Rozumiesz? — dosyć! — Przeklęta godzina,
Gdy cię uniosło ramię poganina!..
Wolałbym gdybyś!.. — Lecz nie! wtedy pewnie
Łzami kochanka płakałbym cię rzewnie.
Dziś pan ostrzega. — Próżne twe mamidła!
Wiész, że zbyt lotne umiem obciąć skrzydła;
Nie w słowach tylko grożę, i nie próżno! —
Wejdź w siebie dobrze!—pomnij! bądź ostróżną!“—
Powstał, i dumnym oddala się krokiem,
Szyderstwo w ustach, gniew wisi nad okiem.—
Nieznany jemu hart niewieściéj duszy,
Że go surowość ni groźba nie skruszy.
Nie zna Gulnary—nie wiedział, co ona
Czuje, gdy tkliwa—śmie, gdy obrażona. —
W niewiarze mniema że krzywdę poniosła;
Nie wié zkąd litość w sercu jéj tak wzrosła.
Zbawca—więc słusznie, że wdzięczność dlań czuje;
Branka—nad losem więźnia się lituje.
Nie śledzi daléj;—niepomna na groźby,
Na niebezpieczne znów się waży prośby.
Znów pogardzone;—aż w głębi jéj duszy
Zawziął się zamiar—nic go już nie wzruszy: —
Ujdzie z Nim z więzów—lub zginie w katuszy! —

VI.

Tymczasem długie, tęskne, jednostajne,
Dzień i noc przeszły.—Konrad męki tajne
Zniósł—w strasznéj walce zwątpień i bojaźni:
Gdy każda chwila zda się chwilą kaźni,
Gdy się krok każdy, co u drzwi rozlega,

Zdaje być krokiem oprawcy lub szpiega;
Kiedy głos każdy, co się ozwie w ciszy,
Mniema ostatnim, co przed śmiercią słyszy;—
On zniósł to wszystko — mężnie i spokojnie
Dotrwał w najsroższéj z sobą samym wojnie.
Gorącość bitwy, groza, wściekłość burzy,
Dręczącą wewnątrz myśl tępi lub nuży:
Lecz być samotnym, wtrąconym w okowy,
Być, czuć się pastwą każdéj myśli nowéj;
Patrzéć w swe serce, i drżeć, lub przed marą
Zbrodni swych przeszłych, lub przed przyszłą karą:
Tamtych naprawić, téj nie módz odwrócić;
Kląć każdą chwilę, po każdéj się smucić;—
Bez przyjaciela—coby słabość wspierał,
Coby rzekł ludziom, żeś mężnie umierał;
Śród nieprzyjaciół—co wiész, że potwarzą
Jak całe życie, śmierć twoję znieważą;
W obec mąk—które choć duch widzi śmiało,
Nie wiész, nie zgadniesz, jak je zniesie ciało,
A jednak czujesz, że jęk, że łza jedna,
Skazi twe męztwo, wrogom tryumf zjedna;—
Gdy ci zbyt sroga surowość człowiecza
Nadziei nawet zbawienia zaprzecza —
A raj twój ziemski—pewniejszy niż w niebie,
Ta, którą kochasz, daleko od ciebie:—
Oto są myśli, w których duch Konrada
Miota się, błąka—ale nie upada;
To są męczarnie, które musiał znosić —
Zniósł—źle czy dobrze? nie uległ—już dosyć.

VII.

Przeszedł dzień piérwszy—on miał być dniem kary;
Zszedł drugi, trzeci—nie widać Gulnary.
Lecz co przyrzekła, stało się;—nie wróżył
By w mocy Baszy jutra nawet dożył.
Idzie dzień czwarty—przeminął, a z nocą
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.
O! jak mu luby szum, ryczenie morza,
Gdy zapienione wre u ścian podnoża!
Porwał się—słucha—jakby z wiatry społem
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem.—
W takich on nocach, na wzdętych bałwanach,
Po rozhukanych latał oceanach,
Zawisał w chmurach, i z dumnym uśmiechem
Spadał w otchłanie—ciesząc się pośpiechem!...—
Dziś, głos tak znany, jak na pośmiewisko,
Woła, niestety! próżno, choć tak blisko!—
Świszcząc dmie wicher; po nad dachem domu
Toczy się w chmurach huk ciągłego gromu,
Bucha nań łuna błyskawic tysiąca:—
Blask ich dla niego weselszy od słońca!
Wdarł się ku oknu—przez kraty wyciąga
Okute ręce—błaga czy urąga?—
Wzniósł je ku niebu, ku chmurom—i razem
Przyzywa gromu klątwą i żelazem.—
Próżno!—kłębami chmura się przewala,
I poszła daléj.—Ucisza się fala,
Huk coraz słabszy, oddala się, głuszy,
Ustał—ucichło—martwość w jego duszy!

Uczuł samotność, i serce zatwardził,
Jakby ostatni przyjaciel nim wzgardził.

VIII.

Północ—przed drzwiami usłyszał stąpanie.
Krok lekki—coraz pomknie się, i stanie.
Skrzypła pod kluczem klamka zardzewiona.
„Ona!"—przeczuło serce—tak, to ona!
Anioł stróż jego! jakie bądź jéj grzechy,
Miła mu, piękna, jak Anioł pociechy!—
Lecz dziś w niéj zmianę widzi wzrok Konrada.
Krok bardziéj drżący, twarz jéj bardziéj blada.
Spójrzała dziko—w tym wzroku wyczytał
To słowo „umrzesz!"—i o nic nie pytał.
„Tak! dziś masz umrzeć!—lecz jest sposób, który...
Który nie gorszy niż pal i tortury!"—
—„Ja go nie widzę—umiem znieść cierpienia,
Com rzekł, powtarzam—Konrad się nie zmienia.—
Lecz zkąd chęć w tobie ocalić zbrodniarza,
Gdy go świat cały potępia, spotwarza,
Gdy, jak bądź srogie ma być ukaranie,
Sam znam, że słusznie zasłużyłem na nie?"—
—„Zkąd ta chęć we mnie?—ty mię pytasz o to?—
Któż mię wybawił, ustrzegł przed sromotą?—
Zkąd ta chęć we mnie?—tak ci więc z mąk długich
Oślepła dusza na uczucia drugich,
Że chcesz bym sama—chociaż wstydem płonę,
Zrywała z serca skromności zasłonę?—
Tak jest!—pomimo twych zbrodni, ja czuję
Wielkość twéj duszy; dziwię się, lituję,

Kocham cię!—Nie mów! ja wiem że daremnie,
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie,
Że może czulsza, piękniejsza odemnie!—
Lecz gdzież jest?—czemu cierpień twych nie dzieli?—
Czemu się na to, co ja, nie ośmieli?—
Gdybym ja była twoją— o téj dobie,
Byłbyś już wolny, albo ja przy tobie!—
Żona korsarza! samym go wyprawić!...—
Czémże ta pani ma się w domu bawić?—
„Nie marszcz brwi! nie czas gniewać się za słowo,
Gdy miecz na włosie wisi nad twą głową.—
Jeśli chcesz działać—jeśliś działać zdolny—
Masz, weź ten sztylet—pójdź, a będziesz wolny!“—
—„Mam iść?—zaprawdę, w brzęczących okowach
Piękniebym stąpał po ich sennych głowach!—
Patrz! zapomniałaś widzę o mym stroju.
A z tém narzędziem cóżbym zrobił w boju?“—
—„Nieufny człeku!—przekupiłam straże;
Chciwe zapłaty, uczynią co każę.
Dość wyrzec słowo, a więzy twe spadną.—
Myślisz że sama przyjść tu mogłam snadno?—
Czas choć był krótki, użyłam go godnie,
Na twój ratunek—choć może na zbrodnię.—
Zbrodnię?—nie!—nigdy zbrodnią się nie wyda
Śmierć prześladowcy.—Pójdź, zabij Seida!—
„Cóż to? tyś zadrżał?—zkąd ci ta obawa?—
Jam téż nie była ni dzika, ni krwawa,
Aż on sam jadem zatruł moję duszę!—
Skrzywdził mię, zelżył— pomszczoną być muszę.

Obwinił o to, czém dotąd gardziłam —
Tak, choć pod strażą, ja mu wierną byłam. —
Śmiej się! ty możesz — on nie miał przyczyny,
Nie! —jam się jeszcze nie czuła do winy.
Chciałam cię zbawić, krwiąbym okupiła,
Lecz nie wiedziałam, że to miłość była.
On to rzekł piérwszy — zawistny szyderca!
Sam on myśl zdrady wrzucił mi do serca.
Jam nie kochała jego, lecz nikogo
Kochać nie śmiałam. — Kupił mię — zbyt drogo,
Bo niekupione serce biło we mnie.
Znosiłam jednak — aż mi sam nikczemnie
Urągać, wmawiać nie zaczął zamiaru,
Żem chciała z tobą ujść podczas pożaru. —
To fałsz, wiész dobrze; — lecz wróżby zawiści
Skrzywdzone serce prędzéj, późniéj ziści. —
„Nie sądź, że dla mnie spóźnił twe męczarnie,
Nie! — prosić nawet nie mogłam bezkarnie.
Na to on tylko czas téj zwłoki łożył,
By tobie cierpień, mnie żalu przymnożył. —
Mnie téż on grozi! — czas jakiś łaskawie
Ku swéj mię pańskiéj zatrzyma zabawie,
Lecz nasycony, dość by skinął wzrokiem,
Wór się rozdziawi — śmierć w morzu głębokiém! —
„Jaż mam za cacko służyć do pieszczoty,
Nim czas łudzącéj nie zetrze pozłoty? —
Nie! kocham ciebie — poprzysięgłam zbawić,
By ci choć wdzięczność w pamięci zostawić.
Lecz gdyby Seid nie był mię znieważał,
Nie krzywdził sławy, życiu nie zagrażał —

A wiém do czego okrutnik jest zdolny —
Wtedy!..—i wtedy musiałbyś być wolny,
Tak! — lecz krwi jego nie chciałabym przelać.—
Teraz, jam twoją! — chcę twój los podzielać,
Słuchać co każesz, i pełnić w pokorze.—
„Ty mię nie kochasz, nie znasz, gardzisz może —
Nie przetom jednak gorsza, żem jest szczersza!
Pierwsza to miłość—i nienawiść pierwsza! —
O! gdybyś kiedy wiary méj doświadczył!
Wtenczasbyś może pojął, i obaczył
Miłość, co płonie w sercach niewiast wschodnich!—
„Ona ci świeci blaskiem gwiazd przewodnich,
Ona wskazuje wolność!—Jeśliś gotów,
Pójdź!—w porcie na nas czeka łódź Majnotów.
Lecz w izbie, którą przejść nam trzeba właśnie,
Śpi Seid — uderz! niech na wieki zaśnie! —
Bledniesz?“—
„Gulnaro! przed śmiercią nie bladłem,
Nie czułem dotąd, że tak nizko spadłem! —
Seid jest wróg mój — mściwie i zażarcie
Ścigał nas, szkodził—lecz walczył otwarcie.
Myśmy téż przyszli, moc jego osłabić,
Pomścić się braci, i zabójcę zabić.
Przyszliśmy z mieczem, nie z nożem;—ten, czyja
Dłoń niewiast broni, śpiących nie zabija!—
„Nie na tom, pani, z ognia cię ratował;
Nie chciéj, bym czynu dobrego żałował! —
Odejdź!—bądź zdrowa!—uspokój swą duszę!
Dzień wnet zabłyśnie—ja wprzód spocząć muszę.“—

—„Śpij, śpij! o wschodzie ockniesz się na palu!
Umrzesz jak zbrodzień: cel wzgardy nie żalu.—
Słyszałam rozkaz, widziałam zebrany
Lud, rusztowanie, pal już zaciosany —
Reszty nie ujrzę — nie zdołam cię przeżyć. —
„Korsarzu! trudnoż wznieść dłoń, i uderzyć?—
Rozmyśl się!—miłość, nienawiść, zniewaga,
Twe bezpieczeństwo téj śmierci wymaga.
Bez niéj ucieczka na nic się nie przyda,
Ujść nie zdołamy pogoni Seida.—
„Pójdź! niech go słuszna nie minie zapłata,
Za moje młode, pohańbione lata,
Za krzywdy twoje, za krew braci twojéj!—
Pójdź, pójdź!—cios jeden wszystko zaspokoi.—
„Co?—jeszcze nie śmiesz? — Więc ja się odważę!—
Ujrzysz, co ręka kobiéty dokaże.—
Straz przekupiona—wychódź ztąd czém prędzéj!—
Ujrzym się wolni—albo nigdy więcéj!“—

IX.

Rzekła — nie czeka, nie chce odpowiedzi.
Znikła — on drżący oczyma ją śledzi.
Wlokący łańcuch w węzeł zebrał w ręku,
By i szedł wolno, i nie wydał brzęku.—
Drzwi otworzone—wyszedł;—straże zdjęte,
Pusto i ciemno—przejście wązkie, kręte.
Nie wié gdzie idzie; ręką ścian się trzyma.—
Blask jakiś mglisty mignął przed oczyma:
Czy światło dzienne?—wierzy i nie wierzy.
Iść czy nie?—poszedł;—chłód rzeźwiący, świeży,

W twarz mu powionął;—czuje woń poranku.
Wnet na otwartym ujrzał się krużganku—
Odetchnął wolno, spójrzał wkoło siebie. —
Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie,
Wschód się zajmował brzaskiem;—wtém z uboczy
Blask, jakby lampy, uderzył go w oczy.
Z samotnéj izby blask się ten przeciska —
Drzwi wpół przemknięte—wpatruje się zbliska:
Światło jest wewnątrz, lecz przy niém nikogo.—
Usłyszał szelest, i cofnął się z trwogą.
Szybkiemi kroki, bielą otulona,
Postać wybiegła—stanęła—to ona!
Dłoń jéj bezbronna, krew szat nie plamiła —
„Dzięki jéj sercu, dzięki!—nie zabiła!“—
Spogląda na nią: obłęd w jéj spójrzeniu,
Jakby je w jakiémś utkwiła widzeniu!...
Stanęła—baczném nasłuchuje uchem:
Cichość dokoła!—konwulsyjnym ruchem
W tył odrzuciła włosy, co po całéj
Twarzy i piersiach w niéładzie spadały:
Znać że musiała nachylać się nisko,
Na jakieś straszne patrząc widowisko.—
Zwraca się—wzrok jéj spotkał się z Konradem.—
Cofnął się przed nią.—Na jéj czole bladém,
Nad brwią—nieznaczna—któréj pewno sama
Dójrzeć nie mogła—jedna mała plama!—
Ujrzał jéj barwę—mdłość mu wzrok zaćmiła —
Pojął, zgadł wszystko—to kropla krwi była!

X.

Bywał on w bitwach—w niewoli bezbronnéj
Czuł blizkie męki śmierci nieuchronnéj;
Wykraczał, cierpiał, i jeszcze nie zgadnie
Czy to okucie z rąk jego opadnie:
Lecz nigdy bitwa, niewola, zgryzota,
Która nim kiedy miotała lub miota,
Żadne cierpienie w całéj swojéj sile,
Nie przeraziło, nie wstrząsło go tyle,
Jako ta plama, ta kropla zbrodnicza!—
W niéj zgasł mu urok pięknego oblicza.—
Widok krwi nieraz męztwo w nim zagrzewał,
Lecz gdy ją w boju, mężczyzna przelewał!—

XI.

„Stało się!—pójdźmy!—Porwał się był z trwogą.
Lecz już się stało!—kosztujesz mi drogo!—
Pójdźmy ztąd, pójdźmy!—nie tu czas na słowa!—
Patrz! dzień już świta—łódź czeka gotowa.
Kupione straże wnet za mną pośpieszą,
Wszyscy chcą z twoją połączyć się rzeszą.—
Czyn mój w wolniejszéj uniewinnię porze,
Gdy już bezpieczni wypłyniem na morze.“—

XII.

Klasnęła w dłonie:—skryci, niedalecy,
Wbiegli jéj słudzy—Murzyni i Grecy.

Zdjęli okowy na rozkaz władzczyni.—
Znowu on wolny jak wiatr na pustyni!
Lecz w sercu jego taki smutek ciąży,
Jakby z rąk na nie przełożono więzy.
 Skinęła—drzwi się otwarły tajemne,
Wiodą ku morzu przez przejścia podziemne.
Wyszli za miasto—przyśpieszają biegu,
Gdzie fala szemrząc srebrzy się po brzegu....—
 Konrad szedł zwolna—nie dba i nie bada
Co go ma spotkać?--swoboda czy zdrada?—
Czuje że opór na nic się nie przyda,
Jak gdyby jeszcze był w mocy Seida.

XIII.

 Łódź czeka—wsiedli;—rozdęły się żagle,
Pękł sznur—łódź w pianach zaryła się nagle,
I poszła z wiatrem.—Cieszy się gromada!—
Ileż tu wspomnień dla duszy Konrada!—
Dumał sam w sobie—aż głaz nad zatoką,
Gdzie wysiadł na ląd, spotkał jego oko.
Ach! od téj nocy, on, choć czas tak krótki,
Wiekowe przeżył trwogi, zbrodnie, smutki!—
I gdy cień głazu posępny, olbrzymi,
Sięgając łodzi, czernił się nad nimi,
On wzrok odwrócił, twarz płaszczem obwinął,
I stał dumając, aż ten cień przeminął.
Przypomniał wszystko—Gonzalwa, swą nawę,
Braci swych, tryumf, klęskę, więzy krwawe,

I onę—tkliwą, kochaną jedynie!...—
Wzniósł wzrok, i ujrzał—Gulnarę, zbójczynię.

XIV.

Długo w milczeniu spoglądała z trwogą
Na odwróconą twarz, zimną i srogą.
Spójrzał—nie zniosła oczu jego mroźnych.
Dzikość jéj wzroku zgasła w łzach—zbyt późnych!
Uklękła przed nim—dłoń łamie w rozpaczy:
„Przebacz mi!—Allah może nie przebaczy:
Aleś ty sądzić powinien łagodniéj!—
Cóżby się z tobą stało bez méj zbrodni?—
Karz mię, gdy zechcesz—lecz ach! nie w téj chwili,
Nie dzisiaj jeszcze!—dziś pozór cię myli.
Nie jestem taką, jakem się być zdała —
Ta noc straszliwa, ta mię obłąkała! —
Gdyby nie miłość—niewinnąbym była—
Lecz tybyś nie żył!—karz, gdym przewiniła!“ —

XV.

Krzywdzi go:—siebie, a nie ją on winił.
On źródłem zbrodni —choć jéj sam nie czynił!—
Lecz mroczne, nieme, w duszy tylko na dnie
Krwawią te myśli—któż myśl jego zgadnie?—

Pod lekkim wiatrem pełny żagiel wzdycha,
Mknie łódź swobodna: — woda jasna, cicha.

Na widnokręgu, z trwogą niespokojną,
Widzą punkt, plamkę, maszt, żagle, łódź zbrojną!—
Znać że ich łódkę postrzegła zdaleka:
Wszystkie swe żagle z pośpiechem nawleka.
Olbrzymia, nakształt morskiego straszydła,
Pędzi—nadbiega—nastawiwszy skrzydła.
Półkolem w pianach zarywszy się chyżo,
Iskrzącą ku nim zawróciła spiżą.
Błysnęło—kula świszcząc przeleciała,
Plusnęła w wodę, woda zasyczała.
Porwał się Konrad na znajome echo,
Oczy się jasną zaśmiały pociechą:
„Mój strzał! mój okręt! widzę flagę moję!—
Jam znów pan morza—i nic się nie boję.“—
Dał znak, poznali;—z okrzykiem weseli,
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli.
„To Konrad! Konrad!“—ciżba na pokładzie—
Próżny głos wodzów!—w niesfornéj gromadzie
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią
Wchodzi na okręt—stanął między bracią!...
Każdy go wita usty i oczyma,
Dłoń się ich ledwo od uścisku wstrzyma.
On, wpół niepomny swéj straty i klęski,
Wita nawzajem jakby wódz zwycięzki;
Ścisnął Anzelma dłoń—i znowu czuje
Że może walczyć, i że rozkazuje.

XVI.

Umilkła radość—żal im nie pomału
Że wódz na wolność wrócił bez wystrzału.

Szli szukać zemsty—i gdyby wiedzieli
Że dłoń kobiéty spełniła co chcieli,
Cześć jéj królewską niosłaby gromada.
Mniéj oni trudni, niż duma Konrada;
Wszystkie im drogi dobre, gdy u celu
Łup albo zemsta na nieprzyjacielu.
Kryjąc uśmiechy, z podziwieniem w oku,
Szepcą, i ku niéj spoglądają z boku:
A ona—wyższa, niższa od płci swojéj,
Krwi się nie bała—ich wzroku się boi!—
Milczy—i na dół spuściwszy źrenice,
Gęstą zasłonę nawlokła na lice.
Ręce na piersiach złożone z pokorą.—
Konrad bezpieczny—w piersiach tych nie gorą
Gniew ni nienawiść — i co bądź w nich wrzało,
Serce kobiéty tkliwém pozostało.

XVII.

Pojął to Konrad, i czuł mimo woli
Wstręt dla jéj zbrodni, lecz żal dla niedoli.—
Co uczyniła, żadna łza nie zmaże,
W dzień gniewu swego Niebo ją ukarze.
Lecz już się stało!—on karać niezdolny.
Wielka jéj zbrodnia—lecz on przez nią wolny!
Ona dla niego poświęciła siebie,
Wszystko na ziemi, i wszystko swe w Niebie!...—
Z żalem ku brance spójrzał czarnookiéj.
Skroń jéj schylona od myśli głębokiéj,

Bladość marmuru piękną twarz okrywa:
I tylko jedna ta plama straszliwa,
Krew zabitego—co barwy nie mieni,
Śród téj bladości jedna się czerwieni!...
Ujął jéj rękę—drżała—już za późno!—
Tak trwożna teraz, mogłaż być tak groźną?—
Ścisnął jéj rękę—drżała—i dłoń jego
Osłabła; uczuł drżenie głosu swego.
„Gulnaro!“—milczy—„kochana Gulnaro!“
Podniosła oczy, z bojaźnią, z niewiarą—
Wzrok jéj rozjaśniał—i jakby zemdlona
Nagle się w jego rzuciła ramiona.—
Gdyby odepchnął—on, jedna opieka!—
Byłby coś więcéj lub mniéj od człowieka.
Pozwolił zostać;—i gdyby nie ciemne
Przeczucia serca—straszne, choć tajemne —
Może w téj chwili ostatnia na ziemi
Cnotaby jego poszła za drugiemi.
Lecz przed nią nawet grzechem się nie stanie,
Jedno tak pięknych ust pocałowanie!
Piérwsze, co płochość wykradła wierności;
Jedna nagroda—tak wielkiéj miłości !

XVIII.

Brzegi swéj wyspy ujrzeli o zmroku.
Każda się skała uśmiécha ich oku!
U portu słychać zgiełk, wrzawę stłumioną,
Strażnicze ognie na swych miejscach płoną.

W zatoce szybkie ślizgają się łodzie,
Skacząc delfiny igrają po wodzie;
Krzyk nawet ptastwa, co się wkrąg rozlega,
Brzmi dla nich wdzięcznie zwiastowaniem brzega.
Przy każdém świetle chcą dójrzéć postaci,
Każdy swéj żony, kochanki lub braci!...—
Ach! któż tak czuje wdzięk własnéj ustroni,
Jak błędny żeglarz na burzliwéj toni?

XIX.

Palą się światła wzdłuż całych wybrzeży,
Lecz Konrad światła nie widzi na wieży.
Dziwią się wszyscy, i patrzą—daremno!
W jednéj Medory oknach tylko ciemno!—
W nich zwykło jaśnieć powitania hasło:
Może i teraz ściemiło się, nie zgasło!..—
Rzucił się w łódkę—leniwo zbyt niosła—
Z niecierpliwością pogląda na wiosła.
Ach! onby pragnął sokolemi pióry,
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry!...
Słabną wioślarze—znużenie ich zoczył,
Nie czeka dłużéj—i w morze wyskoczył.
Łamie się z falą—dopłynął do brzegu,
I biegł—na chwilę nie zwalniając biegu.
U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:
Wszystko uśpione—wkoło ciemność głucha!
Puka, i głośno—echo się rozlega —
Nikt nie otwiera, i nikt nie przybiega.

Puka—lecz zcicha—bo dłoń jego drżąca,
Bo w duszy jego myśl przerażająca!..—
 Drzwi się otwarły—lecz przy nich nie ona,
Na której uścisk gotował ramiona!
A sługa milczy:—on dwakroć probował,
Dwakroć chciał spytać—i słów nie znajdował.
Porywa lampę—w pośpiechu i trwodze
Z rąk mu wypadła, i zgasła przy nodze.—
Poszedł w ciemności—lampa tylko druga
Z głębi mrocznego kurytarza mruga.
Rozemknął izbę—wszystko się odkryło,
Co serce jego czuło—nie wierzyło.

XX.

 Nie wyszedł, nie padł, nie płakał — wzrok wlepił,
Zimny dreszcz serce ścisnął—nie pokrzepił.
On patrzał — boleść wzrastała tajemnie —
Czuł, lecz pomyśléć nie śmiał, że daremnie!...
 Za życia ona piękniejszą nie była.
Śmierć ją jak dziecię do snu utuliła.
Zimny kwiat, tkwiący w jéj zimniejszym ręku,
Trzyma z ujęciem tak żywego wdzięku,
Że zda się żartem utaiła we śnie.
Że jeszcze budzić i płakać zawcześnie!—
Śnieżne powieki rzęsami długiemi
Ćmią—myśl się wzdryga na to, co pod niemi!...—
 Tam to się naprzód pastwi śmierć niszcząca,
Gdy duszę z tronu światłości wytrąca,

I promieniste gwiazdy życia gasi:
Choć blask ich jeszcze, jak w niéj, usta krasi!
Zda się uśmiechem zmordowane mile,
Drzemią—nim znów się uśmiechną za chwilę!...—
Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona,
Żadnym na piersiach tchem nieporuszona;
Lecz włos jéj długi, utrefiony, lśniący,
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne
Wonnością wiatry napawał wiosenne;
Lecz twarz jéj blada—nieruchoma postać!...
Ona umarła!—Maż on sam tu zostać?—

XXI.

Nie pytał o nic — cóż nada pytanie?
Umarła, widzi--wié że nie powstanie.—
Miłość lat młodych, nadzieja następnych,
Źródło chwil miłych, osłoda posępnych,
Jedyna, którą między żyjącemi
Nie nienawidził, kochać mógł na ziemi:
Wszystko mu wzięte!—On zasłużył na to—
Ach! i tém srożéj czuł boleść nad stratą:
Czuł bez pociechy.—Cnota ulgę znajdzie
Tam, kędy zbrodnia ni dójrzy, ni zajdzie.
Źli, dumni, cel swój co tu założyli,
Tracąc go, wszystko tracą w jednéj chwili,
Choćby rzecz błahą—lecz wszystko co mieli!—
Któż się bez żalu z swém szczęściem rozdzieli?—

Niejedno czoło stoickie i oko
Maskują tylko ranę zbyt głęboką;
Niejedna rozpacz stroi się w uśmiechy,
Aby daremnéj nie żebrać pociechy,
Na niewetowne straty, albo grzechy!—

XXII.

Któż z tych, co czują, wysłowi katusze,
Gdy chaos cierpień zwali się na duszę?
Gdy tysiąc myśli plącze się i miesza,
A wszystkie dręczą, żadna nie pociesza?
Gdy sercem coraz szarpią czucia nowe,
A ból ich ustom odbiera wymowę?..—
Któż to wysłowi?—Pod takiém brzemieniem
Dusza Konrada łamie się z cierpieniem;
Aż zda się czułość straconéj na świecie
W serce mu weszła—i płakał jak dziecię!...—
Słabość to tylko, nie pociecha była,
Wydała boleść—ulgi nie sprawiła.
Nikt łez nie widział—i w téj nawet porze
Przy świadku z serca nie wyszłyby może.
Sam je wnet otarł;—znów długo spoglądał—
Wyszedł—pociechy ni szukał, ni żądał.
Czy słońce wejdzie—ciemny mu blask słońca;
Czy noc zapadnie—noc jego bez końca!—
Nie ma ciemnoty, jak smutku pomroka,
Nie ma ślepoty, jak ponurość oka,
Co na nic patrzéć nie chce, i unika,
I idzie w ciemność—ach! bez przewodnika!—

XXIII.

Serce w nim było tkliwe: lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu;—czucia były czyste:
Lecz jako rosy krople przezroczyste,
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły, skamieniały w końcu.—
Grom kruszy skały:—serce w nim jak skała,
Śmierć je Medory jak piorun strzaskała.
W cieniu się skały jeden kwiat rozwijał,
Cień groźny innym, jemu służył, sprzyjał;
Nadeszła burza—grom zniszczył od razu
Lilii piękność i wytrwałość głazu.
Żadnego liścia nie zostało z kwiatu,
By jego życie, śmierć przypomnieć światu;
A strzaskanego głazu zimne szczątki
Leżą—już tylko grobowe pamiątki!—

XXIV.

Ranek—południe—nie widać Konrada.—
Samotność jego szanuje gromada.
Poszli nakoniec. — Pusta była wieża.
Wódz znikł!—Przebiegli wyspę i nadbrzeża.
Noc—jego nie ma; — szukali noc całą,
Imię Konrada echa zmordowało.
Góry, doliny, jaskinie przebiegli —
Próżno!—Dzień nastał—przy brzegu postrzegli

Zerwany łańcuch, gdzie barka stać zwykła.
Uszedł! — z nim piękna niewolnica znikła. —
„Ha! a więc w pogoń! — wiatr ten sam co wczora!“ —
Żeglują w pogoń. — Mylna, czy nieskora! —
Minęło wiele tygodni, miesięcy —
Konrad nie wrócił — nie powróci więcéj!
Śladu ni wieści, gdzie swój żal tułaczy
Ukrył przed światem, lub zginął z rozpaczy. —

Długo się wierna smuciła gromada;
Świetny grób wznieśli kochance Konrada.
Jemu nikt grobu, pomnika nie święci:
Zostało tylko długich lat pamięci
Imię Korsarza, i powieść smucąca,
Jedynéj cnoty — a zbrodni tysiąca. —

KONIEC.

PRZYPISY AUTORA.

Czas w téj powieści mógłby się zdawać za krótkim na wypadki, lecz każda z wysp Egejskich leży o kilka tylko godzin żeglugi od lądu, a łaskawy czytelnik raczy sobie wyobrazić wiatr taki, jakiego ja sam nieraz w istocie doznałem.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Str. 19 w. 19 . . . . Będziemy oboje
Czytać z Arjosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.

Orlando Furioso. Pieśń X.

Str. 24. w. 17. Ruszyły wiosła—jak gwiazd droga mléczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.

W nocy, szczególniéj pod cieplejszą strefą, za każdém uderzeniem wiosła, za każdém poruszeniem czółna lub okrętu, daje się widzieć pewna mdła jasność, która jak błyskawica z wody wynika.

PIEŚŃ DRUGA.

Słyszałem zarzut, że wejście Konrada, przebranego za szpiega, jest niezgodne z naturą. Być może. — Coś podobnego jednak w historyi znalazłem.

„Chcąc przekonać się własnemi oczyma o sile Wandalów, Majorian przemieniwszy kolor swych włosów, udał się sam do Kartaginy w charakterze własnego posła swojego; i Genserik nie pomału żałował, gdy się potém dowiedział, że podejmował i wypuścił Cesarza rzymskiego. Podanie to możnaby za zmyślone uważać; ale jest to zmyślenie, które tylko w życiu bohatéra użyte być mogło.“ (Gibbon).

Że charakter Konrada nie jest całkiem w sprzeczności z naturą, najlepszym tego dowodem są niektóre podobieństwa historyczne, z któremi się już po napisaniu „Korsarza“ spotkałem.

„Ezzelin prisonnier, dit Rollandini, s'enfermait dans un silence menaçant; il fixait sur la terre son visage féroce, et ne donnait point d'essor à sa profonde indignation.—De toutes parts cependant les soldats et le peuple accouraient; ils voulaient voir cet homme, jadis si puissant, et la joie universelle éclatait de toutes parts.“

„Ezzelin était d'une petite taille; mais tout l'aspect de sa personne, tous ses mouvemens indiquaient un soldat. — Son langage était amer, son déportement superbe — et par son seul regard, il faisait trembler les plus hardis“ (Sismondi).

„Gizericus (Genserik, król Wandalów, zdobywca Kartaginy i Rzymu) statura mediocris, et qui casu claudicans, animo profundus, sermone rarus, luxuriae contemptor, ira turbibus, habendi cupidus, ad solicitandas gentes providentissimus.“ etc. etc. (Jornandes de Rebus Geticis).

Pozwalam sobie przytoczyć te fakta na usprawiedliwienie mego Korsarza i Giaura.

Str. 27 w. 25. Gdy Almy w środku tańcują wesoło.

Almy — tanecznice.

Str. 31 w. 5. Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem.

Derwisze dzielą się na zakony rozmaitych reguł jak mnisi.

Str. 32 w. 6. I rwąc swą brodę wściekły wybiegł z sali.

Powszechny i wcale nie nowy objaw gniewu Muzułmanów (*Patrz Pamiętniki księcia Eugeniusza na karcie 24*). „Seraskier został ranny w udo, i gniewny że z bitwy ustąpić musiał, wyrwał sobie całą swą brodę.“

Str. 34 w. 26. Krótko wódz spójrzał na wdzięki Gulnary.

Gulnara, imię niewieście, znaczy dosłównie: kwiat granatnéj jabłoni.

Str. 44 w. 9. I nie raz światu zamiast pożegnania
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania.

N. p. Tomasz Morus na rusztowaniu, i Anna Boleyn w więzieniu, gdy obejmując dłonią swą szyję, zrobiła uwagę: „iż jest za nadto cienka, aby mogła mistrzowi wiele trudu przyczynić.“ — W czasie rewolucyi francuzkiéj stało się prawie modą, aby ginąc pod gilotyną, jakie „*bon mot*“ po sobie zostawić. I zbiór tych wszystkich dowcipnych słówek, w ciągu całéj rewolucyi rzeczonych, utworzyłby bez wątpienia książkę znacznéj objętości.

PIEŚŃ TRZECIA.

Str. 50 w. 10. Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi.

Sokrates wypił cykutę nieco przed zachodem słońca (czasem naznaczonym), pomimo próśb uczniów swoich, aby się wstrzymał, nim słońce nie zajdzie.

Str. 50 w. 21. Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów etc.

Zmrok w Grecyi jest bez porównania krótszy niż u nas — dni są dłuższe w zimie, krótsze zaś w lecie.

Str. 51 w. 4. Letnich kiosków wieżyczki błyszczące etc.

Kioski, są to letnie mieszkania Turków — Nurt Cefizu jest w istocie bardzo wązki — a Ilissus wcale bez wody.

Str. 51 w. 13. Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w jasnéj uśmiécha pogodzie.

Cała strofa téj pieśni pod n. 1. jest tu może nie wiedzieć po co, i należała do innego poematu, nie ogłoszonego choć drukowanego, a była napisana na miejscu, wiosną 1811 r. — Czytelnik więc, ja sam nie wiem dla czego, musi przebaczyć, jeśli może, że ją tutaj znajduje.

Str. 55 w. 3. On licząc niby kaliwa rożańca.

Kombolojo, albo rożaniec muzułmański, zawiera ziarn dziewiędziesiąt dziewięć.

Str. 73 w. 19. Zimny kwiat, tkwiący w jéj zimniejszym ręku.

Na Wschodzie jest zwyczaj rozsypywać kwiaty przy ciałach zmarłych, i dawać bukiet w ręce młodych osób.

Str. 77 wiersz ostatni: Jedynéj cnoty, a zbrodni tysiąca.

Że uczucie honoru, które jest cechą charakteru Konrada, nie wykracza z granic prawdopodobieństwa, mogłaby tego dowieść niejako następująca historyczna wiadomość o jednym amerykańskim rozbójniku morskim z r. 1814.

Czytelnicy nasi słyszeli bez wątpienia, o wyprawie przeciwko rozbójnikom morskim w Barrataryi; że jednak nie wszyscy mogą być dokładnie uwiadomieni o położeniu, historyi i naturze tego zakładu, kładziemy tu następujące opowiadanie naocznego świadka, spodziewając się, że to dla wielu czytelników obojętném nie będzie.

„Barratarya jest to zatoka, a raczéj wązkie długie ramię odnogi Meksykańskiéj. Rozciąga się wzdłuż żyżnego lecz

bardzo płaskiego kraju, i aż o milę tylko do rzeki Missisipi dochodzi, 15 mil poniżéj miasta nowego Orleanu. Zatoka ta dzieli się na niezliczone gałęzie, w których przed najściślejszém poszukiwaniem, bezpiecznie ukryć się łatwo. Prócz tego ma jeszcze związek z trzema jeziorami, leżącemi na południowo zachodnim jéj brzegu, i łączącemi się z czwartém, także Barratarya zwaném, które przytyka do morza, i właśnie w miejscu zetknięcia się tworzy wyspę, z dwóch stron témże jeziorem, zresztą morzem oblaną. W roku 1811 wschodni i zachodni brzeg téj wyspy od strony lądu, zostały umocnione warownią przez bandę zbójców morskich, pod dowództwem niejakiego Monsieur La Fitte, niegdyś kapitana w wojsku Napoleona. Banda ta po większéj części składała się z téj klassy mieszkańców Luizyany, którzy uciekłszy z wyspy St. Domingo, podczas zamieszań tamże wynikłych, udali się byli naprzód na wyspę Kuba; lecz wnet z niéj, z powodu wojny Francyi z Hiszpanią, wygnani, przybyli nieproszeni do Zjednoczonych Stanów i prawie wszyscy w kraju Luizyany osiedli.

Wyspa Barratarya leży pod 29 stopniem szerokości a 92 długości geogr. i słynie zdrowém powietrzem i wielką obfitością ryb wszelkiego rodzaju. Naczelnik bandy, na wzór Karola Moora w tragedyi Szyllera, obok wielu występków posiadał niektóre cnoty. W r. 1813 zuchwałość i łupieztwa jego hordy, zwróciły na nią baczność wielkorządzcy Luizyany, który aby ją tém łatwiéj mógł zniszczyć, pozbawiając wodza, ogłosił 500 dolarów nagrody za głowę Lafitta, znanego dobrze mieszkańcom Nowego Orleanu, już to przez swoje z nimi związki, już to z powodu, że był niegdyś w tém mieście sławnym nauczycielem sztuki fechtowania. — Na to ogłoszenie wielkorządzcy, Lafitte odpowiedział wzajemném, obiecującém 15,000 dolarów za głowę wielkorządcy. Ten naówczas wysłał oddział wojska z rozkazem zdobycia wyspy Lafitta, zniszczenia ogniem wszelkiéj własności zbójców, i przywiedzenia ich samych do Nowego Orleanu. Oddział

ten, pod dowództwem dawnego niegdyś wspólnika i najzaufańszego przyjaciela Lafitta, podstąpił pod samą wyspę od strony lądu, nie widząc żywéj duszy, ani słysząc głosu ludzkiego. Lecz nagle usłyszano gwiznienie, podobne do hasła majtków, i cały oddział ujrzał się otoczonym przewyższającą siłą zbrojnych ludzi, którzy nań z zasadzki wypadli. W téj okoliczności, nowy Karol Moor rozwinął szlachetne rysy swego charakteru. Nie tylko bowiem darował życie człowiekowi, który go zdradził, który na życie jego i na wszystko co mu drogiém było nastawał; lecz nadto ofiarował mu taką summę pieniędzy, iż mu na przystojne aż do śmierci utrzymanie się wystarczyć mogła, i choć ją ów z pogardą odrzucił, bezpiecznie mu do Nowego Orleanu powrócić dozwolił. — Wypadek ten i kilka podobnych, przekonały, że wyspa korsarzy od strony lądu niezdobytą była. — Postanowiono więc uderzyć na nią od morza. Z razu siła morska, przy tych brzegach będąca, nie była dostateczna do tego przedsięwzięcia, i ze stratą przez Lafitta odpartą została.—Lecz ściągnąwszy posiłki, ponowiono napad, który się nareście zupełném zniszczeniem bandy korsarzów zakończył. — *(Z gazety Amerykańskiéj).*

W dykcyonarzu biograficznym Grangera, kontynuowanym przez Noblego, w życiu arcybiskupa Blackbourne, znajduje się szczególne miejsce, które ponieważ ma niejaki związek z rzemiosłem bohatéra mego poematu, nie mogę oprzéć się pokusie, umieszczenia go tutaj.

Jest coś tajemniczego w historyi i w charakterze doktora Blackbourne. Piérwsza, nigdy dokładnie znaną nie była; lecz biegały wieści, że był niegdyś korsarzem, i że jeden z jego braci w rzemiośle, powróciwszy do Anglii, rozpytywał się głośno o dawnym swoim towarzyszu Blackbourne, i nie chciał wierzyć gdy mu powiadano, że został Arcybiskupem w Yorku. Ta wieść jednakże, zdaje się być tylko bezzasadną potwarzą. Jako arcybiskup, postępował on zawsze z wielką roztropnością, i jako stróż dochodów dyecezalnych na powszechny szacunek zasłużył.—Wprawdzie szeptano po-

kątnie, że zachowywał jeszcze wiele błędów młodości, i że uwielbienie dla płci pięknéj trzymało nie ostatnie miejsce w liście jego słabości. — Lecz gdy przy tylu oskarżeniach, o nic istotnie przekonanym nie był, wszystkie te wieści uważam tylko za skutek zawistnéj złośliwości. — Bo czyż podobna, aby rozbójnik morski mógł być tak uczonym człowiekiem, jakim bez zaprzeczenia był Blackbourne? On, który posiadał tak doskonałą znajomość pisarzów starożytnych, mianowicie tragików greckich, iż był w stanie czytać ich z równą łatwością jak Szekspira, musiał poświęcić wiele pracy nauce języków starożytnych, i mieć na to wiele czasu i dobrych nauczycieli. Jakoż niewątpliwie wiadomo, że odbierał nauki w Oxfordzie. Przyznawano mu powszechnie, że był bardzo w społeczeństwie przyjemnym, z czego nawet zrobiono przeciw niemu zarzut, mówiąc, że więcéj serc niż dusz pozyskał." —

NARZECZONA Z ABYDOS.

POWIEŚĆ TURECKA

LORDA BYRONA.

Had we never loved so kindly,
Had we never loved so blindly,
Never met, or never parted,
We had ne'er been broken hearted.

Burns.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Znacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żałoby,
Godłem są dni obecnych i wieków minionych?
Gdzie żałośna turkawka, i sęp krwawo-dzioby,
Powtarza dzikość panów, i jęk zwyciężonych?
Kraj cedrów w niebo rosłych, i winnic nektaru:
Kraj niewiędnącéj wiosny, i wiecznéj pogody;
Kędy skrzydła Zefirów, od woni ciężaru
Słabieją, przelatując rożane ogrody?
Gdzie śród gajów zieleni błyszcząca cytryna,
Dziś jeszcze Hesperyjskie sady przypomina;
W jagodach złoty balsam oliwy dojrzewa,
A w cieniu drzew jéj słowik nie przestając śpiewa?
Kraj, gdzie ziemi zieloność i niebios lazury
Walczą o piękność barwy przed słońcem bez chmury,
A ocean gra ogniem najżywszéj purpury?

Gdzie dziewice jak kwiaty, co noszą do tańców?
Gdzie wszystko piękne, boskie — oprócz serc miesz-
[kańców?—
Kraj to Wschodu! kraj słońca, co mu naprzód świeci! —
Możeż się tak uśmiéchać na zbrodnie swych dzieci?—
Dzikie, jak krzyk wiecznego rozstania boleści,
Są ich serca—i czyny—i o nich powieści.

II.

Otoczon tłumném niewolników gronem,
Lśniących od złota, i z kornym pokłonem
Gotowych służyć dworaczo czy zbrojnie,
Za orszak w domu, lub za straż na wojnie,
Jak się podoba ich Baszy i Panu:
Zasiadł Giaffir *) śród swego Dywanu.
Z brwi nasępionych i groźnego oka,
Znać że go trapi jakaś myśl głęboka.
I choć nie łatwo z twarzy Muzułmana
Wyczytać duszę—nawykłą przed tłumy
Kryć wszystkie swoje uczucia, prócz dumy—
Twarz Giaffira mroczna, zadumana,
Zdradza coś więcéj, niżby wydać żądał,
Więcéj, niż ścierpi aby dwór oglądał.

III.

„Chcę być sam!“ —skinął—skinieniu pańskiemu
Posłuszni tłumem ku drzwiom się cofali.—

---

*) Czytaj Gijur.

„Zawołać do mnie dozorcę haremu!“ —
Już w głębi sali, sam na sam zostali,
Basza z swym synem; i w progu zdaleka
Wezwany murzyn na rozkazy czeka.
„Słuchaj, Harunie! skoro tłum ten cały
„Wyjdzie z pałacu za bramę i wały —
„Bo biada głowie, któréjby źrenice
„Śmiały wzrok podnieść na Zulejki lice! —
„Córkę tu moję przywiedziesz z haremu.
„Dziś chcę na przyszłość ustalić jéj dolę. —
„Mów, niech pośpiesza: lecz nie mówiąc: czemu? —
„Sam chcę jéj piérwszy objawić mą wolę.“ —
—„Baszo! mém prawem są rozkazy twoje!“ —
Niewolnik innéj odpowiedzi nié ma. —
I już wychodził za sali podwoje,
Kiedy go ramię wstrzymało Selima.
Selim z potrójnym, głębokim pokłonem,
Wrócił ku Baszy, i z okiem spuszczoném,
Nieśmiałym głosem rzekł, stojąc przed tronem:
Bo muzułmana nie ośmielić niczém,
Aby śmiał usieść przed ojca obliczem.
„Bojąc się, ojcze! abyś się nie gniewał,
„Czy na Haruna, czy na siostrę moję,
„Jeśli tak rychło, jakbyś się spodziewał,
„Nie zdąży przybyć na rozkazy twoje:
„Wyznam mą winę — jeśli w tém jest wina,
„Że we mnie jedynym téj zwłoki przyczyna.
„Słońce dziś rano wschodziło tak jasno,
„Że — chyba starcy ujrzawszy to, zasną —
„Jam zasnąć nie mógł; — lecz w tak pięknéj porze,
„Patrzéć samemu na niebo, na morze,

„Gdy nikt nie słucha i nikt nie podziela
„Natchnionych myśli i uczuć wesela.
„Smutno jest — zwłaszcza mnie, com od powicia
„Nie nawykł znosić samotności życia.—
„Zulejkę zatém namówiłem z sobą. —
„Tyś sam dozwolił, aby każdą dobą
„Wstęp do haremu był dla mnie otwarty. —
„I nim wpół senne ocknęły się warty,
„Już my ukryci w cyprysowym gaju,
„Pojąc się wdziękiem natury i kraju,
„Zapominali o obecnéj chwili
„W rymach Sadego i pieśniach Leili [1])!
„Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem [3])
„Że się zbliżyła godzina Dywanu,
„I wnet pamiętny twéj woli, przybiegłem
„Złożyć cześć winną i ojcu i panu.
„Ale Zulejka dotąd błądzi w gaju.—
„O! przebacz ojcze! nie nasrożaj czoła!
„Wszakże prócz niewiast i stróżów seraju,
„Nikt się tam przedrzéć, ni zajrzéć nie zdoła.“ —

IV.

Gniew zawrzał w Baszy: „Synu niewolnika,
„Z niewiernéj matki! — bo próżno od młodu
„Szukałem w tobie, godnych mego rodu,
„Uczuć człowieka albo wojownika! —
„Ty zamiast wprawiać do boju twe dłonie,
„Zawstydzać strzelców, wyzywać szermierze,
„Ciskać dzirytem, lub ujeżdżać konie:
„Ty, Greku w duszy, jeżeli nie w wierze!

„Gotów iść wzdychać całe dni i noce,
„Gdzie jakaś woda w strumieniu bełkoce,
„Kwiat jaki pachnie, albo ptak świergoce!... —
„Niechbyż przynajmniéj to słońce promienne,
„Co tak twe oczy zachwyca bezsenne,
„Wlało ci swego choć iskrę płomienia,
„By i twą duszę obudzić z uśpienia! —
„Lecz nie! ty okiem patrzałbyś nieczułém,
„Choćby tu przyszły psie wojska pogańskie;
„Choćby ich działa grzmiały pod Stambułem:
„Nie! choćby wszystkie państwa Ottomańskie
„Zależéć miały od wsparcia twéj dłoni:
„Nie śmiałbyś dotknąć zaostrzonéj broni!...—
„Precz!—niech twa słabsza od niewieściéj ręka,
„Kręci wrzeciono, gdy się szabli lęka! —
„A ty, Harunie! śpiesz do córki mojéj!
„Ten raz przebaczam — dla starości twojéj.
„Lecz niech Zulejka raz jeszcze na nowo
„Wyjdzie z nim kiedy—odpowiész mi głową!“—

V.

Selim nie wyrzekł słowa--ale z twarzy,
Lecz z oczu jego łatwo myśli dociec. —
Wyrzuty Baszy i słowa szydercze
Przebodły duszę jak włócznie mordercze; —
„Syn niewolnika!—O podłość mię skarży!—
„Chce mię poniżyć!—najgrawać się waży!—
„Syn niewolnika!—Któż więc jest mój ojciec?“—
Temi myślami wrzał w duszy, a lice
Pałały ogniem, a groźne źrenice
Błysły z pod powiek jak dwie błyskawice.—

Giaffir spójrzał—i zląkł się widoku
Gniewnego syna;—poznał jak go drasło
Urągowisko—i w tym jego wzroku
Dostrzegł, lub przeczuł piérwsze buntu hasło.
„Pójdź, chłopcze!—Cóż to? nie chcesz odpowiadać?—
„O! ja znam ciebie, umiem myśl twą zbadać—
„Szkoda, żeś bronią nie uczył się władać?—
„Lecz niechno męzka urośnie ci broda,
„A wiek odwagi, albo siły doda:
„Doczekam jeszcze pociechy, jak wróżę,
„Ujrzéć cię zbrojnym—albo spotkać może!“—
I gdy to mówił z szyderczym przyciskiem,
Wzrok dumnéj wzgardy utopił w Selima.—
Selim nie zadrżał—i z urągowiskiem
Tak go nawzajem przejmował oczyma,
Że Basza z trwogą obejrzał się wkoło,
I ogniem wstydu oblało się czoło.
Dla czego?—Basza dobrze czuł i wiedział
Przyczynę trwogi—lecz jéj nie powiedział.
„Nie próżne, myślał, przeczucia, jak widzę,
Żem nigdy jego nie ufał przyjaźni!
Zrozumiał, odgadł, że go nienawidzę.—
I...—lecz dłoń jego nie warta bojaźni!
Na łowach ledwo można go ośmielić
Potkać się z sarną, lub strzelbę wystrzelić;
Cóż gdyby z ludźmi miał toczyć bój krwawy,
Narażać życie dla zemsty lub sławy?...
Tak!—gdyżbym zwierzchniéj nie ufał pokorze,
Tém mniéj krwi związkom—krwi, co kiedyś może...—

Ha! lecz on nie wié o tém!...—Nic nie znaczy!
Muszę podwoić czujność dostrzegaczy!—
Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku [2])!"—

„Lecz otóż słyszę głos Zulejki mojéj!—
On mi wzburzoną duszę uspokoi:
Miły mym uszom jak hurysek pienia! —
W niéj widzę moje najsłodsze wspomnienia,
Piérwszéj, jedynéj miłości zadatki:
Droższa mi nawet, milsza od swéj matki!
Moja nadzieja, chluba, szczęście moje!
Jedna, co kocham—i co się nie boję!"—

„Witaj, ty moja! ty Peri, bogini!
„Chłodna fontanna w piaszczystéj pustyni
„Mniéj miła ustom spragnionym pielgrzyma,
„Niż tyś jest zawsze przed ojca oczyma!—
„Pielgrzym nie może czuć wdzięczności więcéj,
„Ni Prorokowi dziękować goręcéj,
„Jak ja dlań w duszy za ciebie ją czuję,
„Jak ja mu zawsze, i teraz dziękuję."—

VI.

Piękna, jak piérwsza ze stworzonych w raju,
Gdy z zaufaniem, z weselem dziewiczém,
Śmiała się patrząc w zakazanym gaju,
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczém,

I blask swych oczu zaszczepiał w jéj wzroku —
Źródło obłudy jéj płci, i uroku! —
Miła—jak sennéj pociechy widzenie,
Co łzy na jawie płynące osusza,
Gdy w nieśmiertelne ubrana promienie,
Duszę płaczących cieszy zmarłych dusza;
Tkliwa—jak pamięć miłości niewinnéj:
Czysta—jak wiara modlitwy dziecinnéj;
Była dziewica, cel ojca miłości,
Który ją witał ze łzami—radości.

Któż nie doświadczył, jak trudno słów dźwiękiem
Dać uczuć piękność, z jéj blaskiem i wdziękiem?
Kto nie czuł patrząc—nim niesyte oczy
Mgła upojenia albo łza zamroczy—
Jak wzbudzający cześć, i jak zwycięzki
Jest niewinności urok czarnoksięzki!—
Ona je łączy:—w niéj jednéj zebrane,
Kwitną powaby—jéj tylko nieznane:
Niebieskiéj łaski świętość tajemnicza,
Pogoda myśli, swoboda dziewicza,
Dusza—muzyka tchnąca z jéj oblicza! [4])
I czułość, którą lada myśli wzruszą —
I ach! oko! co samo już zda się być duszą!—

Skromnie na piersiach krzyżując ramiona —
I piérwszém tkliwém słowem ośmielona,
Na szyję ojca zarzucając ręce,
Co jéj wesołe pieszczoty dziecięce

Dzielił i wzajem odpłacał. słowami,
Błogosławieństwy i całowaniami—
Zulejka przyszła.—Giaffir czuł w duszy,
Że zamiar jego miękczy się i kruszy.
Nie by się troskał o przyszłém jéj szczęściu,
Czy je mieć może w wybraném zamęściu:
Lecz myśl rozstania zamysłem zachwiała —
Miłość ją wlała—Duma pokonała.

VII.

„Zulejko moja! dziecię méj miłości!
„Dziś się przekonasz, jak cię kochać muszę,
„Gdy niepamiętny tęsknot samotności,
„W jakiéj twa strata pogrąży mą duszę,
„Sam się ojcowskiéj pociechy wyrzekę,
„Aby ci męża zapewnić opiekę:
„Męża—którego, prócz chyba Padyszy,
„Nikt w państwach jego w niczém nie przewyższy.—
„Bo choć Moślemin mało o ród bada,
„Godna jest względu krew Kara-Osmana [5],
„Któréj potęga, z przodków przekazana,
„Dzierżonym krajem, jak dziedzictwem włada,
„I w razie wojny ma na swe skinienie
„Timariotów dzielne pokolenie. —
„Z téj krwi Osmana wybrałem na zięcia;
„Dziedzic i blizki Oglu-Beja krewny.—
„O wiek nic będziesz dbała—jestem pewny —
„Dzieckubym mego nie zwierzył dziecięcia!

„Bogactwo twemu odpowiada wianu;
„A temi śluby złączona moc nasza,
„Urągać będzie ze śmierci firmanu,
„Którego widok tak drugich przestrasza!
„I gdy najśmielszy, najmożniejszy Basza,
„Śmie wprzód dać szyję, niż się oprzéć Panu:
„My uczyć będziem sułtańskie Tatary [6]),
„Jakiéj nagrody warte takie dary! —
„Teraz, Zulejko! wiész o woli mojéj,
„Wiész wszystko, co płci twéj wiedzieć przystoi. —
„Do posłuszeństwa, ojciec córkę skłania;
„Sam mąż niech żonę nauczy kochania!“—

VIII.

Zulejka milcząc skłoniła oblicze —
Czy żeby ukryć zmięszanie dziewicze,
Czy łzy, któremi czuła że nie władła,
I twarz, co w kolej płonęła i bladła:
Gdy słowa ojca, jak strzały, przez uszy
Świszcząc leciały i więzły w jéj duszy? —
Lecz ten rumieniec, ta bladość, ta żałość,
Co oznaczają?—czy wstręt? czy nieśmiałość? —

Łza w piękném oku tak słodko porusza,
Że nawet miłość z żalem ją osusza;
Skromny rumieniec tak twarz piękną krasi,
Że nawet litość niechętnie go gasi! —
Czy to Giaffir czuł, czy nie obaczył
Łez i rumieńca; czy zważać nie raczył: —

Trzykroć w dłoń klasnął [7]—konia podać każe:
Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty [8]),
I szedł, gdzie zbrojne czekały go straże:
Janczarów, Spahów, Mameluków roty.
I śród nich śpieszy na pole gonitwy,
Widzieć ich zręczność i wprawiać do bitwy.—
Sam Kislar-Aga, na czele rzezańców [9]),
Został na straży haremu i szańców.

IX.

Selim na dłoni wsparł czoło. i okiem
Zdawał się toczyć po morzu szerokiém,
Gdzie prąc się między Dardanelskie skały
Z szumem w pieniste popiętrza się wały.
Nie widział jednak ni morza, ni brzegów,
Ni nawet Baszy wojennych szeregów.
Co bliżéj przed nim tocząc bój udany,
To z koni twarde płatają turbany [10]),
To na dwie zręcznie rozbiegłszy się roty
Biją na siebie stępionemi groty,
A wrzask ich „Ollah!“ powietrze rozdziéra [11]):—
Selim nie słyszy, nie widząc spoziéra —
W myśli mu tylko—córka Giaffira.

X.

Zulejka nie śmie przerywać milczenia,
Lecz smutek myśli zdradzają westchnienia.
Selim wciąż z okna patrzał zamyślony,
Niemy, i blady, i nieporuszony.

Próżno nań siostra spogląda ciekawie:
Nic nie wyczytać w téj zimnéj postawie!
Smutek jéj równy—ale go pokrywa.
W sercu dla brata tchnie miłość tak tkliwa,
Że wstyd dziewiczy, sama nie wié czemu,
Nie dał jéj dotąd wyznać—nawet jemu.
Terazby chciała — chce mówić — daremnie!
„Tak smutny! tak się odwraca odemnie!—
„Nie tak bywało za każdém spotkaniem;
„Czyż się raz piérwszy tak zimno rozstaniem?“ —
Trzykroć komnatę obeszła dokoła
Patrząc na niego; — on nie zwrócił czoła
Ledwo nie płacząc, pochwyciła dłonią
Urnę stojącą z róż arabskich wonią,
I wonnym deszczem prysnęła z niéj wkoło
Na strop, na ściany—i Selima czoło!..—
Krople po twarzy stoczyły się zbladłéj,
I z szat złocistych na pierś jego spadły;
On się nie wzruszył, nie zwrócił baczenia,
Jak gdyby lice i pierś miał z kamienia.
„Co? jeszcze smutny?—ach! któż to wytrzyma!
„Taka nieczułość — i to od Selima!...“—
Wkrąg gmachu kwiaty najrzadsze na wschodzie,
Kwitły w naczyniach, jak w sztucznym ogrodzie.—
„On lubi kwiaty!—może z rąk mych przyjmie?...—
„Musisz się rozśmiać, mój luby Selimie!“—
Ledwo dziecinna myśl przyszła do głowy,
Kwiat był zerwany, i bukiet gotowy:
Z nim się po cichu zbliża niewidziana,
I u stóp brata ugięła kolana.

„Słowik tę różę przysyła za posła [12]),
„By ci pociechę i radość przyniosła;
„I sam prócz tego, jak jéj obiecywał,
„Będzie noc całą dla Selima śpiéwał.
„I z wszystkich piosnek, co umié na wiosnę,
„Wybierze same wesołe i głośne,
„Z miłą nadzieją, że jak on swe tony,
„Odmieni myśli Selim zasmucony.“ —

XI.

„Co? nie chcesz nawet przyjąć mego kwiatu?—
„Jestże gdzie siostra bardziéj nieszczęśliwa,
„Coby nie mogła ulgi przynieść bratu,
„Którego smutek serce jéj rozrywa?—
„O! nie patrz na mnie oczyma takiemi! —
„Któż cię nademnie kocha na téj ziemi?—
„Bracie mój drogi!—obym droższe imię
„Wynaleźć mogła!—mój luby Selimie!
„Podziel twój smutek ze mną!—lub przynamnie,
„Jeśli się gniewasz — powiédz że nie na mnie!—
„Pójdź, usiądź! głowę skłoń na piersi moje!
„Ja całowaniem twą boleść ukoję,
„Gdy cię ni płochy żart mój nie rozśmieszył,
„Ni mój zmyślony słowik nie pocieszył.—
„Wiém, że nasz ojciec niekiedy zbyt ostry:
„Aleś ty takim nie bywał dla siostry!
„Wiém, wiém, że ciebie nie kocha jak syna:
„Ale czyż Selim o mnie zapomina?...—
„Ach! może zgadłam?—tyś jest nie rad z planu
„Owego związku z Bejem Karasmanu?...—

„Może ku niemu masz powód urazy?...—
„Powiédz mi tylko! pomimo rozkazy
„Ojca—przysięgam na Mekki ołtarze,
„Jeśli się na nie przysięgać odważę —
„Że bez porady, bez woli Selima,
„Nikt mię—sam nawet Sułtan nie otrzyma!—
„Myślisz, że zniosę oddalenie twoje,
„Lub mogę serce rozedrzeć na dwoje?—
„Któżby nam został—jeśli się rozdzielem,
„Mnie przewodnikiem, tobie przyjacielem?—
„Nie, nie! dzień taki nie błyśnie na niebie,
„Coby mą duszę oderwał od ciebie!
„Nie!—sam Azrael—on, którego ramię [13])
„Wszystko na świecie rozrywa i łamie,
„Gdy się na jedno z nas dwojga zamierzy,
„Uczuje litość—oboje uderzy!“ —

XII.

Ożył—odetchnął—z lic ogień wytrysnął—
Podniósł dziewicę—do piersi przycisnął.
Gniew, boleść znikła—z oczu niezwykła
Radość, jak jasność, błysła spójrzeniem,
Myśli promieniem, uczuć płomieniem.
Jak woda z gór lecąca,
Gdy ją ciasny brzeg zwęzi,
Wyrywa się iskrząca,
Z pod wierzbowych gałęzi;
Jako piorun, gdy z góry
Ogniem błyśnie w obłoku;

Tak z pod brwi téj ponuréj,
Dusza błyszczy w tém oku!—
Na dźwięk trąby koń wrzący,
Na wrzask łowów lew śpiący,
Na krzyk buntu szalony
Tyran ze snu zbudzony,
Mniéj gwałtownie się wzruszy,
Mniéj uczuje sił w duszy,
Jak Selim słysząc przysięgę dziewicy,
Słysząc wyznanie uczuć tajemnicy!—

„Teraz tyś moją! tyś na wieki moją!
„Bóg sam nas chyba, nie ludzie rozdwoją.
„Mojąś na wieki!—ta święta przysięga,
„Coś ty wyrzekła, oboje nas sprzęga. —
„Dobrze zrobiłaś! bo przez to wyznanie
„Nie jedna głowa na karku zostanie!—
„Lecz ty się nie trwóż!—póki miecz w méj dłoni,
„Żaden włos nigdy nie spadnie z twéj skroni:
„Strwożyć cię nawet nie miałbym zamiaru,
„Za wszystkie skarby pieczar Istakaru!...— [14]).
„Z innych się przyczyn gniew w sercu mém warzył.
„Giaffir dzisiaj zelżył mię, znieważył,
„Nikczemnym prawie nazwać się odważył!...
„Ha! teraz pora okazać mu w czynie,
„Jaka krew w synu niewolnika płynie!—
„Drżysz? —On tak nazwał! —lecz serce Selima,
„Choć się nie chełpi przed ludzi oczyma,
„Jeszcze mu w słowach i czynach dotrzyma! —

„Ja synem jego?...—Lecz ukój twą trwogę!—
„Przez ciebie jestem nim—albo być mogę.—
„Tymczasem, pomnij! by przysięgi naszéj
„Niebaczne słowa nie zdradziły Baszy!—
„Znam ja nędznika, co u Giaffira
„Ręki się twojéj i wiana napiéra;
„Podlejszéj duszy, i skarbów niezmiernych,
„Gorzéj zebranych, nie ma kraj niewiernych.
„Chciwszy od Greka, trwożliwszy od Żyda!
„Gorszego nadeń Egrippo nie wyda [15])!...—
„Lecz dosyć o tém! — Okiem ni językiem
„Pomnij, tajemnic nie zdradzić przed nikim!
„Na resztę środek znajdziemy w potrzebie.—
„Osmana Beja, ja biorę na siebie!—
„Słuchaj, Zulejko! — raz piérwszy wyznaję —
„Słuchaj!—nie jestem, czém się być wydaję.
„Tyś mi do szczęścia otworzyła drogę —
„Mam broń, przyjaciół — zawady znieść mogę!"—

XIII.

—„Co? ty nie jesteś czém się być wydajesz?—
„Dziwne mi dzisiaj zagadki zadajesz!—
„O! mój Selimie! zkąd ci ta odmiana?—
„Byłeś tak dobry, tak wesół dziś z rana!—
„Czém cię tak mogły wzruszyć moje słowa? —
„Że ja cię kocham—czyż to ci rzecz nowa?—
„Kocham! jak kochać nie można goręcéj,
„Zawsze jednako—bo nie umiem więcéj!—
„Innego szczęścia nie wystawiam sobie,
„Jak by cię widzieć, słyszeć, być przy tobie—

„I ztąd dzień lubię, a nocą się brzydzę:
„Że noc nas dzieli, a we dnie cię widzę.—
„I gdybym mogła na przyszłość wybierać,
„Z tobą chcę tylko i żyć i umierać;
„Ciebie pocieszać, doglądać, piastować,
„Bawić, usypiać, uściskać, całować...
„Tak, tak! jak teraz—jak teraz!...—Już dosyć!
„Dosyć, Selimie!—w twych ustach żar tleje! —
„Nie, nie! nie mogę!—ach! przestań mię prosić! —
„Ja sama nie wiém co się ze mną dzieje!..—
„Obym tak zawsze być mogła przy tobie:
„Strzedz twego zdrowia, doglądać w chorobie,
„Rządzić twym domem—nie trwoniąc ci mienia,
„Lub dzielić nędzę—bez łez, bez cierpienia:
„I wszystko czynić i pełnić z pośpiechem,
„I wszystko cierpiéć i znosić z uśmiechem!...—
„Jednéj ci tylko nie oddam posługi:
„Oczy twe kiedyś niech zamknie ktoś drugi!...—
„Bo wiém że umrę, mając to oglądać.—
„Mogęż co więcéj—ja zrobić—ty żądać?...—

„Lecz, mój Selimie! powiédz mi, dla czego
„Ty się tak ojca obawiasz naszego,
„Aby się naszych uczuć nie dowiedział?—
„Ja milczéć będę—boś ty mnie powiedział;
„Lecz czemużbyśmy ojcu nie ufali?—
„I to mi także powtórz zrozumialéj,
„Coś wprzód namienił o sobie—o broni—
„O przyjaciołach.—Kto są? gdzie są oni?—

„Jabym wolała ojcu się otworzyć!
„Gniewby mię jego nie zdołał zatrwożyć. —
„Lecz za cóż gniewy?—Ach! nie! on pozwoli,
„On mię zostawi panią mojéj woli! —
„Cóż w tém dziwnego, jeślibym życzyła
„Być dla cię zawsze, jakem dotąd była?
„Że odłączona od ludzi i świata,
„Świat i mąż obcy przeraża mię trwogą?
„Że nieznająca nikogo prócz brata,
„Prócz niego kochać nie mogę nikogo?...—
„Czyżby te dotąd uczucia bez winy,
„Grzechem dziś były?—lub z jakiéj przyczyny,
„Mybyśmy dzisiaj prawdy się wstydzili,
„Cośmy jak cnotę kochali i czcili?...—
„Wiész sam, Selimie! jak za fraszkę lada
„Ojciec wnet na cię w zapalczywość wpada;
„Cóż, gdybyś słuszne dał do niéj powody?...
„Strzeż nas, Allahu! od takiéj przygody! —
„Ta tajemnica—nie pojmuję czemu,
„Jakby grzech jaki ciąży sercu memu!...—
„Tyś ją narzucił—miéj litość nademną!
„Zdejm ją—lub rozwiąż tę zagadkę ciemną!
„Lecz nie zostawuj w tych myślach i trwodze!...—
„Ach! Czokadera już widzę na drodze [16];
„Ojciec nasz wraca!...—Jak mi serce bije!—
„Czuję, że wszystko z méj twarzy odkryje.—
„Nigdym nie drżała na spotkanie jego—
„Dziś drżę—i nie wiém—ty powiédz, dla czego?“—

XV.

—„Odejdź! ja sam tu spotkam Giaffira.
„Będziem jak zwykle rozmawiać przy świadkach,
„O dżumie, wojnie, firmanach, podatkach,
„I o złych wieściach z obozu Wezyra:
„Jak stojąc mężnie nad brzegiem Dunaju,
„Czas nieczynnością, a lud głodem traci;
„Za co mu kiedyś Giaur złotem zapłaci:
„Jeśli wprzód jeszcze, za tę miłość kraju,
„Sułtan mu stryczka nie przyszle z Seraju.... —
„To zwykły przedmiot rozmów—i w téj chwili
„O niczém inném nie będziem mówili. —
„Ale pamiętaj! że skoro o zmroku
„Bęben na hasło spoczynku uderzy,
„Selim cię czeka u drzwi twojéj wieży!—
„Zakryci nocą od dozorców wzroku,
„Możem bezpiecznie do jutra, do wschodu,
„Błądzić samotnie śród wałów ogrodu.
„Strome—szpieg na nie nie wedrze się snadnie,
„A choćby wdarł się—mam sposób, że spadnie. —
„Wtedy się dowiész o losach Selima,
„Czego nikt o nim ani wié, ni mniéma.—
„Ty się mnie nie bój! zawierz sercu memu!—
„Wiész, że mam klucze tajnych drzwi haremu...“—
—„Ja się bać ciebie?—Z twych ust taka mowa?...—
„O! mój Selimie!...“—
—„Nie trać chwil na słowa!
„Mam klucz haremu—straż rygle odsunie.

„Umiałem wzbudzić przychylność w Harunie.
„On nas nie zdradzi—zaufaj mu śmiele!—
„Dziś ci odkryję mój los, moje cele.—
„Ale, Zulejko!—pomnij, że nie taję,
„Żem rzekł—nie jestem, czém się być wydaję.“—

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Wiatr hucząc wzdyma Hellespontu wody,
Jak w owéj strasznéj i pamiętnéj nocy,
Gdy urągając z fal i niepogody,
Piękny, szlachetny, odważny i młody,
Kochanek w Bogów zaufał pomocy,
I sam zwiedziony nadzieją opieki,
Nadzieje lubéj omylił na wieki!—

Lecz ach! gdy ujrzał, że z wieży jéj wierzchu,
Hasło jéj, lampa połyska się w zmierzchu:
Cóż że mógł widzieć jak niebo się chmurzy,
Że go krzyk ptastwa ostrzegał o burzy?
Że wiatry w górze, ryk wałów u dołu,
Zdały się grozić i radzić pospołu?
On, pełen uczuć i nadziei błogich,
Nie baczył znaków, ni głosów złowrogich;

Na światło tylko kochanki spoglądał,
Gwiazdę miłości!—i innych nie żądał.
Kochanki tylko śpiew słyszał z daleka:
„Śpiesz się. mój luby! kochanka cię czeka!“—
Stara to powieść — lecz zawsze i wszędzie
Miłość ją lubić i powtarzać będzie.

II.

Wiatr dmie od morza, i w paszczę ciaśniny
Prze wał po wale, pieniący się, siny;
I noc ponurą rzuciła zasłonę,
Na pola niegdyś tylą krwi zbroczone,
Gdzie stare grody Priama świeciły: —
Dzisiaj pustynia, gruzy i mogiły!
Jedna znikłéj potęgi i chwały oznaka —
Prócz nieśmiertelnych marzeń ślepego żebraka!

III.

Oby mi jeszcze dano na te brzegi wrócić,
Gdziem raz już proch ich święty deptał stopą młodą:
Łamać się, jakem łamał, z Hellespontu wodą,
I z tobą, wieszczu Grecki! cieszyć się i smucić!
We wszystkiém widzieć ślady dzieł dawnych rycerzy,
Wierzyć, że w każdym grobie proch półboga leży:
Myśléć, że jako przed ich, przed memi oczyma,
Też góry błękitnieją, toż morze się wzdyma:
Żyć ich myślą, ich czuciem, ich wiekiem!—któż z ludzi,
Raz tak marząc, dla wieszcza wiecznéj czci nie wzbu-
[dzi?—

IV.

Pomrok okrywa ziemię i morze — nim wznijdzie,
Jako dziewicza jego bogini na Idzie,
Ów księżyc, co ztąd niegdyś patrząc skróś ciemnoty,
Przeglądał mury Troi i Greków namioty. —
Nie klną mu dziś na zdradę śpieszący rycerze:
Lecz błogosławią dotąd spokojni pasterze.
Na zielonym pagórku pasą się ich trzody —
Grób to jest Achillesa! ołtarz jego chwały!
On, przed którym bił czołem Macedończyk młody [1])!
Który króle wieńczyły, sławiły narody!
Grób, pomnik bohatéra!—jak ciasny, jak mały!..
Dzieł jego i imienia zapomniał lud płochy;
Przez rozpadłe kamienie wiatr wydmuchał prochy:
Obcy chyba przychodzień, dumając w milczeniu,
Westchnie nad nim — i ducha wezwie po imieniu! —

V.

Późno dziś, późno księżyc rozweseli
Smutny pasterza nocleg, i ośmieli
Błędną rybaka łódź — który inaczéj
Brzegów, ni drogi do nich nie zobaczy.
Chmurą się gwiazdy zakryły przewodnie,
Wzdłuż brzegów morskie pogasły pochodnie:
Z Zulejki tylko samotnéj komnaty
Mdłe światło lampy miga się przez kraty.
W złotym kagańcu ta lampa się pali,
Z góry u stropu zwieszona śród sali.

Na sofach z tkani Perskiego przędziwa,
Leżą w nieładzie, ale pełnym wdzięku,
Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w ręku [2]);
Ówdzie, w szmaragdów promienie objęty —
(O! jak zła wróżba, że go zapomniała!)
Z tekstem Koranu amulet jéj święty [3]),
Co go jéj matka przed skonaniem dała,
By słów wyrytych mocą tajemniczą,
Świecił jéj duszy gwiazdą przewodniczą.
I bliżéj przy nim, alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyska się karty [4]);
I daléj nieco, zwoje lżejszéj treści,
Perskich poetów pieśni i powieści:
I na nich wsparta, brzmieć niemi lubiąca,
Spoczywa lutnia—rzadko tak milcząca.
Śród izby, kwiaty świeżą tchnące wiosną,
Z Japońskich naczyń, jak ze śniegu rosną,
I wszystkie zmysły czarują od razu
Barwą Kaszmiru i wonią Szyrazu.—
Wszystko, co tylko natura i sztuka,
Pięknego stworzy, miłego wyszuka,
Wszystko się zbiegło w téj wdzięków świątyni —
I wszystko tylko smutniejszą ją czyni,
Gdy w niéj nie widać kapłanki — Bogini! —
Gdzież ona? — mogłaż rzucić ją w téj porze,
Gdy taka noc, wiatr taki, i burza na dworze?—

VI.

W szacie czarniejszéj niż téj nocy cienie,
(Żadna z cór gminu równéj nie używa),
Którą ramiona i pierś swą okrywa,
Pierś, Selimowi droższą nad zbawienie:
Po krętych ścieżkach, krzewami zarosłych,
Drżąc na świst wiatru, na szum drzew wyniosłych,
Co wkoło z skrzypem chylą się ku ziemi;
W ciemności, mgłami zwiększonéj morskiemi,
Z wytężonemi przed siebie oczyma,
Niepewnym krokiem szła obok Selima.
I chociaż serce do powrótu radzi,
Choć w niém złych przeczuć potłumić nie może:
Czyż go samego zostawi w téj porze?
Czyż się ma lękać, gdy on ją prowadzi?

VII.

Doszli do groty, którą w łonie skały
Sztuka z naturą wspólnie wykowały;
Gdzie nieraz w chwilach wieczornych lub rannych,
Lub w skwar świeżego szukając powiewu,
Słuchała morza harmonii szklannych,
Lub głos swéj lutni budziła do śpiewu;
Albo się ucząc z Koranu miejsc świętych,
W marzeniach, wiary prostotą natchniętych,

Roiła obraz rozkoszy niezmiernych,
Jakie raj przyszły gotuje dla wiernych.—
Gdzie duszom niewiast przybytek oznaczył,
Prorok im o tém powiedzieć nie raczył;
Lecz jeśli Selim miejsce w nim otrzyma,
Czyż raj ten byłby rajem dla Selima,
Czyżby go przyjął, i w nim się weselił,
Gdyby z nią jego rozkoszy nie dzielił?...—
Jestże Huryska, któraby zdołała
Kochać go tyle—jak ona kochała?—

VIII.

Od ostatniego niewidzenia groty
Zda się w niéj jakąś postrzegać odmianę:
Może to ciemność odmienia przedmioty,
Przy świetle tylko dnia dotąd widziane?—
Z wpół przygasłego na środku ogniska,
Mdłe ledwo światło na ściany odbłyska.
Patrzy ciekawie; — lecz czegóż tak zbladła?—
Na dziwny widok źrenica jéj padła!
W głębi stos broni! — nie broń Muzułmanów!
Zamiast janczarek, łuków, ataganów,
Znać strzelbę obcą z kształtu i oprawy!
Proste pałasze — przebóg! jeden krwawy!—
Blask się od niego odbija czerwono.—
Na stole widzi czarę postawioną,
Ach! nie sorbetem zda się napełnioną!...—
Strach ją ogarnął—chce pytać Selima,
Zwraca się—Onże to przed jéj oczyma? —

IX.

Szat swych zasłonę, rzucił na stronę —
Na skroniach jego, zamiast turbanu,
Szal okręcony, jak krew czerwony,
Dwóma końcami zwisa do stanu.
W pasie z rzemienia, z obojéj strony,
Zamiast nagłowia złotych sztyletów,
Zdobnych w kamienie godne korony,
Błyszczy żelazo dwóch pistoletów.
U boku prosty miecz przypasany;
Z ramienia krótki, w fałdy zebrany,
Z rozwieszonemi na dół wyloty,
Powiewa snieżny płaszcz Kandyoty.
Na piersiach kaftan—lecz z pod kaftana,
W srebrzyste łuszczki zręcznie łamana,
Zbroja od pasa sięga kolana;
Dalsza w poziomém świetle ogniska,
Greckim koturnem stopa połyska.—
Gdyby nie wyraz oczu i twarzy,
Gdyby nie ogień, co się w nich żarzy,
Rzekłbyś, że prosty Galjongi Grecki [5])
Lub że na lądzie Arnaut zbojecki.

X.

„Widzisz!—nie jestem, czém się być zdawałem!—
„A teraz mojéj posłuchaj powieści!—
„Jeżeli smutna—nie ja ją pisałem
„Ogniem mych wstydów i łzami boleści;

„Moja rzecz tylko—prawdę jéj okazać,
„I krwią mych wrogów dopisać—i zmazać!—
„Tyś piérwsza na jéj słuchaczkę wybrana.—
„Przysięgłaś nie być małżonką Osmana;
„Lecz gdyby usta twe dziś nie zdradziły
„Tajemnic serca, jak ci jestem miły:
„I jabym strasznych nie rozwarł skrytości.—
„Nie bierz słów moich za dowód miłości!—
„Nie!—jać jéj czynem dowiodę w potrzebie,
„Życiem dla ciebie, lub śmiercią za ciebie!—
„Tyś mi przysięgła nawzajem—dość na tém!—
„Ja—ja, Zulejko!—nie jestem twym bratem!“—

XI.

—„Ty nie mym bratem?—Boże!—O! ja biedna!...—
„Lecz nie!—ty możesz...—jeszcze czas zaprzeczyć!...—
„Milczysz?—Więc mamże pozostać tak jedna,
„I żyć, by płakać—bo nie śmiem złorzeczyć—
„Że się sierota na świat narodziłam?...—
„Ale się zlituj nad niedolą moją!
„Mnie pozwól zostać przynamniéj czém byłam,
„Siostrą, Zulejką, przyjaciółką twoją!...—
„Lecz ty mię kochać nie zechcesz już dłużéj!—
„Zdawna mi serce coś jakby śmierć wróży.—
„Może ty nawet masz zemsty zamiary?
„Może mię zabić chcesz śród téj pieczary?—
„Ach! dobrze! zabij!—lepiéj raz być w grobie,
„Niż żyć tak obcą, nienawistną tobie!...—
„Ach tak!—bo teraz pojmuję dla czego
„Giaffir zawsze był z tobą tak ostry;

„On cię obraził— a jam dziecię jego! —
„Nie! ty nie możesz kochać mię jak siostry.
„Ale miéj litość nad biédną dziewicą!
„Pozwól przy sobie być choć niewolnicą!“ —

XII.

—„Ty niewolnicą?—O! nie! mnie to raczéj
„Twym niewolnikiem pozostać na wieki!—
„Ale pohamuj ten zapęd rozpaczy!
„Klnę się na świętość Medyny i Mekki,
„Nikt cię, nikt z mojéj nie wydrze opieki!—
„I niech tak święty tekst na mém żelazie [6]),
„Na twą obronę, w niebezpiecznym razie,
„Ramieniu memu dodaje potęgi—
„Jak ja téj święcie dochowam przysięgi!—
„Tak! bądź spokojna!—choć odmieniam imię,
„Które tak było sercu twemu drogiém,
„Miłości brata nie tracisz w Selimie.
„Choć ojca twego zwać muszę mym wrogiem,
„Bliższe, niż myślisz, łączą nas ogniwa:—
„Słuchaj, i zadrżyj!—bo powieść straszliwa.
„Abdalla było imię mego ojca—
„Giaffir jego brat—i bratobójca!—
„Brat zajrzał bratu potęgi—i zabił,
„By urząd jego i skarby zagrabił!
„Lecz mnie sierotą zrobiwszy w powiciu,
„Mnie—nie wiém czemu—zostawił przy życiu,
„I dotąd zdradą uwodząc nikczemnie—
„Czegóż prócz zdrady ma czekać odemnie?—

„Kazał mi zwać się—i sam zwał mię synem,
„Fałsz słowa każdym okazując czynem.
„Strzegł mię—jak gdyby potomka Kaima [8]),
„Lub jak lwię młode, co kto w klatce trzyma,
„Upokorzeniem gnębiąc siłę ducha,
„By ją uczuwszy nie zerwał łańcucha!—
„Krew ojca mego wre we mnie, i woła
„O pomstę w duszy, jakby głos Anioła!
„Mógłbym się pomścić—lecz uśmierz twą trwogę! —
„Dla ciebiem wszystko przebaczyć gotowy,
„Wszystko—krew ojca, i moje okowy —
„Lecz już w nich dłużéj pozostać nie mogę.
„Nie!—Lecz wprzód słuchaj!—choć w brew twéj boleści,
„Muszędo kończyć ciąg strasznéj powieści.—

XIII.

„Zkąd się w nich bratnia zawzięła nienawiść?
„Co ją zrodziło?—łakomstwo czy zawiść?
„Nie wiém;—lecz często pożar nieprzyjaźni,
„W gwałtownych sercach, lada skra rozdraźni.—
„Abdalla w męztwie nie znalazł równego.
„W Bośnii dotąd brzmi sława dzieł jego,
„Gdzie mieczem jego zwycięzko ścigana,
„Pierzchała przed nim dzicz Oglu-Paswana.—
„Lecz o tém z inąd możesz się dowiedzieć —
„Śmierć tylko jego ja muszę powiedzieć,
„I jak to rodu mojego odkrycie,
„Dało mi wolność—choć zatruło życie.

XIV.

„Gdy Paswan-Oglu, z buntownemi tłumy [8]),
„Naprzód z obawy śmierci, potém z dumy,
„Wszczął bój z Padyszą: i po latach wielu
„Morderczych bitew, bez skutku i celu,
„Twierdze Widdinu owładał nareście:
„Bracia Baszowie oblegli go w mieście.
„Równi znaczeniem i z władzą podobną,
„Każdy swém wojskiem dowodził osobno.—
„Z dwóch stron do szturmu iść miały ich roty;
„Już obu wojskom plac bitwy wskazano,
„Dla obu wodzów rozbito namioty:
„Lecz ach! napróżno Abdallę czekano! —
„Cóż mówić więcéj?—Puhar z ręki brata,
„Z jadem ukrytym, jak myśl jego serca,
„Posłał Abdallę do lepszego świata —
„Dóbr tego tylko zazdrościł morderca!—
„Abdalla nie czuł podejrzeń bojaźni,
„Znać że o bratniéj nie wątpił przyjaźni.
„I gdy po łowach, po dniu skwarnéj spieki,
„Wieczorem w łaźni orzeźwiał się z znoju;
„Brat przysłał czarę chłodnego napoju —
„Skosztował kroplę—i zasnął na wieki!— [9])
„Jeśli ci trudno zawierzyć méj mowie —
„Spytaj Haruna! — on świadek! on powie!—

XV.

„Czyn raz spełniony—i władza Paswana
„Zachwiana z gruntu, choć niepokonana:—

„Urząd, paszalik, i skarby Abdalli,
„Mordercy brata, jak bratu oddali!..—
„Nie wiész, co w naszym Dywanie niecnota
„Dokaże mocą intrygi i złota!—
„Wprawdzie zbyt drogo tę łaskę opłacił:
„Rozsypał wszystko, czém go mord zbogacił —
„Ale wnet umiał odzyskać, co stracił!—
„Jak? spytasz może!—Patrz na te pustynie,
„Patrz na te ludy konające z nędzy!
„Z krwi, z łez ich tyran ładuje w swe skrzynie
„Stosy klejnotów i wory pieniędzy!—
„Ale dla czego mnie życie ocalił?
„Czemu nie wygnał? z ócz swych nie oddalił?...
„Nie wiém—i nawet zgadywać daremnie.—
„Może zgryzota dręcząca tajemnie:
„Może nadzieja przebaczenia winie,
„Gdy krzywdę ojca poprawi na synie,
„I wzięte jemu, mnie wróci bogactwa:
„Może cel jaki, lub powód dziwactwa,
„Złączone z małém ważeniem méj siły,
„Uśpiły bojaźń, i mnie ocaliły:—
„Nie wiém.—Lecz przyszedł dzień zdawna żądany,
„Że nas łączące czas zerwać kajdany!
„Mściciela we mnie czuć musi zabójca —
„I ja nie mogę przebaczyć krwi ojca!—

XVI.

„W pałacu jego, śród haremu progów,
„Z między tych nawet, z którymi chleb łamie,

„Znam wielu tajnych Giaffira wrogów:
„Mógłbym do zemsty uzbroić ich ramię.
„Dość bym rzekł słowo, i ród mój powierzył,
„Każdyby mieczem lub nożem uderzył. —
„Lecz Harun dotąd jeden wié, lub wiedział
„Tę tajemnicę;—on mi ją powiedział —
„Nie dość—o prawdzie słów swoich przekonał. —
„Z młodu w pałacu Abdalli sprawował
„Ten co tu urząd.—Harun mię wychował,
„Kochał Abdallę—widział go, gdy konał!—
„Lecz cóż mógł biedny niewolnik poradzić? —
„Zemścić się pana?—czyn już był spełniony.
„Czy mnie ocalić, chronić i prowadzić?—
„Wybrał ostatnie;—i gdy otoczony
„Niewolnikami, którzy przed nim drżeli,
„Lub pochlebcami, co łask jego chcieli,
„Giaffir łupy rozdzielał zbrodnicze:
„Przyniósł mię dzieckiem przed jego oblicze.
„I nie napróżno znać że się domagał
„Łaski, o którą na kolanach błagał.
„Przysięgą tylko związał się wzajemną,
„Kryć mnie przed światem, i ród mój przedemną.—
„Wkrótce Giaffir paszalik swój zmienił,
„I z Rumilii, z nad brzegów Dunaju,
„Gdy ją swém zdzierstwem wyssał i wyplenił,
„Jak sęp przeleciał do świeżego kraju,
„Tu, gdzie jesteśmy — w ten ogród rozkoszy,
„Co go dziś własny lud klnie, on pustoszy!—
„Sam Harun, z dawnéj niewolników zgrai,
„Przybył z nim tutaj—zyskał ufność pana:

„Widząc, jak święcie tajemnicę tai,
„Przestał się lękać że mu była znana.—
„Lecz tajemnica zbrodniarza i zbrodni,
„Cięży jak łańcuch na sercu człowieka;
„By się jéj pozbyć, pory tylko czeka.—
„Skorom wzrósł—Harun uwolnił się od niéj.—
„Tak Allah nieraz zbrodniarzom udziela
„Sług, wykonawców—nigdy przyjaciela.

XVII.

„Com rzekł, Zulejko! dziko razi uszy,
„Lecz dzikszą jeszcze być musi ma powieść.
„Nie radbym głębiéj rozraniać twéj duszy,
„Ale ci muszę szczerości méj dowieść.—
„Widziałem drżenie, gdyś strój mój spostrzegła —
„Noszę go zdawna, długo muszę nosić!
„Ten, komuś dzisiaj na wiarę przysięgła,
„Co cię o trwałość przysięgi śmie prosić:
„Jest—hordą morskich korsarzów dowodzi!
„Bez praw—prócz miecza; bez domu—prócz łodzi:
„A których czyny, i o nich powieści,
„Nie są dla uszu i duszy niewieściéj!—
„Broń tę co widzisz, ich dłoń tu przyniosła,
„Na znak mój blisko czekają ich wiosła:
„I na nich czeka ta czara na stole.
„Z niéj krzepią męztwo—mniejsza! jakim płynem—
„Pijąc, nie pomną na Proroka wolę:—
„Ach! gdybyż tylko kalali się winem!

XVIII.

„Jestem ich wodzem; — czémże miałem zostać?
„Gnębiony w domu niewolą i sromem,
„Zniskąd pociechy niemogący dostać,
„Wyśmiany, gdym jéj chciał szukać za domem:
„W gnuśnéj się nudzie młody wiek mój trwonił.
„Giaffir miecza i konia mi wzbronił!
„Choć nie raz — Allah! ty wiész ile razy! —
„W pełnym Dywanie śmiał tyran urągać,
„Jakbym ja ostrza lękał się obrazy,
„Lub nie miał siły wędzidła zawściągać! —
„Na wojnę nawet brać z sobą nie raczył,
„Na wieczną nicość, na wzgardę przeznaczył,
„Bym bez nadziei, bez siły, bez chwały,
„Śród niewolników przegnuśniał wiek cały!
„Gdy ty — ty! któréj przychylność i wdzięki,
„Choć słabiąc duszę, słodziły jéj męki —
„Na zamek Bruzy zasłana spokojny,
„Gościć w nim zwykłaś do skończenia wojny!.. —
„Harun naówczas, widząc jak mię nękał,
„Jak mię bezczynny każdy dzień przywalał,
„Wzruszył się — kary, śmierci się nie lękał,
„Więźniowi użyć swobody pozwalał;
„Puszczał samego — ufny memu słowu,
„Że wprzód niż Basza — w pęta wrócę znowu. —
„Próżnoby mówić, com czuł, com doświadczył,
„Gdym po raz piérwszy na wolnym przestworze,
„Wolném powietrzem odetchnął — obaczył
„Błękitne niebo i szerokie morze!

„Na wskróś ich dusza leciała jak strzała,
„Wszystkie ich cuda pojęła, zbadała!...
„Do czegóż wtedy nie czułbym się zdolny?—
„Silny, szczęśliwy, równy Bogom—wolny!—
„Znikł z myśli obraz cierpień i katuszy—
„Świat—O! nie!—Niebo czułem w mojéj duszy!

XIX.

„Harun naraił sternika Murzyna,
„Biegłego w sztuce, i wiernego panu.
„Ster nasz zwabiła wysp Greckich drużyna [10]) —
„Pas szmaragdowy szaty Oceanu!
„Każdą z kolei zwiedziłem tajemnie.
„Lecz gdzie—jak hordę spotkałem—i kiedy,
„Obrany wodzem, przysiągłem wzajemnie
„Żyć nim lub zginąć?—opowiem ci wtedy,
„Gdy wszystko dzisiaj zamierzone skończym,
„Odetchniem wolno, i z nimi się złączym.

XX.

„Wprawdzie, Zulejko! są to rozbójnicy,
„Równie w uczuciach, jak w zwyczajach dzicy;
„I każda wiara, i różne plemiona.
„Mają, lub mogą mieć wstęp do ich grona.
„Lecz dzielna ręka, i otwarta mowa,
„I dusza śmiała, na wszystko gotowa,
„Co na nic strachu nie spójrzy oczyma:
„I przyjaźń, którą jeden z drugim trzyma,

„I wspólna ufność, i wierność bez skazy,
„I posłuszeństwo na wodza rozkazy,
„Łatwoby mogły otworzyć im drogę
„Do wyższych celów—niż ja wskazać mogę.
„Wielu z nich nawet—a wszystkich zbadałem,
„Znaczniejszych czucia lub myśli zapałem:
„Chociaż do rady tych raczéj przyzywam,
„W kim większą Franków przebiegłość odkrywam;—
„Wielu z nich nawet roi wyższe cele:
„Są to Greckiego Lambra przyjaciele [11]).
„Dusza ich, zamiast używać swobody,
„Jakiéj im żadne nie dadzą narody,
„Niewolą tylko Grecyi zajęta:
„I czy wkrąg masztu legną na pokładzie,
„Czy wkrąg ogniska zasiądą w gromadzie,
„Rozmowa zawsze: jak skruszyć jéj pęta?
„Jak wskrzesić z grobu ducha dawnych Greków,
„I w krwi tyranów zmyć wstyd tylu wieków?...—
„Pozwalam gwarzyć—i słucham zdaleka,
„Jak rozprawiają o prawach człowieka,
„I o wolności, któréj świat wygląda,
„I o równości, któréj próżno żąda!...
„Słucham z uśmiechem—i marzę sam w sobie.—
„Ach! i ja kocham wolność — choć w różnym sposobie!—

„Obym mógł bujać, jak ów Patryarcha morza *),
„Lub koczować jak Tatar śród pustyń przestworza [12])!

---

*) Noe.

„Lekki namiot na brzegu, lotna łódź nad wody,
„Milsze mi są nad wszystkie pałace i grody.
„Na grzbiecie wzdętéj fali, na dzikim rumaku,
„Na otchłaniach bez brzega, na stepach bez szlaku,
„Nie dbam gdzie wiatr popędzi, gdzie koń zwróci [wodze—
„Ty tylko, gwiazdo moja! przyświecaj méj drodze!
„Ty, gołąbko pokoju! przodkuj mojéj łodzi,
„I gałązkę oliwną przynieś z nad powodzi!
„Lub, gdy dla niéj pokoju nie ma prócz rozbicia,
„Świeć mi przynajmniéj tęczą w burzach tego życia!
„Promieniem, który pomrok nocnych chmur rozgania,
„I proroczo jutrzejsze zwiastuje zarania!

„Święte—jak Muezzina wołanie z wież Mekki,
„Na które ze czcią pielgrzym przyklęka daleki:
„Miłe—jak nóta pieśni znana z lat dziecinnych,
„Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich in- [nych:
„Drogie—jak wygnańcowi dźwięk ojczystéj mowy,
„Będą mi wszystkie twoje słowa i rozmowy!
„Dla ciebie na tych wyspach wynajdę schronienie,
„Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie [13]);
„Tysiąc rąk, tysiąc piersi, tysiąc serc uzbroję,
„By cię strzegły, służyły na skinienia twoje!
„Na ich czele, przy tobie, zbiegłszy ląd czy morze,
„Łupy krajów i ludów u stóp twoich złożę!—
„Czyż się pieszczot haremu gnuśnych i jednakich,
„Zrzec nie warto dla trudów—dla rozkoszy takich?—

„Cóż, że patrząc w mą dolę, widzę— lecz nie blednę—
„Niebezpieczeństw tysiące—szczęście tylko jedne.
„Miłość twoję?—ach! ona wszystko mi nagradza!
„Niech mię los prześladuje, niech przyjaciel zdradza,
„Najczarniejszy mrok duszy ta myśl rozpromieni:
„„Wszystko się odmieniło—Jéj nic nie odmieni!“—
„Niech tylko moc twa, mocy duszy méj dotrzyma,
„Niech twa miłość dorówna miłości Selima,
„Potrafim zdwoić rozkosz, smutek rozweselić,
„Pokonać, lub znieść wszystko—byle się nie dzielić! —
„Raz stargawszy me pęta, z przyjacioły memi,
„Bez trwogi wojnę całéj wypowiemy ziemi,
„Wojnę ludziom!—bo wojna przeznaczeniem ludzi;
„Bo sama w nich natura żądzę wojny budzi.
„Patrz! gdzież się nasycili łupem i rozbojem?
„Kraj zamienią w pustynię, i to zwą—pokojem!
„A jaż nie miałbym ufać méj sztuce lub sile?—
„Nie by ziemie zdobywać!—dość gdy jéj mam tyle,
„Ile mi wkrąg potrzeba na zamach méj broni—
„Lecz by nie być ich łupem, muszę być jak oni! —
„Chcę władzy—nie co z trwogą przez niezgodę włada,
„Któréj dwoistém berłem jest moc albo zdrada:—
„Nie!–ja w moc tylko ufam!–podstęp przyzwiem wreście
„Jeśli się kiedy w ludném niewolniczym mieście.
„Tam to niebezpieczeństwo godne naszéj trwogi!
„Tam twa nawetby dusza mogła zboczyć z drogi. —
„Ileż serc nierozdzielnych w niebezpieczeństw fali,
„Obłudnicy zwaśnili, zdrajcy rozerwali!
„A niewiasta im łacniéj niżli mąż ulegnie.—
„Gdy los lub świat kochanka poniży i zegnie,

„Gdy szyderstwo lub potwarz utopią weń miecze:
„Trwożna o siebie próżność, wyprze się go, zrzecze,
„I wstydzić się go będzie!—Precz te podejrzenia!
„Nie skażą one mojéj Zulejki imienia!—
„Lecz życie jest grą losu!“—Po cóż zwlekać dłużéj,
„Tu, gdzie nam nic wygranéj, wszystko zgubę wróży:
„Tak, zgubę!—czyż mi jutro nie masz być wyrwana
„Wyrokiem Giaffira, przemocą Osmana?—
„Lecz dziś jeszcze na wieki zbędziem téj obawy.
„Niech tylko wiatr swe skrzydła przypnie do méj nawy!
„Raz złączonych na zawsze, o cóż bojaźń wzruszy?
„Błądząc bez odpoczynku, pokój znajdziem w duszy.
„Przy tobie, silny w czynach, śmiały w przedsięwzię-
[ciach,
„Ląd, morze dla mnie jedno!—świat mój w twych obję-
[ciach!—

„O! niech wre wściekła fala, niech grom w maszty bije,
„Skoro ty mi tém tkliwiéj rzucisz się na szyję!—
„Każda myśl, każde słowo, każde me westchnienie,
„Będzie tylko modlitwą za twe ocalenie!
„Najdziksza waśń żywiołów mniejszą trwogę wzbudzi,
„Niżbyśmy tu drżeć mieli przed przemocą ludzi.
„To skały, w pośród których nie ujdziem rozbicia;
„Tam chwile niebezpieczne—tu każdy dzień życia!—
„Precz złowrogie przeczucia!—ta chwila rozstrzygnie,
„Czy nas los wtrąci w przepaść, czy miłość podźwi-
[gnie?...—
„W niewielu słowach skończę powieść mojéj doli,
„Twoje jedno—wnet z mocy wrogów nas wyzwoli.

„Tak! wrogów!—Czyż Giaffir nie jest wrogiem moim,
„Lub Osman—co nas chciałby rozłączyć—nie twoim?“—

XXI.

„Głowę Haruna by ustrzedz od kary,
„Wróciłem na czas, wierny słowu memu;
„Mało kto wiedział, nikt nie złamał wiary,
„Żem się śmiał wykraść za progi haremu.
„Odtąd choć zdala od wiernéj gromady,
„Rzadko omylić mogę czujne straże,
„Wszystkie ich czyny, zamysły i rady,
„Ja rozporządzam, kieruję i ważę:
„Ja daję plany, ja wskazuję cele,
„Ja godzę spory, i zdobycze dzielę —
„Czas, bym sam wreście walczył na ich czele!—
„Skończyłem powieść.—Zulejko! czas nagli:
„Łódź moja blisko — w chwili ją mieć mogę;
„I wnet pod skrzydłem opiekuńczych żagli
„Rzucim za sobą nienawiść i trwogę!
„Jutro przybywa Osman—my téj nocy
„Ujść ztąd musimy—lub uledz przemocy.—
„Jeśli więc pragniesz oszczędzić krwi Beja,
„Krwi droższéj może—nie zwlekaj daremno!
„W pośpiechu dla nas jedyna nadzieja:
„Zulejko moja! bądź moją! pójdź ze mną!..—
„Lecz jeśli słysząc tajemnic wyznanie,
„Żałujesz przysiąg wyrzeczonych z rana:
„Zostań!—lecz wtedy i Selim zostanie —
„Ale cię żoną nie ujrzy Osmana!“—

XXII.

Rzekł—ona blada, bez ruchu i tchnienia,
Jako ów posąg i pomnik cierpienia,
Gdy wszystko tracąc, wszystko czując razem,
Matka z rozpaczy skamieniała głazem:—
W równéj postawie i lica żałobie,
Stała i sercem podobna Niobie.
Lecz wprzód nim usty, nim nawet oczyma,
Wydać zdołała myśl—wyrok Selima:
Brzękły wrzeciądze u bramy ogrodu—
I z mrocznéj głębi sklepionego wchodu,
Wybiegła jasność pochodni iskrząca:
Druga, i trzecia—i szereg bez końca!
W różne się strony rój ogniów rozlata:—
„Uchodź, mój! — ach! nie bracie! — lecz droższy od brata!"—

Śród drzew, w ciemnościach, iskrzące czerwono,
Rozpierzchłe światła migają się, wioną:
Nie same światła;—w każdéj prawéj dłoni
Lśni od ich blasku ostrz dobytéj broni.
Dzielą się, plączą, zbiegają się razem,
Świecący ogniem, grożący żelazem.
Wśród nich Giaffir żżyma się i dąsa,
Miecz bratobójczy nad głową potrząsa.—
Już w głąb jaskini sięgają oczyma—
Mażona stać się grobem dla Selima?—

XXIII.

On czekał śmiało:—„Co ma stać się, stanie!—
„Zulejko! uścisk i pocałowanie!
„Może ostatnie nasze pożegnanie!—
„Blisko gdzieś jednak łódź mych towarzyszy;
„Może da pomoc, gdy hasło posłyszy!—
„I tak nas mało!—lecz ujrzym, co znaczy
„Złączona siła męztwa i rozpaczy!"—
Rzekł, i ku wyjściu groty skoczył śmiało.—
Echo wystrzału w powietrzu zagrzmiało.
Zulejka z żalu jak martwa opoka,
Ani zadrżała, ni zmrużyła oka!—
„Nie słyszą może — lub chociaż przybędą,
„Śmierci méj chyba mścić się tylko będą!—
„Strzał zwabił ku mnie nieprzyjaciół roje.—
„Teraz, mój mieczu, pokaż dzielność twoję!
„Ty ojca mego spuścizno jedyna,
„Dziś za krew jego daj pomstę dla syna!—
„Bądź zdrowa, luba!—uchodź! albo raczéj
„Schroń się w głąb groty!—Chroń się! już są blisko.—
„Ojciec cię kocha, i wszystko przebaczy.—
„Chroń się! na krwawe nie patrz widowisko:
„By czasem kula zbłąkana lub strzała
„Niewinnéj piersi za cel nie obrała!—
„Nie drżyj o Niego!—choć mego zabójca—
„Wolałbym zginąć, niż ci wydrzeć ojca!—
„Nie!—choćby z mieczem sam na mnie nastawał,
„Choćby mi podłość na nowo zadawał!

„Ale się zgrai nie poddam tak snadnie —
„Prócz głowy Jego—każda inna spadnie!“—

XXIV.

Skoczył ku morzu;—jak błysk piorunowy,
Miecz jego z pochew na powietrzu błysnął.
Drgająca głowa i tułów bez głowy
Padł mu pod nogi, z tłumu co się cisnął.
Padają drudzy—lecz nakształt mrowiska,
Ruchoma ciżba otacza go, ściska.
On w lewo, w prawo, tnąc ścieżkę krwawą,
Z falą już prawie spotyka się w biegu: —
O strzał już ledwo towarzysze z nawą—
Łódź bliżéj jeszcze:—jak szybko, jak żwawo;
Z rozpaczną siłą wiosłują do brzegu!—
Ach! chwila jeszcze—a zbawić go mogą!..—
On już fal morskich dotyka się nogą—
Korsarze z czółna rzucają się w morze,
Z szablami w zębach, ze strzelbami w górze:
Zapamiętali, rozżarci, zajadli,
Już skaczą na brzeg—na bitwę przypadli...—
Ach!—Zemsta chyba teraz sił im doda!—
Krwią serca jego rumieni się woda.

XXV.

Śród kul, i mieczów, i grotów miotanych,
Bez ran, lub wcale nie czując zadanych,
Przedarł się Selim—i ku morskiéj toni
Biegł spotkać odsiecz, lub ujść od pogoni.

Już wpław ku łodzi miał rzucić się bratniéj,
Już podniósł ramię na zamach ostatni—
Czegóż się wstrzymał?—nieszczęsna przewłoka! —
Próżno w głąb groty chciał sięgnąć oczyma! —
Ta jedna chwila, ten jeden rzut oka,
Może go zgubić, lub w więzach zatrzyma! —
O! smutny dowód, jak serce człowieka
Trudno ostatniéj pociechy się zrzeka!...—
U stóp się jego już fala rozpryska —
Pomoc tuż przed nim—już widna, już bliska!..—
Wtém razem wystrzał i głos zagrzmiał srogi:
„Tak giną wszystkie Giaffira wrogi!"—
Czyj głos, czyj wystrzał? czyja, śród tak wielu,
Kula, zbyt bliska by chybić do celu,
Świsła w powietrzu, i plusła do fali?—
Twoja to, twoja, morderco Abdalli!
W mękach trucizny ojciec życie kończył;
Prędszą z nim śmiercią sierota się złączył!—
Wrząca krew pluszcząc wylewa się z rany,
Śnieżne nią wkoło zbroczyły się piany.
On padł bez jęku — próżno usty ruszył,
Głos śmierć stłumiła, lub szum fal zagłuszył.

XXVI.

Ranek—wiatr w kłębach rozwiewa mgły nocne.—
Gdzież ślady bitwy, co tak krwawą była? —
Strzały, co echa budziły północne,
Groźby, błagania, jęki niepomocne,
Ścichły—dym opadł—krew woda obmyła—
Powietrze, morze spokojne.

Na piasku tylko gdzie niegdzie rzucone
Szczątki orężów, lub w nim wytłoczone,
W rozpacznéj z wrogiem czy ze śmiercią walce,
Ślady stóp zbrojnych, i rąk krwawe palce,
Świadczą człowieka czyn—wojnę.

Z brzegu na wodzie—znać ledwo co zniosła —
Pływa pochodnia i łódka bez wiosła,
I daléj nieco, w zielska zaplątany,
Okryty pleśnią i morskiemi piany,
Z falą się biały płaszcz wznosił:
Z rozrzuconemi na wodzie wyloty,
Zwykła Greckiego odzież Kandyoty —
Gdzież jest ten, który ją nosił?—
Widzisz tę plamę?—czerwona, straszliwa!
Morze jéj dotąd nie zmyło—nie zmywa!...—
Lecz kto chcesz płakać nad ciałem ofiary,
W kim los jéj litość ocuca:
Idź, kędy płócząc Sygejskie pieczary,
Podwodnym nurtem morze swe ciężary
Na brzegi Lemnu wyrzuca!—
Tam czarne ptaki nad swoją zdobyczą
Ciężkiemi skrzydły podlatują, krzyczą,
Ilekroć fala, co ku brzegom dysze,
Leżącą na niéj głową zakołysze;
Ilekroć, jakby strasząca ptastw chmury,
Stężała ręka, dłoń blada,
Z silniejszym wałem wzniesie się do góry,
I znów z nim razem opada!

Cóż ma obchodzić, czyli go w swém łonie
Ziemia pogrzebie, czy morze pochłonie?
Czy że szarpiące już go dzióby ptaków,
Pozbawią pastwy ryby lub robaków?...—
Jedyne serce, coby się krwawiło,
Jedyne oko, coby łzę wylało
Nad jego ciałem, lub jego mogiłą:
Serce to pękło, oko się zaćmiło,
Wprzód, niż śmierć jego ujrzało!—

XVI.

W haremie Giaffira płacz i narzekanie;
Oko niewiast zroszone, i mężczyzn twarz blada.—
Czyjże to okrzyk rozpaczy?
„Zulejko! córko moja!“—daremne wołanie!
Biada ci, tyranie, biada!
Ona ci nie odpowie—ha! i nie przebaczy!—

* * *

Zapóźno, oblubieńcze, przybywasz na gody!
Nie widziałeś—nie ujrzysz Narzeczonéj wdzięków!—
Czyżeś nie słyszał, wjeżdżając w te grody,
Smutnych pieśni derwiszów i płaczennic jęków,
Że się przybliżasz tak śmiele?
Czyż te skupione przy bramach haremu
Tłumy niewieście:
Ta niewolników postać nieruchoma,
Z założonemi na piersiach rękoma:
Żal w mieście:
Nie dosyć jeszcze mówią sercu twemu,
Jakie cię czeka wesele? —

* * *

Pokój sercu dziewicy!—Allah twemu oku,
Duszy twéj, najsroższego oszczędził widoku:
Śmierci twojego Selima!—
W chwili, gdy z objęć twoich wydarł się, i w mroku
Znikł przed twojemi oczyma:
Rozpacz twe serce strętwiła.
On ci był wszystkiém!—szczęściem, nadzieją, i chlubą:
Myśl że go tracisz, ustrzedz nie możesz przed zgubą:
Ta myśl—zabiła!
Usłyszano krzyk jeden—głośny, niedaleki —
Czyj?—On zgadł!—wstrzymał się chwilę;
Słucha—próżno!—Już wszystko ucichło—na wieki!—
Pokój dziewiczéj duszy, i wczesnéj mogile!

* * *

Szczęśliwaś!—jak kwiat w pełni rannego rozwicia,
Serce zwiędło—nie piło gorzkich mętów życia!
Ból ten—srogi, śmiertelny—był piérwszy, jedyny!
Nie doznałaś co gorycz żalu, wstydu, winy,
Pychy, zemsty, zgryzoty!—ach! ni téj katuszy,
Co jak wieczne szaleństwo wre w mózgu i w duszy:
Jak robak lęgnie w sercu, i na wskróś je wierci,
I nie śpiąc sam, nie daje zasnąć—prócz snem śmierci;
Każdą myślą, jak żądłem zatrutém kaleczy,
Obawia się ciemności, a światłu złorzeczy;
Jak ogień w suchém oku i we krwi się pali,
I aż w popiół obróci — wprzód się nie oddali!

* *
*

Biada tobie, morderco! na dni i na lata,
W życiu, i w wieczności biada!—
Darmo tarzasz się w prochu, i sinemi usty
Klniesz siebie, i z przestrachem błagasz o odpusty —
Pokuta, rozpacz nie nada!
Dłoń, z któréj legł Abdalla, Selim—brat, syn brata—
Próżno będzie targała włos i szaty darła:
Zbrodni nie minie zapłata!
Chluba twoja—rękojmia przyjaźni Osmana:
Godna, gdyby ją poznał, dzielić tron Sułtana—
Córka twoja—umarła!

* *
*

Zgasła u wschodu gwiazda dziewiczéj czystości,
Któréj blask, noc twéj chmurnéj duszy rozweselał:
Jutrzenka twych nadziei, zorze twéj starości!—
Któż ją zagasił?—Krew, którąś Ty przelał!—
Biada ojcu-zabójcy! tyranowi biada! —
Słyszysz ten okrzyk rozpaczy?
„Gdzie dziecię moje?“ — Echo mu „gdzie?“ — odpowiada [14]).
Ona mu nie odpowie—ha! i nie przebaczy!—

XVIII.

Między pomników i grobów tysiące,
Lśniących się spodem, gdy z boków i z góry,
Cyprysy mroczne, choć zieleniejące
Zimą i latem, ścielą cień ponury,
Jak myśl rzucona na groby:

Jest jedno miejsce—osobne, kwitnące,
Wiecznie zielone, rozweselające
Nawet te gaje żałoby.—
Tam jedna tylko, tchnąc samotną wonią,
Róża rozkwita—posępna i blada,
Rzekłbyś, rozpaczy zasadzona dłonią:
Tak mdła, tak słaba, że zda się wiatr lada
Liść jéj po polu rozproszy;
Jednak choć wicher, choć burza się wścieka,
Kwiat jéj trwa cało;—choć ręka człowieka,
Co wszystko piękne w tym kraju pustoszy,
Kwiat jéj oberwie:—niepojęta władza,
Kwiat ten nazajutrz na nowo odradza:
Jakby duch jaki miał ją w swojéj pieczy,
Który jéj rany łzami niebios leczy,
I czarodziejską mocą swego śpiewu,
Co noc kwiat nowy wykołysze z krzewu! —
Nie dziw, że dotąd Helleńskie dziewice
Wierzą, że kwiat ten nie jest z tego świata,
Co mu ni szkodzić nie śmią nawałnice,
Ni szrony zimy, ani skwary lata:
On zawsze smutny, lecz piękny jak w maju,
Zdaje się tęsknić po kraju swym—raju.

Nad kwiatem co noc ptaszek jakiś śpiewa,
Ukryty w liściach pobliskiego drzewa:
Sam dotąd ludzkiém okiem niedojrzany,
Lecz głos ma wdzięczny, jak Hurysek lutnie.
Nie jest to słowik w róży zakochany —
Słowik nie śpiewa tak czule, tak smutnie!

Ci którzy słyszą śpiew ten tajemniczy,
Doznają w duszy tak rzewnéj słodyczy,
I czują w sercu taką tęskność tkliwą,
Jak gdyby czuli miłość nieszczęśliwą,
I choćby chcieli, łez wstrzymać nie mogą.
Lecz te łzy same, tak słodko im płyną,
Żal ten tak z żadną nie zmięszany trwogą,
Że się im zdaje rozkoszą jedyną:
Że się lękają promienia poranku,
Chcieliby słuchać, płakać bez przestanku —
Taki jest urok w tym śpiewie! —
Lecz skoro piérwszy świt niebo zapłoni,
Ptaszek, nie wiedzieć, znika, czy się chroni.
I śpiew zamilka na drzewie. —

Są nawet—może urok przysłyszenia —
(Lecz ci co czują, nie będą się śmieli),
Są którzy mówią, że śród jego pienia,
W najtkliwszéj jego nócie dosłyszeli
Brzmienie Zulejki imienia [15])!
Bo dla niéj zda się ten ptaszek tak śpiewa,
Z cyprysowego nad jéj grobem drzewa;
Bo z jéj to właśnie mogiły dziewiczéj
Wykwita róży ów kwiat tajemniczy.—
Niegdyś kamienny grób stawiać jéj chciano—
Lecz postawiony wieczorem—znikł rano.
Ni dłoń to ludzka, co go w nocnéj porze,
Wyrwawszy z miejsca, przeniosła nad morze' —
Bo go tam właśnie ujrzano o świcie,
Gdzie Selim w boju dał za nią swe życie,

I zkąd go fale uniosłszy, zbawiły
Czci pogrzebowéj i ziemskiéj mogiły. —

I odtąd co noc, gdy księżyc lśni w górze,
Widać na białym pomnika marmurze,
Wspartą, jak gdyby dumającą z żalem,
Głowę czerwonym okręconą szalem.
Powieści o niéj lud z trwogą powtarza,
I pomnik zowie „Węzgłowiem Korsarza.“ —
A na Zulejki mogile, jak pierwéj,
Zakwitła róża—i kwitnie bez przerwy:
Smutna i blada—jak lice piękności,
Gdy słucha dziejów nieszczęsnéj miłości!—

K O N I E C.

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 94 wiersz 12. Zapominali o obecnéj chwili
W rymach Sadego, i pieśniach Leili.

Sadi, jeden z najsławniejszych poetów perskich.—Leila i Mejnun, para kochanków, sławna na Wschodzie, jak w Europie Romeo i Julia, lub Abelard i Heloiza.

2. Str. 94 w. 13. Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem:

W Turcyi uderzenie w bęben ogłasza wschód, południe i zachód słońca.

Str. 97 w. 4. Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku.

Turcy nienawidzą Arabów, którzy im w dziesięcioro odpłacają się wzajemnością, więcéj nawet niż chrześcijan. —

4. Str. 98 w. 21. Dusza, muzyka tchnąca z jéj oblicza.

Wyrażenie to uległo zarzutom. Nie odpowiadając na nie krytykom „niemającym muzyki w duszy" proszę tylko czytelnika, aby przypomniał w myśli na chwilę, rysy najpiękniejszéj, jaką znał, kobiéty. A jeśli wtenczas jeszcze nie zrozumie tego, co mój wiersz słabo wyraża, wyznaję, iż będę żałował nas obu.

W dziele „O Niemczech“ (Tom III roz. 10), napisaném przez kobiétę, przewyższającą geniuszem kobiéty wszystkich wieków, znajduje się bardzo wymówny ustęp, o podobieństwie zachodzącém między malarstwem a muzyką; i porównanie tych obu sztuk, wynikające z tegóż podobieństwa. Czyżby więc podobieństwo muzyki nie miało być większe z oryginałem jak z kopią? z kolorytem natury, jak sztuki? Wreście jest to rzecz, która się więcéj daje czuć niż wyrazić. Jestem pewny, iż znajdzie się zawsze kilka osób, które to wyrażenie moje zrozumieją, a przynajmniéj któreby zrozumiały, gdyby widziały twarz, któréj mówiąca harmonia tę myśl mi natchnęła. Wyrażenie to bowiem nie jest wzięte z wyobraźni; znalazłam je w mojéj pamięci — w tém zwierciadle, które smutek rzuca o ziemię, a patrząc na jego szczątki, widzi w nich tylko pomnożone odbicie.

5. Str. 99 w. 18. Godna jest względu krew Kara-Osmana.

Karasman-Oglu, albo Kara Osman Oglu, jest najznakomitszym dzierżawcą dóbr ziemskich w Turcyi; a zarazem rządzcą Magnezyi. Timariotami zowią się ci, którzy niejako lenném prawem posiadają ziemie, z obowiązkiem służenia wojskowo. Służą pospolicie w jeździe, jako Spahi, i obowiązani są własnym kosztem uzbroić pewną liczbę żołnierzy, stosownie do rozciągłości posiadanéj dzierżawy.

6. Str. 100 w. 7. My uczyć będziem sułtańskie Tatary,
Jakiéj nagrody warte takie dary.

Jeśli Basza czuje się dosyć potężnym aby się oprzeć Sułtanowi, rozkazuje pospolicie udusić posłańca, który mu rozkaz śmierci i stryczek przywozi. Niekiedy pięciu lub sześciu podobnych posłańców ginie jeden po drugim na rozkaz zbuntowanego Baszy. — Lecz jeśli przeciwnie Basza czuje się słabym, lub nieposłusznym okazać się nie chce, natenczas schyla głowę, całuje podpis Sułtana, i pozwala się udusić z pokorą. W r. 1810, wystawiono nad bramą Seraju,

głowy wielu razem Baszów, którzy podobnego losu doznali; a między innymi głowę Baszy Bagdadu, dzielnego młodzieńca, który po długim oporze przez zdradę nakoniec zamordowanym został.

7. Str. 101 w. 1. Trzykroć w dłoń klasnął.

Turcy klaszczą w dłonie wołając na sługi. Nie lubią trwonić próżno głosu, a dzwonków nie znają.

8. Str. 101 w. 2. Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty.

Cybuchy bogatych Turków, a często i same lulki, oprawne bywają w najdroższe kamienie. Munsztuczek jest tylko pospolicie z bursztynu.

9. Str. 101 w. 7. Sam Kislar-Aga na czele rzezańców.

Kislar-Aga jest to tytuł naczelnika czarnych stróżów Seraju. —

10. Str. 101 w. 16. To z koni twarde płatają turbany.

W Turcyi do wypróbowania szabel używają pospolicie złożonych w kilkoro wojłaków z pilści, albo też bardzo twardych turbanów; i żadna inna szabla, oprócz najlepszéj tureckiéj, nie zdoła ich przeciąć od razu. Walka na stępione dziryty, ulubione igrzysko jazdy tureckiéj, przedstawia bardzo ożywiony i malowniczy widok.

11. Str. 101 w. 19. A wrzask ich „Ollah!“ powietrze rozdziera.

„Ollah! Alla il Allah!“ są to zwykłe okrzyki Tureckie, któremi na lud milczący, zanadto szczodrze szafują, zwłaszcza podczas walk na dziryty, na łowach, a najwięcéj śród bitwy. Ożywienie Turków w otwartém polu, z powagą ich w izbie, przy lulce lub różańcu, zabawną wystawia sprzeczność.

12. Str. 103 w. 1. Słowik tę różę przysyła za posła.

Miłostki słowika i róży, są ulubioném zmyśleniem poetów wschodnich. —

13. Str. 104 w. 13. Nawet Azrael, on którego ramię.

Azrael. Anioł śmierci.

14. Str. 105 w. 20. Za wszystkie skarby pieczar Istakaru.

Mają to być zaklęte skarby Sułtanów, przed Adamem jeszcze żyjących. —

15. Str. 106 w. 10. Gorszego nadeń Egrippo nie wyda.

Egrippo; tak Turcy nazywają Negrepont. Podług krajowego przysłowia, Turcy z Egrippo, Żydzi z Saloniki, a Grecy z Aten, są najgorszymi, każdy ze swego plemienia.

16. Str. 108 w. 24. Ach! Czokadera już widzę na drodze.

Czokader nazwisko sługi, poprzedzającego zwykle orszak znakomitych Turków. —

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 113 w. 9. On, przed którym bił czołem Macedończyk młody.

Aleksander W. przed wyprawą do Persyi, zwiedził grób Achillesa, i uwieńczył laurem wystawiony przez siebie na cześć jego ołtarz. Naśladował go w tém Karakalla, cesarz Rzymski. Jest podanie, że ten ostatni otruł umyślnie przy-

jaciela swego Festusa, aby mieć powód ponowienia igrzysk, jakie niegdyś Achilles na cześć Patrokla wyprawił. Widziałem pasące się owce na grobach Esyeta i Antilocha; piérwszy z nich leży w środku równiny.

2. Str. 114 w. 4. Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w ręku.

Różaniec turecki, zowie się w ich języku „Kombolojo;“ składające go ziarna bywają u bogatszych z drogich kamieni, albo z bursztynu, który potarty lub w ręku rozgrzany, wydaje z siebie wonność, nie mocną, ale przyjemną.—

3. Str. 114 w. 7. Z tekstem Koranu amulet jéj święty.

Wiara w amulety, rznięte na drogich kamieniach lub w puszkach złotych zamknięte, jest dotąd powszechną na Wschodzie. Napis ich składa się z kilku wierszy Alkoranu. Noszą je zawieszone na szyi, lub zamiast bransoletek na ręku. Wiersze z drugiego rozdziału Alkoranu, opisujące własności Najwyższego, stanowią najskuteczniejsze amulety, i są najczęściéj używane.

4. Str. 114 w. 12. I daléj nieco Alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyska się karty.

Wszystkie rękopisma wschodnie, a mianowicie Alkoran, ozdobione są z wielkim przepychem i zbytkiem. — Kobiéty Greckie są pospolicie trzymane w zupełnéj ciemnocie i niewiadomości; ale wiele młodych Turczynek odbiera bardzo staranne wychowanie; wprawdzie, nie mogące się równać z wychowaniem europejskich kobiet.

5. Str. 117 w. 20. Rzekłbyś że prosty Galjongi Grecki.

Galjongi. Majtek. Na flotaah tureckich majtkami są Grecy, żołnierzami Turcy. Ubiór Galjongich jest bardzo

malowniczy; widziałem w nimn ieraz samego Kapudana Baszę, który go nosił wychodząc *incognito*. — Nogi ich je nak są nagie po kolana. — Opis obówia i zbroi w tekscie jest podług stroju Arnautskiego rozbójnika, u któreg o mieszkałem w Morei: ma się rozumieć, że już był wtedy swojéj professyi zaniechał.

6. Str. 119 w. 10. I niech tak święty tekst na mém żelazie.

Na wszystkich prawie szablach tureckich znajdują się napisy, czasem wyrażające tylko nazwisko robotnika lub miejsca gdzie były robione; ale częściéj jeszcze jaki tekst z Koranu, wypisany literami złotemi.

7. Str. 120 w. 3. Strzegł mię, jak gdyby potomka Kaima.

Wiedzieć trzeba, że wszelkie alluzye tak do osób, jak do wypadków w Starym Testamencie opisanych, równie są powszechne u Muzułmanów, jak u Żydów. Turcy nawet przechwalają się z tego, że wiedzą więcéj o życiu Patryarchów, niż to, co nasze Pismo Święte o nich podaje; i nie przestając na Adamie, mają szczegółowe biografie Patryarhów przed nim żyjących. — Salomon jest przez nich uważany jako największy mędrzec, mający nawet władzę nad duchami; Mojżesz zaś, jako Prorok, niższy tylko od Chrystusa i Mahometa.

8. Str. 121 w. 1. Gdy Paswan-Oglu z buntownemi tłumy.

Paswan-Oglu, Basza Widdinu, podniósł bunt przeciw Sułtanowi, i przez wiele lat zagrażał całéj potędze Porty Ottomańskiéj.

9. Str. 121 w. 22. Skosztował kroplę i zasnął na wieki.

W r. 1811 Giaffir Basza Scutari został otruty przez Albańczyka Alego, sposobem opisanym w tekscie. Trucizna

była w sorbecie, którym Muzułmani po wyjściu z łaźni ochładzać się zwykli. W kilka miesięcy po dokonanéj zbrodni, Ali pojął w małżeństwo córkę zamordowanego przez siebie Giaffira.—

10. Str. 126 w. 9. Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna.

Turcy nie znają prawie innych wysp. oprócz Archipelagu Greckiego.

11. Str. 127 w. 10. Są to Greckiego Lambra przyjaciele.

Lambro Canzani, slawny naczelnik powstania Greckiego w 1789—90 r. Zawiedziony w nadziei wybicia się z pod tureckiego jarzma, został korsarzem, i długo był postrachem Turków, na Archipelagu. On i Riga, są dwaj najsławniejsi powstańcy Greccy, przed ostateczném wybiciem się Grecyi.—

1 . Str. 127 w. 23. Obym mógł bujać jak ów Patryarcha morza,
Lub koczować jak Tatar, śród pustyń przestworza.

Noc.—Sposób życia koczujących Arabów, Tatarów i Turkomanów, opisany jest szczegółowo przez wszystkich podróżujących na Wschodzie, jako mający dla nich szczególniejszy powab. Młody jeden Francuz, renegat, opowiadał sam panu Chateaubriand, że ile razy, jako Farys, czwałował na koniu, sam jeden w pustyni, doświadczał zawsze niewypowiedzianéj rozkoszy, która się do zachwytu zbliżała.

13. Str. 128 w. 18. Kwitnące jako w nowo stworzonym Edenie.

Januat-al-Eden. tak się zowie raj Muzułmanów.

14. Str. 139 w. 18. Gdzie dziecię moje?—Echo mu „gdzie?“ odpowiada.

„Przyszedłem na miejsce urodzenia mojego, i zawołałem: Przyjaciele młodości mojéj, gdzie są?—Echo odpowiedziało· „gdzie są?“ (*Wyciąg z rękopismu arabskiego*).

15. Str. 141 w. 19. Brzmienie Zulejki imienia.

And airy tongues that syllable men's name. Milton.

(I powietrzne głosy, wymawiające imiona ludzi).

Mniemanie, że dusze umarłych przybierają niekiedy kształt ptaków, nie na samym tylko Wschodzie jest znane. Powieść o księżnie Kendal, wierzącéj i przekonanéj, że dusza Jerzego I, przylatywała do jéj okna w postaci kruka; jako też wiele innych podobnych powieści, przekonywają nas, że to mniemanie znajduje się i u nas (w Anglii).—Niejaka Lady Worcester, uroiwszy sobie, że dusza jéj siostry przeszła w jakiegoś śpiewającego ptaka, całe swoje oratorium w kościele napełniła podobnemiż ptakami, zamkniętemi w klatkach. Ponieważ była to pani bogata i wiele na ozdobę kościoła łożyła, nie sprzeciwiano się jéj dziwactwu.

MAZEPPA.

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.

GUSTAWOWI HODENIUSOWI

NA PAMIĄTKĘ PRZYJAŹNI I MIŁYCH WIECZORÓW,

NA WSPÓLNÉM CZYTANIU POEZYI SPĘDZONYCH.

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

DO CZYTELNIKA.

Podanie o Mazeppie, na którém się treść niniejszéj powieści opiera, znane jest u nas powszechnie. Autor wziął je z historyi Karola XIIgo przez Woltera, który je za prawdziwe przytacza. Za takie też uchodziło i u nas, aż do czasów ogłoszenia znakomitych Pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z czasów Króla Jana Kazimierza, gdzie obok innych szczegółów, tyczących się piérwszéj młodości Mazeppy i pobytu jego na dworze królewskim, znajduje się opis prawdziwego zdarzenia, które stało się powodem i wyjazdu Mazeppy na Ukrainę, i rozszerzonéj o nim w kraju powieści. Porównanie rzeczywistéj prawdy z poetycką fikcyą podania, może tu ujść za ciekawą wskazówkę, jak się tworzą wszystkie tradycye gminne: to jest, jak poetycka wyobraźnia ludu, dopełniając i upiękniając stopniami dany wypadek, nakoniec go całkiem przekształca.

Obszerniejsza wiadomość o dalszém polityczném życiu Mazeppy, jako naprzód Assauły, a potém Hetmana Kozaków, znajduje się w Atheneum z r. 1842, przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego.

MAZEPPA.

I.

Było to wkrótce po dniu pod Półtawą,
Gdy los odstąpił Szwedzkiego Karola,
A wojsko jego z wstydem i niesławą,
Zaległo trupem, lub uciekło z pola.
Szczęście i chwała, jako ich czciciele,
Płoche w przemianach, w łaskach niestateczne,
Zastępom Piotra stanęły na czele,
I mury Moskwy znów stoją bezpieczne.
Aż znowu na nie, z straszliwszemi gromy
Nie przyjdzie burza: i w ich ognisk dymie
Nie zgaśnie, jako meteor znikomy,
Większa potęga, i sławniejsze imie *)!—
Groźna nauka dla ludów i tronów,
Cios dla jednego—wstrząśnienie milionów!

II.

Tak los zwykł igrać z wielkością człowieka.—
Karol raniony przed wrogiem ucieka,

*) Rok 1812.

Wczwał, dniem i nocą, po polach oblanych
Krwią swoją własną i swoich poddanych.
Bowiem tysiące poległy, ażeby
Króla z ostatniéj ratować potrzeby:
Przecież głos żaden, w tylu ofiar tłumie,
Nie śmiał złorzeczyć poniżonéj dumie;
Nikt się nie pomścił—choćby mógł bezkarnie
Słowem wyrzutu—za śmierć i męczarnie!
Koń jego poległ:—Gieta dał mu swego,
I na śmierć pewną został w miejscu jego.
Lecz i ten drugi, gnany bez wytchnienia,
Omdlał nakoniec, i padł z wysilenia.
I w głębi lasów—gdy wkoło na błoni
Świecą się ognie zwycięzkiéj pogoni —
Król musi spocząć—pod cieniem jedliny,
Na suchych liściach: — toż-li są wawrzyny,
Co dla się z młodu polewał krwią ludów?
To-li spoczynek bohatérskich trudów?—
Skostniałe członki, krew zakrzepła w ranie,
Noc zimna, wietrzna—mrożące posłanie...
Sen, jedną ulgę dla myśli i ciała,
Krew gorączkowa z ócz mu odpychała.
Przecież, choć w mroku nie śledził go świadek,
Król po królewsku znosił swój upadek.
Pod moc swéj woli podbijał cierpienia,
Jak niegdyś wrogi; a żal i westchnienia.
Milczały w jego łonie tajemniczém,
Jak niegdyś ludy przed jego obliczem.

III.

Z nim grono wodzów—o! jakże zmniejszone,
Od dnia, co dla nich miał być dniem zwycięztwa!
Lecz za toż serca w wierze doświadczone!
Los zmógł ich siłę, lecz nie zachwiał męztwa.
Smutni, w milczeniu, cugle dzierżąc w dłoni,
Każdy szerokim płaszczem obwinięty,
Siedzą przy królu, i obok swych koni.—
Nieszczęście zbliża człowieka z zwierzęty:
W niebezpieczeństwie, jeździec i koń jego
Są jakby bracią jeden dla drugiego.
Śród nich, Mazeppa, pod rozłożystemi
Gałęźmi dębu, na chropawéj ziemi,
Słał sobie liście i drzewne konary.
Jak dąb ów silny, i ledwo mniéj stary,
Hetman Kozaków—jak śród gromów wojny,
Śród burzy losu zimny i spokojny.—
Ale nim uległ, zwyczajem kozaka,
Opatrzył naprzód wiernego rumaka.
Otarł go burką, i głaszcząc po grzywie,
Cieszył się, patrząc jak pasł się skwapliwie:
Bo nie był próżen téj jednéj obawy,
Że jeść nie zechce zaroszonéj trawy.
Lecz w tém koń-kozak był równy Mazeppie:
Dziki i chyży, jak wicher na stepie,
Mało dbał o to, czém wzmoże swe siły,
Byleby panu w potrzebie starczyły.

W skwary jak w mrozy, wytrwały do jazdy,
We mgle bez słońca, i w nocach bez gwiazdy,
Na krok w pustyni nie zbłądzil do rana:
W tłumie tysiąców znał twarz swego pana,
I na głos jego, biegł doń pędem strzały,
I ślad w ślad za nim szedł choćby dzień cały.

VI.

Gdy tak koń pasł się—Mazeppa tymczasem,
Wsparłszy o gałęź dzidy swojéj drzewce,
Wyjął krócice zatknięte za pasem,
Spójrzał czy suchy był proch na panewce,
Czy ostre skałki, czy spust niezawodny.
Szablę swą potém otarł z rosy chłodnéj,
Brzeszczot i pochwę; i z olster u siodła
Dobył chleb suchy i wodę ze źródła;
I jakby krajczy śród dworskiéj biesiady,
Obdzielał Króla i resztę gromady.
Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,
By się zdać wyższym nad ból i niedolę,
Przyjął swój udział i rzekł:—„Wyznać trzeba,
Że choć nam wszystkim nie skąpiły Nieba
Sił i wytrwania: nikt z nas w téj pustyni,
Mniéj nie rozprawia, a więcéj nie czyni,
Jak ty, Mazeppo!—przykład twój co chwila,
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
Od Aleksandra i od Bucefała,
Dzielniejszéj pary ziemia nie widziała,
Jak ty i koń twój; a od przodków Scytów,
Godzieneś jeźdzca najpiérwszych zaszczytów!“ —

A Hetman na to: „Strzeż Boże nauki,
„Jaką za młodu doszedłem téj sztuki!“—
—„Czemu?“—Król spytał—„twój przykład, Hetmanie,
Broni twych mistrzów przeciw twéj naganie.“—
—„Długoby o tém mówić“—rzekł Mazeppa—
A nie czas teraz;—noc mglista i ślepa
Pozwala spocząć, by jutrzejszą porą
Śpieszyć tém prędzéj.—Wrogi nie za górą—
Na niebie widać ich ogniów odbłyski.
Rano wstać trzeba;—a świat to nie blizki
Do brzegów Dniestru. nim rumaki nasze
Puścim swobodnie na turecką paszę!—
A więc, śpij Królu!—ja zastąpię straże.“—
—„Owszem“—rzekł Karol—„proszę cię i każę,
Powiédz nam twoję tę powieść: a może,
Słuchając prędzéj oczy do snu złożę—
Bo senność dotąd mych powiek nie klei.“—
—„A! gdy rzecz o to:—w téj miłéj nadziei—
Rzekł stary Hetman—„chętnie w méj pamięci
Odnowię przeciąg lat siedemdziesięci.—
„Mogłem mieć wtedy rok dwudziesty prawie.
Na dworze króla—Jana Kazimierza—
Siedem lat paziem przebyłem w Warszawie.
Był to Pan dobry: nie tak na rycerza,
Jako na mędrca;—jak niebo do ziemi
Z Waszą Królewską Mością!—Uczty, bale,
Książka, rozmowa z ludźmi uczonemi,
To jego rozkosz!—O wojennéj chwale
Ani pomyślał: tém mniéj o zaborach
Ziem i państw cudzych.—Prawda. że z swém jednem

Dość miał kłopotu!—Lecz w życiu powszednėm,
Gdyby nie sejmy w ustawicznych sporach,
I gdyby w domu nie swarliwa żona,
Wiódłby dni miłe Króla Salomona.—
Lecz dwie te rzeczy—z dodaniem i trzeciéj:
Zajść, skarg i dziwactw zawistnych piękności,
Co w kolej króla imały w swe sieci —
Truły mu rozkosz myśli i miłości.
Aż obmierziwszy blask świata i tronu,
Skończył dni w murach świętego zakonu.
„Ale to było potém:—za mych czasów
Król nie o fórtach rozmyślał klasztornych.
Zamek się pękał od ciągłych hałasów
Dziennych pijatyk i tańców wieczornych.
Co było wyższych z bogactw i zaszczytów,
Każdy rad nie rad kręcił się w tym wirze;
A żaki ze szkół Ojców Jezuitów,
Różnemi tony, na chropawéj lirze,
Sławili cuda królewskich splendorów.
I tak ta wierszy mania uczona
Objęła wszystkich: dworzan, senatorów,
Mnie nawet w końcu; żem kilka wieczorów
Skandował żale czułego Damòna!—
Djabła to warte!—A jednak bywało,
Kiedy się czasem z niechcenia, znienacka,
Przy teorbanie dumkę zaśpiewało:
To jakby ogniem grała krew kozacka,
A i łez czasem popłynęły zdroje!—
Bo jak to mówią: gdzie bez kolców róże?

Gdzie człek bez troski?—a paź tak ma swoje,
Jak król i hetman.—Przy królewskim dworze,
Mieszkał w Warszawie jeden z kasztelanów.
Starosta starostw bez liku, pan z panów,
Możny, bogaty, jak mina Olkusza—
A przytém dumna i pozioma dusza.
Zasługi przodków mniemając swojemi,
Na Ukrainie, w Litwie i Koronie,
W całém królestwie—ba! na całéj ziemi,
Sądził się piérwszym pomiędzy piérwszemi,
I tak się godnym czuł zasiąść na tronie,
Jak—jak, rzec prawdę—każdy z polskich panów. —
„Lecz co w obliczu nas młodszych dworzanów
Było przedmiotem i czci i zazdrości,
To żona jego:—cud, anioł piękności!
Ofiara dumnéj rodziców przemocy,
Przy boku starca, jako dzień przy nocy,
Młodsza od niego lat najmniéj trzydzieści,
W pełni powabów i krasy niewieściéj,
Wiodła dni w nudach i tajonych żalach.
I kto ją widział na ucztach i balach:
Blask jéj klejnotów, i mgłę smutku w oczach,
Bladość w jéj licach, i perły w warkoczach:
Równać ją musiał do królowéj sadu,
Gdy więdnie zgięta pod ziarnami gradu.

V.

„Ja byłem wtedy—dziś to bez przechwałek
Powiedzieć mogę, gdy trzy ćwierci wieku

Dźwigam na barkach;—byłem tęgi śmiałek.
Syn Ukrainy, nie kąpany w mleku,
Z odwagą w sercu, a próżnością w głowie,
Żywy, wesoły:—nikt w czynie ni słowie,
Czy to z paniątek, czy ze szlachty braci,
Nie śmiał tak bardzo zajść w drogę Mazeppie!—
Gładkość téż lica i giętkość postaci.
Nim je wiatr zwarzył i schylił na stepie,
Inaksze były niż dziś;—i na czole,
Nim je zorały losu nawałnice,
Była moc duszy; i oczy sokole
Umiały ogniem sypać na dziewice!—
Wszystko to przeszło!—prócz téj jednéj mocy
Co choć już może nie błyszczy jak wprzódy,
Nie zgasła przecież:—gdy wam w takiéj nocy
Jak dzisiaj, w lesie, śród wrogów przemocy,
Prawię me stare, miłośne przygody.—
„Lecz wracam do nich.—Piękność Izabelli—
To było imię żony Kasztelana.—
Zda się ją widzę—cała zda się w bieli,
Jak raz ostatni widziałem—ubrana,
Spływa z powietrza i staje przede mną!...
A jednak czuję, że chciałbym daremno
Opisać w słowach jéj postać i lice,
A nadewszystko ten blask czarnych oczu,
Te pełne, duże, głębokie źrenice,
Co jak dwie gwiazdy w cichém wód przezroczu,
Zdały się pływać w strumieniu łez jasnych,
I topnieć we łzy—od promieni własnych!..

Całe w miłości—na poły w omdleniu,
Na poły w ogniu:—jakoby dwaj święci,
Co już na stosie płomieniem objęci,
Wzrok wznosząc w niebo, trwają w dziękczynieniu,
Jakby za rozkosz w śmierci i cierpieniu!—
„Czoło jéj gładkie, jak przejrzysta woda,
Gdy się w niéj letnia odbija pogoda,
A żaden powiew powierzchni nie zmąca,
A na dnie tylko blask nieba i słońca!—
Twarz jéj i usta!...—Lecz co tu wyrazy?
Dość—jam ją kochał!—kocham jeszcze teraz!—
Dla niéj to lata zniewagi, obrazy,
Zniosłem cierpliwie;—złorzeczyłem nieraz
Sobie, jéj nigdy;—za nią, nie za siebie,
Ha! wziąłem pomstę:—i oby sąd w Niebie
Mnie karał za nią!—Czém w świecie i w sobie
Byłem i jestem—jéj to wszystko dzieło!—
Serce Mazeppy twarde—lecz aż w grobie
Zagaśnie chyba, gdy raz zapłonęło.

VI.

„Jam kochał—wzdychał—spotykał ją w tłumie,
Milczał—a jednak czuł, że mię rozumie.—
Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,
Co każdy pojmie, choć nikt nie określi.
Skry mimowolne wulkanicznéj duszy,
Co z chmur jéj uczuć, jéj burz i katuszy,
Pryskają same—i jedna po drugiéj,
Twarzą ów łańcuch tajemniczy, długi,
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,
Już go na wieki razem dźwigać muszą,

A każde wzajem uczucie, myśl każda,
Przebiega po nim—jak piorun lub gwiazda!—
„Jam kochał—milczał—z bojaźni czy sromu?
Nie wiém;—i nawet, kiedym już w jéj domu
Częstym był gościem: ilekolwiek razy
Chciałem przemówić—czułem jak wyrazy
Krzepły mi w ustach;—aż przyszła godzina!“
„Jest gra—nie pomnę nazwiska—dziecinna,
Prosta gra w karty;—do niéj raz za stołem,
Nie wiém jak, z czego, zasiedliśmy społem.
Grałem nie myśląc;—ale być tak blizko
Téj, co się kocha!—twarz w twarz, oko w oku!
Każde jéj tchnienie, każdy promień wzroku
Chwytać, i w jedno zlewać je ognisko!...
O! to jest rozkosz, za którą miliony
Przegraćby warto!—Myśmy o nic grali.
Lecz widząc wzajem jéj wzrok zamyślony,
Jéj twarz płonącą rumieńcem korali:
I natężenie, z jakiém się zdawała
Patrzeć na karty, choć nic nie widziała:
I długość czasu gry naszéj, do któréj,
Tajemna, zda się, wiązała ją siła:—
To gdy postrzegłem—jakby piorun z góry,
Myśl nagła we mnie błysła—zaświeciła—
I z ust, i z oczu, serca tajemnica,
W łzach, iskrach, słowach, wybuchła zarazem!...—
Ona słuchała;—błędna jéj źrenica
Utkwiła we mnie:—i choć nie wyrazem,
Odpowiedziała!—i od téj już chwili,
W sobieśmy tylko i dla siebie żyli.

VII.

„Kochałem—byłem kochany wzajemnie!—
Lecz jeśli prawda, co powszechne zdanie
Głosi o tobie, Najjaśniejszy Panie!
Że dotąd nie znasz co miłość;—daremnie
Byłoby kréślić dalsze mojéj dzieje.
To, na co we mnie cała krew goreje,
W tobie pogardy może uśmiech wzbudzi.—
Ale cóż czynić?—nie każdemu z ludzi
Dano, jak tobie, woli majestatem
Umieć panować nad sobą i światem!—
Jam jest—lub raczéj, jam téż był hetmanem,
Królem tysiąców:—z sercem niezachwianém
Wiodłem je w ogień;—a przecież daremnie
Chciałem zmódz słabość natury człowieczéj,
Zmódz serce moje!—Lecz wracam do rzeczy.
„Kochałem—byłem kochany wzajemnie!—
Były to chwile najszczęśliwsze w życiu!
Codzień ją mogłem widywać w ukryciu,
I żyłem tylko nadzieją téj chwili.
Czas, świat i ludzie stali mi się niczém:
Wschód mego słońca był przed jéj obliczem,
Noc mojéj duszy—gdyśmy się dzielili!... —
O! teraz jeszcze całą Ukrainę
Oddałbym chętnie za taką godzinę,
Za owe chwile—kiedy paź ubogi,
Na całym świata obszarze. nie miałem
Nic prócz jéj serca—i nic mieć nie chciałem,
Prócz, bym ją częściéj widywał bez trwogi! —

„Wiém, że jest wielu, w których tajemnica
Bronnéj miłości, jéj zapał podsyca.
Jam tego nie czuł;—nie było mi trzeba
Tych sztucznych podniet;—ja oddałbym życie,
By w obec świata, i ludzi, i Nieba,
Nazwać ją moją!—Przeczuwałem, zda się,
Co mię już w blizkim spotkać miało czasie,
Za to, żem tylko mógł kochać ją skrycie!—

VIII.

„Jak cień za szczęściem idzie ludzka zawiść.
W Warszawie, tłumy jéj możnych czcicieli,
Szeptali o mnie, lecz wierzyć nie chcieli.
Jam drwił z ich dumy, nie dbał o nienawiść,
I latem za nią jechał na Podole.—
Tam tając imię, nieznany nikomu,
W cichym szlachcica ubogiego domu,
O miedzę z zamkiem mieszkałem przez pole.
Aż traf, czy zdrajca odkrył kroki moje.
I dnia jednego, w zbrojnych dworzan kole,
Kasztelan w gaju pojmał nas oboje.—
„O! widzieć było gniew pana i męża,
Gniew pychy jego!—Nie miałem oręża,
Lecz choćbym w zbroi był od stóp do głowy,
Musiałbym uledz tłuszczy i przemocy.—
Było to w czerwcu—już na schyłku nocy,
I nie sądziłem, bym ujrzał dzień nowy!—
Zniskąd odsieczy, a sędzia we wrogu!—
Duszę więc w myślach poleciwszy Bogu,

Czekałem śmiało méj śmierci wyroku,
I drżałem tylko o los Izabelli.—
Jaki był—nie wiém; śród drzew, i w pomroku,
Widziałem tylko miganie się bieli
Szat i zasłony: gdy na wpół omdloną,
Szybko, na rękach. do zamku niesiono!—
Mąż został przy mnie—i jako złoczyńcę,
Kazał wieść w zamku zewnętrzne dziedzińce:
Kazał giestami—bo nie mógł już głosem,
Drżąc cały z gniewu i pieniąc się wściekle.—
Król mógłby może pogodzić go z losem.
Ale paź!—Czułem, że rażon tym ciosem,
Kary dość dla mnie nie znalazłby w piekle!—

IX.

—„Konia tu! konia!“—spójrzę, aż prowadzą
Czarta nie konia!—czterech masztalerzy
Trzyma za uzdę—i rady nie dadzą.
Wspina się, parska, grzywa mu się jeży,
Żar iskrzy z oczu—z wściekłości i zgrozy.—
Dzień ledwo temu, jak wzięty ze stada,
Dziki syn stepów!—Przynoszą powrozy,
Do grzbietu jego wiąże mię gromada.
I nagle wszyscy, z przeraźliwym wrzaskiem,
Siekąc biczami i strasząc ich trzaskiem,
Zrozpaczonego puszczają na wolę.—
Wypadł za bramę:—wiatr, strumień wezbrany,
Grom nie tak szybki—jak on rozhukany,
Ze mną na grzbiecie, pomknął się przez pole.

X.

„Lecim i lecim—na oślep, przed siebie,
Prosto jak strzała!—Brzask piérwszy na niebie
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci.—
Noc, step przed nami!—koń leci i leci.
Tchu brak mi w piersiach, patrzę nieprzytomnie,
Wzrok mi się kręci:—i tylko wkoło mnie
Słyszę świst wiatru;—a ostatnie głosy,
Co długo za mną przeciągłemi echy,
Ścigały w stepie i biły w niebiosy:
Były to wrzaski i szydercze śmiechy
Zgrai mych wrogów!—Co krwi we mnie było,
Zawrzała ogniem:—i z nadludzką siłą,
Targnąwszy głową, zerwałem ogniwo,
Co kark mój z końską związywało grzywą,
I wstecz, jak mogąc, zwrócony pół ciałem,
Wzajem obelgi i klątwy miotałem.
Bezsilne klątwy!—ale i te może
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach.
I to mię boli:—bo chciałem w téj porze
Ślad wzgardy mojéj zostawić w ich duszach!—
„Potém—ha! potém!—nie próżnemi słowy
Jam im odpłacił!—Podole i stepy
Pomną obrazę i zemstę Mazeppy!—
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,
Co mógł urągać wojska oblężeniu —
Gdzież są?—nie został kamień na kamieniu;

Na polach jego nie rośnie źdźbło słomy;
Na gmach i pola spadł ogień Sodomy!—
Cegły, kamienie, w popiół się rozwiały:
W ognistych kroplach, jako deszcz obfity,
Stopniały dachów ołowiane szczyty,
Co go przed zemstą zakryć nie zdołały!...—
„Nikt z nich nie myślał o tym dniu odpłaty,
Gdy na grzbiet koński, jako martwe drewno,
Wiążąc mnie z wzgardą—i na zgubę pewną
Puściwszy—szydząc wznosili wiwaty!—
Nikt z nich nie myślał, że z téj saméj błoni,
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,
Przyjdzie jak piorun—i nad głową zbójców,
Sprawiedliwości i zemsty zarazem,
Sąd czynić będzie—ogniem i żelazem!...—
„Bo czas nakoniec równa wszystkie rzeczy.
I byle umieć jak korzystać z pory,
Nie ma na świecie potęgi człowieczéj,
Coby ujść mogła przed zemstą—do któréj,
Bodźcem jest pamięć krzywd takich—a celem,
Tryumf przed światem nad nieprzyjacielem!

XI.

„Tymczasem daléj i daléj, bez toru,
Koń mój, jak wicher, jak błysk meteoru,
Leci i leci:—wsie, ziemia uprawna,
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami wkoło, jak oko zasięga,
Step równy, pusty—w końcu widnokręga,

Przeze mgłę tylko widać—że jak pasem,
Sinym po bokach otoczony lasem.—
Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarow,
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
Dognana w pośród tych dzikich obszarów,
Przestrzeń ich wkoło zasłała swym trupem.
Oprócz ich mogił widzianych zdaleka,
Żadnego śladu, ni dzieła człowieka.—
„My lecim, lecim;—już przeszedł wschód słońca.
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach — lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć;—a koń chrapiąc z gniewu,
Leci i leci.—Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie.—Chcę mówić modlitwy —
Próżno!—Koń leci;—myślę, że się znuży,
Że zwolni biegu; że takiéj gonitwy
Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużéj.
Próżne nadzieje!—ciężar ciała mego
Był niczém—owszem, był bodźcem dla niego.
A ruch mój każdy—skorom się odważał
Poruszyć na nim—czułem, jak pomnażał
Pęd, i strach jego, i gniew jego pychy.—
Probuję głosu:—słaby był i cichy:
Lecz na dźwięk piérwszy, jak rażony strzałem,
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapałem
Pędził tém chyżéj—i na każde słowo,
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową. —
Powrozy w ciało coraz głębiéj grzęzły,
Aż krew pryskając zbroczyła ich węzły;

A jakby ognia żywego płomienie,
Pierś mi i usta paliło pragnienie.

XII.

„Las tuż przed nami:—od brzega do brzega,
Wszerz horyzontu step zda się przelega.
Las drzew odwiecznych, których nawet czoła
Huragan stepu uchylić nie zdoła.
Lecz te gdzie niegdzie:—a pomiędzy niemi,
Gęstwa zarośli z gałęźmi wiotkiemi,
W całém bogactwie liści i zieleni
Szat swoich letnich:—nim wicher jesieni
Przyjdzie z za morza, i w dzikim poświście
Rozmiecie w stepie zczerwieniałe liście,
Gdzie już z pod szronów, przy słońca zabłysku,
Lśnią, jak krew skrzepła na pobojowisku,
Gdy je okrywszy cień nocy zimowéj,
Posrebrzy mrozem niegrzebane głowy.
I tak je stwardni, że próżno dziób kruka,
Z dzwoniącém echem, w zmarzłe twarze stuka!—
„Była to ciemna, zielona dąbrowa
Młodszych zarośli:—dąb, sosna masztowa,
Z rzadka gdzie niegdzie:—o! i gdyby nie to,
Las tenby dla mnie ostatnią był metą!—
Lecz wiotkie krzewy, nie szarpiąc zbyt srodze,
Łatwo przed nami rozdały się w drodze.—
Zamknąłem oczy, ku grzywie przypadłem,
I więzom moim dzięki, że nie spadłem.—
Koń mknął jak piorun:—bo z tyłu gromadą,
Ścigało wilków rozjuszone stado.—

W stepie nas jeszcze zajrzeli przed lasem,
I zewsząd z wściekłym opadli hałasem.
Koń przez ich środek przeleciał jak strzała,
A ślad w ślad za nim biegła ruja cała.—
„Nie mogąc dójrzeć, z obudwu wciąż boków,
Słyszałem w lesie trzask, szelest ich kroków;
I czasem tylko przez krzewy cieniste
Migał grzbiet bury, lub oczy ogniste.—
Lecz gdy las rzednieć zaczynał ku błoni,
I coraz bliżéj brzmiał czwał ich pogoni,
Podniósłszy głowę, spójrzałem z obawą.—
O strzał zaledwo pędzili się ławą,
Jak stado owiec, a chyżéj niż charty!—
Tak czy tak, czułem, że śmierć mię nie minie;
Lecz iść na pastwę bestyi rozżartéj—
Myśl ta straszliwa, w téj nawet godzinie,
Wszystkie me włosy zjeżyła na czole;
I wszystkie inne obawy i bole,
Umilkły przed nią.—Całe me nadzieje
Były z początku, że koń mój zwolnieje,
Że padnie w końcu;—teraz tylko o to
Drżałem, by nie padł;—i głosem, i ruchem,
Chciałem go, zda się, przeniknąć mym duchem,
I wzmódz mą siłą, i natchnąć ochotą,
By ujść przed rują!—Lecz strach mój był marny!
Koń, zda się, z trwogą, wziął i chyżość sarny.
I z mniejszym pędem, pieniąca się fala,
Z porohów Dniepru, w dół z góry się zwala,
Jak on wciąż pędził w niepojętéj sile—
Aż las i wilcy zostali się w tyle.

XIII.

„Lecim i lecim:—już blisko południa,
A krew mi ścięło jakby zimno grudnia,
I z nową mdłością przyszedł zawrót nowy.
Zwisłem w dół głową jak potok zimowy.
Brzemię mych cierpień złamało wytrwałość.
I gdy dziś jeszcze przypomnę ich całość:
Wstyd, wściekłość, rozpacz. strach i przerażenie,
Więzy i nagość, ból, głód i pragnienie,
I myśl o wrogach i mojéj zniewadze:
Dziwię się własnéj mocy i odwadze,
Żem zniósł to wszystko—a nie że na chwilę
Ciało duchowéj nie sprostało sile.
Wzrok mi się zaćmił, a członki bezwładne
Zwisły ku ziemi;—zdało się, że spadnę,
Ale nie!—mocno trzymały powrozy.—
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnéj zgrozy.
Ale wnet pamięć, i myśl, i pojęcie,
W jednym się mglistym zmięszały odmęcie.
Step, ziemia, niebo, i ja z niemi społem,
Zdały się szybkiém obracać się kołem:
Aż wzrok mój ciemna powlokła zasłona,
I w piersiach serca konwulsyjne drgania
Ustały nagle.—Człowiek co już kona,
Nie może mocniéj czuć chwili skonania,
Jak jam czuł wtedy.—Jak żeglarz w rozbiciu,
Na kruchéj desce. gdy hucząca fala

Niesie go, miota, głuszy i przywala,
W głąb szedłem zda się;—czułem żem był w życiu,
Lecz życie było jak sen gorączkowy,
Wątły, znikomy: a jednak się zdaje,
Że w nim przytłacza głaz ciężki, grobowy,
Co ni się ocknąć, ni spocząć nie daje.—
Jeśli przy śmierci są takie męczarnie,
Nie dziw, że przed nią natura się trwoży!—
Przy śmierci nawet może jeszcze gorzéj,
Nim wieczność całkiem człowieka ogarnie.—
Mniejsza! jam wtedy raz już oczy moje
Oswoił z śmiercią—toć i znów oswoję.

XIV.

„Jak długo trwały te mdłości—nie zgadnę:
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.
Przytomność piérwsza wróciła.—Gdzież jestem?
Czuję chłód jakiś:—serce się porusza,
Krew uderzyła—ożywia się dusza:
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.
Otwieram oczy—oglądam się—ciemno!
Koń parska—słyszę—lecz czy koniec jazdy?
Nie czuję biegu.—Spójrzę, aż pode mną
Woda—i w wodzie niebiosa i gwiazdy!—
Zamknąłem—znowu otwieram powiekę:
To nie sen!—rumak mój płynie przez rzekę.—
Wzdęta i bystra!—a rozlana fala,
Przed i za nami połyska się zdala;
Głąb wre i szumi: a my śród jéj prądu
Do nieznanego sterujem się lądu.—

Chłód świeżéj wody zbudził mię z omdlenia.—
Koń silną piersią porze nurt strumienia,
Parska—a piana, jak płachtami śniegu,
Posrebrza falę.—Dopływamy brzegu—
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni!
A gdzieby prędzéj, i jak lżéj umiérać:
Anim pomyślał, anim mógł wybierać.

XV.

„Zmokły, zziajany, z dymiącemi boki,
Trzęsąc się z zimna, koń na brzeg wysoki
Wspiął się, wyskoczył.—Przed nami równina,
Jak w nocy zajrzeć, zamglona i sina,
I w lewo, w prawo, w mdłém świetle miesiąca,
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca! —
„My lecim, lecim.—Czasem w mgle pozioméj
Miga coś biało; czasem się coś czerni,
Jak drzew gromada;—byłyżby to domy?—
Nic dójrzeć pewnie nie da blask znikomy—
Lecz sąż to sady, czy zarośle cierni?
Bo nigdzie żadne światełko zdaleka,
Żaden głos zniskąd nie wróży człowieka.
Ognik się nawet nie zerwie z pod ziemi,
By choć urągać przed oczyma memi.
Blaskby mi jego nowéj dodał siły!
Bo choćby nawet łudził mię—już dosyć
Byłoby dla mnie, gdybym mógł choć wnosić,
Że już tu przecie są ludzkie mogiły!—

XVI.

„Lecim wciąż naprzód;—lecz coraz i coraz
Słabieje konia moc nieokrócona.
Robiąc bokami i piersią, raz po raz
Utknie—i zda się upadnie, i skona.
I znów się wzmaga.—Dziécię go w téj porze
Wstrzymaćby mogło!...—Cóż mi to pomoże?
Nie mam rąk wolnych—a choćby i były,
Może już na to nie miałbym dość siły!—
„Ostatek jednak wytężam—azali
Nie zerwę więzów;—niestety! daremnie!
Powrozy tylko wpijają się we mnie,
I ból się zdwaja.—Koń daléj, i daléj,
Pędzi—lecz czuję, że chwieje się w pędzie,
Że musi upaść!—lecz cóż ze mną będzie?...—
A już od wschodu, u brzegu przestrzeni,
Piérwszy brzask świtu srebrzy się, rumieni —
Lecz jakże wschodzi powoli!
Jak tu noc długa! jak leniwe słońce!—
Wzywam go, czekam—jak mego obrońcę,
Jak kresu mojéj niedoli!—
I już, już coraz jaśniéj i czerwieniéj
Wschód się zajmuje, i smugi promieni
Buchają na niebios sklepie;—
I wnet krąg tarczy, napoły widomy,
Wyjrzał nad ziemię—i blask jéj poziomy
Piorunem strzelił po stepie.

XVII.

„Słońce pogodne—i tuman kłębami
Zwija się, wznosi;—przed nami, za nami,
Stepy, pustynia, równina jak morze!
Końca nie dójrzeć!—lecz w całym przestworze,
Nigdzie człowieka ni ręki, ni śladu.
Powietrze nawet bez głosu i ruchu:
Nigdzie śpiew ptaka, nigdzie brzęk owadu,
Szmer nawet wiatru nie ozwie się w uchu.
Cisza i martwość!—Koń milę po mili,
Dysząc, że zda się pierś pęknie co chwili,
Pędzi, i resztą tchu robi bokami.
A wciąż jesteśmy—lub zdajem się sami.—
„Wtém jedną razą, rozległ się po błoni
Głos jakiś cudzy:—czy to rżenie koni?
Czy wiatr w gałęziach widoméj dąbrowy?—
Nie, nie! to tentent—to tabun stepowy!
Widzę już, widzę, jak całe ich stado
Z lasu na pole wybiegło gromadą,
I wczwał, na przełaj, zabiega nam drogę!—
Chciałbym zawołać—probuję—nie mogę.—
Ziemia się wstrząsa od echa ich biegu.
Pędzą, jak jazda w bojowym szeregu.
Lecz gdzież są jeźdzcy?—Wglądam się zdaleka:
Koni jest z tysiąc—żadnego człowieka!—
Z grzywami na wiatr, podjąwszy ogony,
Chrapiąc nozdrzami, harcują w przegony.
Rzędy po rzędach, na stepów przestworzu,
Czernią się, huczą, jak fale na morzu,

I w całym pędzie mkną ku nam przez błonia.—
Widok ich, zda się, wzmógł moc mego konia.
Pomknął się, zarżał —i jak martwe brzemię,
Zachwiał się—zarył—i runął o ziemię.
„Z dymiącém nozdrzem, tocząc piany białe,
Leżał—i nogi wyciągał zmartwiałe.
Skończył swój zawód pierwszy i ostatni!—
Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni.
Patrzą się na mnie—zbliżają się—stają,
Parskną—odskoczą—i znowu wracają;
Znać że się dziwią i boją zarazem.—
A wtém—jak gdyby za danym rozkazem,
Wszystkie za jednym —znać wodzem ich stada,
Czarnym, roślejszym niż cała gromada,
Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta!
W chmurach kurzawy, co z pod nóg ich wzbita,
Z hukiem stu gromów, tłum w stepy ucieka,
Jakby z instynktu przed twarzą człowieka! —
„Jam został jeden—z rozpaczą w méj duszy,
Na martwym koniu, co już się nie ruszy,
I chcąc się z niego odwiązać daremnie!—
Chłód jego śmierci przenikał aż we mnie,
Razem ze straszną pewnością, że społem
Popiół mój z jego zmięsza się popiołem.—

XVIII.

„I tak od rana do późnego mroku,
Leżałem pastwą mych myśli natłoku;
Żyjąc jak na to, by okiem gasnącém
Z ostatniém mojém pożegnać się słońcem,

I zajść z niém razem—tylko że na wieki!—
Od wszelkiéj ludzkiéj pomocy daleki,
W saméj pewności straszliwego losu
Znalazłem siłę na zniesienie ciosu,
Przed którym serce i natura ludzi
Truchleją równie;—choć ich już nie łudzi
Świat; chociaż mdlejąc od pracy i znoju,
Nie chcą innego szczęścia—prócz pokoju,
Którego, wiedzą, że nie ma na świecie,
Że w grobie tylko znaleźć go;—a przecie,
Tak drżą przed grobem, i mijają kołem,
Jakby grób tylko był zdradzieckim dołem,
Co go się ustrzedz i uniknąć można,
Byle roztropność i baczność ostróżna!—
I śmierć—choć nieraz zwana głosem jęku,
Nieraz szukana z krwawym mieczem w ręku,
Śmierć, gdy się zbliży—w jakąkolwiek porę—
Człowiek w niéj zawsze obaczy potworę.

XIX.

„A jednak dziwna! że nieraz piastuny
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,
Co z wiecznym uśmiechem na czole i ustach,
Godują w świecie i toną w rozpustach,
Konają nieraz spokojniéj i śmieléj,
Od tych, co tutaj nic prócz łez nie mieli!—
Bo człowiek w szczęściu, któremu niczego
Nie brakło nigdy, i który wszystkiego
Słodycz i gorycz poznał po kolei,
Cóż ma do żądzy, i co do nadziei,

Prócz chyba przyszłych, niezmiennych radości,
Gdy mu je wiara zwiastuje w wieczności?
A bez nadziei i żądzy, cóż znaczy
Życie na ziemi?—Nieszczęśnik inaczéj.
Wtrącony w przepaść, z wszystkiego obrany.
On zawsze jakiéjś spodziewa się zmiany,
Ulgi, pociechy;—i choćby dlań w świecie
Śmierć była ulgą jedyną:—on przecie,
Widzi w niéj wroga, który mu w zawięzi
Chce owoc szczęścia strząść z rajskiéj gałęzi!—
Jutroby może był panem dostatku,
Otrząsł się z cierpień, podniósł się z upadku:
Jutroby piérwszém być mogło ogniwem,
W paśmie dni jego nowém i szczęśliwém,
Nagrodą długich i mąk i wytrwania;
Jutroby może dopiął panowania,
Władzy, potęgi; zawistnych prześcignął,
Starł nieprzyjaciół, przyjaciół podźwignął;
Od jutra może spodziewać się tyle —
Maż mu to jutro świtać na mogile?—

XX.

„Zachód już blizko:—jam leżał jak z rana,
Licząc minuty, aż śmierć pożądana
Przyjdzie ból skrócić i uśpić na wieki.—
Przez gwałt ku niebu podniosłem powieki,
I na powietrzu, między mną a słońcem,
Ujrzałem kruka—jak skrzydłem świszczącém
Krążył i krakał:—zdało się, że czeka,
By razem z koniem mógł żréć krew człowieka.

I coraz, coraz spuszczając się niżéj,
Coraz mię kołem oblatywał bliżéj.
W zmierzchu, widziałem, jak wisiał nade mną,
Świszcząc skrzydłami; a gdy już wpół-ciemno
Było na stepie—raz tak blizko z góry
Śmignął koło mnie—że szorstkiemi pióry
Rozwiał mi włosy i omusnął skronie.
Byłbym go schwytał, gdyby wolne dłonie! —
Lecz samo drgnienie przestrachu i zgrozy,
I skrzyp, co przez nie wydały powrozy,
I głos—jeżeli zwać głosem chrypanie,
Com ledwo z piersi wydobyć był w stanie—
Spłoszyły wreście krwiożercę.—
Co daléj—nie wiém;—tylko jeszcze jedno
Pomnę jak przez sen:—jakąś gwiazdkę błędną,
Jakieś światełko w iskierce:
Co gdzieś, daleko, przed mglistém spójrzeniem,
Migało bladym, niepewnym promieniem,
I przeświecało aż w serce.
I to, co w sobie w téj chwili doznałem,
Czując niknącą moc woli nad ciałem:
Jakąś mdłość, senność, lodowate mrowie,
Jakiś ból w sercu, jakieś iskry w głowie,
Coś nakształt trwogi dziecięcéj:
Coś nakształt myśli, że to jest konanie;
I znów ból, zimno, konwulsyjne drganie,
Westchnienie—i już nic więcéj!—

XXI.

„Budzę się—cóż to? czy jeszcze marzenie?
Czy wzrok mój ludzkie spotyka wejrzenie?—
Wkoło-ż mnie ściany wiejskiego mieszkania?
Toż-li węzgłowie miękkiego posłania?—
Jestże śmiertelnym, ten wzrok tak promienny,
Milszy mojemu od jasności dziennéj,
Co tak z czułością wpatruje się we mnie?—
Drżę, by się jeszcze nie łudzić daremnie.
Wytężam oczy, poglądam ciekawie —
Nie! to nie mara!—nie! widzę na jawie.
Młoda dziewica, kształtna i wysoka,
Siedzi opodal, nie spuszczając oka.
I gdy ujrzała żem odzyskał zmysły,
Czarne jéj oczy jak ogniem zabłysły,
I usta nagłym zadrgały uśmiechem.—
Powstawszy, ku mnie przybiegła z pośpiechem.
I widząc z ruchu ust moich, że chciałem
Przemówić do niéj, lecz głosu nie miałem:
Palcem na ustach, i wstrząsając głową,
Dała znak milczeć: bym niewczesną mową
Strzegł się nadużyć wracającéj siły,
Ażby się same powoli wzmocniły.
I rękę moję ująwszy swą dłonią,
Drugą węzgłowie podniosła pod skronią,
I ledwo stopą dotykając ziemi,
Poszła na palcach, krokami prędkiemi,
I stojąc w progu, przez drzwi wpół przemknione
Szeptała zcicha;—a słowa tłumione,

Rajskiemi dźwięki grały w mojém uchu. —
Patrzałem na nią—a ona bez ruchu
Postawszy chwilę—gdy widać uśpieni
Ci, których zwała:—wnet sama do sieni
Wyszła—lecz piérwéj, wyraźniéj niż słowy,
Twarzą i ręką dała mi znak nowy,
Bym był spokojny i czekał.—Gdy znikła,
Taka mię żałość objęła niezwykła,
Taka tęsknota:—że mi się zdawało,
Że życie za nią przez pół uleciało.

XXII.

„Wróciła z matką i ojcem kozakiem.—
Cóż mówić więcéj?—jako mię przed nocą,
Znaleźli w stepie z nieżywym rumakiem,
I z chrześcijańską śpiesząc się pomocą,
W dom swój przenieśli rękami własnemi —
Mnie—com miał kiedyś hetmanić nad niemi!—
„Tak ów okrutnik, co w swéj zemście ślepéj,
Chcąc zwiększyć boleść i męczarnie skonu,
Myślał, że na śmierć posłał mię na stepy,
Drogę mi tylko otworzył do tronu!—
Nikt z ludzi nie wié, co mu los przeznacza—
Lecz téż niech żaden darmo nie rozpacza!
Co dziś złém zda się, na dobre wyjść może. —

„I byle prędzéj ranne ujrzeć zorze,
I konie nasze pokrzepić noclegiem:
W czas staniem jeszcze nad Dniestrowym brzegiem!—

I wyznać muszę, że nigdy śród spieki
Jeleń się chciwiéj nie kwapił do rzeki,
Jak ja, by za nią ujść wrogów przemocy. —
Lecz dość już bajać.—Bracia! dobréj nocy!"—

Skończył—i dłonią ku słuchaczom skinął—
Pogłaskał konia, burką się obwinął,
I na posłanie, dla niego nie nowe,
Legł, o pień dębu opierając głowę,
I zasnął wkrótce jak śród Ukrainy.—
Lecz gdy się może dziwicie, dla czego
Król nic mu nie rzekł o powieści jego?
Przyczyna prosta!—Król spał od godziny.

KONIEC.

NIEBO I ZIEMIA.

DRAMA LIRYCZNE

LORDA BYRONA.

IGNACEMU CHODŹCE

NA PAMIĄTKĘ CHWIL TYLU, Z NIM I PRZEZ NIEGO MIŁYCH.

POŚWIĘCAM

A. E. O.

Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma Świętego, w księgach *Genesis*, w rozdziale VI.

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki: widząc synowie Boży córki ludzkie iż były piękne, wzięli sobie żony ze wszystkich, które obrali.

„A olbrzymowie byli na ziemi w one dni.

„A widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiéj na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas, rzekł: Wygładzę człowieka, któregom stworzył, z oblicznośei ziemi. i t. d.“

Poema to liczone słusznie do najcelniejszych utworów swego autora, odznacza się nadto od wszystkich innych dzieł jego, oprócz może „Manfreda,“ osobnym swym stylem i tonem; i to jest, co mię zwłaszcza skłoniło, że je do tłómaczenia wybrałem. Nie wiem jak czytelnicy moi, nawykli zapewne do okrągłego toku wiersza i śpiewnego odbijania rymów, zniosą w niniejszym przekładzie różną nieco jego budowę, i ciągłe prawie w dyalogu zacieranie się tychże. Nie uprzedzając wcale ich sądu, winienem wszakże oświadczyć, iż jedno i drugie uważałem właśnie za główny warunek zachowania charakterystycznych cech oryginału.

OSOBY.

RAFAEL, Archanioł.

AZAZIEL, SAMIASA, } Aniołowie.

NOE.

SEM, JAFET, } Synowie jego.

IRAD, przyjaciel Jafeta.

ANAH, AHOLIBAMAH, } Siostry, z rodu Kaimitów.

Chór Duchów. — Chór Ludzi.

Rzecz dzieje się przed potopem.

SCENA I.

Okolica górzysta i leśna w blizkości góry Araratu.— Północ.

Wchodzą ANAH I AHOLIBAMAH.

ANAH.

Ojciec nasz usnął;—siostro! oto pora
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam!—Patrz, jak dziś ta góra
Nawisła mgłami! jaki szum w opokach!...
Serce mi bije.

AHOLIBAMAH.

Kolej dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie!

ANAH.

Siostro! ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też—lecz tylko gdy myślę, że w Niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostro moja droga!
Nie wiém dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich;—niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem.—Wiész, Azaziela
Jak kocham—siostro! kocham więcéj może
Niż kochać wolno;—więcéj niż—o! Boże!
Cożem rzec chciała?—jaka myśl bezbożna!...

AHOLIBAMAH.

W czém jest bezbożność?—Miałażby być zdrożna
Miłość Aniołów? —

ANAH.

Lecz jest głos, co woła
W głębi méj duszy: że mniéj kocham Boga,
Odkąd ujrzałam blask jego Anioła!—
Nie! to nie dobrze!—nie! Aholibamah!
To nie jest dobrze!—i choć często sama
Nie wiém w czém grzeszę—ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużéj
Związkiem z duchami?—raz jedno wybieraj!
Jafet cię kocha—kochał od lat wiela—
Idź zań! prządź, pracuj, ródź proch, i umieraj!

ANAH.

Nie!—jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym—ja przecie

Równiebym zawsze kochała!— choć lepiéj,
Lepiéj że nie jest;—nie będę na świecie
Płakała po nim!—Jak mię ta myśl krzepi!
I gdy pomyślę, że przyjdzie czas, kiedy
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
I będzie wiecznie pomniał o mnie:—wtedy
Śmierć traci dla mnie swą postać straszydła.
Chciałabym umrzeć—i tylko drżę o to,
Że końca jego nie będzie rozpaczy,
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
Trawić się musi wiecznie!

Aholibamah.

Myśl więc raczéj,
Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie.

Anah.

Niechby tak było! byleby go ona
Kochała wzajem:—wolę, niż by po mnie
Płakać miał wiecznie.

Aholibamah.

Nie pojmuję ciebie!
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
Choćby sto razy był Aniołem w Niebie,
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki!—
Lecz śpiesz się, siostro!—czuję woń poranku —
Śpiesz się z wezwaniem—dzień już niedaleki!

Anah.

Serafinie!
W gwiazd krainie,
Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:
Czy wespoły
Z Archanioły
Przy Wiecznego czuwasz tronie:
Czy w przestrzeni nieskończonéj
Jasnych światów miliony
Wiedziesz nynie:
Serafinie!
Ja cię wzywam:—usłysz w Niebie,
Pomyśl o mnie—ach! przynamnie:
Żem choć niczém jest dla ciebie,
Tyś, Aniele, wszystkiém dla mnie!

Ty nie czujesz—ach! i oby
Nikt ich nie czuł, prócz mnie saméj!—
Tych łez trwogi i żałoby,
Co tu ludzie wylewamy.
Tyś syn chwały, co bez końca;
Twoja piękność—promień słońca,
Istność—duch nieskazitelny,
Niezrodzony, nieśmiertelny!—
Cóż równego znajdziesz we mnie,
Prócz miłości—co daremnie
Tłumiąc, czuję że zuchwała:
Jakiéj żadna z córek ziemi,
Ni doznała, ni oblała
Jak ja łzami rzewniejszemi?—

Tyś stróż tronu Tego, który,
Tak cię równie w blask swój odział,
Jak pomiędzy swemi twory
Mnie najlichszéj łzy dał w podział!—
Cierpię jednak, i nie winię
Na me losy, Serafinie!
Bo ty kochasz mię—pocieszysz,
Usłyszysz mię, i pośpieszysz!—
Pośpiesz, pośpiesz! bo czas płynie—
Mnie, nie tobie, Serafinie!
Mnie nie tobie chwila droga,
W któréj sercu grzech i trwoga
W każdéj chwili walczyć śmieją
Z mą miłością i nadzieją!—

Lecz przebacz jęk boleści!
Boleść jest żywioł ludzi.
Rozkosz u was się mieści,
Nas tylko sen jéj łudzi.—
Zstąp, zstąp! nim czas upłynie,
Luby mój, Serafinie!
Rzuć gwiazdy!—gwiazdy w Niebie
Świecić mogą bez ciebie:—
Ja biedna, ja nie mogę
Żyć nawet;—łzy i trwogę
Twój chyba wzrok ukoi.—
Zstąp, zstąp! niech twe przybycie,
Chwilą wieczności twojéj
Moje rozjaśni życie!

AHOLIBAMAH.

Samiaso! gdzie bądź w górze
Dzierżysz władzę: czy gromami
Zbrojny, toczysz bój z duchami
Nieczystemi, co w oporze
Śmią się mierzyć z Niezrównanym?
Czy za światem obłąkanym
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni,
Za wskazany tór i krańce
Wybiegł, i sam, i mieszkańce,
Jak my na śmierć przeznaczeni,
Lecą w przepaść wiecznéj zguby?
Czy to łącząc głos z Cheruby,
Których twoją gasisz krasą,
Śpiewasz Panu, co na Niebie?
Samiaso!
Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie!—
Inni niech ci biją czołem,
Ja nie będę; — lecz jeżeli
Dość ci na tém—zstąp! i społem
Duch twój z moim los niech dzieli!—

Chociam ja córka ziemi,
Ty syn promieni,
Jaśniejszych, niż któremi
Wschód się rumieni:
Nie możesz mi nic dać więcéj
Prócz uczucia—ni goręcéj
Czuć, jak czuję ja!—bo we mnie
Jest téż promień, choć ukryty,

Lecz zatlony tam, zkąd i ty
Blask swój wziąłeś!—I daremnie
Śmierć, pierwszego grzechu córa,
Grozi mi: ja się nie trwożę,
Nie!—czuję w sobie moc, która
Zwalczy śmierć!—Śmierć nas nie może
Rozłączyć — bośmy oboje
Nieśmiertelni!—W mojéj duszy
Czuję nieśmiertelność moję,
Potężniejszą od katuszy
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
W sercu mém, jak grom daleki,
Głos brzmi słowy proroczemi:
„Będziesz, musisz żyć na wieki!“—
Lecz czy w szczęściu?—nie wiém tego
Ani chcę badać wyroku,
Co skrył w tajemnic obłoku
Źródła dobrego i złego.—
On wié tylko, On, co w Niebie!—
Lecz On sam nawet nie może
Zniszczyć nas: ni mnie, ni ciebie!
Nie może—bo dał nam z Siebie
To, co wszelką moc przemoże:
Duch swój!—we mnie skazitelnéj,
Jak w Nim samym nieśmiertelny!—

Z tobą mogę bez bojaźni
Dzielić nawet wieczność kaźni,
Tak! boś ty się mógł ośmielić
Ze śmiertelną życie dzielić!—

I choćby mię żmije wkoło
Opasały:—choćbyś w żmiję
Ty się zmienił:—ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk, czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie,
I razem z tobą ponoszę!—

Samiaso! wzywam ciebie,
Czekam cię!—Lecz jeśli mniémasz,
Więcéj szczęścia doznać w Niebie,
Niż tu sprawisz, i otrzymasz—
Zostań!

ANAH.

Siostro! patrz do góry!
Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni!—
Pół nieba w zorzach się płoni!—
Widzę ich, jak po nad chmury
Jasnemi szybują pióry!...

ANAH.

Cóż, gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli, że wschód księżyca,
Co na klątwę zaklinaczy
Wszedł dziś wcześniéj i przyświéca.

ANAH.

Patrz, patrz! już są blizko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Śpieszmy!—obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się!—

ANAH.

Co za wspaniała
Jasność! jak łuna szkarłatu
Nad zachodem gorejąca!—
Patrz! nad szczytem Araratu,
Tęcza, jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,
Rozszerza się—jak na fali
Wzruszona z dna morska piana,
Ślad drogi Lewijatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyznie,
I w przepaści niezgłębionéj
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie!—
Lecz patrz, patrz! już coraz w zmierzchu
Ślad ich ćmi się i zagasa —
Patrz! już stoją na skał wierzchu!—
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa!

(wybiegają).

SCENA II.

Wchodzą IRAD I JAFET.

IRAD.

Nie płacz, bądź mężem!—po co między góry
Milczeniem swojém mnożysz ciszę nocy,
Lub tak ku gwiazdom wlepiasz wzrok ponury?—
Gwiazdy ci żadnéj nie dadzą pomocy.

JAFET.

Tak! lecz mnie cieszą.—Któż wié czy i ona
Nie patrzy na nie teraz?—Mnie się zdaje,
Że każda piękna istota stworzona,
Patrząc na piękność, piękniejszą się staje,
Na wieczną piękność rzeczy nieśmiertelnych.—
O! moja Anah!

IRAD.

Wszak nie kocha ciebie.

JAFET.

Ach!

IRAD.

Znam ja gorycz uczuć niepodzielnych.
Mnie téż jéj siostra odpycha od siebie.

JAFET.

Wiém i boleję nad tobą.

Irad.

Nie bolej!
Jeśli mię ona poświęca swéj dumie,
Moja téż duma jéj wzgardę znieść umie. —
Z czasem i na nią przyjść może taż kolej.

Jafet.

Czy się tém cieszysz?

Irad.

Ni cieszę, ni smucę.
Kochałem szczerze—kochałbym był szczerzéj,
Gdybym mógł mniemać, że wzajem ocucę
Miłość w jéj sercu;—lecz widząc że mierzy
Wyżéj—zostawiam ją jéj przeznaczeniu,
W które snać wierząc łudzi siebie sama.

Jafet.

W co wierząc?

Irad.

Wnoszę, czytam w jéj spójrzeniu
Że kocha.

Jafet.

Anah?

Irad.

Nie! Aholibamah.

JAFET.

Kogo?

IRAD.

Ja nie wiém; znasz, czy ją kto zbada!—

JAFET.

Anah to chyba kocha Boga w Niebie;
O to spokojny jestem.

IRAD.

Cóż ci nada,
Kogo bądź kocha? dosyć że nie ciebie.

JAFET.

Prawda, lecz ja ją kocham.

IRAD.

Jam téż kochał.

JAFET.

Jestżeś szczęśliwszym, żeś przestał, jak mniémasz?

IRAD.

Czyliż nim byłbym, gdybym jak ty szlochał?

JAFET.

Żałuję ciebie.

IRAD.

Mnie?—Czemu?

JAFET.

Że nié masz
W sobie już tego, co mnie w rozpacz wprawia.

IRAD.

Dziwnyś!—w tych słowach znać szał jéj przemawia.—
Wierz mi, Jafecie! za żadne nagrody
Czuć, co ty czujesz, nie chciałbym na chwilę;
Nie! choćbyś wszystkie ojca mego trzody
Zważył, i za nie dał mi syklów tyle *),
Owego kruszczu potomków Kaima,
O którym plemię ich tak wiele trzyma,
Że nas chce przezeń wciągnąć w handel z niemi:—
Jakby za podły piasek, wyrzut ziemi,
Za żółty proszek, co z wierzchu migoce,
Warto dać w zamian chleb, wełnę, owoce,
Lub inne rzeczy, któremi nas praca
Rąk naszych, albo natura zbogaca!—
Lecz pójdź, Jafecie! dość patrzeć na chmury,
I przeraźliwie wzdychać, jak wilk, który
Patrząc na księżyc całą noc wyć gotów.—
Ja idę spocząć.

JAFET.

Szczęśliwy, kto może!—
Bądź zdrów!

---

*) Waga dawna hebrajska.

IRAD.

Nie wracasz ze mną do namiotów?

JAFET.

Nie!—pójdę jeszcze do jaskini w górze,
Przez którą, mówią, że duchy z pod ziemi
Wychodzić zwykły na świat.

IRAD.

Cóż ci do niéj?

JAFET.

Miejsce to zgodne z myślami mojemi:
Żal dziki w dzikiéj zmniejsza się ustroni.

IRAD.

Ale czyż nie wiész, jakie o téj dobie
Widma, jak mówią, wstępu do niéj strzegą? —
Ja pójdę z tobą.

JAFET.

Zostań, dzięki tobie!
Nie mam złych myśli, nie boję się złego.

IRAD.

Ale złe duchy tém więcéj ci mogą
Szkodzić, żeś nie jest z niemi.—Weź mię z sobą,
Lub zostań ze mną!—nie gardź mą przestrogą!

JAFET.

Nie! sam iść muszę.

IRAD.

A więc pokój z tobą!
(odchodzi).

Jafet *(sam)*.

Pokój!—szukałem go gdzie znaleźć mogłem,
W miłości—sercem, co jéj warte było.
Cóż ztąd?—daremnie siły duszy zmogłem,
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,
Oto są całe mych starań owoce!—
Pokój! gdzież pokój?—w martwości zniszczenia?
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
Stopą nietknięty, innego odgłosu
Nie zna prócz burzy, gdy go ta druzgota?
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota.—
Świat zabrnął w zbrodnie;—głuchy na głos Boga,
Nie wié o gniewie Jego, ni o zmianach
Strasznych a blizkich;—daremna przestroga
Gróźb i złowieszczych wróżb!—O! moja Anah!
Gdy przyjdzie straszna godzina, że morze
Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,
I wpadnie na świat:—jakbyś ty w téj porze
Ujść mogła zguby! i po nad zwaliska
Świata, objęciem mojém osłoniona,
Po świat niszczących bujać oceanach!
Świat mój byłby w twém sercu, a obrona
Twoja, w miłości mojéj!—Moja Anah!
Gdybyś ty chciała być moją!—Daremnie!
Serc snać i losów nikt zmienić nie może.
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
Teraz i wtedy, gdy już ty...—O! Boże!

Nad nią przynajmniéj zmiękcz srogość wyroków!
Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
Czysta jak gwiazda, co choć w mgle obłoków,
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi!—
O! gdybyś była moją! lub przynamnie,
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
Jedną przynajmniéj zbawić mógł!—nie dla mnie —
Nie!—byleś żyła:—gdy ocean będzie
Mogiłą ziemi, i tych, co dziś żywi
Pchną ją do zguby:—a jego jedyny
Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
Nie spotykając ni skał ni mielizny,
Sam Lewijatan z przestrachem się zdziwi
Nieskończonością swych państw i ojczyzny!
(odchodzi).

SCENA III.

Wchodzą NOE I SEM.

NOE.

Kędyż jest brat twój Jafet?

SEM.

Wyszedł w pole,
Zejść się, jak mówił z Iradem... Lecz pewnie
Błądzi, jak co noc, w swém zaklętém kole,
Wkoło namiotu Anah, kwiląc rzewnie,
Jak ptak nad pustém gniazdem; albo może —
Z czém, wiém, że nie rad powierzać się bratu —

Poszedł, jak nieraz, o północnéj porze
Dumać w jaskini śród skał Araratu.

NOE.

Po co on do niéj? Na całym złym świecie,
To miejsce jest najgorsze; bo w niém duchy
Gorsze od ludzi goszczą.—O! Jafecie!
Czemużeś wybrał, na głos ojca głuchy,
Niewiastę, któréj, choćbyś był kochany,
Pojąćbyś nie mógł?—Ach! serce człowieka!...
Gdy syn mój własny, wraz ze mną wybrany,
Znając złość świata i los co go czeka,
Mógł tak daleko zabrnąć i niepomnie!—
Pójdźmy go szukać.

SEM.

Ojcze! nie idź daléj!
Ja go sam znajdę.

NOE.

Nie lękaj się o mnie!
Kogo Pan wybrał, nad tym nie uczyni
Nic moc piekielna!—Będziem go szukali.
Pójdź!

SEM.

Do obozu sióstr?

NOE.

Nie! do jaskini.
(odchodzą).

SCENA IV.

Góry—jaskinia—skały Araratu.

JAFET *(sam).*

Dzikie pustynie! lochy, co się zdacie
Bez dna i granic! i wy dumne góry!
Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
I tak wspaniałe w swéj krasie ponuréj:
W płaszczach z mgły białéj, lub w zielonéj szacie
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
Czołem wiejących! Któżby waszéj sile
Nie ufał? w wieczne nie zawierzył trwanie?—
Przecież za kilka dni—może za chwilę,
Może w téj chwili—cóż z was pozostanie?
Gruz!—czcze igrzysko wód! co te otchłanie,
W piekieł aż zda się idące głębiny,
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
Miał lew, skaczące naniosą delfiny!—
A ludzie—ludzie! bliźni, bracia moi!
Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
Jednym was wszystkich grobem—gdy was w swojéj
Głębi pochłonie morze—z łzawém okiem
Wspomniał przynajmniéj o was?—Przyjaciele!
Ziomkowie moi! jestżem ja tak wiele
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
Przeżyć was muszę—wszystkich!—ach! i wiecznie

Tęsknić i płakać po was?—O! ty świecie!
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
Wyjdziesz znów z grobu?—Gdzież wtedy będziecie
Miejsca rozkoszne! gdziem marzył o Anah,
Gdym się spodziewał serca jéj: lub one,
Dzikie, lecz niemniéj miłe mojéj duszy,
Jaskinie, lasy, gdziem łzy niedzielone
Lał na jéj srogość, lubując w katuszy?—

(Patrząc ku górze).

Być-że to może, aby ten szczyt skały,
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje darły,
Co sam jak gwiazda lśni śród gwiazd—by wały
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:
Że jutro może zadziwione słońce
Próżno go jasném szukać będzie okiem,
By jak dziś, naprzód na jego wysokiém
Czole, zwyciężać noc i jéj mgły śpiące:
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni
Zawieszać na nim: by nad światem wzbity,
Jak lampa świata świecił się w przestrzeni,
I zstępującym Aniołom swe szczyty
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy zesłani
Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani?—
Być-że to może, ażeby te słowa,
Straszne, okropne słowa: „już go nié ma!“
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
I wszystkich rzeczy—prócz tych, co Jehowa

Rozkazał w arce zbawić ojcu memu?—
Możeż on zbawiać co chce? a jaż czemu
Nie mógłbym zbawić jednéj—co bez zmazy,
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?...
Nie miałbym zbawić jéj—gdy sprośne płazy,
I zjadłe żmije z towarzyszmi swemi
Ujść mają zguby—by i przyszłą ziemię
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
Syczeć, i kąsać, i w grząskich bagniskach
Czołgać się, które na świata zwaliskach
Długo stać będą i dymić—aż w końcu,
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,
Razem mogiła i pomnik grobowy
Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
Miryad żyje—a jutro, za chwilę,
Tyle miryad umrze?—O! ty świecie!
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
Życia i krasy! Jak ja kocham ciebie!
Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
I krótkie chwile twoje!—Nie mam mocy
Ratować ciebie, jak i Jéj nie mogę,
J éj—co najbardziéj wiąże mię do ciebie:
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę
Czuć tylko muszę—jakich od stworzenia
Żaden nie doznał i doznać nie może,
Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia
Wiém straszną przyszłość, i sam w lada porze,

Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie!—
O! Boże! mógłżeś?...—

(Łoskot w jaskini i śmiechy.—Duch przelatuje).

JAFET.

W imie JEGO!
Kto tu?

DUCH *(śmieje się).*

Cha. cha, cha!

JAFET.

W imię Wszechmocnego!
Mów, ktoś jest?

DUCH *(śmieje się).*

Cha, cha!

JAFET.

Przez potop i ziemię,
Co ma być pastwą morza! przez głąb, z której
Morze się wyprze! przez niebo, co brzemię
Chmur swoich zrzuci i zaleje góry!
Przez TEGO, który
Stworzył i zniszczy świat ten poziomy!
Ty nieznajomy!
Ty niewidomy!
Duchu nieczysty! mnie nie ustracha
Śmiech twój szyderczy!—Czego się śmiejesz?

DUCH.

Czego łzy lejesz?

JAFET.

Nad ziemią, i nad jéj dziećmi.

DUCH *(odlatując)*.

Cha, cha, cha!

JAFET.

Jak duch nieczysty urąga z rozpaczy
I żalu mego! jak się cieszy z końca
Nieszczęsnéj ziemi!—nad którą krąg słońca
Wejdzie, i nigdzie życia nie zobaczy!—
Jak cicho wkoło!—Ziemia śpi—i ludzi,
I wszystkie twory sen objął—jak cichy,
Jak snać spokojny!—i może ich łudzi
Długą przyszłością szczęścia, chwały, pychy!...
Cóż, gdy się zbudzą i ujrzą śmierć?...

(Łoskot w jaskini).

Kto tu?
Kto? mów! co w nocy czając się zakryciu,
Szepcesz i migasz tylko jak śmierć w życiu?—
Mów! bo się twego nie boję łoskotu!

(Duchy wylatują z jaskini).

JAFET.

Co za szum!
Z dołu i z góry,
Co za tłum!
Lecą jak chmury!

CHÓR DUCHÓW.

Radość nam!
Ohydne plemię,
Z rajskich wygnane już bram,
Że dało zwieść się nam,
Że chciało zrównać nam,
Mądrością bez naszéj mocy:
Traci nynie
I tę ziemię,
I téj nocy
Całe plemię
Zginie, zginie!
Radość nam!
Nie czas ich, nie nędza, nie mór, nie żelazo,
Nie troska po jednym wydusi;
Wszyscy za jedną razą,
Co żyje, zginąć musi!—
Świat i lud
W głębi wód!
Dziś ich ostatni wschód!—
Cha, cha! tak chce ON sam!
Tryumf nam!
Ocean z swoich tam

Wyjdzie i zajmie glób,
Ich świat, ich tron, ich grób,
Jak oni, trup!—
Cha, cha! będziem słyszeli,
Ich jęk, i ryk topieli,
Lecącéj z wszystkich stron:
Cha, cha! ujrzym ich zgon!
I dzień, gdy ich nie będzie!—
Śmierć wszędzie!
I nigdzie tchnienia, prócz wichrów zhukanych,
I nigdzie ruchu, prócz fal rozdąsanych,
I nigdzie nawet wierzchołka skał,
By ku nim Anioł zstąpić gdzie miał,
By pomoc dał:
Cha, cha! niechajby chciał!
Lub niechby tam sami z rozpaczą się wdarli,
By widzieć, co wszędzie
Na ziemi:
By widząc jak drudzy, jak wszyscy wymarli,
Przeczuwać, co będzie
I z niemi!
Cha, cha! mieć będziem dość!
Potop—śmierć—czczość—
To świata gość!
Z południa na północ, z zachodu na wschód,
Nic prócz wód!
Od końca do końca, od dołu do szczytu,
Nic oprócz obłoków i fali błękitu!...
Świat barw, pstry w różny wzór,
Kwiat łąk, cedr gór,

Dąb, i skał zrąb,
Pochłonie głąb!—
Któż widząc zgadnie
Co znikło na dnie
W jéj toni?
Komu da dociec,
Albo odsłoni,
Ten, co sam władnie,
Co będzie po niéj:
Świat? złom?—
Kto się ośmieli
Na jéj topieli
Wznieść dom?

Jafet (*występując*).

Mój ojciec!
On z swą rodziną!—
Nie ludzkie plemię,
Źli tylko zginą,
Co każą ziemię:
To Pański sąd! —
Słyszycie? precz więc ztąd!
Sprośni szatani!
W przepaść otchłani
Precz w wieczną noc!
W Nim, nie w was moc
Karać za grzechy
Świat nasz i nas;
Czcze wasze śmiechy!
Waszéj pociechy
Nie przyszedł czas!—

Precz więc, precz do swych jam!
Aż was i tam,
Potop dosięże,
I jako węże
Na wierzch wypławi:
Byście noszeni
Wiatrem w przestrzeni,
Czuli moc Pana,
Co starł szatana,
A nas choć skarał—wybawi!

Duch.

Synu Noego!
Gdy ty z rodziną,
Jedni z całego
Rodu waszego
Ujdziecie żywi,
Gdy wszyscy zginą,
Będziecież lepsi albo szczęśliwi?—
Nie!—nowy świat i ludzie,
W grzechu i trudzie
Jak dziś żyć będą: lecz pośledniejsi,
Słabsi i mniejsi
Od tych olbrzymów, co dziś zuchwale,
Dumni w swéj chwale,
Depcą tę ziemię:
Aniołów plemię
Z matek ziemianek;—wy ich dziedzice,
Prócz téj różnice,
Weźmiecie tylko po nich—trosk brzemię.

Czyż się nie będziesz rumienić,
Sam jeden na wszystkich grobie,
Jeść, pić, zalecać się, żenić,
I płodzić proch równy sobie?
Z sercem tak nizkiém, z tak bezwstydném czołem,
Że na sam obraz takiego zniszczenia,
Nie masz dość męztwa ni żalu, by społem
Chcieć zginąć raczéj, niż szukać zbawienia!
Któżby chciał przeżyć wszystkich braci swych?
Kto? prócz głupich lub złych? —
My nienawidzim was,
Bo ród nasz różny od siebie:
Lecz patrzaj! każdy z nas
Wyrzekł się tronu w Niebie,
Raczéj, niż żeby obojętny świadek,
Patrząc na braci upadek,
Lękał się z nimi podzielać męczarnie! —
Idź, nędzny! żyj i giń marnie!
A gdy świat potop ogarnie,
Tak, że ON nawet spójrzawszy na ziemię,
Wezdrgnąć się musi nad woli swéj czynem:
Gardź ojcem swoim, że przeżył swe plemię,
I sobą, żeś jego synem!

Chór Duchów (*wylatując z jaskini*).

Śpieszmy się, cieszmy!
Dziś nasz czas!
Śmiertelnik podły
Swojemi modły
Nie spłoszy nas!

Nie będzie czcił,
Proch, pył!
A my, co nigdy nie czcili
Tego, co tak chce czci,
Że zwłokę jednéj chwili,
Wiecznością kary mści:
My, my obaczym wyparcie się toni,
Aż jeden żywioł czynić będzie dzieło
Wszystkich w chaosie.—A oni, a oni!
Czcze zlepki gliny, dumni z swéj nicości,
Którym się niebo osiągnąć pragnęło,
Zginą!—a wiatrem rozwiane ich kości,
Bielić się będą po mrocznych przepaściach,
Po niedostępnych gór i skał urwiskach,
Gdzie głąb w swych coraz srożejąc napaściach,
Ścigać ich będzie w ostatnich łożyskach;
Gdzie nawet dzikie bestye w popłochu
Zbędą srogości, jak w pierwszych dniach świata,
I przy jagnięciu tygrys w tymże lochu
Kryjąc się legnie, jakby obok brata,
I zginą razem;—aż znów wszystkie rzeczy
Będą jak były: martwe, niestworzone,
Prócz niebios w górze!—którym niech złorzeczy
Ten, co zostanie: gdy z nim przymuszone
Zawrze sojusze śmierć;—śmierć, co ocali
Tę błahą resztkę dawnego stworzenia,
Na przyszły zasiew żniw swych;—i gdy słońce,
Z osiadłych mułów potopowéj fali,
Wypiecze nowy świat:—z tego nasienia
Wzejdą dla czasu nowych lat tysiące,

Nowe istoty, i dawne cierpienia,
Zazdrość, nienawiść, praca i niewola.
Aż póki...—

Jafet *(przerywając).*

Przedwieczna Wola
Nie wytłómaczy ludziom snu tego,
Powikłanego dobrego i złego;
I pod wszechmocnéj skrzydło opieki,
I wszystkie wieki,
I wszystkie rzeczy,
I ród człowieczy,
Wziąwszy, odkupi—i moc piekielną
Zwalczy na wieki!
I pokutnicy, ziemi skruszonéj,
Jéj pierworodny wdzięk przyrodzony,
Raj nieskończony,
Wróci, z litości nad skazitelną;
Gdzie człek, czcząc w sobie duszę nieśmiertelną,
Nie zdoła więcéj jak niegdyś przewinić,
Gdzie zły duch nawet będzie dobre czynić!

Duch.

Cha, cha! i kiedyż to cudo nastąpi?

Jafet.

Gdy Zbawca zstąpi!
Naprzód w ubóstwie,
A potém w chwale.—

Duch.

Tymczasum w mnóstwie
Nędz swych, zuchwale
Klnąc tylko na nie, cierpcie nikczemnie,
Aż świat wasz w proch się rozwieje!
Walczcie z sobą, i z Niebem, i z piekłem—daremnie,
Aż niebo poczerwienieje
Od krwi dymiącéj z waszych bitew pola!—
Zmienią się czasy, rzeczy, kraje, ludy,
Lecz pozostaną bez nowéj pociechy,
Też same grzechy,
Łzy, troski, trudy,
Zbrodnie—i matka ich: wasza zła wola!—
Też same burze
Serc, jak w naturze
Wichry i gromy,
Szaleć w was będą; i ten poziomy
Świat wasz i plemię
Pochłoną—jak potop ziemię!—

Chór Duchów.

Cieszmy się, duchy!
Śmiertelny! bądź zdrów!—
Słyszym już, słyszym, jak wałów szum głuchy
Wzmaga się, rośnie, jak ryk głodnych lwów.
Wichry, jak orły, podnoszą swe pióra,
Każda swe źródła napełniła chmura,
W dole i w górze,
Niebo i morze

Otwarły swoje upusty;—a ludzie!
Ślepi, jak byli
Od pierwszéj chwili,
Trwają w ułudzie!
Nie widzą znaków złowieszczych; nie słyszą,
Co my słyszymy: po nad ziemską ciszą
Gromadzących się gromów; jak z obłoku
W obłok przechodzą, i hasła wyroku,
Na wpół zatlone, czekają—i drzemią.
Płacz, płacz! o! ziemio!
Grób twój jest bliższy, niż niedawna jeszcze
Kolebka twoja!—Drżyjcie! o! wy góry!
Chwila wybija—gdy morze i deszcze
Szczyt wasz zaleją; a morskie potwory,
Poziome płazy, i konchy ślimaków,
Czepiać się będą, gdzie dziś króle ptaków
Gniazda swe ścielą!—O! jakże zakraczą
Z żalem, z rozpaczą:
Spłoszone same, i próżno do góry
Zwąc swe pisklęta nieodziane pióry.
I słysząc tylko z ich krzykiem pospołu
Szum fal rosnących!—a człowiek od dołu
Patrzając na nie, zazdrościć im będzie
Skrzydeł szerokich—niezdatnych im na nic!
Bo gdzież je zwiną? kiedy tylko wszędzie
Śmierć i grób—woda—bez dna i bez granic?

Cieszmy się! tryumf nam!
Z przepaści jam
Do chmur,
Radośny wznieśmy chór,

Nad ruiną
Świata tego!—
Wszyscy zginą!
Prócz jednego,
Szczepu Seta pokolenia,
Zbawionego od zniszczenia,
Na cierpienia!
Lecz ród Kaima,
Olbrzym w olbrzyma,
Lecz córki jego, chlubne urodą,
Zalegać będą martwe pod wodą,
Lub na wznak na niéj—z rozpuszczonemi
Włosy długiemi,
Martwém obliczem będą się żalić
Na srogie Nieba: co ich ocalić,
Co nie raczyły mieć w swéj obronie,
Istot tak nawet pięknych po zgonie!—
Darmo! ON, Przeznaczenie,
Co rzekł, nie przeinaczy;
I po ogólnym jęku rozpaczy,
Ogólne śmierci milczenie
Ogarnie ląd! —

Nam czas, czas lecieć ztąd!
Świt się już bieli,
Mgły nocne bladną.
Lećmy weseli!
Nim słońce strzeli,
Ujrzym, jak zbladli
Iść będą na dno
Wściekłéj topieli!—

Myśmy upadli,
Oni upadną!
Lećmy weseli!

(Duchy wznoszą się w górę i znikają).

JAFET *(sam).*

Bóg sam obwieścił przeznaczenie ziemi,
Enoch niém groził w księgach *), których słowa,
Jak gromy w chmurze, grzmią po nad grzesznemi;
I rady ojca mego, i budowa
Arki Przymierza, i same złe duchy,
Czyniące z naszych klęsk urągowiska,
Głoszą je światu—a świat jak był, głuchy,
Wprost leci w przepaść; co choć już tak bliska,
Tak nieuchronna: zatwardziałéj duszy
Ludzi nie wzrusza—jak jęk ich nie wzruszy
Sprawiedliwości Boga, i wylewu
Wód, spełniających dzieło jego gniewu!—
Jak cicho wkoło! na całéj przestrzeni
Nie widać jeszcze żadnych groźnych znaków;
Brzask, jako zwykle, tli się, i rumieni
Chmury, strzegące swoich zwykłych szlaków.
I słońce wkrótce po nad dniem zniszczenia
Wejdzie—jak weszło w czwartym dniu stworzenia,

---

*) Księgi Enocha, zachowane u Etyopczyków, miane są przez nich za przedpotowe.

Gdy Stwórca rzekł mu; „świeć!“ i zaświeciło—
Nie ludziom jeszcze—ale obudziło
Słodszy od głosu ludzkiego, głos ptaków:
Co jak Anioły, swobodnemi pióry
Wznoszą się w niebo, i jak oni sami,
Łącząc swe pieśni w napowietrzne chóry,
Dawcę dnia, codzień witają przed nami!—
I oto chwila—gdy śród chmur i lasu
Pieśń ich wnet zabrzmi; i jasny krąg słońca
Wejdzie, nieświadom tak bliskiego końca
Istot, które ożywia, ani czasu
Który im mierzy!—Ptaki z wdzięcznym głosem,
Nócąc, zapadną w głąb bez dna i brzegu;
Słońce, po jasnym krótkich dni obiegu—
Ha! wejdzie!—ale nad czém?—nad chaosem,
Co był przed czasem, i dziś przed obliczem
Słońca odrodzon, czas znów czyni niczém.—
Bo czas bez życia, cóż jest?—nicość! sprzeczność!
Czas dla stworzenia jest tém, czém jest wieczność
Dla Stworzyciela—co sam nieskończony!
Wieczność bez Niego, stałaby się czczością;
Czas bez człowieka, dla niego stworzony,
Kona z człowiekiem;—i równie wiecznością
Pochłonion zginie—jako ludzkie plemię
W bezdennéj głębi wód chłonących ziemię!—
Ktoś idzie?—ludzie, czy niebieskie duchy?—
Jak piękne!—twarzy nie widzę—lecz ruchy,
Lecz ich postaci na tle czarnéj góry!—
Idą w mgle, jakby płynęły!—Po sprośnych
Duchach, co wiążąc swe piekielne chóry,

Z łez méj boleści, szyderczemi śmiechy,
Tryumfowały w urąganiach głośnych:
Widząc ich, czuję jak promień pociechy!—
Któż wié, czy nawet—o com razy tyle
Błagał za światem:—czy nie niosą może
Wyroku łaski, zwłoki—choć na chwilę —
Na chwilę skruchy i żalu?—O! Boże!
To Anah!

SCENA V.

Wchodzą SAMIASA *), AZAZIEL, ANAH I AHOLIBAMAH

ANAH *(postrzegając Jafeta).*

Jafet!

SAMIASA.

Adamita!

AZAZIEL *(do Jafeta).*

Po co,
Zkąd tu przyszedłeś? sam, tak późną nocą,
Gdy bracia twoi śpią wszyscy?

JAFET.

Aniele!
Cóż mi odpowiesz, gdy się wzajem ciebie
Twojemi słowy zapytać ośmielę:
Po coś jest tutaj, gdyś powinien w Niebie?

*) Czyt. *Samijasa.*

AZAZIEL.

Cóż to? nie pomnisz? nie wiész, że w podziele
Na nas przypadło, mieć w straży twe plemię
I świat?

JAFET.

Nie dzisiaj!—gdy występną ziemię,
Nie tylko dobre duchy, co ją strzegły,
Ale złe nawet z przestrachem odbiegły,
Wiedząc o strasznych i blizkich jéj zmianach.
Wy tylko jedni...—Anah moja! Anah!
Tak próżno, chociaż tak długo i stale
Kochana przez mię! po coś ty tu z niemi,
Gdy żaden dobry duch nie jest na ziemi?—

ANAH.

Jafecie! nie śmiem mówić—ale, ale...
Przebacz mi!

JAFET.

Obyć przebaczono w Niebie,
Gdy już przebaczać nie będą nikomu!—
Bo w błąd cię wiodą.

AHOLIBAMAH.

Dość! precz ztąd do domu,
Dumny proroku! nie chcemy znać ciebie.

JAFET.

Przyjdzie czas może, że mię poznasz lepiéj,
A siostra twoja pozna, jakim byłem
Dla niéj, i dla was:—gdy głusi i ślepi
Posłyszą—ujrzą—pojmą, co mówiłem.

SAMIASA.

Słuchaj mię, synu Patryarchy? który
Czysty był zawsze przed Bogiem! Zkąd w tobie
Gniew, jakby ku nam, i żal tak ponury?
Czémeśmy mogli, ja lub on, w téj dobie
Krzywdę ci zrobić?

JAFET.

Krzywdę! ach! i jaką!—
Ale nie!—Czuję, że choć równie ze mną
Stworzona, równie śmiertelna: wszelako
Nie wart jéj byłem, i nigdy wzajemną
Miećbym jéj nie mógł.—Anah! bywaj zdrowa!
Nieraz z ust moich słyszałaś te słowa,
Lecz dziś ostatni raz słyszysz.—Anieli!
Lub ktobądźkolwiek jesteście! o jedno
Pytam was tylko: czy będziecie chcieli,
Czy macie władzę, przed zgubą niezbędną,
Zbawić ją—zbawić obie?

AZAZIEL.

Jaką zgubą?

JAFET.

Cóż to? nie wiecie? Czyliżbyście mieli,
Dzieląc grzech z ludźmi, dzielić téż ich grubą
Ślepotę i jéj karę? lub przynamnie
Smutek mój? —

SAMIASA.

Smutek?—Mógłżem wróżyć sobie,
By proch miał mówić zagadkami dla mnie?

JAFET.

Jeśli ich Pan twój nie rozwiązał tobie,
Biada wam! i im z wami!

AHOLIBAMAH.

Niech tak będzie!
Jeśli kochają, tak, jak są kochani,
W nas znajdą Niebo—byle z nami wszędzie,
Jak my je z nimi znajdziem—choć w otchłani!

ANAH.

Ach! siostro, siostro! nie mów tak!

AZAZIEL.

Dla czego?—
Boisz się przy mnie?—

ANAH.

Ach! o ciebie tylko!
Bo chętnie resztę szczęścia śmiertelnego,
I życia oddam, byle smutną chwilką
Nie zaćmić nigdy twéj wieczności koła!

JAFET.

Toż więc dla niego? tak jest! dla Anioła,
Zrzekłaś się, widzę, serca Adamity!—

Ale to mniejsza!—byleście, on i ty,
Wzajem dla siebie nie zrzekli się Boga!
Bo przed Nim związki duchów z śmiertelnemi
Nie znajdą łaski; bo cel nasz i droga
Różne są od ich:—nam praca na ziemi,
I śmierć; im Niebios gwiazdziste pobyty,
Rozkosz i wieczność!—Biadaż! jeśli niemi,
Wzgardzą dla prochu! a proch w dumę wzbity,
Dla nich, zalśniony promieniem ich czoła,
Zapomni Boga!—Lecz jeśli cię może
Anioł ten zbawić:—zostań z nim w téj porze,
Gdy moc niebieska chyba zbawić zdoła.

Anah.

Ach! on nam wróży śmierć!

Samiasa.

Śmierć?—nam śmierć wróżyć,
Lub tym co z nami?—Gdyby nie łzy twoje,
Śmiertelny! śmiać się musiałbym, nie trwożyć.

Jafet.

Śmiej się!—O siebie ja téż się nie boję,
Ani nad sobą płaczę!—jam bezpieczny:
Nie dla mych zasług—lecz dla cnót rodzica,
Co prosty w drogach życia, i stateczny
W wierze przed Panem, sprawił, że prawica
Jego dziś z nami.—Lecz oby wam dano
Moc zbawiać drugich!... lub gdybym zamianą

Życia mojego za Jéj—która sama
Wiąże mię tylko do życia—mógł dla Niéj,
Najniewinniejszéj z wszystkich cór Adama,
Okupić miejsce w arce, gdy wybrani
Synowie Seta wejdą w nię!...

Aholibamah.

Zuchwały!
Toż więc śmiesz mniemać, że my, krew Kaima,
Pierworodnego w raju; że my córy
Takiego ojca: że mybyśmy chciały
Mięszać się z wami? ze krwią Setą? który,
Ostatni owoc skrzepłéj krwi rodziców,
Dziedzic ich tylko tułatwa i hory,
Tak z ojcem naszym nic wspólnego nié ma,
Jak raj z tym światem: jak wdzięk naszych liców
Z wdziękiem cór waszych: albo jak postaci
Młodzieńców naszych, z wzrostem twoich braci?
Nie! nigdy, nigdy! chociażby od tego
Zależeć miało ocalenie świata!—
Ród nasz był zawsze zdala od waszego:
Wszystko nas dzieli—strach pewno nie zbrata.

Jafet.

Aholibamah! przecz się wzruszasz gniewem?
Nie z tobą mówię.—Zbyt wiele z Kaima
Wzięłaś z krwią jego, coć tak w pychę wzdyma,
Jakby ją wsławił bratniéj krwi rozlewem!—
Ale ty, moja Anah!—Zwę cię moją,
Choć nią nie jesteś!—ach! bo z tym wyrazem

Rozstać się wtedy—gdy i z tobą razem
Rozstać się muszę—nie śmiem;—lecz na twoją
Litość się spuszczam, że mi to przebaczy.—
O! moja Anah! ty, którąby raczéj
Zwać córką Abla; takeś niepodobna
Do cór Kaima; chyba że nadobna
Licem jak one!

AHOLIBAMAH.

Dość niewczesnéj mowy!
Chcesz jak wąż w raju, pochlebnemi słowy,
Przelać w jéj duszę jad, co płonie w twojéj.—
Ja, gdybym miała podzielać twe zdanie,
Gdybym myślała, że w niéj, siostrze mojéj,
Jest coś z krwi Abla!...—Lecz precz ztąd, szatanie!
Kusisz mię!—kłótni szuka twoja zawiść.

JAFET.

Córko Kaima! zazdrość i nienawiść
Kaim wszczął piérwszy.

AHOLIBAMAH.

Kaim nie był wrogiem
Ojca twojego; nie zabił mu synów.
Przecz chcesz być sędzią innych jego czynów,
Które są tylko między nim a Bogiem?—

JAFET.

Prawda! zbłądziłem. Pan go sądzić będzie.—
Anibym mówiąc wspomniał, że przewinił,

Gdybyś się sama, w gniewnych słów zapędzie,
Nie zdała chełpić z czynu, co uczynił;
A nawet...—

AHOLIBAMAH.

On jest ojcem ojca mego,
Syn pierworodny sił ludzkiéj natury,
Przed jéj upadkiem;—miałażbym się jego
Wstydzić? lub zaprzeć rodu mego, który,
Wszystko czém słynie po nim odziedziczył?—
Patrz! któż śmie z nami stanąć w porównanie:
Z pięknością w twarzach? z wzniosłością w postaciach?
Z długością naszych dni?

JAFET.

Pan je policzył!

AHOLIBAMAH.

Niech i tak będzie! lecz póki ich stanie,
Chlubić się będę w ojcu mym i braciach!

JAFET.

Ród Seta w Bogu tylko szuka chluby.—
A ty, o! Anah?

ANAH.

Co bądź Bóg przeznaczy,
Bóg jeden nad wszystkiemi—wiém, że trzeba
Znieść bez szemrania—oby bez rozpaczy!—
Lecz gdybym mogła, w dniu powszechnéj zguby,
Co ma przyjść, mówisz, prosić o co Nieba:

Jedyną prośbą byłoby, bym sama
Nie pozostała w życiu: gdy nikomu
Z mego plemienia, rodziny i domu,
Pan nie przepuści.—O! Aholibamah!
Cóżby był dla mnie świat, lub inne światy,
Lub sama wieczność? bez miłéj przeszłości—
Bez ciebie, ojca; bez waszéj miłości,
I bez tych wszystkich rzeczy, co jak kwiaty,
Rozkoszną ziemię stroiły przedemną;
Albo jak gwiazdy, świecące w noc ciemną,
Ciągnęły oczy by w Niebo spozierać?—
Ach! jeśli dla nas Niebo nie z kamienia,
Siostro! proś, módl się! błagaj przebaczenia!—
Śmierć tak jest straszna—gdy ty masz umierać!

Aholibamah.

Cóż to? czyż słowa płonnych marzycieli,
Co swoją arką siebie tylko straszą,
Zachwiały ciebie?—Patrz! czyż nie Anieli
Czuwają przy nas? dzielą miłość naszą?—
A nawet bez nich—czyżby już innego
Nie było środka, jak u stóp Noego
Żebrzeć o życie? Wolałabym raczéj!...—
Lecz po co wznawiać dzikie jego mary,
Twór niewzajemnych uczuć i rozpaczy,
Albo wyziewów téj mrocznéj pieczary?—
Patrz! któżby z posad wzruszył te opoki,
Tę całą ziemię? albo te obłoki
W ocean zmienił? albo z ziemi morze
Podniósł ku niebu?—Patrz! zważ! kto to może?

JAFET.

Ten, co to wszystko jedném słowem stworzył.

AHOLIBAMAH.

Kto słyszał słowo te?

JAFET.

Świat, co niém ożył.—
Śmiejesz się?—spytaj twojego obrońcy!
Jeśli jest Anioł—stwierdzi prawdę Jego.

SAMIASA.

Aholibamah! Bóg jest wszechmogący!

AHOLIBAMAH.

Jam zawsze czciła Boga—stwórcę mego:
Boga miłości, nie smutku.

JAFET.

Niestety!
Czyż miłość sama nie jest także smutkiem?
Nie tylko miłość męża i kobiety,
Trwająca krótko w życiu naszém krótkiém:
Lecz sam Przedwieczny, gdy w łonie miłości
Swojéj świat począł: czyż nie miał przyczyny
Smucić się wkrótce: gdy na jego syny
Wzniósł—bo wznieść musiał—miecz sprawiedliwości?

AHOLIBAMAH.

Tak powiadają.

JAFET.

Tak jest bez wątpienia.

SCENA VI.

CIŻ, NOE I SEM *(wchodzą)*.

Noe.

Tużeś, Jafecie? i w jakiéj potrzebie
Przebywasz społem z dziećmi zatracenia?—
Drżyj! by ich wyrok nie dosiągł i ciebie.

Jafet.

Ojcze! czyż grzechem byłyby me chęci,
By dźwigać z grzechu dzieci wspólnéj ziemi?—
Patrz! nie chodziły między występnemi,
Kiedy je strzegą Aniołowie święci.

Noe.

Swięci?—czy raczéj nie z tych, co swe chóry,
I jasny Niebios rzuciwszy przybytek,
Zchodzą, zwabieni licem Kaimitek,
Synowie Niebios, pojąć ziemi córy?

Samiasa.

Tyś rzekł.

Noe.

O! biada! biada! trzykroć biada,
Podobnym związkom!—Czyż Bóg nie zakréślił
Granic Niebu i ziemi? nie obmyślił
Ludziom i duchom, gdzie którym posada?—

SAMIASA.

Tak! ale czyliż nie na obraz Siebie
Stworzył człowieka? Czyż go nie miłuje
Sam, i nie każe drugim?—Pytam ciebie:
Możeż być winnym, kto Go naśladuje?

NOE.

Jam tylko człowiek; Pan mię nie postawił
Sędzią nad ludźmi—cóż nad syny swemi?—
A wszakoż z tego, co mi Sam objawił,
Wiém, że te zejścia na padoły ziemi
Duchów niebieskich—i to jeszcze w chwili
Skarania świata—nie są dobrém wcale.

AZAZIEL.

Co? nawet wtedy, gdybyśmy zstąpili
Zbawiać?

NOE.

Archanioł w całéj swojéj chwale,
Nie zbawi, kogo Pan zgubić umyśli. —
A zaś, gdybyście za Jego rozkazem,
Jako snać mówisz, ludzi zbawiać przyszli:
Litośćby wszystkie objęła zarazem,
Nie te dwie tylko; co choć niezrównane
Licem—są równie grzeszne, i skazane
Na śmierć.

JAFET.

Ach! ojcze! nie mów tak!

NOE.

Jafecie!
Jeśli cię trwożą wina i zatrata:
Zapomnij o nich!—o nich, i o świecie,
Że był i zginął;—ty, przyszłego świata
Dziedzic wybrany!

JAFET.

Obym zginąć raczéj
Mógł z *tym*, i z *temi!*

NOE.

Wartbyś za to słowo;
Lecz Pan obietnic swych nie przeinaczy.

SAMIASA.

Przeczżeby nad twą i nad jego głową
Bóg czuwał więcéj, niż nad temi, które,
On, syn twój własny, przenosi nad siebie?

NOE.

Zapytaj TEGO, który twą naturę
Uczynił wyższą od mojéj, a ciebie
Wyższym odemnie: a zarówno obu
Poddał Swéj woli, i nie dał sposobu
Zbadać jéj przyczyn!—Lecz patrz!... goniec Jego!—
W proch, w proch przed Panem! słuchajmy co powie.

SCENA VII.

CIŻ I RAFAEL ARCHANIÓŁ.

RAFAEL.

Pokój sprawiedliwemu!—Aniołowie!
Przeczżeście zeszli z oczu Przedwiecznego?
Aza nie wiecie, że ziemia bez stróża
Ma dziś być przed NIM?—Lecz jeszcze czas skruchy!
Wam tylko, duchy!
Wam tylko dany.—Wielka jest moc Boża!
Tam, u podnoża
Stolicy JEGO, ukorzcie się społem
Z Siedmiu wielkimi!—Czołem Panu, czołem!

SAMIASA.

O! najpiękniejszy! największy z niewielu!
Cześć Panu w tobie!—Lecz odkądże wzbronił
Duchom zstępować na świat?—Rafaelu!
Tyś zstąpił po nas;—ON Sam czyż nie skłonił
Nieraz oblicza i stóp swych ku ziemi?
A ile razy skrzydły pośpiesznemi
Nas wysłał ku niéj: mów, cóżeśmy, jeśli
Nie miłość JEGO i nie dary nieśli:
Wielbiąc Go w każdym jéj tworze: bo każdy
Tchnął JEGO mocą i miłością dla niéj;
Ciesząc się blaskiem téj najmłodszéj gwiazdy,
Mającéj kiedyś zwalczyć noc otchłani;

Lub strzegąc, aby ród, co ją dziedziczy,
Nie ściemił jéj światła łaski tajemniczéj?—
Cóż dziś? że smutek nad nią w twém spójrzeniu?
Że w ustach twoich mowa o zniszczeniu?—

RAFAEL.

Biada wam, że nie wiecie!—O! Anieli!
Gdybyście oba z pobratniemi chory,
Czystością śmieli,
Nieśli dziś Panu hołd czci i pokory:
Tambyście w ogniu żyjącym wyryte,
Nad Jego tronem, i na Jego czole,
Czytali sami sądy Jego skryte,
Pojęli wolę;
Nie jéj szukali we słów moich echu.—
Lecz niewiadomość towarzyszka grzechu,
A dumą nawet ćmi się duchów wiedza:
Bo zaślepienie upadek poprzedza.
O! zaślepieni! przeczżeście się dali
Uwikłać w sidła żądzy skazitelnéj?
Niepokalani! jakżeście skalali
U stóp śmiertelnych swój blask nieśmiertelny!
Lecz litość JEGO bez granic!—Słyszycie?
Wróćcie i czcijcie!
Tam!—bo gniew JEGO straszliwy!—Raz jeszcze,
Wróćcie!—lub drżyjcie!
Bo gniewu JEGO wyrok wam obwieszczę.

AZAZIEL.

Straszny gniew Pana!—Lecz ty, coś osądził
Nas, żeśmy winni: mów, czyżeś nie zbłądził
Sam, żeś tu z nami?

RAFAEL.

Pan mną rozporządził;
Zstąpiłem po was.—Słowem wszechmogącém,
I w imię JEGO; sercem kochającém,
W imię miłości mojéj: Samiaso!
Azazielu! wołam was ku NIEMU!
Tak! przyszedł koniec rodzajowi złemu.
Występna ziemia, z całą swoją krasą,
I z ludźmi, zginie!—Lecz czyż przy ostatku,
Jak przy początku, ma, jakby koniecznie,
Niebieskie duchy ciągnąć do upadku,
Których jak istność, kaźń musi trwać wiecznie?—
O! bracia! wyście jeszcze nie upadli,
Lecz przypomnijcie Szatana, jak w chwale
Stał po nad nami; a którzyż nie zbladli
Widząc, czém stał się: gdy wolał zuchwale
Wyzwać moc Pańską, niż uznać w pokorze?
A czyż mu człowiek—że go łatwo skusi,
Rozkoszą złego nagrodzić dziś może
Niebo, co stracił, i pamiętać musi?—
Jam go miłował;—bo i któż nad niego
Był, oprócz Pana, co w nim szukał chluby?
Archaniołowie przed obliczem jego
Gaśli jak gwiazdy przed słońcem; Cheruby
Cześć mu śpiewali; aż sam w swojéj pysze,
Wstydząc się, zaparł, że jest tworem Boga.—
Stało się! upadł;—lecz wam, towarzysze!
Z upadku jego niech będzie przestroga!—
Od was zawisa wieczność z nim, lub z Panem!—
On was nie kusił; bo mu nie jest daném

Kusić niebieskie duchy; lecz niestety!
Człowiek usłuchał jego—wy kobiety:
Pięknéj zaprawdę, lecz w któréj uśmiechu
Kryje się urok zdradniejszy od węża:
Bo wąż zwyciężył proch—ona zwycięża
Was, duchy Niebios, i wiedzie do grzechu.
O! uciekajcie, dopóki czas macie!
Wy nie możecie umrzeć: ale one
Jak cień przeminą; a żal po ich stracie
Truć będzie wasze lata nieskończone!
Ważcie! jak istność wasza ich plemieniu
Nie jest podobna w niczém—prócz w cierpieniu;
Przeczże je tylko chcecie dzielić z niemi?—
Poczęte w grzechu, w boleściach zrodzone,
Żyjące w troskach i łzach, przeznaczone
Na pastwę śmierci—królowéj ich ziemi:
Chociażby nawet Pan, tchem Swego gniewu
Dni ich nie skrócił: przeszłyby za chwilę,
Jak nagły zakręt mglistego powiewu,
Proch i łzy tylko zostawując w tyle.

Aholibamah.

O! tak! uchodźcie! bo jak w jego mowie,
Słyszę w méj duszy głos, co nie omyla,
Że przyszła chwila,
Że musim umrzeć—nie tak, jak ojcowie:
Gdy jako nowy ocean, chmur brzemię
Spadnie na ziemię,
A wały morskie, jak obłoki z ziemi
Wzniosą się w górę, i spotkają z niemi.—

O! siostro moja! są, co ujdą zguby,
Jako się zdaje: lecz nie z krwi Kaima.
Nie! próżne nasze modlitwy i śluby!
Bóg nas Adama za dzieci swe nié ma!
Po cóż go trudzić daremnie?—O! raczéj,
Zrzeczmy się same, co ma być wydarte—
Miłości naszéj!—a bez niéj, cóż znaczy
Życie śmiertelne lub śmierć?—Gińmy warte
Ojca i rodu swego; bez rozpaczy,
Gdy nie bez żalu; płacząc, nie nad sobą,
Lecz po nad tymi, co zostawszy sami,
Śmiertelni czy nieśmiertelni, obaczą
Ziemię-pustynię, okrytą żałobą,
I płakać będą nad miryadami,
Co mrąc płakały—lecz już nie zapłaczą!—
O! Samiaso! śpiesz, uchodź co prędzéj,
Z padołu nędzy
W sfery niebieskie! gdzie już nie dosięga
Wicher, ni woda, ni śmierci potęga!
Nasz wyrok, umrzeć; wasz, jest żyć bez końca.
Lecz co lepszego? czy wieczność żyjąca
Czy martwa?—na to On chyba odpowie,
On, Pan życia i śmierci.—Aniołowie!
Bądźcie posłuszni! jak i my będziemy;
Nie że musiemy,
Nie! lecz że nie chcę żyć dnia ni godziny
Wbrew woli Jego; tak, jakbym nie chciała,
Nawet za wolność od kary i winy,
Co ma być dana dla Seta rodziny,
By kara nasza i na was spaść miała.

Śpieszcie! nim minie czas!
Lecz gdy nad chmury
Jasnemi pióry
Wzbici spójrzycie
Na świat i nas:
O! Samiaso! pomnij, że me życie
Duch mój przeżyje; i gdziekolwiek będzie
Żył swoję wieczność: miłość twoja wszędzie
Trzymać go będzie wyższym nad rozpacze.—
Patrz! nawet teraz nie płaczę,
Bo płacz nie przystał wybranéj Anioła.—
Żegnam was!—
Teraz, przyjdź śmierci! dotrzymam ci czoła.

Anah.

Ach! czyż koniecznie trzeba
Umrzeć?—Azazielu!
Nicże nie zmiękczy Nieba?—
Umrzeć, i stracić ciebie!...—
Siostro! czyż Bóg nasz w Niebie
Zgubi razem tak wielu?
O! serce, serce moje!
Nie próżne snać twe były
Trwogi i niepokoje;
Teraz wiém, co wróżyły.
Boże! dodaj mi siły
Znieść—co wiém, że nie minie!—

Lecz ty, ty Serafinie!
Uchodź, śpiesz! jeśli bezkarnie
Zostać nie możesz!—Lecz czyli?....—

Nie, nie! śpiesz!—Moje męczarnie,
Choć straszne—skończą się w chwili;
Twoje—trwałyby bez końca:
Gdybyś mnie nędznéj obrońca,
Gniew Pana ściągnął na siebie:
I z tronu chwały na Niebie,
Jak ów, co w nasze rodzice
Tchnął żądzę wiedzy, wyzuty,
Z swéj Archanielskiéj stolice,
Spadł w kraj nieznanéj pokuty!—
Nie, nie! i tak już zbyt wiele
Ważyłeś dla mnie, Aniele!
Czas, bym ofiarą wzajemną,
Zrzekła się ciebie—dla ciebie!—
Uciekaj! nie płacz nade mną!—
Ach! nawet chciałbyś daremno!
Łzy, udział dzieci Adama,
Nie ulżą duchów rozpaczy.—
Uchodź! zapomnij więc raczéj
O téj, dla któréj śmierć sama,
Mniéj straszna, niż to rozstanie!—
Lecz uchodź, uchodź! nie zwlekaj!
Nie bacz łez moich!—uciekaj!
Bez ciebie, śmierć mi się stanie
Ulgą, nie karą.

JAFET.

Nie mów tego, Anah!—
Ojcze mój! Archaniele!
Czyż ten łagodny pokój na twém czele

Nie wróży łaski?—Patrz! możesz—zmiękcz dla niéj,
Dla niéj i dla mnie—zmiękcz wyrok i Sędzię:
Niech w arce z nami, ujdzie wód otchłani,
Lub ja z nią razem niech zginę w bałwanach!

Noe.

Przestań, niebaczny! przecz w żalu zapędzie,
Jeśli nie sercem, usty bluźnisz Pana?—
Zkąd ci moc dana
Sądzić sąd Jego?—Żyj, póki dozwoli,
Umrzyj, gdy każe: lecz wbrew Jego woli
Nie szemrz, jakobyś skarżył Pana w Niebie!—
Niebaczny! chceszże, by się Bóg dla ciebie
Grzechu dopuścił?—bo grzechem byłoby,
Gdyby dla krótkiéj, dla ziemskiéj żałoby,
Zmieniał przedwieczne sądy Swoje Boże.—
Bądź mężem, synu! i znoś, chocia boli,
Co ród Adama znieść musi—i może!—

Jafet.

Ojcze! a kiedyż zostaniem
Sami nad głębią siną:
Gdy i kraj miły, co był nam mieszkaniem,
I cała ziemia, z wszystkiém co ją krasi,
I milsi stokroć bliźni, bracia nasi,
Wszyscy w niéj zginą:
Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia,
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia?—
Boże! bądź Bogiem! zbaw!—któż ci zaprzeczy?
Zbaw, póki pora!—Czyż rodzaj człowieczy

Nie dość już poczuł sprawiedliwość Twoję
Wygnaniem z raju?—Lecz go tylko dwoje
Składało wtedy: dziś jest na przestworzu
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,
Niż krople deszczu, co ma zalać ziemię:
Krople mniéj gęste, niżby na niéj były
Ludzkie mogiły,
Gdyby choć groby mieć mogło ich plemię!—

NOE.

Szalony! przestań! w każdém twojém słowie
Brzmi rozpacz dumy, co gniew Pana budzi.
O! Archaniele! przebacz!

RAFAEL.

Aniołowie!
Żal i namiętność mówi z ust tych ludzi.
Lecz wy! wy czyści, lub coście być niemi
Powinni, bracia! postrzeżcie się w błędzie,
Wracajcie ze mną!

SAMIASA.

Zostaniem na ziemi,
I znosić będziem, cośmy zasłużyli.

RAFAEL.

Azazielu?

AZAZIEL.

On rzekł; niech tak będzie!

RAFAEL.

Oba?—A więc od téj chwili,
Z mocy niebieskiéj obrani,
Z miejsc, któremiście wzgardzili,
Z przed Boga, coście zdradzili,
Bądźcie wygnani!
Biada wam!

JAFET.

Gdzież się podzieją?—
Lecz przebóg! w przepaściach góry,
Co za ponury,
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy!
Skały i lasy
Wstrzęsły się, szumią—jakby czuły przyjście
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją;
A wszystkie liście
Drżą, zda się, chwieją;
Kwiaty więdnieją,
I opadają;—wschód znów się zaciemia;
A cała ziemia,
Jak pod ciężarem, jęczy w swych wnętrznościach!—

NOE.

Słyszysz? Krzyk ptastwa morskiego! jak w chmury
Ucieka, i nad szczyt góry,
Kędy w najsroższych morza nawałnościach,
Uchodząc fali wzbijać się nie śmiało,
Utata krzycząc—jakby przeczuwało
Nawałność sroższą od wszystkich, śród któréj,

Ten szczyt im tylko może być zachroną —
Aż i ten fale pochłoną! —
O! biada, biada ziemi! —

JAFET.

Słońce! słońce!
Wschodzi—lecz jakie! jak przerażające,
Jak krwawe!—Jak śród płomieni
Miedź—błyszczy, lecz bez promieni;
A ciemność, jak czarna tęcza,
W kształcie obręcza,
W krąg je otacza;—słońce i noc razem!
Jakby obrazem
Być chciały życia i śmierci, w téj chwili,
Ostatniéj świata!—Biada tym, co byli
Warci, by jéj dożyli,
By ją przeżyli! —

NOE.

Ha! błyskawica, grom!—hasło zniszczenia!
Stało się! Pan nie odmienia
Wyroków swoich:—wielka jest moc Boża! —
Słyszysz? szum deszczu, ryk morza!
O! biada, biada dzieciom zatracenia!
Przyszła godzina!—My śpieszmy na wzgórza,
Gdzie arka nasza;—z któréj jeszcze wczora
Szydzili dumni, a dziś k'niéj ramiona
Wyciągać będą, widząc, że nas ona
Zbawia jedynie!—Śpieszmy, póki pora!

JAFET.

Ojcze! stój chwilę! zlituj się! przyjm do niéj
Anah!—niech w zgubnéj nie zaginie toni.

NOE.

Czyż w niéj nie zginą wszyscy?—Pójdź!

JAFET.

Nie mogę.

NOE.

A więc giń z niemi! głuchy na przestrogę
Ojca i Boga!—Patrz na te złowieszcze
Niebo i znaki! będziesz-li śmiał jeszcze
Chcieć zbawiać kogo z rodzaju, na który,
Wszystkie potęgi stworzonéj natury,
Ze słusznym gniewem Stwórcy, co go karze,
Powstały razem? —

JAFET.

Razem?—O! mój ojcze!
Możeż iść wściekłość ze słusznością w parze?—

NOE.

Bluźnisz! — w téj chwili!... — zuchwały mołojcze!
Drżyj!

RAFAEL.

Patryarcho! pohamuj się w gniewie!
Boleść i rozpacz usty jego władnie.
Lecz serce nie wie

O tém, co mówi;—i on nie upadnie,
Jak ci synowie Niebios; i nie zginie,
Jako te córki ziemi; lecz gdy minie
Szał namiętności, będzie godnym ciebie.

AHOLIBAMAH.

O! co za burza!—Na ziemi i niebie,
Wszystko się łączy ku naszéj zagładzie.—
Panie! nierówna walka między nami!
Chcesz, a zginiemy;—bo któż w równi kładzie
Moc naszą z Twoją?

SAMIASA.

Moc nasza jest z wami!
Pod skrzydłem naszéj opieki,
W świat jakiéj gwiazdy dalekiéj
Uniesiem was, aż ujdziecie
Świat wasz niszczącéj topieli.
A tam bezpieczne—jeżeli,
Przestając na naszych losach,
Przez miłość dla nas, będziecie
Mogły zapomnieć o świecie,
My zapomnim o Niebiosach.

ANAH.

A mójże ojciec! a mój kraj rodzinny!
A mojeż pola, i góry, i lasy,
Gdzie mi tak słodko zszedł mój wiek dziecinny!
Zdołamże kiedy zapomnieć ich krasy,
I pieszczczót ojca, i sióstr mych ziemianek,

Gdy je pochłonie głąb?—Któż w mojéj duszy
Zatrze ich pamięć? kto me łzy osuszy?

AZAZIEL.

Ja, twój kochanek!—
Nie bój się! chociam wygnaniec
Z Nieba—w przestrzeni bez granic,
Są światy godne Anioła,
Zkąd mię nikt wygnać nie zdoła!—

RAFAEL.

Duchu występny! jakżeś stał się lichy,
Jak ciemny! jeślić samego już łudzi
Kłamstwo twéj pychy.
Czyż miecz, co z raju wygnał piérwszych ludzi,
Czyż piorun, w przepaść co strącił Szatana,
Przed tronem Pana
Dotąd nie błyszczy?—

AZAZIEL.

Piorun nie zniszczy,
Miecz nie zabije nas!—Proch strasz zniszczeniem,
Ciało orężem: nie nas nieśmiertelnych!—

RAFAEL.

Doznasz za chwilę sił twoich tak dzielnych,
Aza cię zbawią przed JEGO ramieniem?—
Biada ci! grzech ściga kara,
Moc cię twoja omamiła:
Nie wiedziałeś, że nią była
Pokora twoja i wiara.

SCENA VIII.

CIŻ I CHÓR LUDZI,

(Wbiegających zewsząd i szukających zachrony).

CHÓR LUDZI.

Niebo i ziemia, obłoki i morze,
Łączą się razem na zgubę nas biednych!
Cóżeśmy winni?—O! Boże nasz, Boże!
Słuchaj, wysłuchaj! nie nas tylko jednych.
Pola i lasy brzmią bestyi rykiem,
Wyciągających ku Niebu swe szyje;
Ptastwo świst wichrów zagłusza swym krzykiem;
U stóp nam syczą wijące się żmije,
Jakby chcąc wsparcia, o które my sami
Żebrzem cię, Panie! płaczem i jęczeniem.
Zmiłuj się, zmiłuj! nie tylko nad nami,
Lecz nad naturą i wszelkiém stworzeniem!

RAFAEL.

Żegnam cię, ziemio!—Wy, dzieci jéj gliny!
Nie śmiem, nie mogę—choć chciałbym was wspierać.
Pan sprawiedliwy—musicie umierać;
Pan miłosierny—śmierć odkupi winy.

(ulatuje).

AZAZIEL.

Pójdź, Anah! rzućmy ten chaos żywiołów,
Ani się lękaj łoskotu ich waśni;
Pod tarczą skrzydeł Aniołów,
Ulęż bezpieczna i zaśnij,

Jak orlę niegdyś w macierzyńskiém gniaździe!—
Na słońcu jakiém, lub gwiaździe,
Znajdziem świat lepszy od ziemskich padołów,
I życie wartsze anielskiéj natury!—
Czarne te chmury
Nie są jedyném niebem!—

(Azaziel i Samiasa *ulatują, unosząc z sobą* Anah i Aholibamah).

Jafet *(patrząc za niemi).*

Ulecieli!—
Znikli w zamęcie skazanego świata!—.
I czy z nim razem zaginą w bałwanach
Wściekłéj topieli:
Czy żyć gdzie będą nieskończone lata —
Stało się! nigdy nie ujrzę już Anah!—

Chór Ludzi.

O! synu Noego! miej litość nad nami,
Nad ludźmi, nad braćmi twojemi!
Czyż dasz nam zaginąć w zapasach z falami,
Sam w arce bujając nad niemi?

Matka *(podając dziécię).*

Zbaw, zbaw to dziécię!
W bolach mych wzięło życie,
Lecz ach! ileż pociechy,
Gdy się z swemi uśmiechy
Tak do mych piersi tuliło!

Na cóż się urodziło?
Czém przewiniło
Niemowlę moję, by ściągnąć gniew Boży?
Czy z piersi moich ssało takie grzechy,
Że za nie ziemia i Niebo się sroży
Na moje dziecię?—
Zbaw je! zbaw, o! Jafecie!
Lub bądź przeklęty—ty, i twa rodzina!
I On!...

JAFET.

Niebaczna! stój!—toż jest godzina
Przekleństw nie modłów?—

CHÓR LUDZI.

Modłów?!—Gdzież te modły
Zwrócim?—Do Niebios? co się tak obwiodły
Chmurami od nas?—Czy do chmur? co same
Buchają morzem?—Czy do morza? które
Rwie swoję tamę
I wzdyma się w górę,
Że piaski pustyń mienią się w odmęty?—
Nie, nie!—Przeklęty
Pan twój i zbawca!—Wiemy, że daremnie
Kląć Go, jak błagać;—lecz mamyż nikczemnie
Hymny Mu śpiewać, lub podłém kolanem
Czołgać się przed Niezbłaganym,
By nas odepchnął na dno zgubnéj toni?...—
Jeśli On stworzył ziemię—niech się płoni,

Że świat stworzył na męki!—Ha! już ryczą,
Już lecą, widzim, rozhukane wały!
Gonią za nami, jak lew za zdobyczą.
Głąb ich czarna jak otchłań—a ich biały
Szczyt zapieniony, jak śnieżyste góry
Piętrzy się w chmury,
I z chmur jak potok, jak wzdęta kaskada,
Rzuca się naprz'd—zlewa!...—
Biada nam! biada!—
Lasy i drzewa,
Rowienne z rajem—nim złudzona Ewa
Zerwała owoc wiedzy i niedoli,
I Adam wydał piérwszy jęk niewoli—
Tak niebotyczne, z tak jeszcze zieloną
Liści koroną.
Nikną—i wszędzie tylko siność fali!—
Głąb coraz wyżéj
Rośnie, i daléj,
I coraz chyżéj
Ku nam się wali!..—
Biada nam!...—Synu Noego!
Śpiesz, uchodź! i tam w swéj łodzi,
Przy boku ojca twojego,
Szydź z naszych łez i powodzi!
A gdy obaczysz na tle oceanu,
Trupy twych braci i wszego stworzenia:
Wznieś twemu Panu
Hymn dziękczynienia!...—

JEDEN Z LUDZI.

Błogosławiony! kto w NIM ufność złożył,
I w NIM ufając żył!

Ginąc, nie będzie się trwożył,
Bo On mu doda sił
Cierpieć i znieść! —
Cześć Panu! cześć!
On dał mi życie—On bierze co dał.
Będęż się chwiał
Wrócić mu dar Jego ręki? —
Nie!—i nim wieczna noc wzrok mój zaciemi,
I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,
Cześć jeszcze Panu, i dzięki!
Za to, co było,
Za to, co nynie!
Bo w Nim, jak żyło,
W Nim wszystko ginie,
Bo On początkiem i końcem wszystkiego.
Wszystko jest Jego!
Czas, przestrzeń, życie, świat—wszystko poczęte,
Pojęte i niepojęte —
Wieczność i nieskończoność—On uczynił,
On chce, i może zniweczyć!—
Ja proch—jaż będę go winił?
Ja grzesznik, śmiałbym złorzeczyć
Panu i Bogu mojemu?—
Nie! żyłem ufając Jemu,
Umrę ufając!—ani się zachwieję,
Widząc runący świat; ani się strwożę:
Bo wiém, kto w Nim ma nadzieję,
Na wieki zginąć nie może.

Chór Ludzi

uciekających przed falą.

I gdzież się obrócim. gdzie znajdziem schronienie?
Na skał-li tych wedrzem się strop?
Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,
By morze napotkać u stop.
Czy w dzikich pod niemi, rozpadlin skróś ziemi
Ukryjem się sklepy kamienne?
Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,
Napełni otchłanie bezdenne!—

Młoda Dziewczyna *(biegnąc za drugiemi).*

Nie opuszczajcie sieroty,
Mnie nieszczęśliwéj, mnie młodéj!
Ojciec, i ojca namioty,
Bracia, i braci mych trzody,
I pola, gdzie szły na paszę,
I sady, i wszystko nasze,
Wszystko zalano!—
Dziś jeszcze rano,
Ze wzgórza, idąc do zdroju,
Spójrzałam—wszystko tak było
Ciche! tak spało w pokoju! —
Serce me błogosławiło
Bogu, i miejscu lubemu. —
A teraz!...—Czemuż, ach! czemu
Było mnie nędznéj rodzić się na świecie?—

Jafet.

By umrzeć!—umrzeć w lat kwiecie!...—
Szczęśliwszaś wszakże! niż gdybyś tak jedna
Skazaną była—gdy otchłań beze dna
Pochłonie wszystkich—płakać nad wszystkiemi!
I jak ja, na pustéj ziemi,
Żyć, nie chcąc; cierpieć, nie śmiąc się użalać!...—
Panie! gdy wszystkich tracisz, po cóż mnie ocalać?

(Fale morza wpadają z łoskotem. Chór Ludzi rozpierzcha się w różne strony po górach: wielu tonie zajętych falą. Jafet *jeden zostaje na skale; w odległości ukazuje się arka, zmierzająca ku niemu).*

KONIEC TOMU III.

Spis Rzeczy

W Tomie trzecim zawartych.

Czciciele Ognia.

Peri i Raj.

Dziewica Orleańska.

TŁÓMACZENIA
ANTONIEGO EDWARDA
ODYŃCA.

WYDANIE DRUGIE.

TOM IV.

CZCICIELE OGNIA.

PERI I RAJ.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.
1874.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Сентября 1872 г.

Czcionkami Gazety Lekarskiéj.

CIENIOM

I

ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

STEFANA GARCZYŃSKIEGO.

Przyjacielu mój, bracie! Z téj pieśni obrazem,
Jam w myślach mych twój obraz nieraz łączył razem,
W sercu mém ślubowałem poświęcić ją tobie:
I poświęcam — jak łzami zlany kwiat — na grobie.

A. E. O.

CZCICIELE OGNIA.

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA O GWEBRACH.

Gweber, Giabir, i pochodzący ztąd przez skrócenie wyraz Giaur, któremu dziś przez nienawiść na wzgardę, we wszystkich muzułmańskich językach nadano obelżywe znaczenie: „Niewierny;" niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, Czcicieli Ognia, jak ich nazywano; sami bowiem zwali się Behendi, to jest prawowierni. Religia ta, podług rachunku pisarzy wschodnich, przed czterema tysiącami lat wprowadzona do Persyi, trwała w niéj bezprzestannie, pomimo wszystkich zmian i wstrząśnień politycznych tego najpotężniejszego niegdyś na Wschodzie państwa, aż do najścia i podbicia go przez sąsiednich Arabów, Mahometanów, którzy z całym zapałem fanatyzmu prześladując jako bałwochwalstwo religię Gwebrów, wytępili ją nakoniec, i w powszechną wzgardę podali. —

Oto są główniejsze punkta nauki Zoroastra, zawarte w świętéj księdze Zenda-Vesta, którą on, podług podania pierwszych swych uczniów, sam w Niebie, razem z ogniem świętym, z rąk Oromaza otrzymał i przyniósł na ziemię. — „Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez niego stworzonym, działają z woli jego dwie przeciwne sobie potęgi: dobra i zła. — Pierwszą zowie Oromazem (Hormuzd), co znaczy: dawca wszelkiego dobra; drugą Aryma-

nem, co znaczy: Pan albo wódz złego. — Obadwaj mieli władzę stwarzania, i używali jéj wspólnie, chociaż w przeciwnym kierunku; i ztąd to miała pochodzić owa mieszanina dobrego i złego, jaka się daje widzieć we wszystkich rzeczach stworzonych. — Ztémwszystkiém sam tylko Oromaz był wiecznym, i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć.—Światło było godłem Oromaza; ciemność godłem Arymana. — Sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tém wszystkiém, co świeci."—Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez niego cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach; na wolném zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich świateł niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia. Gwiazdy i planety uważane były za istoty żyjące, mające każda duszę nieśmiertelną.— Oto są słowa Zenda-Vesty, które Anioł światła rzekł do Zoroastra, dając mu z woli Oromaza ogień święty: „Polecam opiece twojéj wszystkie ognie na ziemi.—Rozkaż kapłanom strzedz je i utrzymywać, i nie gasić ich nigdy ani wodą, ani ziemią.—Rozkaż w każdém mieście wystawić świątynię Ognia, i na cześć jego przepisz uroczyste obrządki. Światło ognia pochodzi z Boga; a cóż jest piękniejszegó jak ogień? Nie trzeba mu nic więcéj, prócz drzewa i kadzideł.—Niech je sypie stary i młody, a prośby ich wysłuchane będą.—Wszyscy co nie usłuchają słów moich, pójdą do wiecznych ciemności."

Lecz nie sam tylko ogień, wszystkie inne elementa składające świat: ziemia, powietrze, woda, a nawet zwierzęta i rośliny, polecone zostały szczególnéj pieczy Zoroastra, przez swych opiekuńczych aniołów. — Anioł ziemi rzekł: „Ty, co masz być błogosławieństwem rodzaju ludzkiego, zachowuj ziemię od rozlewu krwi, od nieczystości i trupów. Każ niech je grzebią tam, gdzie żadna woda nie płynie, i żaden człowiek nie chodzi etc." — Ztąd poszedł zwyczaj u Gwebrów, że ciała zmarłych, zamiast grzebać je w ziemi,

kładziono na wierzchołkach wież, zbudowanych na ten cel w miejscach odludnych, i gdzie żadna woda nie płynie; tam zostawiano je na pastwę ptakom; poczém dopiero pozostałe kości grzebano do ziemi.

Te były główne zasady religii Gwebrów. Przepisy życia zawarte także w Zenda-Vesta, tchnęły najczystszą moralnością; zgodne z naturą i prawdą, wiodły do cnoty i pracy. Ztémwszystkiém gdy te z koleją wieków władzę nad umysłami ludzi straciły, pierwotna myśl prawodawcy, cześć jednego prawdziwego Boga, ustąpiła miejsca przesądom; duch religii, formie zewnętrznéj.—Ogień, słońce, w których Zoroaster widział tylko widome godła bóztwa, i jako takim cześć oddawać kazał; następni wyznawcy jego wiary wzięli za same bóztwo: i poprzestając na zewnętrznych ofiarach, zasługiwali istotnie na imię bałwochwalców, które im Muzułmańscy nieprzyjaciele nadali.

Imię to stało się z czasem dla Persyi źródłem tysiącznych klęsk i nieszczęść: powodem, a przynajmniéj pozorem do wojny z Arabami, zakończonéj, jak wiadomo, zupełném podbiciem Persyi i przejściem jéj na wiarę zwycięzców.— Skoro bowiem religia Mahometa ustaliła panowanie swoje w ojczyznie jego Arabii; fanatyczny zapał i duma piérwszych zaraz po nim Kalifów, zwróciły naprzód oczy na sąsiednią Persyą; bałwochwalczą, podług ich mniemania: a więc, którą powinni byli na prawdziwą wiarę nawrócić; żyzną i bogatą: a więc, którą podbić pragnęli; osłabioną wewnętrznemi niezgodami książąt swoich i możnych Satrapów: a więc do podbicia łatwą.

Piérwsza napaść Arabów na Persyą, nastąpiła za Kalifatu Omara. Wojska jego, pod wodzą Abu-Obeyda, przeszły Eufrat, lecz porażone przez Persów, straciwszy w bitwie większą połowę ludzi, wpław przez rzekę uciekać musiały. Omar wystawił nowe wojsko, lecz i to w piérszém spotkaniu się z Persami, nie lepszego doznało losu.—Wkrótce jednak wytrwała biegłość arabskiego wodza, nazwiskiem Saad-

Ben-Wakass; fanatyczny zapał żołnierzy, a nadewszystko niedbałość samychże Persów, i zbytnie zabezpieczenie się po zwycięztwie, odmieniły całkiem los wojny. Persowie z kolei ponosili klęski po klęskach: wódz ich Mehran, poległ zabity; całe wojsko poszło w rozsypkę. Naród zamiast połączyć się w jedno, by wspólnego nieprzyjaciela odeprzeć; przypisując poniesioną klęskę niedołężności swoich monarchów, obrócił się przeciwko nim, i rozpadł się na różne stronnictwa. Dynastya Sassanitów, od czterech wieków zasiadająca tron Perski, właśnie była wygasła; możni panowie rozrządzali tronem. — Wybierano z kolei jednego po drugim, coraz to nowych panujących, których prędzéj jeszcze mordowano lub zrzucano z tronu. Nieład i zamieszanie stały się powszechne na całéj ogromnéj przestrzeni ówczesnego państwa perskiego.—Tymczasem Arabowie posuwali się coraz daléj w głąb kraju, umacniając się w zdobytych prowincyach i miastach.—Nakoniec w roku 632 naszéj Ery, a 11 Hegiry, wyniesiony został na tron perski, Jeździdźird, ostatni, chociaż nie w prostéj linii, potomek królewskiéj rodziny Sassanitów; człowiek słaby, niezdolny do rządów, zwłaszcza w tak trudném położeniu kraju; będący tylko narzędziem w ręku możnych Satrapów; którzy pokrywając swą dumę maską przywiązania do krwi panujących, na to go tylko królem nad sobą obrali, by sami tém łacniéj pod nim całém państwem rządzili.

Pierwszym czynem Jeździdźirda po wstąpieniu na tron, było wysłanie posłów do arabskiego wodza, aby go wezwać do traktowania o pokój. Sam Saad-Ben-Wakass, w towarzystwie dwóch innych wodzów wojska swojego, przybył do obozu Persów. — Wprowadzeni do królewskiego namiotu, gdy wskazane miejsca zasiedli, Jeździdźird tak do nich przemówił:

„Wiecie, że wami gardziliśmy zawsze.—Arabowie dotychczas tylko znani byli w Persyi, jako kupcy, lub jak żebracy.— Pokarmem waszym są zielone jaszczurki, napojem woda

słona, odzieżą skóry zwierząt lub gruba tkanina z ich sierści' dla tego gardziliśmy wami. — Lecz od niejakiego czasu w większéj coraz liczbie zaczęliście kraj nasz nawiedzać: zasmakowaliście w dobrém jadle, napiliście się wody słodkiéj, nawykliście do wygód odzienia. — Powróciwszy do swoich pustyń, opowiadaliście o tém braciom waszym, i oto przychodzicie tłumami, aby nam wydrzeć co nasze, i narzucić nam wiarę, któréj my znać nie chcemy. — Podobni jesteście do lisa, w bajce naszego poety, który wkradłszy się w ogród, znalazł w nim obfitość gron winnych. Poczciwy ogrodnik pozwolił mu nasycić się niemi i myślał: „Plon winnicy mojéj nie zmniejszy się przez to, że się jeden lis biedny pożywi.“ — Ale lis nie przestał na tém, że się sam do woli nasycił; naprowadził swych towarzyszy, tak, że się cała winnica napełniła lisami. — Ogrodnik więc musiał drzwi zamknąć, i lisów, co już weszli, zabijać, aby sam nie zubożał do szczętu. — Ja jestem tym ogrodnikiem, mówił daléj Jeździdżird. Wszakże mając wzgląd na wasze potrzeby i ubóstwo, gotów jestem przebaczyć wam wszystko; obładuję wielbłądy wasze pszenicą i daktylami, bylebyście natychmiast ustąpili z mych granic. Lecz jeśli gardząc szczodrobliwością moją, chcecie dłużéj w Persyi pozostać, postąpię z wami jak ów ogrodnik, i nie ujdziecie słusznéj zemsty mojéj.“

Saad-Ben-Wakass, wysłuchawszy spokojnie téj mowy, malującéj zarazem całą dumę i słabość perskiego monarchy, odpowiedział na nią w te słowa:

„Wszystko co powiedziałeś o dawnym stanie Arabów jest prawda. — Jedli oni zielone jaszczurki; grzebali żywo nowo-narodzone dzieci płci żeńskiéj; zabijali własnych rodziców; niektórzy nawet żyli trupami i poili się krwią ludzką. Nie znali co jest złe, a co dobre; co godziwe, a co występne. Ale Bóg zlitował się nad nami, i zesłał nam swego proroka, który dał nam księgę prawdziwéj wiary. — Księga ta nakazuje nam wojować niewiernych, obłąkanych nawracać; i zamiast do-

tychczasowego poniżenia i nędzy, obiecuje nam panowanie nad światem.—Wzywamy więc ciebie, królu perski! abyście, ty sam i twój naród, przyjęli świętą wiarę naszą.—Jeśli się na to zgodzicie, żaden Arab bez woli twojéj granicy państw twoich nie przejdzie; będziecie tylko, równo ze wszystkimi wiernymi, płacić zwykłą na ubogich jałmużnę, dziesiątą część wszelkiego dochodu.—Jeśli nie chcecie przyjąć wiary naszéj, możemy jeszcze przestać na opłacie haraczu, jaki się nam od niewiernych należy. Lecz jeśli odrzucicie oba te warunki, gotujcie się do wojny!“

Jeźdidźird czuł się jeszcze nadto potężnym, aby przystać na tak zelżywe układy.— Wszczęła się więc na nowo wojna, krwawsza i zawziętsza niż kiedy. — Na płaszczyznach Kadessu (Kadeseah), stoczyła się pamiętna bitwa 638 r. 17 roku Hegiry, w któréj całe prawie stotysięczne wojsko Persów poległo, i tajemnicza chorągiew państwa wpadła w ręce zwycięzców.—Jeźdidźird uszedł do prowincyi Korasan, i zebrawszy 150 tysięcy nowego wojska, wystąpił znowu do boju. — W otwartém polu pod miastem Nohavund spotkały się oba wojska: Arabskie pod naczelnictwem nowego już wodza, nazwiskiem Noman. Dwa miesiące stały spokojnie naprzeciwko siebie oba nieprzyjacielskie obozy; żadna strona nie śmiała boju rozpocząć.—Nakoniec piérwsi Arabowie uderzyli na szańce perskie, wprzód, za przykładem wodza, poprzysiągłszy zwyciężyć lub zginąć.—Zginął Noman, lecz Arabowie przemogli. Sto dziesięć tysięcy głów miała wynosić strata wojska perskiego; reszta rozpierzchła się w góry. Zaszła ta bitwa w r. 641. Hegiry 21.—Cała Persya od Eufratu do rzeki Oxus wpadła w ręce zwycięzców. Jeźdidźird zginął zabity, gdy przebrany tułał się po kraju.—Arabowie rozjątrzeni oporem Persów i gorliwi o rozkrzewienie swéj wiary, prześladowali z niesłychaném okrucieństwem religią Zoroastra i resztę nieszczęśliwych Gwebrów, którzy schroniwszy się w góry Kermanu, nie przestawali jeszcze bronić swéj niepodległości i wiary.—Wsie, miasta i całe pro-

wincye, wycinano w pień, bez różnicy płci i wieku. Świątynie ich i ołtarze obrócono w gruzy i popiół. Ognie święte zalewano krwią ich kapłanów, na urągowisko z przepisu Zoroastra, zakazującego gasić je wodą lub ziemią. Większa część mieszkańców Persyi, uchodząc śmierci lub prześladowania, przyjęła religią zwycięzców; inni nie chcąc uledz przemocy, rozpierzchli się po różnych krajach, tułając się w górach Kaukazkich, na dzikich brzegach Kaspijskiego morza, w Indyach; albo się ukryli wśród niedostępnych gór swojéj ojczyzny. — Dziś jeszcze około zatoki Perskiéj, w górach i stepach Kermanu, a mianowicie w prowincyi Jerd-Keram, znajdują się dawni Gwebrowie, Parsami zwani, wierni religii swych przodków, i z téj właśnie przyczyny zostający w powszechnéj nienawiści i wzgardzie u swoich Muzułmańskich współziomków. *(Z historyi Perskiéj przez Malcolma).*

PIEŚŃ PIERWSZA.

Nad Perskiém morzem księżyc w pełni świeci.
Śpią mgłą owiane fale lazurowe,
I wkoło we mgle, jak w srebrzystéj sieci,
Skaliste brzegi i wyspy palmowe,
Kąpią się w blasku miesięcznéj pogody.
Z brzegu odbity we zwierciadłach wody,
Gród Gombarunu marmurem się bieli.
W nim gmach Emira góruje nad skały.—
Przed chwilą trąby i wdzięczny dźwięk zeli,
Z wież jego słońce gasnące żegnały: —
Spokojne słońce! miléj mu w dąbrowie
Zanóci pasterz, albo słowik w sadzie,
Gdy na szkarłatne zachodu wezgłowie
Ogniste skronie do spoczynku kładzie! —
Lecz teraz głucho na Emira dworze.
Jak ziemia milczy nieruchome morze,
Cisza w powietrzu, na polu i w grodzie.
Wiatr choć gdzie westchnie, wnet uśnie w powiewie

Żadna się fala nie zmarszczy na wodzie,
Żaden się listek nie wzruszy na drzewie.
Sam Emir nawet, śród nocnego chłodu,
Tyran Iranu *), zasypia spokojnie.
Choć nad nim cięży przeklęstwo narodu,
Choć wkoło zemsta porywa się zbrojnie
Mścić krzywd i zniewag, które jego plemię
Zlewa od wieków na Iranu ziemię:
Twardéj w nim duszy ni miękczą, ni trwożą,
Ni łzy co płyną, ni miecze co grożą.
On, czci Proroka zapaleniec dziki,
Z rozkoszą patrzy na rzeź i płomienie,
Mieczem swéj wiary tępiąc przeciwniki,
Mniema tém własne okupić zbawienie.
Gotówby w pośród najzaciętszéj bitwy,
Uklęknąć we krwi przez siebie rozlanéj,
By w czas codzienne odmawiać modlitwy,
Lub na skrwawionym mieczu wypisany
Rozważać myślą jaki tekst proroka;
Gotówby śledzić, bez zmrużenia oka,
Po jakie słowo lub wiersz którą razą
W piersiach swych ofiar utopił żelazo!

Wielki Allahu! o! jakiejże kary
Nie wart przed tobą okrutnik zażarty,
Co z ksiąg twych świętych ludzkości i wiary,
Skrwawioną dłonią przewracając karty,

---

*) Iran, imię ogólne Persyi.

Rozgłasza tylko bluźnierczemi usty
Naukę mordów, zemsty i rozpusty?
Jak owa zgubna Trebizondy pszczoła,
Co oblatując kwieciste płaszczyzny,
Z najsłodszych kwiatów, z najzdrowszego zioła,
W szał wprawiające wysysa trucizny *)!

Nigdy sroższego potęgą i złością
Satrapy Arab nie wsadził na państwo;
Nigdy tak Iran pod jarzma ciężkością
W Mahometańskie nie giął się poddaństwo.—
Wielkim był Iran—uczy dziejów księga—
Bał się go mocny, błogosławił słaby.
Cóż jest narodów wielkość i potęga?
Czas, własne swary, i bliskie Araby,
Przyniosły zmianę jego świetnéj doli:
Tron jego w gruzach, lud jęczy w niewoli.
Świątynie nawet—o! wstydzie bez miary!
Gdzie płonął Mitry ogień nieskażony,
Poszły skalane na łup cudzéj wiary:
A w nich niewolnik, mieczem nawrócony,
Cześć bałwochwalczą składając na progu,
Złorzeczyć musi ojców swoich Bogu!—

Ale są dusze, co czują zniewagę,
Co pomną przeszłość, i mają odwagę.

---

*) W okolicach Trebizondy znajduje się gatunek Rododendrorów, których kwiat chciwie jest poszukiwany przez pszczoły, a miód z nich wyssany ma własność, że ludzi wprawia w szaleństwo.

Są serca tchnące zemstą i nadzieją:
Serca podobne do drogich kamieni,
Co raz przesiąkłe od słońca promieni,
Śród nocy jeszcze blaskiem dnia jaśnieją.
Są i ramiona, co i chcą, i mogą,
Serc tych natchnienia wypełniać statecznie. —
Dozna ich wkrótce, i przypłaci drogo,
Ten, co w téj chwili zasypia bezpiecznie,
Jak gdyby mniemał, że nad jego łożem
Niebo Anioła postawiło stróżem!—

Śpij, śpij, tyranie! nie dla twoich oczu
Świecą te gwiazdy na niebios przezroczu,
Błyszczy zwierciadłem lazurowe morze:
Śpij, śpij, tyranie! jakbyś nic nie winien!
W tak pięknéj nocy, w tak rozkosznéj porze,
Nikt prócz kochanków czuwać nie powinien! —

I oto, patrzaj!—na téj nagiéj skale,
Co się tak stromo wznosi po nad fale,
I wkoło po nich ściele cień ponury:
Widzisz tę wieżę z krużgankiem u góry?
Widzisz to okno? zkąd wzdłuż białéj ściany,
Dziewiczych włosów warkocz rozwiązany,
Spływa potokiem wdzięcznego nieładu:
Czarny i lśniący, jako czaple pióra,
Co zdobią turban monarchy Bagdadu *)? —
W tém oknie czuwa Emirowa córa —

---

*) Królowie wschodni noszą czaple pióra po prawéj stronie turbanu, jako oznakę swojéj godności.

Anioł dobroci, wdzięków, niewinności,
Co choć z takiego i ojca i rodu,
Jest jak promienna Fontanna Młodości,
Co z gór najdzikszych wypływa z pod lodu *).—

O! jak urocza, święta, tajemnicza,
Jest młoda piękność, przed światem ukryta,
Co tylko blaskiem skromnego oblicza
Samotnie w domu rodzicielskim świta,
Zdala od wzroku natrętnego ludzi!
Kwiat na dnie morza kwitnący głębokiém,
Którego nawet blask słońca nie zbrudzi,
Nie tak jest czysty przed Allaha okiem!—
Tak dotąd Hildy i serce i lice,
Jak na ołtarzach święte tajemnice,
Były w zamknięciu haremu strzeżone.
Stokroć szczęśliwy! komu los przeznaczy,
Że z nich dziewiczą uchyli zasłonę,
Że je najpiérwszy pozna i obaczy!
Jak ów, co znagła na bezdrożnéj toni,
Zaczarowany raj ziemski odkryje,
I sam tchnie całém upojeniem woni,
Którą wprzód usta nie tchnęły niczyje!—

---

*) Źródło, albo Fontanna Młodości, podług tradycyi Mahometanów, płynie gdzieś między najdzikszemi górami na Wschodzie.—

Piękne są, piękne, arabskie dziewice,
Gdy w lekkim tańcu depcą smug zielony!
Jak gwiazdy błyszczą ich pełne źrenice,
Gdy patrzą z okien przez cienkie zasłony.—
Piękne są, piękne, małżonki Arabów,
Białe jak jaźmin, co we włosach noszą;
Pierś ich miłości oddycha rozkoszą,
A rozkosz nowych dodaje powabów:
Gdy w swych altanach, gdzie w letnim upale
Cień liści czyni słońce łagodniejsze,
Przed zwierciadłami pędzą czas niedbale,
I z każdą chwilą stają się piękniejsze!—
Lecz próżno szukać w Arabii całéj,
Od Beduinki do żony Sułtana,
Coby się mogły, coby nawet śmiały,
Równać w piękności z córką Al-Hassana! —

Piękna jak Anioł, gdy we snach dziecinnych
Roztoczy w górze cień skrzydeł strażniczych:
Promienna blaskiem swych uczuć niewinnych,
Kwitnąca w pełni powabów dziewiczych.
Samo spójrzenie—gdyby z tém spójrzeniem
Spotkał się zbrodniarz, płakałby z rozpaczy,
Alboby musiał uciekać ze drżeniem
Jak wąż, gdy połysk szmaragdu obaczy *):

---

*) Utrzymują na Wschodzie, że gdy wąż wpatrzy się w blask szmaragdu, natychmiast ślepnie.

Tak jest spokojne, tak czyste—a razem
Tak gore ogniem i czucia wyrazem,
Że rzekłbyś tęcza zmięszanéj jasności
Niebieskiéj chwały i ziemskiéj miłości:
Promień jéj duszy, wpół boskiéj istoty,
. Gdzie tylko ziemska czułość i tęsknoty
Są jakby cienie—śród których tém miléj,
Jaśnieje światłość złagodzona wiary:
Jak promień słońca, gdy w pogodnéj chwili
Przez drzew cieniste wciska się konary,
I takie światło rozkoszne rozlewa,
I tak łagodnie swym blaskiem ogrzewa,
Że wątpić trzeba, czy tych liści cienie
Nie milsze dla nas, niż same promienie! —

Taką jest Hilda—co na swym krużganku,
Bezzsenne we łzach opuściwszy łoże,
Duma samotnie czekając poranku,
I patrzy smutnie na błękitne morze.—
Ach! nie tak kiedyś—ach! nie tak ze łzami,
Nie tak z westchnieniem — w swych progach rodzin-
[nych,
Patrząc na niebo zasiane gwiazdami,
Z jasnemi w duszy jak one myślami,
Marzyć lubiła za lat swych dziecinnych! —
Jakież dziś smutku przyczyny być mogą?
Czy co straciła? czy bojąc się żąda?
Czemu w noc czuwa? czemu z taką trwogą
Ku przepaścistym skałom tym pogląda,

Co najeżone u góry podnoża,
Ponurym cieniem plamią jasność morza?
To niepodobna! ażeby tą drogą
Mogła, lub śmiała spodziewać się kogo! —

Tak myślał Emir, gdy jéj na téj skale
Kazał zbudować ów ganek na wieży,
Gdzieby po skwarnym letnich dni upale
Mogła oddychać nocy powiew świeży;
Tak myślał Emir, gdy to jéj mieszkanie
Z téj strony całkiem zostawił bez straży.—
Spij więc bezpiecznie, i nie patrz, tyranie!
Na co się miłość młodzieńcza odważy!
Miłość, co rosnąc śród niebezpieczeństwa,
W walce z niém szuka rozkoszy i chluby,
Któréj najmilszy ten wieniec zwycięztwa,
Co go zerwała nad przepaścią zguby!
Śmielsza od łowca pereł lub korali,
Co nie wprzód w morskiéj pogrąża się fali,
Aż się o cichéj zapewni pogodzie:
Miłość, choć piorun, choć ocean ryczy,
Tę tylko perłę za skarb sobie liczy,
Którą ułowi w najburzliwszéj wodzie! —

O! i w téj chwili—choć stroma opoka,
Choć skały śliskie, i przepaść głęboka:
Jest przecież taki, córko Al-Hassana!
Co byle ujrzeć blask twojego oka,
Co byle dotknąć twoich ust szkarłatu:

Wdarłby się nawet tam—gdzie niedeptana
Ścieżka prowadzi na szczyt Araratu *)!

Słyszysz? szum wiosła!—Patrz! łódka bez żagli,
Pędzi jak strzała w niezachwianym biegu,
Tak szybko wioślarz do pędu ją nagli.
Przed nią i za nią, w księżyca promieniu,
Wre biała piana podobna do śniegu:—
Łódź coraz bliżéj—już znikła w skał cieniu—
Piasek zaskrzypiał—stanęła u brzegu.

„To on!"—bledniejąc Hilda zawołała,
I na poręczach ganku pochylona,
Na dół otwarte wyciąga ramiona,
Jakby mu w pomoc rękę podać chciała.
Tak owa w pieśniach poetów sławiona,
Białowłosego Zala narzeczona **),
Gdy na jéj ganek wdzierając się w nocy,
Raz nad przepaścią zachwiał się jéj luby:
Rzuciła własny warkocz ku pomocy,
By się go ujął, i uniknął zguby.

Ale zręczniejszy jest ów młodzian śmiały,
Co przy mdłych tylko księżyca połyskach,
Pnąc się w téj chwili po śliskich urwiskach,
Jak dzika sarna arabskiéj pustyni,

---

*) Góra ta uważana była powszechnie za niedostępną.

**) Zal, sławny bohater Perski, w pierwszych wiekach tego państwa, ojciec sławniejszego jeszcze od siebie Rustama, urodził się z białemi włosami. Zdarzenie wspomniane w tekscie, sławne jest w poezyach perskich.

Szybkiemi kroki skacze z skał na skały —
Już ujrzał Hildę—już blisko—już przy niéj!—

Ona go kocha—lecz nie zna, i nie wie,
Kto on? z jakiego plemienia i kraju? —
Jak ów, co błądząc w Indyańskim gaju,
Cudnego ptaka obaczy na drzewie,
Co wczoraj z wiatrem wiejącym od morza,
Przyleciał z wysep nieznanych nikomu,
I nim jutrzejsza może błysnie zorza,
Znów z tymże wiatrem odleci do domu:—
Na cóż mu ptaka nazwisko posłuży,
Kiedy się blaskiem jego piór zachwyca?—
Wielki Allahu! spraw tylko, by dłużéj
Kochanka swego widziała dziewica!—

Było to w nocy, o téj saméj porze—
Noc była cicha i spokojne morze,
I księżyc świecił na niebios przezroczu:
Gdy po raz piérwszy, z okien swego gmachu,
Nócąc przy arfie święty hymn poranku,
Ujrzała nagle—o! srogi przestrachu!—
Ujrzała dwoje płomienistych oczu,
Patrzących na nią przez kratę jéj ganku —
I była pewną, że to oczy ducha,
Co przez powietrzne przelatując drogi,
Tu się zatrzymał, i pieśni jéj słucha!—
Ta myśl tak umysł przenikła lękliwy,
Że choć wnet z piérwszéj ochłonąwszy trwogi,

Sama się własném przekonała okiem,
Że to był młodzian śmiertelny i żywy,
Co uniesiony jéj wdzięków widokiem,
Wskoczył na ganek, u kolan jéj klęczał,
Całował usta, i miłość zaręczał:—
Myśl ta w niéj nieraz budzi się nanowo,
Skoro z ust jego—jak się często zdarza—
Usłyszy dzikie, niepojęte słowo:
Gdy oko jego gniewem się rozżarza,
I tak dokoła żywym ogniem ciska,
Że go znieść wtedy niepodobna zbliska.
Wtenczas drży znowu, zali jéj kochanek
Nie duch zwodniczy, lub jeden z Aniołów,
Co uwiedzeni wdziękami ziemianek,
Jasne swe niegdyś rzuciwszy pobyty,
Zrzekli się Nieba za miłość kobiéty,
I dotąd błądzą śród ziemskich padołów!—

Nie drżyj, dziewico! nie drżyj!—twój kochany.
Ni duch zwodniczy, ni Anioł wygnany;
Ach! jest on tylko z owych synów ziemi,
Co tak namiętni w miłości i gniewie,
Jak gdyby tchnęli płomieńmi samemi,
Lub czując w sercu piekielne żarzewie,
Zgasić je tylko mogli w krwi rozlewie!—

Lecz dziś w nim życie jakby mgła owiała;
Twarzy tak bladéj, oczu tak ponurych,
Nigdy w nim dotąd, nigdy nie widziała!
Lecz takim bywał we snach jéj, po których,

Jedną jéj ulgą w złowrogiéj obawie,
Było się budzić, i płakać na jawie.
Bo sny to były, których cień i we dnie
Zaczernia duszę—jak duch, co się jawi
Niosąc śmiertelnym nieszczęść przepowiednię,
Wszędzie gdzie stąpi, czarny ślad zostawi!—

„Jak pięknie“—rzekła dziewica nieśmiało,
Jakby ją brzmienie własnych słów lękało:
Tak długo milcząc obok siebie stali,
Patrząc na połysk ugładzonéj fali. —
„Jak pięknie dzisiaj to światło księżyca
„Ową cienistą wysepkę oświéca!
„W moich marzeniach, jam nieraz żądała,
„Żeby ta wyspa ptaka skrzydła miała,
„I nas, siedzących pod cieniem swych gajów,
„Przeniosła razem gdzieś do pustych krajów,
„Lub gdzie na jakie nieżeglowne wody:
„Gdziebyśmy sami mogli żyć dla siebie,
„Żyć i umierać—bez ludzkiéj przeszkody!—
„Gdzieby się tylko przez gwiazdy na niebie
„Oczy Aniołów na nasz raj patrzyły!—
„Tego się tylko obawiam, mój miły!
„Czyby świat taki wystarczył dla ciebie?“—

Rzekłszy, ku niemu spójrzała wesoło,
Pewna, że uśmiech wzajemny obaczy.—
On stał, ku ziemi opuściwszy czoło,
I tylko ku niéj podniósł wzrok rozpaczy,
Co jak miecz w duszy kochającéj tonie.
Zbladła dziewica, i klasnąwszy w dłonie:

„Nie patrz tak, nie patrz! już wiém, co to znaczy!“—
Krzyknęła dłońmi zakrywając skronie.
„Ach! te sny moje! te widma złowieszcze!...—
„Wiém, co mi wróżą!—Nic, nic nie pomoże!
„Ty chcesz, ty musisz rzucić mię—dziś jeszcze! —
„Ach! ja wiedziałam, że to trwać nie może!
„Jam od dzieciństwa przywykła do tego,
„Utracać wszystko, com tylko kochała!
„Nie było krzewu, ni kwiatu jednego,
„By wnet nie usechł, gdym ja go wybrała.
„Nie było ptaka, ni młodéj gazeli,
„Gdy już mię znała i jadła z méj dłoni,
„Gdy igrać ze mną zaczęła już śmieléj,
„Bym zaraz potém nie płakała po niéj!—
„I ty, mój luby! ty, coś moję duszę
„Nauczył uczuć tak nowych, tak tkliwych:
„Wiém, że i ciebie równie stracić muszę!—
„Idź! nie dziel moich losów nieszczęśliwych!
„Idź, i nie wracaj!—choć twoje przybycie
„Niebem jest dla mnie;—lecz te strome skały!
„To zdradne morze!—ach! a tyś tak śmiały!
„Ty mógłbyś dla mnie narazić swe życie!...—
„Idź, i nie wracaj!—lecz przyjmij na drogę
„Łzy méj miłości i błogosławieństwo!—
„O mnie się nie bój!—ja czuję, że mogę
„Znieść łatwiéj żałość po tobie, niż trwogę
„Że cię narażam na niebezpieczeństwo!“—

—„Niebezpieczeństwo!—chcesz, żebym się chlubił?“—
Krzyknął młodzieniec; — „cóż mi ono znaczy?

„Co znaczy temu? kto raz wszystko zgubił,
„Co wzrósł śród nieszczęść, przywykł do rozpaczy;
„W którego uchu trąb wojennych dźwięki
„Brzmią co minuta;—co we dnie i w nocy,
„Śpiąc nawet miecza nie śmie puścić z ręki,
„By się nie ocknął w nieprzyjaciół mocy?—
„Niebezpieczeństwo!.....“—
—„Więc ty nie znasz trwogi?
„Powrócisz do mnie? mój luby! mój drogi!“—

—„O nie! tak nie patrz!—bo te oczy twoje!...
„Ja się na świecie nic prócz nich nie boję!—
„Jeśli są gwiazdy, co wpływem swym mogą
„Popchnąć mię różną od obranéj drogą:
„Jeśli jest jaki talizman uroczy,
„Coby mi przeszłość z pamięci wymazał,
„Coby na przyszłość zapomnieć mi kazał:
„Tym talizmanem—byłyby twe oczy! —
„Lecz nie!—to próżno!—nie ma nam sposobu!
„Wyrok mój jasny—dopełnić go muszę—
„Musim się rozstać!—i z téj strony grobu
„Już się nie ujrzym!—bo choć nasze dusze
„Sam Bóg powiązał—świat wiecznie rozdziela.—
„Słuchaj mię, słuchaj! arabska dziewico!
„Wprzód gwiazdy razem ze słońcem zaświécą,
„Niż ja się złączę z krwią nieprzyjaciela! —
„Twój ojciec.....“—
—„Nie kończ!—niech go Allah strzeże!
„Wzrok twój mu zda się nieszczęściem zagraża.

„Lecz ty go nie znasz—nie wiész, jak on szczerze
„Szanuje męztwo, i mężnych poważa!—
„Dość niech cię pozna!—nikt pewno goręcéj
„Czcić cię nie będzie, ani kochać więcéj.—

„Pomnę, w dzieciństwie, gdy w jego komnatach
„Lubiłam czasem bawić się z orężem,
„On mi rokował, że w późniejszych latach
„Bohater jakiś być musi mym mężem.
„I teraz nawet, gdy mu na wieczerzę
„Przynoszę sorbet i owoce świeże,
„A on nie smutny—jak się często zdarza—
„Lub go nie trudnią rządowe zajęcia,
„Pieszcząc się ze mną, z uśmiechem powtarza,
„Że wojownika chce tylko za zięcia:
„Bo mężne serce i chwała z oręża,
„Są najdroższemi bogactwami męża.“—

„Ty się odwracasz?—ach! ty mój jedyny!
„Ty zyskasz łatwo chwałę i wawrzyny!
„Wstąp w jego szyki!—Wiész, że się zuchwali
„Gwebrowie znowu do buntu porwali...—
„O! ja nieszczęsna! spójrzałeś tak srogo!—
„Czyliż te rady obrażać cię mogą?—
„Ach, nie!—w twym wzroku, co tak ogniem pała,
„Błyszczy już przyszłe zwycięztwo i chwała.
„Wstąp w jego szyki!—lecz śpiesząc na boje,
„Hamuj w nich, proszę, zapał twego męztwa;
„Pomnij, że miłość, i że serce moje
„Czekać cię będą z nagrodą zwycięztwa!—

„Wtenczas się o nie śmiało upominaj.
„Gdy ci, którymi mój ojciec się brzydzi,
„Bezbożne Gwebry.....“—
—„Milcz, milcz! nie wspominaj
„Tego imienia!—twe słowa są gromy!“—
Krzyknął z rozpaczą młodzian nieznajomy,
I płaszcz swój rozkrył:—„Czy twe oko widzi
„Ten pas? znak Gwebra?*)—Płacz więc, lub przeklinaj!
„Jak nas twój ojciec klnie i nienawidzi!

„Tak!—jam jest z tego *bezbożnego* rodu,
„Co choć nas ściga wasza zemsta sroga,
„Wiernie w godzinach wschodu i zachodu
„Wielbimy w słońcu tron żywego Boga **)!
„Tak!—jam jest jeden z tych nędznych tułaczy,
„Wiernych ojczyznie, zemście i rozpaczy,
„Co klnąc Arabów, co nas w jarzmo wprzęgli,
„Na krew poległych braci zaprzysięgli,
„Dopóty walczyć ogniem i żelazem,
„Aż lub kraj zbawim, lub zginiem z nim razem!—
„Dziki twój ojciec...—Lecz nie drżyj o niego!
„Kimbądź on dla nas—dawca życia twego

---

*) Dla odróżnienia się od bałwochwalców Indyjskich, Gwebrowie opasują się pasem. skórzanym, i tak wielką do tego stroju przywiązują wagę, że bez niego chwili być nie mogą.—

**) Gwebrowie utrzymują, że tron Najwyższego jest w słońcu, i dla tego tylko cześć mu oddają.—

„Świętym jest dla mnie, jak Mitry ołtarze,
„Gdy na nich ogień ofiarny rozżarzę. —
„Lecz wiedz, żem jego szukał w owéj nocy,
„Gdy widząc światło na bezbronnéj wieży,
„Nadzieja zemsty dodała mi mocy:
„Wdarłem się tutaj od morskich wybrzeży —
„Wdarłem się z mieczem — z sercem krwi spragnioném... —
„Lecz ach! któż zbada tajnie przeznaczenia? —
„Chciałem zejść sępa w gniaździe zakrwawioném,
„Znalazłem tkliwą gołąbkę zbawienia!... —
„Tyś zwyciężyła!—Cel, co mię tu znęcił,
„Wypadł z méj duszy;—twój grzech, jeślim winien,
„Żem jedną chwilę miłości poświęcił,
„Gdym tylko zemście wszystkie był powinien! —

„Obym ja nigdy, nigdy nie znał ciebie!
„Lub mógł zapomnieć: jak byłem szczęśliwy,
„Jakbyśmy byli szczęśliwi—jak w Niebie!..—
„Gdyby—o! Hildo!—nie ów los straszliwy,
„Co wśród nas stanął—i nielitościwy
„Tak nas daleko rozepchnął od siebie! —

„O! gdyby kraj mój był i twoim krajem!
„Gdybyśmy w jednéj wsi, o! moja droga!
„Wzrastali razem, i jednego Boga
„O szczęście swoje błagali nawzajem;
„I połączeni węzłami świętemi
„Wspomnień dzieciństwa i rodzinnéj ziemi,
„Radzi z ubogiéj po ojcach spuścizny,
„Kochali siebie miłością ojczyzny!

„Gdybym z ust twoich, w pełnym westchnień głosie,
„Usłyszał piosnkę o jéj dawnym losie,
„Kiedy nasz Iran wielkim był Iranem!
„Gdybym w twych oczach, coby ogniem tlały,
„Ujrzał blask święty jego dawnéj chwały,
„Lub w łzach twych litość nad dzisiejszym stanem!...
„Wtenczas-to, wtenczas, mójby miecz zabłysnął —
„I biada temu, co te łzy wycisnął!
„Zmyćby je musiał morzem krwi wylaném!

„Lecz cóż nam dzisiaj, że nas miłość sprzęga,
„Dziś—gdy nas wszystko na wiek wieków dzieli:
„Wiara, ojczyzna, powinność, przysięga?—
„Gdybyśmy sobie wiernemi być chcieli,
„Musimy zdradzić krew naszą i Boga!—
„Ojciec twój nami jak piekłem się brzydzi:
„Ty sama może...—Przebacz, moja droga!
„Nie!—tak nie spójrzy ten, co nienawidzi!—
„Nie!—moja Hilda!—o! ja znam jéj duszę!
„Ona się losem Iranu rozczuli:
„Wyzwoli jeńców, odwróci katusze,
„Pocieszy wdowy, sieroty przytuli!
„A gdy w obronie nieszczęśliwéj ziemi,
„Ostatni nasi polegną rycerze:
„Pomnij, że jeden z nich kochał cię szczerze —
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!—
„Lecz patrz!“—
Tu umilkł, i blednąc na twarzy,
Ukazał tylko na odległe wały,

Gdzie jak ogniki nad grobem żeglarzy,
Błękitne światła przeze mgłę migały,
I podwojone morskiemi zwierciadły,
Sypiąc iskrami, wzlatały ku górze:
Że rzekłbyś gwiazdy, co do morza spadły,
Lecą znów osiąść na niebios lazurze.

„Bądź zdrowa, Hildo!—to są hasła moje—
„Puszczaj mię, puszczaj!—bo hasła złowieszcze.—
„Chwila spóźniona—a zginiem oboje! —
„Najmilsza moja! raz jeszcze! raz jeszcze!
„Żegnaj!—Ojczyzno! teraz jam twój znowu!“ —
Rzekł, i wprost z ganku skoczył w głąb parowu,
Jakby śmierć tylko pociechą rozstania. —
A ona blada, bez tchu, bez pamięci...
Wszystkie jéj myśli, uczucia i chęci,
Zlały się w jeden zamęt obłąkania!—
Wtém w głębi woda zaplusnęła głucho.
Szmer ten jak gromem uderzył jéj ucho—
Szmer ten jéj zda się hasłem jego zguby!—
Podniosła ręce—na kraj ganku bieży,
Jak gdyby za nim w dół rzucić się z wieży:
„Idę za tobą! idę, o! mój luby!
„Niech nas przynajmniéj w téj saméj topieli
„Jedna śmierć razem oboje pogrzebie!
„Milej mi z tobą umierać, niżeli
„Żyć wieki wieków, daleko od ciebie!“—

Lecz nie wybiła jeszcze ich godzina—
Bo łódź w téj chwili z cienia skał wybiegła,

I z szumem drogę pienistą przerzyna,
Tam, gdzie znów ognie błękitne postrzegła.
I uskrzydlona żaglem w pomoc wiosła,
Lekko, swobodnie ulata po falach:
Jakby wesołość tylko w sobie niosła,
I nikt na brzegu nie pozostał w żalach!—

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉJ.

PIEŚŃ DRUGA.

Nad Perskiém morzem ranek świta blady.
Coraz to jaśniéj widać okolice:
Widać palmowe Bareinu sady,
I ambrozyjskie Kiszmai winnice *),
I różnobarwne wysp kwiaty i krzewy.
Tchnie brzeg Arabski wonnemi balsamy:
A z wód Indyjskich łagodne powiewy,
Wkoło świętego nadbrzeża Selamy **),
Igrają z falą i z kwiatów wieńcami,
Które z ziem róznych pobożni żeglarze,
Z ziół swych ojczystych uwiwszy je sami,
Płynąc tu, morzu poświęcili w darze,

---

*) Barein i Kiszma, wyspy na Zatoce Perskiéj

**) Selama, albo Sełemek, jest to właściwie nazwisko przylądku, zwanego pospolicie Musseldom. Indyanie płynąc około niego, rzucają w morze owoce i kwiaty, dla otrzymania szczęśliwéj żeglugi.

Na cześć wielkiego Gieniusza wody,
Za wiatr przychylny i wierne pogody.—

Słowik się rozstał z rożanemi krzewy,
Zkąd nócił w nocy niesłuchane śpiewy,
I przed spójrzeniem jutrzenki się chroni,
Pod cieniem liści granatnych jabłoni,
Co od jéj blasku, na tle swéj zieleni,
Błyszczą jak tęczą ognistych kamieni,
Oblane rosy tak czystéj perłami,
Że najlepszego oręża nie splami *),
Że miecz nią zlany, wartby jeszcze z rana
Uzbrajać ramię młodego Sułtana,
Gdy po raz piérwszy zasiądzie na tronie!

Lecz oto słońce ze wschodniéj purpury
Wzniosło promieńmi uwieńczone skronie—
I już świat cały ogniem życia płonie! —
Słońce!—Aniele światłości! ty, który,
W dniu narodzenia świata i natury,
Sam piérwszy, wiodąc jasne gwiazd gromady,
Wszedłeś w ogniste Stworzyciela ślady!
Gdzie są dni owe—świadku ich odwieczny!
Gdy cały Iran, jako kwiat słoneczny,
Z czcią i miłością, o każdéj dnia dobie,
Okiem i sercem zwracał się ku tobie?

---

*) Franklin, mówiąc o klimacie Szyrazu, powiada: „Rosa tak jest czysta, że najlepsza stal, przez całą noc zostawiona na dworze, nie zardzewieje od niéj.“ —

Gdzie są ołtarze, co wzdłuż jego krajów,
Jak dzieciom kazał przykład ojców stary,
Płonęły ogniem twojéj czci i wiary:
Od orzechowych Samarkandy gajów,
Do Bendemiru skalistych wybrzeży?—
Gdzie są?—Zapytaj cieniów tych rycerzy,
Co po jednemu walcząc z tysiącami,
Śród krwią oblanéj Kadesu płaszczyzny,
Wrogów ją swoich zasławszy trupami,
Szczęśliwi! z chwałą polegli i sami —
Nie czują więzów, ni krzywd swéj ojczyzny!—
Spytaj wygnańca, co w nędzy wygnania,
Bez pocieszenia, bez politowania,
W pustyniach życie prowadzi tułacze:
Albo z wierzchołka gór wiecznie zimowych,
Patrzy ku stronie Iranu, i płacze
Po kraju słońca i cieniów palmowych!...

Lecz czyż Iranu chwała i ołtarze
Na zawsze w Mitry zagasły pieczarze?—
O nie! są jeszcze synowie w Iranie,
Co nie napróżno Muzułmanom grożą:
Co za swą wiarę, za krew swoich braci,
Dopóty miecza i zemsty nie złożą,
Póki ich słońce światłości nie straci,
Póki im ziemi jak na grób zostanie!
Młodzieńcze serca, w których siła ducha,
Na lada krzywdę płomieniem wybucha:
I dusze mężkie, w których mrocznéj głębi,
Gniew, jako ogień w przepaściach wulkanu,

Tleje ukryty, lecz się nie wyziębi,
Aż przy nim zemsty dojrzeją nasienia,
Aż jako palma olbrzymia Ceylanu *),
Hukiem rozkwitu świat zbudzą z uśpienia!...

Lecz któż jest, który na Iranu brzegach
Rozwija sztandar wolności i chwały;
Przed czyim mieczem, w złamanych szeregach,
Arabskie hordy po polu pierzchały,
A on spokojnie postępował daléj,
Śród muru włóczni Kermańskich górali?—
Są to ostatni wiary swéj obrońce,
Lecz umrzeć za nią każdy żądzą pała:
Jakby w ich sercach, jak w ich górach słońce,
Cześć jego światła najdłużéj jaśniała!

Hafed ich wodzem;—imię to straszliwe,
Jak złośliwego rym czarnoksiężnika;
Dość je wymówić—drżą tłumy lękliwe,
I najmężniejszych zimny dreszcz przenika.—
Hafed—o którym Arabowie w nocy
Tak dziwne wieści prawią przy ogniskach,
O jego wzroście i nadludzkiéj mocy,
O jego oczu rażących połyskach:

---

*) *Talpot* albo *Tapilot*. Piękny ten gatunek palmy, rosnąćć w głębi największych lasów, może się policzyć do najwyższychj drzew; a gdy rozkwita, wydaje łoskot podobny do wystrzału z działa.

Że nieraz straże słuchając z uboczy,
Z trwogą swój kaptur nasuną na oczy *),
By się im Hafed nie zjawił śród cienia,
By ognistego nie spotkać spójrzenia!—
Bo Hafed, mówią, nie z ludzkiego rodu:
Szczep tajemniczéj rodziny Tamura **),
Co mu, gdy wojnę prowadził za młodu,
Gryf Symurg z piersi dał zaklęte pióra,
Które gdy szyszak jego okrywały,
Miecz go nie ranił, nie dosięgły strzały.
Te pióra dzisiaj zdobią hełm Hafeda,
A sam Duch Ognia wspiera go przez czary:
Bo przezeń wierze swojéj upaść nie da,
A chciałby zguby muzułmańskiéj wiary.

Taka wieść o nim, którą Arab szerzy,
I chcąc lżyć wroga, sam swój postrach wzmaga.—
Lecz on, wódz młody Irańskich rycerzy—
Talizman jego, jest miecz i odwaga;
A te tak straszne Muzułmanom czary:
Miłość ojczyzny, wolności, i wiary!

---

*) Arabowie noszą odzież z kapturem, podobnym do kapturów mniszych.

**) Imię jednego z najdawniejszych królów perskich, którego dziwne przygody i bohaterskie dzieła słyną w poezyach wschodnich. Gryf Symurg, który go sam na pustyni wykarmił, dał mu na ozdobę kilka piór swoich, które go niezwyciężonym czyniły, i przeszły spadkiem do jego następców.

Krew, co w nim płynie z bohaterów dawnych,
Miła jest ziomkom i czczona w Iranie,
Nie z długich wieków, lecz z dzieł synów sławnych;
Jako ta rzeka na górze Libanie,
Co ztąd jest tylko i świętą i głośną,
Że święte cedry na jéj brzegach rosną *).

Nie z jego duszą, nikczemném kolanem
Bić przed swym wrogiem, i przed Muzułmanem!
Nie jemu miejsce w niewolników gronie,
Co na sam widok turbanu na głowie,
Blednąc na twarzach pochylają skronie,
Jak nagłym wichrem pognane sitowie!—
O! nie!—on uciekł w pustynie—tam woli
Spotkać tygrysa, niż braci mordercę,
Gdzieby mu każda łza ich nędznéj doli
Jak kropla ognia spadała na serce!
Tam—jak kochanek, któremu zaświtał
Piérwszy wzrok długo czekanéj miłości:
Tak on tam piérwszy blask miecza powitał,
Gdy w ręku zemsty błysnął dla wolności! —

Lecz próżne męztwo!—próżno kwiat Kermanu,
Gardząc mnogością Al-Hassana dziczy,
Jak z chmur zesłany obrońca Iranu,
Zstąpił z gór zerwać łańcuch niewolniczy!

---

*) Rzeka ta, mówi Dandini, ztąd tylko zowie się *świętą*, że płynie pomiędzy cedrami, które są miane za święte.

Próżno ognisty, jak sam Bóg ich, słońce,
Zapał w ich sercach dzień zwycięztwa wróżył!
Przeciw ich jednéj, wróg miał strzał tysiące,
Przeciw jednemu, co tysiące pożył,
Miryadami płynął tłum pohańczy:
Aż po daremnym morza krwi rozlewie,
Zastęp ich zrzedniał—jak liście na drzewie.
Gdy po niém chmura przeleci szarańczy.—

Jest niedaleko Gombarunu miasta,
Wysoka, stroma, przepaścista góra,
Wierzch jéj skalisty nad morze wyrasta,
I cięży nad niém, jakby wieczna chmura,
Jakby wiszące ogniwo, co kończy
Gór owych łańcuch, co bodąc obłoki,
Od bram Kaspijskich do Perskiéj zatoki,
Dwa światy dzieli, i dwa morza łączy.
Skały sterczące w krąg u jéj podnóża,
Zdają się nagie olbrzymy śród morza,
Postrach i wrogi żeglarzów ciaśniny;
A z jéj ostrego, najwyższego szczytu,
Na tle pogodnym jasnego błękitu,
Czernią się dawnéj świątyni ruiny.
Nieraz Albatross w powietrzu drzemiąca *),
Gdy o ich mury senném skrzydłem trąca,

*) Ptaki te, podług dawnego mniemania, śpią na powietrzu, i są bardzo pospolite na Przylądku Dobréj Nadziei.

Z krzykiem przestrachu zdumiona się budzi,
Że i w obłokach są mieszkania ludzi.
Pod stopą góry, jéj wnętrza kamienne,
Czas pobił w groty i lochy bezdenne,
Gdzie fale morza z wściekłą wpadłszy mocą,
Pienią się, ryczą, i wrzeniem bełkocą —
A taki łoskot wkoło się rozlega,
A taka straszna wieść po kraju biega
O duchach, które tam się dręczą na dnie:
Że żaden Arab, chociaż w boju śmiały,
Za skarby świata, skoro mrok zapadnie,
Nie zbliży łodzi do téj Gwebrów skały.—

Od strony lądu, te na szczycie wieże,
Co je czas, zda się, jak swój pomnik strzeże;
Od reszty świata, od ludzkiéj napaści,
Dzieli szeroko rów strasznéj przepaści,
Tak niezgłębionéj, tak dzikiéj, tak ciemnéj,
Że zda się bramą, zkąd piekielne duchy
Wychodzą na świat z otchłani podziemnéj.
Jako echo gromów, huk się tylko głuchy
Wznosi z jéj głębi:—lecz nie dójrzéć okiem,
Czy to jest woda, co w łożu głębokiém
Szumi wezbrana; czy gdzie w łonie ziemi
Ogień tak huczy z wichry podziemnemi:
Bo znać, że kiedyś w czasie zapomnianym,
Cała się góra paliła wulkanem *).

---

*) Świątynie Gwebrów były pospolicie budowane w miejscach, gdzie się znajdują ognie podziemne.—

Lecz choć wiek dawny, gdy z jéj wzniosłych szczytów,
Z owych jéj świątyń--których same szczęty
Cześć budzą jeszcze:—śród niebios błękitów,
Wieczny jak słońce, pałał ogień święty;
Choć go kapłani i wierni czciciele,
Krwią swą i łzami zaleli w popiele:
Znowu—o! cudo niepojętéj mocy!—
Z gruzów tych Iran codzień widzi zdala,
Jak w dzień słup dymu, a słup ognia w nocy,
Wzbija się w niebo:—bo któż go zapala?

Tam Hafed resztę odważnych w Iranie,
Przed Muzułmanów zemstą uprowadził.
„Witam was—wołał—wy dzikie otchłanie!
„Choćby w was Eblis tron piekieł osadził,
„Wy rajem temu, kto w waszym pomroku,
„Ujdzie niewoli i wroga widoku!“—
Rzekł, i po ciasnéj, po jedynéj drodze,
Którą znał tylko on i jego wodze,
Po wątłym moście nad głębią jaskini,
Przeszedł ją z braćmi, i wszedł do świątyni.

„To miejsce, bracia! jedno nam zostało,
„Gdzie możem umrzeć, i zapłakać śmiało.
„Łez naszych widzieć wzrok nie będzie wroga,
„Ani z nich jego urągać pochlebce!
„Tu możem umrzeć:—tu zuchwała noga
„Muzułmanina naszych ciał nie zdepce!
„A choć konając obaczym, jak sępy
„O skały na nas ostrzą dziób swój tępy;

„Chociaż czuć będziem, jak z nas ząb tygrysa,
„Albo hyena ciepłą krew wysysa:
„Cieszyć się będziem śród saméj rozpaczy,
„Że jéj w nas tutaj Arab nie zobaczy.“—

Tak mówił Hafed—a wtém ogień święty,
Co na ołtarzu sam przed chwilą wzniecił,
Jakby tajemnym tchem duchów rozdęty,
Wzmógł się w téj chwili, i twarz mu oświecił.

„Stało się!“—kończył—co dłoń ludzka może,
„Myśmy zrobili w obronie Iranu.
„Lecz gdy sam Iran, w spodlonéj pokorze,
„Chce nieść hołd obcym i bogom, i panu;
„Jeśli ci nawet—ci, których krew sama
„Zwaćby powinna w ślady wielkich ojców,
„Synowie plemion Zala i Rustama *),
„Cześć widzą w pętach bisurmańskich zbójców:
„Albo—o! hańbo!—gdy Mitry ołtarze
„Zalały świeżo krwi kapłańskiéj rzeki,
„Oni, bezwstydni, padają na twarze
„Przed ołtarzami oszukańca z Mekki!...
„Niech więc przed wrogiem Iran gnie kolano,
„Do całowania stóp jego niech drze się,
„Aż więzy jego tak sprośne się staną,
„Że najpodlejszy ich dłużéj nie zniesie.

---

*) Rustam, syn Zala, najsławniejszy bohater perski. Pomiędzy Gwebrami są jeszcze ich potomkowie.“

„Aż wstyd, na który tak długo nie dbali,
„Do rdzeni wewnątrz ich dusze przepali:
„Aż łzy, gdy nawet i płakać zakażą,
„Połknione, pierś ich trucizną zarażą...
„Wtedy—ha! wtedy znajdą się obrońce—
„Z burzy i z nocy odradza się słońce!—
„Lecz dziś, o! bracia! zostaliśmy sami,
„Których dusz podłość, ni zdrada nie plami.
„Miejsc tych Araba tchnienie nie skalało:
„Tu więc zostańmy!—a choć nas tak mało,
„Choć nam z ran jeszcze płynie krew gorąca —
„Dość nam krwi jeszcze na zemstę zostanie!
„Pójdziem, jak dziki lampart na Libanie *),
„Czyhać na zbójców po zachodzie słońca,
„I na kark z góry wskoczym niespodzianie!
„A gdy się miecz nasz na ich czaszkach złamie,
„Gdy już od rzezi omdleje nam ramię,
„I dalszéj pomsty nie znajdziem sposobu:
„Wtedy, zmuszeni Bogu ją zostawić,
„Wrócim tu sami do wolnego grobu,
„Umrzeć za Iran—nie mogąc go zbawić!"—

Rzekł—wszystkim wodzom łzy z oczu wytrysły,
Wszystkie ich miecze w powietrzu zabłysły,
Wszystkie skłonili ku gruzom ołtarza.—
Choć wkoło tylko pustka i zniszczenie,
Choć sam gruz nawet upadkiem zagraża,
A ze ścian między rozpadłe kamienie

*) Lampart czatuje siedząc i czając się na drzewie, i z góry skacze na zdobycz. *Russel*

Bluszcz tylko zwisa, lub chwast szumi suchy:
Tu, gdzie najświeższe owoce i kwiaty
Lud niósł w ofierze, gdy niemi przed laty
Mag żywił przodków wędrujące duchy *); —
Choć teraz pusto—gdzie kapłanów rzędy,
Świąteczne niegdyś sprawując obrzędy,
Siały dym wonny z kadzielnicy brzękiem; —
Choć teraz głucho – gdzie hymnów tysiące
Witało codzień odrodzone słońce,
I obraz jego grał cudownym dźwiękiem **);—
Lecz Bóg ich dawnéj nie stracił potęgi,
Jak słuchał ojców, i synów usłyszy —
Gdy miecz podniósłszy, w imię towarzyszy,
Wódz wyrzekł słowo najświętszéj przysięgi:
Że się pomściwszy czci i krzywdy bratniéj,
Tu wrócą umrzeć, i pożegnać słońce. —
Oni! ostatni ojczyzny obrońce,
Umrzeć na gruzach świątyni ostatniéj!...

---

*) Pomiędzy innemi obrządkami, Magowie na wierzchołkach swych świątyń kładli rozliczne owoce i kwiaty, któremi, jak mniemano, karmiły się Perie i dusze zmarłych bohaterów. —

**) „Każdego poranku Gwebrowie idą tłumem do świątyń składać cześć wschodzącemu słońcu; na każdym ołtarzu znajdują się poświęcone sfery, zrobione za pomocą czarów, wyobrażające okrąg i twarz słońca—Sfery te, gdy słońce wschodzić zaczyna, rozjaśniają się same przez się, i obracają się wkoło z wielkim łoskotem.—Obecni mają wszyscy kadzielnice w ręku, i ofiarują kadzidła.—*Robbi Benjamin.*“—

O! wielkie dusze! godne łez Anioła,
Łez uwielbienia i żalu, któremi —
Oni nie wiedzą—że śród wrogów koła
Anioł-dziewica płakała nad niemi!
O! piękna duszo! w któréj miłość budzi
Tak tkliwą litość na cierpienia ludzi!

Życie jéj dotąd, bez trosk i bez grzechu,
Nakształt spokojnéj jasnych wód przezroczy,
Drzemało w niebios błękitnym uśmiechu:
Aż w nie swój miłość talizman uroczy
Rzuciła z góry, i wkrąg coraz daléj
Rozwiodła drżenie poruszonéj fali.

Niegdyś, Emirze! twa córka spokojna,
Choć wkoło wrzały pożoga i wojna,
Jedna w tym kraju z wesołém obliczem,
Żyła nie myśląc, nie wiedząc o niczém;
Jako na polu bitw perska lilija,
Gdy krew wkoło niéj płynie strumieniami,
Kwiat jéj tém bieléj ku niebu się wzbija,
Aż i jéj saméj kropla krwi nie splami.—
Niegdyś szczęśliwa, że cię los ocalił,
Nie czując innéj trwogi ni boleści,
Gdyś się po bitwach z krwi rozlanéj chwalił,
Nie słysząc, dzikich słuchała powieści.
Sam nieraz myślą dręczony bolesną,
Lub chodząc szybko w zapalczywym gniewie,
Sam nieraz kląłeś wesołość niewczesną,
Co się w jéj słodkim ozywała śpiewie:

Jak arfa w jasnéj cherubina ręce,
Któréj głos w piekle słyszą potępieńce.—
Dzisiaj!—o! gorzki słodkich uczuć skutek!
Straszne nieszczęsnéj miłości męczeństwo!—
Jéj dusza—płomień; jéj spójrzenie—smutek.
Ach! a myśl o nim—rozpacz i szaleństwo!—
Słuch jéj brzmi dotąd słowami strasznemi:
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!“—
I gdy nieszczęsna każdego poranku,
O ległych w bitwie wczorajszéj usłyszy,
Nie śmiąc, nie mogąc spytać o kochanku,
Płacze go w każdym z jego towarzyszy.
Nie ujrzy miecza, ni włóczni błyszczącéj,
By się nie zdało, że krew jego na niéj:
Nie ujrzy strzały w powietrzu lecącéj,
By nie zadrżała, że pierś jego zrani.
Żadna ją siła na świecie nie skłoni,
Gdy się jéj ojciec uzbraja do bitwy,
By mu jak dawniéj, z cichemi modlitwy,
Miecz ciężki z własnéj podawała dłoni.
I gdyby nie ta czarnych dusz ślepota,
Co jak mgła z bagnisk powstaje nad niemi,
By się szlachetne uczucia i cnota
Mogły bezpieczniéj ukazać na ziemi:
Gdyby ta jego nie zaćmiła wzroku,
Wracając z boju, obaczyłby snadnie,
Że się w tém dzikiém, obłąkaném oku,
Że się w téj twarzy, co tak drga i bladnie,
Jakby się śmierci lękała widoku:
Że się w tych słowach plączących bezładnie,

Straszliwa zmiana jéj duszy objawia:—
I zgadłby może—bo i któż nie zgadnie,
Że taką zmianę miłość tylko sprawia?—

Nie owa miłość, pogodna, młodzieńcza,
Co tchnie rozkoszą i weselem bawi;
Co gdy się wzajem na ziemi zaręcza,
Ludzie ją chwalą, a Bóg błogosławi.
Nie owa miłość, co od lat dziecinnych
Wzrosła i kwitnie pod rodziców okiem,
I wszystkich uczuć najsłodszych—rodzinnych,
Urok, z swym własnym złączyła urokiem:—
Nie takie, Hildo! są twoje płomienie!
Żywiół ich, rozpacz i wieczne milczenie.—
Bo twe nadzieje, straszne ci jak grzechy;
Bo łzy twe, łzami zgryzot, nie pociechy.
Namiętność twoja, jak skarb źle zebrany,
Co pod zaklęciem w ziemi zakopany,
Grobowym ogniem błyszczy tylko w nocy;
Jak to bożyszcze czarnoksięzkiéj mocy,
Któremu czciciel nim cześć złoży własną,
Czeka, aż wszyscy prawowierni zasną!

Siedem już nocy okrywało morze,
Jak łódź jéj Gwebra w mgle dalekiéj znikła:
Lecz ona co noc o téj saméj porze,
Idzie na ganek, gdzie z nim bawić zwykła,
I we łzach czuwa do świtu, i czeka,
Czy go jak dawniéj nie ujrzy zdaleka. —

Lecz próżno czeka, próżno się spodziewa,
I bystrém okiem po przestrzeni wodzi,
Próżno się modli, i łzami zalewa —
Nie ma i nie ma pożądanéj łodzi!
Gdzie niegdzie tylko między dzikie skały
Nietoperz mignie, lub krwią ociężały
Sęp załopoce;—gdzie niegdzie śród ciszy,
Z głębi puszczyka zabrzmi śpiew grobowy,
W cieniach przepaści błysną oczy sowy,—
Oto jest wszystko, co widzi i słyszy.

Ósmy dzień błysnął;—Al-Hassana czoło
I oczy radość niezwykła rozżarza;
Usta mu nawet śmieją się wesoło.—
Komuż to jakie nieszczęście zagraża?—
Bo fal Herkendu iskrzenie się w burzy *),
Kiedy je wicher przewraca aż do dna,
Nie pewniéj zgubę i rozbicia wróży,
Jak jego uśmiech, albo twarz pogodna!

„Zbudź się, wstań, córko!—Kerna już zabrzmiała **),
„Głos-by jéj zmarłych obudził z pod ziemi,
„A ty śpisz jeszcze!—Wstań! byś powitała
„Dzień, co mię laury okryje nowemi,

---

*) Morze to podczas burzy iskrzy się jak ogień.

*) Kerna, gatunek trąby. — Takich trąb używano w wojsku Tamerlana, których dźwięk, podług opisów, miał być dziwnie przerażający, i tak głośny, że się na kilka mil (angielskich) wkoło rozlegał.

„Dzień, co mię wsławi i zbawi na wieki!
„Bo nim na niebie świt zabłyśnie nowy,
„Morze zrumienią krwi pogańskiéj rzeki.
„A na pal wbite ręce, serca, głowy...
„Ha! sam téj może pociechy dostąpię,
„Że miecz, dłoń moja, w krwi się jego skąpie!" —
—„W krwi Jego!„—nagłym powtórzyła krzykiem—
Bo dla niéj tylko On jeden na świecie:
Bo myśleć więcéj nie umie o nikim!—
—„Tak, tak jest, Hildo!—ciesz się, lube dziecię!
„Mimo skał swoich i jaskiń, téj nocy
„Bezbożnik Hafed będzie w mojéj mocy!—
„Dzięki niech będą Prorokowi świętych!
„W moc go nam daje złota kiesa błaha;
„Inaczéj twierdze i złość tych przeklętych
„Mogłyby długo urągać z Allaha!..
„On to—poganin! co moję tu drogę
„Usłał stosami ciał mych wojowników;
„On to—syn piekła! co nawet był trwogę
„Rzucił przez czary wpośród moich szyków!...
„Ha! dzisiaj dozna, jak głęboko mogę
„Wpędzić żelazo w serca buntowników.
„Kiedy mi dobra zdarzy się pogoda,
„Gdy zemsta natchnie, a Bóg siły doda!—
„Wielki Proroku! na hełm Al-Mawasza *),
„Co w bitwach zdobił twoję skroń zwycięzką,

---

*) Mahomet miał dwa hełmy, jeden z nich zwał się Al-Mawaszah, co znaczy wieniec albo korona, i zdobił czoło Proroka w sławnéj bitwie pod Ohod.

„Klnę się przed tobą:—gdy dziś zemsta nasza,
„Twych i mych wrogów nasyci się klęską:
„Za każdą kroplę krwi, co po méj ręce,
„Co po mym mieczu z ich piersi popłynie,
„Z min perskich kamień najdroższy poświęcę.
„Na twych ołtarzach w Mecce i Medynie!...—
„Nieba! ty mdlejesz!—córko! dziecię moje!...
„Jak blade usta! jak szkliste spójrzenie!—
„Nie! nie dla ciebie, widzę, krew i boje!
„Żyć ci, jak żyłaś, w spokojnym Jemenie *)!—
„Anibym słabéj płci twéj nie wystawił,
„Żebyś się miała trwożyć krwi widokiem,
„Gdybym nie myślał, że za każdym krokiem
„Tryumf mój tylko będzie wzrok twój bawił.—
„Ja byłem pewny—i na to cię wziąłem—
„Że Pers pokorném uderzy mi czołem,
„Że się przed tobą, jak bóztwem pokłoni,
„Że cię te hołdy ucieszą—a oni! —
„Bezbożne plemię!—wzięli się do broni!—
„Lecz się uspokój!—wiatr, co teraz wionie,
„Chłodząc twe usta spalone i skronie,
„Wnet żagle twego powrótu rozwinie;
„I nim krew wrogów, co w nocy popłynie,
„Skrzepnie na skałach, albo wsiąknie w ziemię,
„Spoczniesz bezpieczna w rodzinnym haremie!“—

Groźby Emira nie daremne były.—
Na świętéj górze, gdy oczy Hafeda

*) Arabia szczęśliwa.

Z dumą ostatnich braci swych liczyły,
Mógłże on myśleć, że go z nich kto przeda? —
Lecz ach! był Gweber, co swą duszę zmazał,
Odstępca braci, ojczyzny, i wiary;
Gweber, co drogę Arabom pokazał.
Ów most tajemny nad głębią pieczary,
Ostatnią twierdzę, i ufność ostatnich
Obrońców wiary, mścicieli krzywd bratnich!

Śród nich raz walcząc z Arabami śmiało,
Przemożon liczbą i okryty blizny,
Został na polu—lecz nie umarł z chwałą;
Słońce, co jego grób oświecać miało,
Widzi go jeńcem—i zdrajcą ojczyzny!—
I gdy się bracia, co zdołali wrócić,
Nad stratą jego nie przestają smucić;
Albo o jego rozmawiając chwale,
Nadzieją zemsty wspólne koją żale:
On żył—i rękę po złoto wyciągał,
Przedał krew braci, i słońcu urągał.

O! gdzież są słowa na przeklęcie zdrady!
Co jak zaraza z piekieł wyzioniona,
Padnie na mężnych odwagę i rady,
Pomięsza serca, i zemdli ramiona?
Gdzie godna kara nędznika—zbrodniarza,
Co kupcząc przyszłém zbawieniem i cnotą,

Bluźni na stopniach cudzego ołtarza,
Krew braci swoich przedawszy za złoto?—
O! niech dlań zdrada będzie karą zdrady!
Niech jéj gorzkiemi zaprawiony jady,
Zdrój życia łzami do ust mu się leje!
Niech sen jak zdrajca odbiegnie od łoża!
Niech jego radość, pociechy, nadzieje,
Jako owoce Umarłego Morza *),
Łudząc wzrok chciwy i piersi spragnione,
W ustach się w popiół rozsypią jak one!
Niechaj się w zbrodni uporem zatwardzi,
Niech się nim dzieci i rodzice brzydzą,
Niech go przyjaciel—nie!—sam wróg niech wzgardzi,
A z nędzy jego najpodlejsi szydzą!
Niech po pustyniach błądzi bez ochłody,
Niech przed nim słońce łudzącemi blaski
Mami go wiecznie morzem świeżéj wody,
A on niech coraz brnie w gorętsze piaski **)!

---

*) Jezioro Asfalt, znane pod tém imieniem, zawiera w sobie taką ilość soli, i tak szkodliwe wydaje wyziewy, że ani ryby w jego wodzie, ani zwierzęta na brzegach żyć nie mogą; przelatujące nawet nad wodą jego ptaki upadają bez życia.—Na brzegach jego znajduje się gatunek jabłoni, których owoce świeże i piękne na pozór, wewnątrz są pełne popiołu, jak purchawki. *Tevenot.*

) Znane są złudzenia oka na piaszczystych pustyniach, pochodzące ze drżenia przepalonego skwarem powietrza. Najmniejszy wzgórek, drzewo, lub jaki inny przedmiot, przybiera nieraz w oczach podróżnych kształt obszernego miasta, lasu, albo jeziora. Zjawisko to, zdarzające się niekiedy i na morzu, zowie się u naturalistów **Fata Morgana.

A gdy w rozpaczy końca mąk zażąda,
I sam się musi dobić ręką wściekłą:
Spraw, o! Proroku! niech na raj spogląda,
A sam niech wiecznie—wiecznie cierpi piekło!—

KONIEC PIEŚNI DRUGIÉJ

PIEŚŃ TRZECIA.

Dzień blizki końca: — czarny i ponury
Blask morskiéj wody, choć leży uśpiona,
Wyżéj i niżéj nad nią mgły i chmury
Wiszą jak niebios podarta zasłona:
A każda tylko lub nawałność wróży,
Lub zda się szczątkiem przeminionéj burzy.—
Te z nich rozwiane po niebieskich sklepach,
Jak końskie grzywy od wichru na stepach;
Te w czarnych kłębach tocząc się nad ziemią,
Zdają się pysznić, że w nich gromy drzemią;
I wszędzie tylko widać na przestworzu,
Tu obłok wstaje, a tam tonie w morzu.
Rzekłbyś, że burza straszna, niedaleka,
Chmur już matczyne rozszarpawszy łono,
Z piorunném jeszcze narodzeniem czeka,
Aż się zuchwałość jakiego człowieka
Odważy puścić na wodę uśpioną. —

Na brzegu jeszcze wszystko w martwéj ciszy.
Strasznéj—straszniejszéj niż huk nawałnicy.
Najstarszy majtek zwołał towarzyszy,
By mocniéj łodzie przywiązać do brzegu;
Krzyk dziki ptastwa słychać w okolicy,
Gdy z morza w stadach, lub długim szeregu,
Leci, po skałach szukając zachrony.
W porcie już nieraz sternik doświadczony
Wstrzymał przybory; i wątpliwém okiem
Tocząc po niebie w dumaniu głębokiém.
Na nowy rozkaz zdał się czekać jeszcze.

Tak wszystko było groźne i złowieszcze.
Jak dola twoja, Arabska dziewico!
Gdy się z bezpieczną rozstawszy kotwicą,
Łódź twoja z portu szybkim poszła biegiem.—
Nikt cię nie żegnał:—ni muzyki dźwięki *).
Ni przyjaciele stojący nad brzegiem,
Coby ci głosem, lub skinieniem ręki,
Choć już nie widzisz, ni słyszysz w oddali,
Jeszcze ostatnie pożegnanie słali!—
Nikt cię nie żegnał—nie było nikogo.
Łódź twa samotna poszła dziką drogą,
Cicho, jak barka korsarzy w złym celu,
Przez straszną Bramę-Łez Babel-Mandelu **).

---

*) Mieszkańcy Wschodu puszczają się zwykle w podróż przy odgłosie muzyki.

**) Nazwisko Bramy-Łez. nadane zostało ciaśninie Babel-Mandel, z powodu niebezpiecznéj żeglugi, i częstego w niéj rozbicia

Gdzież był Al-Hassan, ów straszy bicz Boży?
Czyż ni na chwilę innych prac nie złoży,
By dziecię swoje w drogę błogosławił?—
Nie!—on samotny, zamknięty w haremie,
To zwąc Proroka, to klnąc Gwebrów plemię,
Blizkiéj ich rzezi obrazem się bawił:
Z rozkoszą sępa, gdy w stepach bez końca,
Przez dzień za błędną goniąc karawaną,
Zwietrzy, że zaraz po zachodzie słońca
Świeże z niéj trupy na żer mu zostaną *).
Podczas gdy jego córka nieszczęśliwa,
Płacząc od brzegów Iranu odpływa,
Jako gołąbka śnieżna Babilonu **),
Co lecąc z wieścią nowych zwycięztw plonu,
Choć ją z rąk krwawych zwycięzcy puszczali,
Żadna krwi skaza białych piór nie kali.

Lecz czyż nadzieja rodzinnego kraju
Żadną jéj serca pociechą nie darzy?—

---

okrętów w tém miejscu. Płynący przez nią uważani już byli za zgubionych, tak dalece, że równo z ich odjazdem, kładziono po nich żałobę.

*) O tym dziwnym instykcie sępów, przeczuwających blizką śmierć ludzi i zwierząt, świadczy wielu podróżnych na Wschodzie. „Ledwo zwierz lub człowiek padnie trupem na polu, natychmiast zjawia się jeden lub kilka sępów, których przedtém nigdzie nie było widać.“ *Pennat.*

**) Gołębie babilońskie lub bagdadzkie, sławne są z przenoszenia listów, które się im przywiązują pod skrzydło.

Tam wśród wonnego akacyi gaju,
Co tyle razy we snach jéj się marzy,
Błądzić znów będzie;—tam, gdy się zatrzyma
Na łąkach pełnych i róż i lilii,
Przyjdą się głaskać z jasnemi oczyma
Młode gazelki, z dzwonkami na szyi!—
Tam różnopióre, w napowietrznych klatkach,
Ptaki ją przyjmą dawnemi piosenki;
Tam całe w złotych oplecione siatkach
Rybki na dzwonek przybiegną do ręki *)!
Tam znów, gdy zgaśnie dnia światło gorące,
Będzie samotna w chłodniku z jaźminów,
Liczyć to gwiazdy coraz się mnożące,
To swój różaniec z pereł i rubinów!—
Ach! czyż te niegdyś tak miłe uciechy,
Żadnéj dziś sercu nie sprawią pociechy?—
Nie!—ona smutna, od sług swych zdaleka,
Siedzi i duma—jak gdyby już wsobie
Czuła chłód straszny losu, co ją czeka.
Siedzi i duma—piękna w swéj żałobie,
Jak smutny Anioł na świętego grobie.

I niepamiętna na chmury i wały —
Na Gwebrów tylko ponadbrzeżną górę,

---

*) Żona cesarsa Jehan-Guir, bawiła się zwykle karmieniem małych rybek w sadzawkach swego ogrodu. — Niektóre z nich, aby nie rosły, kazała oplatać całkiem delikatną siatką ze złota.

Harris.

Któréj cień właśnie jéj żagle mijały,
Oczy i myśli zwróciła ponure.—
Dzisiaj tam jeszcze—o! straszny obrazie!
Z gór strumieniami popłynie krew wrząca,
I dymić będzie na wrogów żelazie,
Jako ostatnie kadzidło dla słońca!
I on tam może!...—„O! strzeż go od zguby,
„Strzeż go, Allahu!“—zawoła w rozpaczy.—
„Mój nieznajomy! mój drogi! mój luby!
„Tyś wróg nasz, Gweber!—lecz co mi to znaczy?
„Co mi twe imię?—gdy między wszystkiemi,
„Tyś mi najwyższy, najmilszy na ziemi!—
„Wielki Allahu! gdy to gniew twój wzrusza,
„Każ, niech mię zaraz to morze pogrzebie,
„Wprzód niźli moja obłąkana dusza
„Zapomni ojca, i wiary, i ciebie!—
„Ratuj mię, ratuj!—wszak znasz serce moje,
„Wiész, jak go kocha; widzisz, jak się boję,
„Aby dla niego Nieba się nie zrzekło:
„Bo raj bez niego, straszny mi jak piekło!“—

Tak się modliła padłszy na kolana—
Wzniesione oczy, i dłoń załamana.
I choć jéj usta, w dzikiém uniesieniu,
Grzeszą rozpaczą; choć z Niebem się swarzy:—
Niebieski promień jaśnieje w spójrzeniu,
Niebieska świętość oddycha z jéj twarzy!
Bo taka dusza—choć zbłądzi w pomroku,
Jak Anioł we mgle, nie zmieni postaci;

Jak promień słońca, złamany w potoku,
Choć zboczy z nurtem—jasności nie traci.—

Lecz tak się w myślach głębokich ponurza,
Że choć się niebo zaćmiło jak nocą,
Ona nie widzi;—choć gwałtowna burza,
I przeraźliwy wicher z wściekłą mocą
Ciska okrętem:—nic to jéj nie wzrusza.
Nawet ów hałas tak nagły, tak dziki,
Co nad jéj głową huk gromów zagłusza:
Te szczęki mieczów, stąpania, i krzyki...
Ona nie słyszy.—A wtém jednym razem,
Okręt zaskrzypiał, zatrzeszczał tak nagle,
Jak gdyby pokład, i maszty, i żagle,
Jęknęły ciężkim przywalone głazem,
Śród wrzasku majtków, i jęków rozpaczy!—
Straszliwy łoskot!—Nieba! cóż on znaczy?—
Nie głos to burzy—choć niebo i morze
Grzmią jak grom jeden!—„O! przebacz mi, Boże!
„Przebacz mi!“—Hilda krzyknęła—i zbladła,
Jakby szła stanąć przed sędziego tronem,
Wpół martwych dziewic otoczona gronem,
Podnosząc ręce, na kolana padła:
„Allah! twa litość nad nami niech świeci!“—
A wtém znów z góry, raz drugi i trzeci
Skrzyp się powtórzył—zapadły się deski,
Jakby je piorun roztrzaskał niebieski,
I pokład runął.—O! straszny widoku!
Krew, woda, trupy, i ludzie w natłoku,

Spadają, walczą—ci zemdloną dłonią,
Jeszcze znać życia i łodzi swéj bronią;
Tamci z okrzykiem: „Za Iran i Boga!“
Znać już zwycięzcy, zabijają wroga.—

Jakiż stróż-Anioł strzegł wtedy jéj życia?
Czyja dłoń nad nią czuwając statecznie,
Z pośrodka szaleństw rzezi i rozbicia,
Zemdloną, martwą, uniosła bezpiecznie?
Ona niepomni;—nagłe zimno dreszczu
Pierś jéj ścisnęło—i blada leżała,
Śród krwi i ruin, jak lilija biała,
Zwiędła w wulkanów płomienistym deszczu.—
Lecz ach! straszliwe obrazy i krzyki,
Co tkwią w pamięci jak sen jaki dziki!
Runący pokład—na deskach zachwianych
Walczące tłumy!—i wyżéj u góry,
Podarte szmaty żaglów krwią zbryzganych
Miotane wiatrem!—i ciemność, i chmury!
I błyski gromów, i miganie stali,
I szczęk oręża, i ryk morskiéj fali!...
Rzekłbyś, że cała natura się wściekła,
A rozdąsanych żywiołów szaleństwo
Z człowiekiem w gniewie walczy o pierwszeństwo—
Tak wrzało morze—tak krew ludzka ciekła!

Raz tylko—Allah!—sen-że to niebieski,
Czy prawda była?—raz jednak się zdało,
Nim przed oczyma wszystko pociemniało,
Że nad przepaścią łamiącéj się deski,

Ujrzała postać duszy swéj Anioła;
Że wtenczas nawet—miłości złudzenia!—
We mgłach, śród burzy, nad sceną zniszczenia,
Świecił pogodnym blaskiem swego czoła,
Jak w pośród niebios burzliwych obwodu
Gwiazda Egiptu: co pała tak jasno,
Nieznana ludziom Białych Wysp Zachodu *),
Że przy niéj drugie jak przy słońcu gasną!
Byłoż to tylko przywidzenie, mara?—
Krzyk skonał w ustach—w oczach jakaś szara
Noc się rozwlekła; mdłość członki owładła—
Nie pomni więcéj—bez życia upadła.—

O! jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośne wichrów umilkną niezgody:
A rozjaśnione niebiosa i wody
Znów miłe słońce piastują na łonie!
Cała natura, tak piękna, tak świeża,
Zda się w téj chwili na nowo rozwija,
A niebo tęczą łaski i przymierza
Do snu zwaśnione żywioły spowija.
Kwiaty wróconą lubując się ciszą,
Lekko się z wiatrem łagodnym kołyszą,
I świeżéj woni balsam tchną w niebiosa.
Na liściach deszczu burzliwego rosa,

---

*) Jasny *Kanopus*, niewidzialny w Europie.

Jako ów kamień spadły w nawałnicy,
Tli zda się ogniem gromów błyskawicy *).
Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści,
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści,
A każdy zda się innego stróż zioła,
Jego woń tylko roznosi dokoła.
A całe niebo blaskiem się uśmiécha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha —
Fale się tylko gdzie niegdzie podnoszą,
Jak upojone miłości rozkoszą
Piersi kochanki—gdy za lubym wzdycha!

Taka nad światem godzina wesoła
Świeciła wtenczas—świat w takiéj był ciszy:
Gdy Hilda z mdłości ockniona—dokoła
Nic, oprócz wody pluskania nie słyszy,
Co o brzeg łodzi bijąc zamiast wiosła,
Zlekka ją daléj po głębinie niosła.—

Lecz gdzież jest ona?—patrzy obłąkana —
Jestże to barka, co ją dzisiaj z rana
We łzach uniosłszy od Perskiego brzegu,
Szybkie delfiny wyścigała w biegu?—

---

*) Drogi kamień Indyjski, zwany u starożytnych: *Ceranium*, gdyż jak mniemano, znajdowano go tylko w tych miejscach, gdzie piorun uderzył.—Tertulian mówi, że się tak połyskuje z wierzchu, jak gdyby wewnątrz był ogień. — Najpodobniéj do prawdy że to jest opal.

Wszystko jéj tutaj nowe i nieznane.—
Gdzież jest jéj łoże jedwabiem usłane,
I nad niém namiot z kaszmirskiéj purpury?
Gdzie są dziewice, co strusiemi póry
Powinny we śnie ochładzać jéj czoło?—
Gdzie są?—z przestrachem spójrzała wokoło.
Łodź z twardéj sosny ciosana po prostu;
Łożem jéj zbite dwie deski pomostu,
Grubo wojenną nasłane odzieżą.
Nad głową na krzyż trzy włócznie się jeżą,
Na nich skórzane pasy rozwieszone,
Cieniem od słońca służą za zasłonę.—
Przy sterze tylko, widać, ludzie zbrojni
Odpoczywają leżąc na pokładzie;
Krwawe ich ręce, ich szaty w nieładzie;
Smutni na twarzach—lecz wszyscy spokojni,
Znać że na dzisiaj pracy dokonali.—
Jedni po cichu prowadząc rozmowy,
Coraz to ku niéj rzucą wzrok surowy;
Ów marząc patrzy po dalekiéj fali;
Ów niedzielący wczasów towarzyszy,
Klnąc na wpół głośno napowietrznéj ciszy,
Z gniewem na wiosła nieczynne spogląda,
Jak gdyby użyć ich nie śmiał—choć żąda.—

Nieszczęsna Hildo! niech cię Allah broni!—
W całym orszaku tych majtków-żołnierzy,
Nie znać Arabskiéj broni, ni odzieży,
Zawojów nawet nie widać na skroni!—

Cała ich odzież, są żółte kaftany *) —
Barwa to Gwebrów!—jak pożarów łuna
Straszna Arabom;—każdy w nią ubrany,
Każdy wpół ciała nosi pas skórzany,
I czarny kołpak z tatarkiego runa. —
Tak!—drżyj nieszczęsna!—nikt ci wsparcia nie da—
A to są Gwebry—tyś w mocy Hafeda! —

Ach! na to imię nadzieja jéj znikła.—
On, wróg jéj wiary, jéj ojca, jéj rodu!
Postrach jéj ziomków!—on, co go od młodu
Tak nienawidzieć i bać się nawykła
Jak syna piekieł: co przez nie nadany
Wzrostem tak strasznym, spójrzeniem tak srogiém,
By wszędzie wierne niszcząc Muzułmany,
Rzucał cień między człowiekiem i Bogiem!...
Dziś w mocy jego!...—wkoło dzika tłuszcza,
Co krwi żadnego z brańców nie przepuszcza,
Cóż krwi jéj ojca—krwi ciemiężyciela? —

Biada ci Hildo!—Lecz cóż ją ośmiela?
Jakaż myśl nagła, lotem błyskawicy,
Pierś jéj przenikła i błyszczy w źrenicy—
Gdy śmiało, bystro tłum dziki przegląda?
Tak, że najśmielsi nawet wojownicy,
Spuścili oczy przed wzrokiem dziewicy,
Jak gdyby zgadli—kogo ujrzeć żąda.—

---

*) Oprócz skórzanego pasa, będącego charakterystyczną cechą Gwebrów, można ich jeszcze rozpoznać po ciemno-żółtym kolorze ich szat, naśladującym ogień. Czapki Persów są ze skór owiec tatarskich.

Próżne żądanie!—nie ma go!—przepadło
To tak krzepiące jéj duszę widziadło,
Co błysło tylko, jak ów sen uroczy,
Co przez dzień łzami zmordowane oczy
Na chwilę drogą postacią omami:
Obraz tęczowy, pół w świetle, pół w cieniu,
Co na tle duszy, w smutku lub uśpieniu,
Promień miłości maluje przed nami!—
Próżne żądanie!—lecz skoro ujrzano,
Że ze snu oczy i głowę podniosła,
Wnet, jakby tylko na znak jéj czekano,
Cała się rzesza rzuciła do wiosła;
Morze wkrąg białą okryło się pianą,
I wre pod łodzią—lecz gdzież łódź ich niosła?—
Spójrzała Hilda—o! straszne zjawisko!
To skała Gwebrów!—już blizko, już blizko!—
Oni wprost pędzą, gdzie zamiast przystani,
Czerni się paszcza podziemnéj otchłani.—
Wzrok się jéj zaćmił—zamknęła powieki.—
Niegdyś bezpieczna z okien swego gmachu
W tę stronę spójrzeć nie mogła bez strachu,
Gdzie wieczne wrogi Jemenu i Mekki.
Leżą ukryci po skałach i grotach,
Jak skorpiony w zatrutych swych splotach.—
Cóż teraz?—czyjéj zawezwie opieki?—

Z brzegów, słoneczną świecących pogodą,
Pod jasném niebem, po nad jasną wodą,

Ta jedna tylko przepaścista góra,
Mroczy się ciemna, groźna i ponura;
Nad czołem tylko jeden kłąb obłoku,
Jak krew od słońca czerwono jaśnieje,
Rzekłbyś, rozwita chorągiew wyroku
Wskazuje miejsce, gdzie się krew poleje.—

Gdyby Jéj myśli nie zmięszała trwoga,
Gdyby spójrzała—w téjby nawet porze
Dziwić się mogła, jak się ludzka noga
Na wierzch téj skały tędy dostać może?
Bo dotąd Arab wie tylko że na nią
Jedna jest droga—przez most nad otchłanią.—
Lecz ach! jéj myśli!—gdy nagły pęd wiru
Porwał łódź, skręcił, i niesie bez stéru,
Wprost, gdzie z łoskotem piorunów tysiąca,
Co chwila głośniéj wre fala hucząca.
„Pospuszczać maszty! pozapalać głównie!
„Prędko!"—głos groźny zawołał z pośpiechem.—
Runęły maszty z przeraźliwém echem,
Błysnęły światła—a fala gwałtownie
Zatrząsłszy łodzią i wzniósłszy do góry,
Pchnęła ją w paszczę otchłani ponuréj,
Czarnéj jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie, potępieńcy idą.

Choć z łodzi świecą głównią i pochodnią,
Blask ich czerwony nie dosięga daléj,
Jak piérwsze kręgi na tle czarnéj fali,
Co wre dokoła i pieni się pod nią.

Płynęli cicho—każdy bez oddechu,
Jakby oniemiał śród tego chaosu,
Śród tego mroku—gdzie nawet dźwięk głosu
Zdaje się mrocznym—i w dzikiém skał echu
Brzmi powtórzony wzdłuż sklepionych ciemnic,
Jak straszny poszept grobowych tajemnic.
Nagle łódź w biegu wstrzymała się sama —
Wstecz ją cofnęły fale zapienione:
Znać niewidoma odparła je tama,
Że nurt swój w inną obracają stronę:
I trzeba było naprzeć wszystkie wiosła,
By wód gwałtowność łodzi nie uniosła.—

Lecz co za echo?—Ktoś widać zuchwały
Z łodzi przez wodę skoczył między skały:
Dźwięki żelaza o głaz zabrzęczały,
I już do brzegu przykuta łańcuchem,
Drga łódź bezpieczna konwulsyjnym ruchem.
I w téjże chwili, jako słup promienny,
Smugiem od góry błysnął promień dzienny.
Lecz nim dziewica dójrzała lub zgadła,
Zkąd i którędy ta jasność się wkradła,
Dłoń czyjąś cudzą uczuła na skroni:
I wprzód nim krzyknie, wprzód nim się uchroni,
Oczy jéj gęsta zakryła zasłona.—
O! straszna chwilo!—przeczucia ponure!
Gdy ją wraz z łożem wzniósłszy na ramiona,
Ktoś wydał hasło—i poszli pod górę.—

O! blasku dzienny! jasności słoneczna!
Ileż pociechy, szczęścia w twym promieniu!
Oglądać codzień, i czuć je we tchnieniu,
Jest rozkosz życia tak miła, stateczna,
Że choćby wszystkie nadzieje zmyliły,
Siedzieć na słońcu, i patrzeć po niebie,
Człowieku! dość już byłoby dla ciebie,
Abyś się ciemnéj obawiał mogiły!
Tak Hilda, chociaż nie widzi i nie wie
Gdzie ją prowadzi niebezpieczna droga:
Ledwie dzień w ciepłym uczuła powiewie,
Wnet w niéj nadzieją rozświtała trwoga,
Wnet przypomniała kochanka—i Boga!

Krótka pociecha! bo droga ich znowu
Spada w głąb zimną mrocznego parowu. —
Tchnie wkoło wilgoć podziemnego zmierzchu,
Trzeszczą gałęzie, szeleści liść suchy,
A tu i ówdzie, z gór kamiennych wierzchu
Głaz spadający szerzy łoskot głuchy.
Echem tém zbudzon lampart wygłodniały,
Myśli że przemknął kozieł, albo łani,
I długo słychać, jak ze skał na skały
Skacząc, za głazem goni w głąb otchłani.
I znowu cicho—nim znowu gdzie zdala
Zabrzmi płaczliwe szczekanie szakala,
Albo hyena zawyje ponuro. —
Szum tylko wody wciąż słychać w głębinie,
Co gdzieś w przepaściach niedójrzana płynie,
Jak owa Czarna rzeka, po nad którą
Stoi Most Śmierci, otoczony chmurą.

Wszystko tu dzikie, okropne—a przecie,
Choć miejsc straszniejszych nie znaleźć na świecie,
Ujrzeć je, dla niéj byłoby pociechą:
Zgrozaby sama ulżyła bojaźni.
Bo cóż wyrówna strachom wyobraźni,
Rzuconéj w ciemność—gdzie takie brzmi echo?—

Zadrżała nagle—Czy ją sen znów myli?
Czy strach obłąkał?—Nie!—słyszy w téj chwili
Głos cichy, miły, jak arfa cheruba:
„Twój Gweber z tobą! nie bój się, o! luba!“—
Nie! ona nie śpi— czuje całą sobą
Ten głos, te słowa: „twój Gweber jest z tobą!“—
To był głos jego!—dotąd pierś i uszy
Brzmią jego echem;—nie! sen jéj nie łudził!—
Czyjżby głos inny tak trafił do duszy,
Takie w jéj sercu wzruszenie obudził?—
Ach! prędzéj róża najmłodsza śród krzewu
Weźmie szmer wiatru za pieśni słowicze,
Lub na głos ptaka gminniejszego śpiewu
Rumiane z pączka wychyli oblicze,
Niźli się miłość, w uniesienia chwili,
Cudzém westchnieniem lub głosem omyli!

Lecz choć się dusza marzeniem uśmiécha:
Że on jest przy niéj, że on patrzy na nią,
Że jego tchnieniem i ona oddycha,
Że ją dłoń jego wstrzyma nad otchłanią:
Znowu na straszne wspomnienie niewoli
Nowa jéj myśli ogarnęła trwoga.—

Bo ach! czyż Hafed okrutny pozwoli,
By który z Gwebrów śmiał bronić krwi wroga,
Krwi Al-Hassana?—w czyich dotąd rękach
Żaden z ich braci jeńcem nie ocalał;
Co się w ich dzikich rozkoszując mękach,
Krwią ich kapłanów święte ognie zalał?—
Cóż gdy dziś jeszcze, jak nocny zabójca,
Przyjdzie ich wyprzeć z ostatniéj ustroni!...—
Któż ją przed zemstą Hafeda zasłoni?
Kto jéj kochanka przed zemstą jéj ojca?—

„Strzeż go, Allahu!—wszak wszystko w twéj mocy!"—
Modli się w myślach:—„o! strzeż go téj nocy!
„A jeśli kiedy przed twym tronem, miła
„Serc grzesznych skrucha i ofiara była—
„Strzeż go téj nocy!—Na grób święty Mekki,
„Na wszystko święte na ziemi i w Niebie,
„Klnę się, przysięgam, że odtąd na wieki
„Cała się tylko poświęcę dla ciebie!
„Miłość, myśl o nim, nadzieje, wspomnienia,
„Wyrwę z méj duszy, jako kwiat zatruty,
„I żadnéj myśli, żadnego westchnienia,
„Żadnéj łzy po nim—oprócz łez pokuty—
„Żadnéj pociechy nie chcę, nie zachowam.
„A gdy téj jeszcze nie dosyć ofiary—
„Zeszlij mi. Allah! nędze, smutki, kary,
„Lecz ocal jego!—ja znieść je gotowam.
„Młodość przepędzę w żalu i pokucie,
„Na starość pójdę na życie pielgrzymie,

„Aż grzeszne w sercu wygaśnie uczucie,
„Aż prócz w modlitwie, nigdy jego imię
„Z ust mych nie wyjdzie!—bo modlić się muszę,
„Za tę tak wielką—tę tak jasną duszę!
„Modlić się będę—aż ją sam z ciemnoty
„Głos twój ku światłu twéj wiary powoła:
„Aż znów tę gwiazdę obłąkaną cnoty
„Osadzisz w jasnym wieńcu twego czoła!—
„Zbaw go dziś tylko—nie dla mnie—dla siebie!
„A będziem razem sławić imię twoje.
„Bo ja bez niego nie chcę być w twém Niebie —
„I gdy on zginie—zginiemy oboje!“—

KONIEC PIEŚNI TRZECIÉJ.

PIEŚŃ CZWARTA.

Czyj wzrok nie we łzach, czyja myśl bez chmury,
Komu żal świata piękności nie mroczy,
Dziśby go, dzisiaj, ze szczytów téj góry
U stóp jéj obraz zachwycał uroczy!
Te z niebem w dali zlane wod lazury,
Zielone brzegi—i na wód przezroczy
Rozsiane wyspy—wszystko się uśmiécha,
Wszystko rozkwita, i wonią oddycha!
Bo to jest jeden z tych cudnych wieczorów,
Co po dniach burzy kraszą nieba wschodnie,
Gdy słońce, dziennych dokonawszy torów,
W promiennym wieńcu tęczowych kolorów,
Złote zachodu podwoje odmyka:
I nim w nie wstąpi, spokojnie, łagodnie,
Lśni łzawym blaskiem—jak wzrok pokutnika,
Gdy wszystkie życia burzliwego winy
Obmywszy żalem ostatniéj godziny,

Żegna świat okiem przez łzy rozrzewnienia,
A w niém już świta pierwszy blask zbawienia.

Cisza wokoło;—wiatr, co w takiéj sile
Szumiąc po gajach Kermańskich się dąsał,
I najdojrzalsze, najsłodsze daktyle
Na ucztę biednym pielgrzymom otrząsał *),
Umilkł—i ledwo ciche muśnie fale,
Co się tak mienią w różanéj pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie.
A wkoło wyspy, palmami zielone,
Na tle przejrzystéj fali wyglądają,
Jak na powietrzu czarem zawieszone
Rajskie te sady, gdzie Peri mieszkają.—

Lecz próżno wszystkie te cuda obrazu
Przed okiem Hildy błysnęły od razu,
Skoro zasłonę odjęto z jéj czoła:—
Wzrok jéj zalśniony nic widzieć nie zdoła.
I przerażona—jak ci, co na chwilę
Nagle w swéj ciemnéj zbudzeni mogile,
Ujrzą nad sobą iskrzący wzrok obu
Strasznych Aniołów, Zwiedzicieli grobu *):—
Z dziką rozpaczą spójrzała dokoła
Na tłum swych wrogów—by z lic ich i wzroku

---

*) W okolicach Kermanu właściciele nie zbierają daktyli, które wiatr z drzewa otrząśnie, lecz zostawują je dla podróżnych.

**) *Monkir* i *Nadir*, dwaj straszliwi czarni aniołowie, zwani Zwiedzicielami Grobów. Obowiązkiem ich było przestrzegać dopełniania wszelkich przepisów wiary Mahometa, i karać nieposłusznych.

Wyczytać choćby treść swego wyroku—
I po nad nimi i sobą u góry
Ujrzała ruin czerniące się mury,
Mroczne—jak gdyby cieniem swego zmierzchu
Jasnemu światu urągały z wierzchu.—

Ale napróżno w nadziei i trwodze
Wygląda za tym, co ją w strasznéj drodze
Pokrzepiał głosem łagodnéj słodyczy;
Próżno!—na nowo zniknął sen zwodniczy,
Co jak zły Anioł żal jéj tylko drażni.—
Dziś jéj, dziś jego potrzeba przyjaźni!...

Lecz ach! nieszczęsna!—jakiż hałas dziki
Zabrzmiał, i echem o niebiosa bije?—
Zdala radośne wzniosły się okrzyki:
„Nasz wódz! nasz Hafed! niech żyje! niech żyje!“—
„Niech żyje!“—bliższe głosy zawołały.—
Idzie—krok jego powtarzają skały.—
Idzie—już blizko...—Nieszczęsna dziewica!
Tchu brak jéj w piersiach, ciemno przed oczyma—
Wnet ją uderzy oczu błyskawica,
Któréj najśmielszy Arab nie wytrzyma;
Wnet nad nią zagrzmi głos dumny i srogi,
Co gdy się ozwie w szykach Muzułmana,
Całe się hufce rozpierzchają z trwogi,
Jak na pustyni kupców karawana,
Gdy wkoło źródła leżąc w nocnéj ciszy,
Ryk spragnionego tygrysa posłyszy!—

Bez tchu, bez ruchu, wpół martwa z bojaźni,
Z oczyma na dół, jako posąg stała:

Drżąc przed tym wzrokiem—co w jéj wyobraźni
W téj chwili nad nią jak meteor pała;
Czekając głosu—jak ten, co już słucha
Rychło nań zabrzmi trąba Archanioła,
I pomnąc grzechy, wié że próżna skrucha,
Gdy hasło sądu strasznego zawoła!...—

Ale on milczy;—wkoło tylko zcicha
Brzmią coraz daléj odchodzących kroki.—
Poszli—on został;—słychać, jak oddycha.
Lecz ach! okropność téj ciszy, téj zwłoki!..—
A wtém!—o! zgrozo!—przybliżył się do niéj,
Ujął jéj rękę—i ścisnął w swéj dłoni,
I głos znajomy łagodnie zawołał:
„Hildo!“—nic więcéj wymówić nie zdołał.
Lecz ach! to dosyć, dosyć!—z ust dziewicy
Krzyk nagły wydał resztę tajemnicy.
I drżąca z trwogi, z podziwu, z radości,
Raz tylko wzniosła zapłonione skronie,
Rzuciła tylko jeden wzrok miłości,
By wnet łzy ukryć na kochanka łonie!—

Onże to, Hafed?—ów postrach rycerzy,
On, co jak tygrys krew arabską pije:
On, co gdy krzyknie, gdy wzrokiem uderzy,
Głosem osłabi, spójrzeniem zabije:
On, jéj kochanek?—piękny i łagodny,
Jakim był w chwili piérwszego widzenia,
Gdy na jéj myśli i senne marzenia
Rzucił z swych oczu promień tak pogodny,
Że mniema, Anioł przed nią się objawił,
I jasność Niebios po sobie zostawił?

Są chwile w życiu—i ta jest z nich właśnie—
Jak zabłysk słońca w zaćmie huraganu,
Gdy dzień dokoła w chmurach piasku zgaśnie;
Jak krzak murawy nad głębią wulkanu,
Co się sam jeden na brzegu zniszczenia,
Na zgorzeliskach życiem rozzielenia!
O! takie chwile!—im głębszą ciemnicą
Przeszłość, i przyszłość, i los je otoczy:
One tém jaśniéj, same w sobie świécą,
Blask ich tém miléj rozwesela oczy!—

On nawet, Hafed!—choć wszystkie z kolei
Zgasły mu gwiazdy chwały i nadziei.
Do zemsty nawet brak sił i sposobów:
Kochany jego Iran obrócony
W kraj pogorzelisk, lub pustynię grobów:
On sam—niezgięty, lecz życiem znużony,
Z orężem w ręku pory tylko czeka.
By umrzeć śmiercią wielkiego człowieka:—
W téj chwili jednak—bez trosk, bez zgryzoty,
Niepomny losu, co się przed nim mroczy,
Dzieląc kochanki niewinne pieszczoty,
Patrząc w kochanki promieniste oczy:
W których jéj miłość, tak szczera, tak tkliwa,
Co sama ziemię z Niebem porównywa,
Tęczą pociechy we łzach się maluje:—
Ach! w téj on chwili uczuł i pojmuje,
Jak jest gorącą iskra uniesienia.
Co w burzy nieszczęść jak meteor pryśnie;
Jak jest uroczą kropla upojenia,
Co w łez puharze jak perła zabłyśnie!—

Cóż, że z téj iskry może grom wypadnie?
Cóż, że w puharze jest trucizna na dnie? —
I ona wzajem patrząc w jego oczy,
Co jak dwie perły w jasnych wód przezroczy,
Zwolna w jéj duszy coraz głębiéj toną:
Patrząc w twarz, wielkiém uczuciem natchnioną:
Nie pomni trwogi, smutku, i niewoli.
Lub czuje tylko, jak nędzarz w uśpieniu.
Gdy się w rozkosznéni radując marzeniu,
Śmieje się przez sen—łkając mimo woli! —

Mroczna ruina, w pośród któréj stali.
Wielkim wyłomem patrzy w stronę fali,
Co jak zwierciadło, jak niebo bez chmury,
Jasna, błękitna, błyszczy u stóp góry. —
Tłum drobnych łodzi, co dziś przez dzień cały
W bezpiecznych portach lub na brzegu stały,
Buja w zatoce—i choć wiatr nie sprzyja,
Zmoczone żagle na masztach rozwija.
Tak orły, dżdżysta gdy już przejdzie chmura,
Susząc przed słońcem rozciągają pióra. —

Tłumne obłoki—choć już oko dzienne
Zdawna zasnęło za Larskiemi góry,
One tak jeszcze ogniste, promienne —
Że rzekłbyś, dzisiaj sam Anioł światłości,
By wynagrodzić światu dzień ponury,
Odchodząc do snu, z niezwykłéj szczodrości —
Jak młody Sułtan najmilszego z gości —
Przyodział Zachód szatą swéj purpury!

Terazto spójrzeć kochanków spójrzeniem!
Pod niemi morze gra cichém westchnieniem,
Nad niemi niebo goreje płomieniem!—
Ach! a ich dusza, w zachwyceniu cała,
Gra jak to morze, jak to niebo pała!...

Szczęśliwa chwilo!—ubiegła zbyt chyża.—
Zadrżała Hilda—noc coraz się zbliża:
Coraz to węższa łuna na zachodzie,
Coraz to szerszy krąg cieniu na wodzie,
Coraz obłoki, lśniące barwą jasną,
Jedne po drugich sinieją i gasną.—
Bystro po niebie spójrzała wokoło,
I nagle dłońmi zakrywając czoło:
„To noc już! przebóg!—mój drogi! mój luby!
„Uchodź ztąd, uchodź!—pół chwili nie zwlekaj! —
„On przyjdzie w nocy—On pragnie twéj zguby—
„On nie przebaczy!—Zguby swéj nie czekaj!
„Uchodź!—O! Nieba! słyszysz?—to szczęk broni,
„To echo kroków!—oni to już, oni!—
„Uchodź, mój luby! uchodź, póki pora!—
„Mówił, że w nocy...—choć noc nie nastała—
„Lecz ja znam Jego!—wiém, jak zemstą pała—
„Nie będzie nawet czekał do wieczora!...“—
I przerażona, bezprzytomna, zbladła,
Łkając na piersi młodzieńca upadła.

—„Biedna dziewico!—o! któż mi przebaczy
„Te łzy, tę boleść, ten szał Jéj rozpaczy?—
„Jam to odepchnął Jéj Anioła-stróża,
„Jam Ją zaplątał w mojém przeznaczeniu!—

„Srogo mię ściga jakaś pomsta Boża!
„Każde wnet szczęście gaśnie w mojém cieniu.
„Los mój, jak powiew z Umarłego-Morza,
„Kto nim raz westchnął, śmierć połknął we tchnie-
„O! ja niebaczny! mógłżem się ośmielić. [niu!..—
„Cień na Nią rzucić, los mój z Nią podzielić?—
„Lecz czemuż, czemu na burzliwéj wodzie
„Zbłąkane nasze spotkały się łodzie?—
„Czemu, przysiągłszy—gdym śród krwi i tłoku
„Obaczył z góry twe omdlone wdzięki,
„I niewidomy stanąwszy przy boku,
„Odwracał od nich ciosy zbójczéj ręki—
„Czemu, przysiągłszy strzedz się twego wzroku,
„By próżno wspólnéj nie powiększać męki:
„Słaby nikczemnik! złamałem te śluby,
„By cię pożegnać nad przepaścią zguby?...—
„Ale się nie bój! nie drżyj, moja droga!
„Łoskot co słyszysz, jest to szum strumieni.
„Tu nas nie sięgnie moc żadnego wroga:
„Tu, na tych skałach, nad światem wzniesieni,
„Stoim bezpieczni—spokojni, jak w grobie!
„A choćby ziemia i piekło złączone
„Przyszły ostatnią wydrzeć nam zachronę:
„Ty zaśnij śmiało!—ja czuwam przy tobie;
„Gwiazd tych Anioły strzedz cię będą we śnie.
„A skoro błyśnie porankowe zorze,
„Powrócisz jutro...“—
—„Nie!—to być nie może!“—
Krzyknie dziewica—„jutro już niewcześnie!

„Ach! ty nie ujrzysz jutra, mój jedyny!
„Lub uchodź zaraz! uchodź téj godziny!—
„Jesteś zdradzony!—Nikczemny niecnota,
„Który w te miejsca znał drogę tajemną—
„Co? ty nie wierzysz?—przez gwiazdy nademną!
„Prawdę ci mówię—zdradził cię dla złota!
„Krew twoję przedał zemście Al-Hassana!—
„Wierzaj mi, wierzaj!—On sam dzisiaj z rana,
„Sam mi to mówił—i patrzał tak srogo,
„Śmiał się tak dziko, żem drżała z przestrachu:
„I tak gwałtownie wkrąg stąpał po gmachu,
„Jakby twe piersi nadeptywał nogą!—
„Ja nie wiedziałam, że on tobie groził,
„Że straszny Hafed—jesteś ty, mój luby!—
„Lecz strach o ciebie krew mi w sercu zmroził.—
„Sam to Bóg może, nie chcąc twojéj zguby —
„Tak!—Bóg mię zesłał dla twojéj przestrogi.
„Nie gardź nią!—uchodź!—korzystaj z téj chwili!—
„Zniszcz jeśli można—lub każ strzedz téj drogi!—
„Lecz śpiesz się! śpiesz się! by jéj nie przebyli!“—

Zimniéj niż wicher, co tchem jednym ścina
Zródła przed chwilą słońcem gorejące,
Stokroć ach! zdrady braterskiéj nowina
Zimniéj przeraża serca ufające!
On tego doznał.—Jak rażony gromem,
Z blademi usty, z okiem nieruchoméin,
Stał, bez oddechu, nie podnosząc głowy;—
Rzekłbyś, zaklęty posąg marmurowy,

Co w skamieniałym Iszmonii grodzie,
Skamieniał myśląc o strasznéj przygodzie *).
Lecz rychło wnętrzna minęła katusza—
Wzniósł nagle czoło, i spójrzał—ze łzami.
A w tém spójrzeniu wielka jego dusza
Wszystkiemi swemi błysła promieniami! —
I nigdy nawet w dniach zwycięztw i chwały,
Lot myśli jego nie szedł tak wysoko,
Jak gdy w téj chwili, spokojny i śmiały,
Z dumą ku gwiazdom wzniósł iskrzące oko,
Jakby w nich hasła blizkich bojów witał,
Lub pożądane przepowiednie czytał!

Przyszła więc, przyszła godzina męczeństwa!
Ramienia jego Bóg już nie chce dłużéj.
Dni jego dotąd śród niebezpieczeństwa
Przeszły i znikły— błyskawicą w burzy;
Lecz śmierć za wiarę, na laurach zwycięztwa,
Śmierć, jaką sobie serce jego wróży:
Ta imię jego w przyszłych lat kolei,
Rozpali w gwiazdę chwały i nadziei!...
Góra ta, jego pomnik i grobowiec,
Stać będzie świętą przed ziomków oczyma;
I z ziem dalekich nieznany wędrowiec,
Poeta, rycerz, pod szatą pielgrzyma,

---

*) W podróżach wschodnich Perrego, znajduje się opisanie Iszmonii, miasta skamieniałego w wyższym Egipcie, gdzie jeszcze dają się widzieć skamieniałe postaci mężczyzn i kobiét.

Przyjdą, na gruzach tych zwalisk usiędą,
Przywiodą dzieci, i uczyć je będą:
Jakim był Iran—jak cierpiał, jak słynął!
Jakim był Hafed—jak walczył, jak zginął!
I na téj skale, krwią jego oblanéj,
Ukląkłszy razem nagiemi kolany,
Każą im w obec ojczyzny i Boga,
Zaprzysiądz zemstę pokoleniu wroga,
Zaprzysiądz wzgardę wierze Muzułmanów:
Póki w ich piersiach żywe serce bije,
Dopóki piętno arabskich kajdanów
W morzu arabskiéj krwi się nie obmyje!...—

Temi myślami wrzał w duszy młodzieniec,
Tych myśli dumą tchnęły jego rysy.
I nie radośniéj na męczeński wieniec
Spoglądał niegdyś wielki Prorok Issy *):
Jak on w téj chwili, spójrzawszy ku Niebu,
Patrzy z uśmiechem: gdzie od morskiéj strony,
Blaskiem z ołtarza na wpół oświecony,
Lśni stos wysoki—stos jego pogrzebu!
Z suchych gałęzi i drzew tchnących wonią,
Sam on go z braćmi własną złożył dłonią,
Aby gdy chwila przeznaczeń uderzy,
Gdy już ich zemstę zmoże przemoc wroga,

---

*) Po persku Jezus.

Tu z resztą wiernych wierze swéj rycerzy.
Umrzeć na łonie swego Ognia-Boga.
I każdy przysiągł, gdy nadzieja minie,
Sam się we wspólnéj zagrzebać ruinie;
I dla każdego stos, co go wyzwoli
Z rąk nieprzyjaciół i z jarzma niewoli,
Tak jest powabny, święty—jak to łoże,
Na którém Prorok ich w latach dziecinnych
Usnął na stosie—gdy Bóg, stróż niewinnych,
Płomienie pod nim w kraśne zmienił róże *)!

Długo nań z trwogą patrzała dziewica:
Zkąd mu ta w oczach gniewu błyskawica?
Zkąd ten płomienny rumieniec na twarzy?—
Cóż on układa? co myśli? co marzy?
Ach! czyliż jeszcze waha się i czeka,
Gdy czas tak krótki, śmierć tak niedaleka?...—
„O! mój Hafedzie!"—i łzami zalana,
Mówiąc to, przed nim padła na kolana —
„O! mój Hafedzie! mój drogi, mój luby!
„Jeśli mię kochasz, jak przysiągłeś nieraz —
„Błagam jak Boga—teraz tylko, teraz,
„Chciéj mię wysłuchać—nie pragnij swéj zguby!
„Uchodź, uchodźmy!—ratunek w twéj mocy.
„Łódź co nas tutaj przyniosła, wnet może —

*) Gwebrowie utrzymują, że gdy Abraham, wielki ich Prorok, rzucony został w ogień z rozkazu Nemroda: płomienie zamieniły się w róże, na których on usnął spokojnie. *Tavernier.*

„Daj tylko rozkaz!—pod zasłoną nocy,
„Unieść nas znowu na szerokie morze.
„Na Wschód, na Zachód—byle ztąd daleko—
„Gdzie chcesz, gdzie każesz, pójdę z tobą wszędzie.
„W burzach, w pustyniach, pod twoją opieką
„Nic mię nie strwoży, nic smucić nie będzie!
„Twój wzrok, twój uśmiech—ach! dosyć mi na tém;
„Cały świat dla mnie będzie rajskim światem!
„Pójdziem, osiądziem gdzie w kraju nieznanym,
„Gdzie nie grzech kochać, ani być kochanym;
„Lub gdy jest grzechem—gdziebyśmy przynamnie
„Płakać go mogli, klęcząc obok siebie:
„Ty do Allaha modliłbyś się za mnie,
„Ja—do jakiego chcesz Boga, za ciebie!“ —

Słowa te z dzikiém rzekłszy obłąkaniem,
Zwiesiła głowę, i z wstydu płakała.
Łkając gwałtownie, jakby z każdém łkaniem
Strona się życia w jéj piersiach zrywała.
Gdy on!—on młody, on kochany tyle!—
Któż go obwini?—jeśli mu na chwilę
Zemsta, przysięga, zamiary i chęci,
Sam Iran—wszystko wypadło z pamięci:
Gdy najpiękniejszą, najmilszą, w rozpaczy
U nóg swych widzi;—któż mu nie przebaczy?
Jeśli blask nagły nadziei młodzieńczéj
Duszę mu zalśnił, i jak łukiem tęczy,
Jasnych dni pasmem w przyszłość jego strzelił—
Dni najszczęśliwszych, gdyby je podzielił
Z tą, co tak kocha!—gdyby się ośmielił!...—

Nie!—łzy gorące, co po licu zbiegły,
Gdy się ku lubéj, chcą ją podnieść, skłonił;
Łzy tak mu nowe—one go ostrzegły,
Jak mglisty obłok duszę mu przesłonił.
Zadrżał—i dumnie spójrzawszy dokoła,
Łzy te niemęzkie otarł z swego czoła.
Jak ów, co rano wychodząc na boje,
Ociera z rosy swój oręż i zbroję,
Co je przyćmiła, lecz splamić nie zdoła.—

Lecz choć już słabość minęła niegodna,
W stłumionym głosie i łzawéj źrenicy
Tchnie jeszcze czułość tak miękka, łagodna:
Że w sercu tkliwéj, strwożonéj dziewicy,
Nanowo słodka zakwitła otucha,
Że go jéj prośba, jéj rada nakłoni:
I cała w oku, patrzy nań i słucha,
Gdy dłoń jéj wziąwszy, zcicha mówił do niéj:
„Tak, moja luba! tak, otrzyj łzy twoje!
„Wiém ja kraj jeden—nieznany, daleki,
„Gdzie szczera miłość znajdzie swą nagrodę,
„Gdzie wolno kochać!—tam ja cię powiodę—
„Nie płacz!—tam będziem szczęśliwi oboje,
„Będziem się wzajem kochali na wieki!“—

Jeszcze nie zgadła, czy ta słodycz głosu,
Czy jéj te słowa źle czy dobrze wróżą;

Gdy młodzian szybko zbliżył się do stosu,
Gdzie zawieszoną widać konchę dużą *).
Zdjął ją, i zadął—a dźwięk jéj odgłosu
Zabrzmiał po skałach, jak piorun przed burzą:
Jak piorun zabrzmiał w towarzyszów uchu.—
Sam nawet Hafed, blady i bez ruchu,
Drżał zda się z echem niknącém powoli.
Straszne to hasło! każdy wié co znaczy—
Znak umówiony trwogi i rozpaczy;
Znak, że się zbliżył kres ich nędznéj doli,
Że musi umrzeć—kto chce ujść niewoli!—
Konchę tę sami, w lepszéj niegdyś chwili,
Na swym pogrzebnym stosie zawiesili,
By gdy czas przyjdzie, słyszał Iran cały
Ostatnie hasło męczeństwa i chwały;
By dźwięk jéj straszny—jeśliby zasnęli—
Nowych w Iranie obudził mścicieli.—

Przyszli na hasło, z oczyma ku ziemi,
Przyszli rycerze, kroki powolnemi.
Jakże ich mało, gdy w okrąg stanęli!—
Cała to reszta tych synów Iranu,
Tych sług ojczyzny, tych słońca czcicieli,
Co tak niedawno na błoniach Kermanu,

*) Koncha zwana *Süankos*, pospolita w Indyach, w Afryce, i na brzegach Śródziemnego morza.— Używano jéj zamiast trąby do dawania hasła, gdyż głos jéj jest niezmiernie mocny i donośny.

Gdy przy trąb, bębnów, i cymbałów dźwięku,
Czas na wojenném spędzali igrzysku:
Goniąc do celu z długą spisą w ręku,
Czuli nadzieję w jéj każdym połysku;
Lub gdy się z wiatrem puścili w przegony—
Długie, za końmi wiejące ogony *),
Sami na siodłach schyleni ku ziemi.
Szaty ich wiatrem rozdęte nad niemi—
Rzekłbyś, gdy rzędem lecieli po błoniach,
Że Gieniusze na skrzydlatych koniach!

Jakże dziś różni!—ich smutek przeraża.
Jak każdy blady! gdy promień z ołtarza
Twarz przechodzących z kolei oświecał.
Jaka posępność w każdego spójrzeniu!
Gdy święty ogień mijając w milczeniu,
Każdy w nim swoję pochodnię rozniecał.
A wszyscy milczą;—wódz jeden układa
Co czynić mają:—a lepiéj niż słowy,
Każdy mu wzrokiem tylko odpowiada,
Że cierpieć, walczyć. i umrzeć gotowy!—

I była chwila uroczystéj ciszy,
Śród któréj Hilda, z twarzą zadziwioną,
Nic oprócz serca uderzeń nie słyszy,
I patrzy z trwogą na milczące grono.—

---

*) Największą ozdobą konia w Persyi, jest sześć długich, białych, powiewnych ogonów bawolich, (od białych Indyjskich bawołów), złączonych z sobą u góry i przymocowanych z tyłu do siodła.

Hafed rzekł słowo;—starsi z towarzyszy,
Wyszli, i łoże okryte zasłoną,
Liśćmi usłane, na znak jego dłoni,
Niosąc w milczeniu, złożyli koło niéj.
Zbliżył się Hafed z smutnemi oczyma,
Sam ją umieścił na miękkiém posłaniu;
Spójrzał—i patrzy; wziął jej dłoń—i trzyma...
Ach! to ściśnienie ręki przy rozstaniu!
Ach! ten ostatni wzrok przy pożegnaniu!
Gdy ten, co żegna, wié, co ono znaczy! —
Wié—gdy wzrok zmruży, gdy dłoń puści z ręki,
Zniknął wnet przed nim ukochane wdzięki,
I już ich nigdy, nigdy nie zobaczy! —

Lecz ona nawet z tych pieszczot boleści
Czerpie nadzieję, dobrą przyszłość wróży.
Ten długi uścisk, co jéj rękę pieści,
Zda się jéj wróżbą wspólnéj z nim podróży;
W milczeniu widzi zbytek rozrzewnienia,
W spójrzeniu miłość, czułość, zapewnienia —
Ach! wszystko, wszystko—oprócz rozłączenia!—

„Śpieszmy się!—rzekła—śpieszmy! czas uchodzi!
„Byśmy przed nocą zdążyli do łodzi.
„A jutro—jutro, mój luby! o świcie,
„Z tobą, jak w Niebie, na tych wód błękicie,
„Będziemy słońce witali promienne,
„I znów się jutra nadzieją cieszyli!
„A jeśli wspomnim o dzisiejszéj chwili,
„Wspomnim ją chyba jak marzenie senne,

„Co straszném widmem, dobro zapowiada.
„A ty!...“—Lecz cóż to?—nikt nie odpowiada?-
Spójrzała wkoło—Nie ma go!—O! biedna!
On ją opuścił!—ach! czyż sama jedna
Musi iść daléj w drogę swego losu?.... —

W téj chwili właśnie niosący ją, znowu
Zchodzą w głąb ciemną mglistego parowu,
Gdzie tak niedawno dźwiękiem jego głosu,
Mimo ech strasznych, co dokoła brzmiały,
Wszystkie jéj myśli, wszystkie czucia grały:
Jak na dźwięk arfy Izrafila w raju *),
Brzmią wszystkie liścia Edeńskiego gaju.—
Lecz teraz, teraz!..—cóż jéj łzy pomogą?
Przed nią noc, zgroza—a przy niéj—nikogo!
„O! mój Hafedzie! usłysz prośby moje!
„Jeśli żyć nie chcesz, jeśli umrzeć wolisz,
„Czyż mi i tego nawet nie pozwolisz,
„Abyśmy razem umarli oboje?
„Ach! pozwól, pozwól! niech z ostatniém tchnieniem
„Raz jeszcze jeden błogosławię tobie:
„Niech cię ostatniém pożegnam spójrzeniem,
„Niech nas w tym samym pochowają grobie!—
„Ty może myślisz, że się śmierci boję?—
„Ach! ja—by tylko słyszeć twe wyrazy,
„By choć raz jeszcze spójrzeć w oczy twoje —
„Gotowam umrzeć sto tysięcy razy!—

*) Anioł Izrafil, ze wszystkich stworzeń Boskich mający najwdzięczniejszy i najharmoniniejszy głos.

„Wy też—wy bracia mojego Hafeda!
„Błagam was, stańcie!—On mię kochał tyle!
„On mię usłyszy! on mi cierpieć nie da!—
„Ach! stańcie, stańcie!—Musiał zostać w tyle,
„Lecz wnet dogoni!—Stańcie choć na chwilę!—
„O! mój Hafedzie!...“—I tak drogę całą,
Żebrząc litości, woła nieszczęśliwa.
Imię Hafeda echo powtarzało,
Lecz próżno, próżno! Hafed nie przybywa.—
Biedna dziewico!—nie pójdzie on z tobą!
Umrzeć wam było, gdyście się żegnali!—
Teraz tam chyba Bóg was złączy z sobą,
Boście się tutaj na zawsze rozstali!—

Biedny młodzieńcze!—On te jęki słyszy.
Rzucił na chwilę grono towarzyszy,
I sam, ciemności osłoniony mrokiem,
Długo szedł za nią, niewidziany od niéj;
I nad wąwozem, z rozognioném okiem,
Stanął, i patrzy na blaski pochodni,
Przy których bracia, w milczeniu głębokiém,
W dół, jak do grobu, kroki pośpiesznemi,
Unoszą wszystko, co kocha na ziemi!—
Patrzy—tak smutny, tak blady na licu,
Jak młody majtek, w nocy, przy księżycu,
Gdy zwłoki brata, w téj mu właśnie chwili
Ze łzami drudzy do morza wrzucili:
A on, stojący na moście okrętu,
Pogląda jeszcze załamawszy dłonie,

By jeszcze dójrzeć choćby fal zakrętu,
Gdzie luba postać coraz głębiéj tonie —
A okręt płynie po spokojnéj fali.—
Tak Hafed patrzał—oni poszli daléj.—

Wtém zadrżał nagle, jak ze snu ockniony.—
Trąby, i kotły, i wściekłe okrzyki,
Wpoprzek przepaści, od lądowéj strony,
Zabrzmiały razem!..—Co za hałas dziki!
Rzekłbyś ryk piekieł, szyderczy i mściwy,
Albo że wszystkie i Gole i Diwy *),
Co tam w ciemnościach od wieków się kryły,
Na hasło wojny z wściekłością zawyły—
Tak był ten okrzyk głośny i straszliwy.

„Przyszedł więc, przyszedł Muzułman zuchwały!“
Zawołał Hafed—a gniewem wrzał cały,
A oczy jego jak ogniem pałały.—
„Teraz to, teraz, wy duchy walecznych,
„Duchy swobodne w mieszkaniach słonecznych!
„Patrzcie! jak dusze bratniego płomienia,
„Do zemsty za was, waszym pójdą torem,
„Albo w męczeńskim wieńcu przeznaczenia,
„Polecą z waszym połączyć się chórem!“—
Rzekł—i jak tygrys do zgłodniałych dzieci,
Biegł, gdzie czekają bracia zgromadzeni.
Przybiegł—w ich oczach żywy ogień świeci,
A miecze nakształt słonecznych promieni
Błysły w powietrzu —stoją niewzruszeni.

---

*) *Gole*, *Diwy*, nazwiska Perskie złych duchów.

Wtém znowu—słyszysz!—okrzyk zabrzmiał znowu;
Głośniéj już, bliżéj—z téj strony parowu.—
Stało się! przeszli drogę niestrzeżoną!...—

O! piękny widok! ktoby mógł w téj chwili
Widzieć to szczupłe wojowników grono:
Jak z mieczem w górze, z twarzą rozognioną,
Wkrąg wodza, bystro na niego patrzyli,
Jakby pytając: co myśléć powinni,
Że wróg tak blizko—a oni nieczynni?
Wódz zgadł ich myśli, i sam je podziela.—
„Cóż to? o! bracia! gdy się wróg ośmiela
„Nachodzić twierdze, co nas przed nim kryją:
„My z mieczem w ręku, w obec tych płomieni,
„Czekać go będziem z nachyloną szyją,
„I umrzem sami—umrzem niepomszczeni!
„Jakby nam brakło piersi Muzułmana,
„Aby w nich nasza szabla zmordowana,
„Spoczęła wiecznie, jak w pochwie schowana?...—
„Nie!—wy obrońcy ojczyzny i wiary!
„Bóg nasz spodlonéj nie przyjmie ofiary!
„Pójdźmy! uderzmy!—niech krwią zlane skały
„Imieniem Gwebrów zabrzmią na świat cały,
„Aż tron Kalifów drżeć będzie przed echem,
„Gdy je Behendi powtórzy z uśmiechem *)!—
„Za mną, waleczni!—Kto wróci ostatni,
„Stos go ten święty zbawi od kajdanów.
„Lecz ten wart chwały, wart zawiści bratniéj,
„Kto śród pobitych legnie Muzułmanów!

*) *Behendi*, prawowierny.

„Za mną, waleczni!—
Wszyscy w jednéj chwili,
W dół z wierzchu góry za nim się rzucili:
Każdy nadludzką ożywiony siłą,
Każdego oko jak ogniem się tliło,
Każdego serce jak w płomieniach biło!...
Pędzą bez drogi—gdzie z wściekłemi krzyki.
W cieniach Arabskie gromadzą się szyki,
I przy pochodni świetle wpół zamgloném,
Długim się hufcem wiją po dolinie —
Jak wąż Golkondy, gdy się wzdłuż rozwinie,
I z gniewu błyska iskrzącym ogonem *).—
Gwebry bez światła pędzą przez urwiska—
Znana im droga, i oni tu znani!
Poznał ich tygrys, wyjrzawszy z łożyska—
Wstał, i znów przyległ—choć wzrok żądzą błyska,
Wié, że nietrwożni—i niepokonani.—

Przed górą jeszcze jest parów w nizinie,
Straszny, głęboki—wróg go nie ominie:
Miejsce przydatne obrońcom, gdzie snadnie
Przed jednym tysiąc napastników padnie.—
Zdroje z gór dzienną wzdęte niepogodą,
Po pas dno jego napełniły wodą:
Po obu stronach, strome i ponure
Wznoszą się skały i głazy, przez które,
Ta jedna droga prowadzi na górę.—

*) Wąż ten sławny w powieściach „Tysiąca nocy" gdy się ruszy, wydaje z siebie elektryczną jasność.

Wszerz jéj, ostatni z Irańskich mścicieli,
Na czas przed wrogiem nad głębią stanęli,
I za głazami czają się bez ruchu,
Słuchając kroków, co już brzmią w ich uchu,
Tak, że nie słyszą, jak skrzydły ciężkiemi
Złowrogie sępy łopocą nad niemi.—

Przyszli—plusk wody wydał rzezi hasło.
Okrzykiem Gwebrów tysiąc ech zawrzasło.
Teraz to, Gwebry!—oto wróg morderca!—
Czy miecz wasz ostry, czy odważne serca,
Teraz, niech teraz wasza dłoń dowiedzie!—
Biada hufcowi, co brodził na przedzie!—
Sto mieczów razem błysnęło z nad brzegu,
Sto głów od razu upadło w szeregu;
Na dno skrwawione nie poszły tułowy,
Gdy już stu innych powitał cios nowy.
Jedni po drugich, zgrają niezliczoną,
Tłoczą się, brodzą, padają, i toną.—
Trwa rzeź—aż w końcu, choć krwi jeszcze łaknie,
Gronu Hafeda sił już coraz braknie;
Aż z dłońmi, z których krew strumieniem ciecze,
Zwisły ku ziemi zmordowane miecze.—

Drżysz, Al-Hassanie!—Nigdy klęski sroższéj
Nie doznał Arab, głębszéj nie czuł blizny;
Nigdy miecz zemsty, libacyi droższéj
Nie rozlał u stóp skrzywdzonéj ojczyzny!—
Patrz wzdłuż parowu!—przy świetle gasnących
Smolnych pochodni i głowni iskrzących,

Co z rąk wypadłe, nad zgęszczoną falą
Pływają wkoło i we krwi się palą:—
Patrz w zdłuż parowu—jak strasznym obrazem
Śmierć, mord, pożoga, łączą się tu razem!
Bezgłówne ciała, zdeptane w przechodzie,
Stosami do dna w krwawéj leżą wodzie.
Tu płynie głowa w płonącym zawoju;
Ówdzie sam przez się, miecz zgubiony w boju,
Gdy ciżba trupów rękojeść mu ściska,
Ostrzem się w górę podnosi i błyska.
A wkoło ranni—ów z szatą w płomieniu
Od bliskich główni—sam brodząc w strumieniu,
Niezdolny w ciżbie zaczerpnąć ochłody,
Kona w męczarniach płomienia i wody;
Ów bliski brzegu, sam dotąd bez rany,
Rozpaczną ręką tonących porwany,
Napróżno siły dobywszy ostatniéj,
Żywy, wraz z trupem, w krwi topi się bratniéj!...—

Ale napróżno sta, tysiące legły —
Nowe sta, nowe tysiące nadbiegły.
Jak na pochodnię, gdy w nocy zaświeci,
Ćma nocna chmurą coraz gęstszą leci,
Aż sama ginąc, blask światła zamroczy:
Dzicz napędzona przez parów się tłoczy,
Aż ich trupami zawalon po brzegi,
Jak mostem nowe podźwiga szeregi;
Aż po ich głowach, przez krwi własnéj strugi,
Po konających, przeszli na brzeg drugi.

Biada wam, Gwebry!—nic ich już nie wstrzyma!—
Już są wpół góry—już przed ich oczyma
Święty wasz ołtarz niedaleko pała.—
Wściekli, doznawszy jak dłoń wasza śmiała,
Wstydzą się, widząc, jak was garstka mała!
Biada wam, Gwebry!—Ci rzezią znużeni
Legli, gdzie stali; ci w krwi swéj zbroczeni,
Bladzi na licu, chwiejący się w kroku,
Walczą, i giną przy Hafeda boku.—
On, choć już ręka wznieść miecz ledwo zdolna,
Z twarzą ku wrogom, ustępuje zwolna.
I jak lew, nagłym Jordanu wylewem
We śnie bezpiecznym z łożyska porwany,
Ryczy, i w oku wściekłym iskrząc gniewem,
Z unoszącemi łamie się bałwany *):
Tak on na braci silnym woła głosem,
Tak gniewny walczy z przemocą i losem!

Lecz dokąd teraz?—Znikł przed okiem dziczy!—
Czyż już tak blizkiéj nie ujmą zdobyczy?—
Pod mieczem Gwebrów legł zdrajca przewodni,
Wiatr zgasił resztę niesionych pochodni;
Noc, głazy, rowy, i łoża potoków,
Tamują postęp ścigających kroków.

*) W lasach nad Jordanem znajdują się rozmaite gatunki dzikich zwierząt, które nagle wezbrana rzeka często porywa i unosi. To podało Jeremiaszowi myśl tego porównania: „Przyjdzie na was wróg wasz, jako lew niesiony falą Jordanu."

Lecz nie śmie stanąć motłoch niewolniczy.
„Naprzód! i naprzód!"—sam Al-Hassan krzyczy.
„Gdzie są brytany?—pospuszczać ze sfory!
„Niech nam szczekaniem wskażą Gwebrów tory!"—
Spełniono rozkaz—zgraja idzie skorzéj;
Śmierć im niestraszna, bo żyć dla nich gorzéj.—
Złudzeni światłem, co z Gwebrów ogniska,
Od skał odbite, w inną stronę błyska,
Zboczyli z drogi—i w cieniach zbłąkani,
Nie widzą blizkiéj, bezdennéj otchłani —
Widzą—już późno!—już wrócić nie mogą!
Brzeg się piaszczysty załamał pod nogą.
Próżno się drudzy wstrzymują nad brzegiem:
Jak szli, spadają—szereg za szeregiem.
Kto został w tyle, gdy jęki usłyszy,
Śpiesząc na pomoc, wepchnął towarzyszy:
Ledwie głąb ujrzał, już ciżba rosnąca
Pcha go samego, i w przepaść potrąca.—
Darmo z przestrachem, z wściekłością, z rozpaczą,
Ci klną, ci jęczą, błagają i płaczą:
Modły ni klątwy nikogo nie wzruszą:
Wepchnęli braci, i sami wpaść muszą! —
Jedni wprost na dno lecąc bez przeszkody,
Topią się w nurtach szumiącéj tam wody;
Ci na wpół żywi, na głazach sterczących
Zawiśli—pastwa dla sępów krążących!
A jękiem wszystkich brzmi przepaści echo.—

Słyszy je Hafed, i słucha z pociechą—
Głos to ostatni sercu jego miły!

Gdy sam, w ciemnościach, bez tchu i bez siły,
Na twardéj skale leżał krwią okryty.
Obok towarzysz—miecz krwawy, dobyty.
Rzekłbyś, spoczywa po trudach zabawy:
Pokój, pogoda, jaśnieją mu z czoła.
Wié, że dość zrobił dla zemsty i sławy.
Sam Iran więcéj wymagać nie zdoła!
Jedna myśl tylko, jako promień z góry,
Lśni w jego duszy przeze mgłę i chmury
Bliskiego zgonu;—ona to jest, ona!
Promienna gwiazda w życia jego burzy,
Jedna, ostatnia, niczém nie przyćmiona,
Co go tu żegna, i blask Niebios wróży!...
I nigdy dotąd, nigdy w jego oku
Obraz Jéj w takim nie stawał uroku!
Zda się, że myśli, co miłość ich ćmiły,
Zda się, że trwogi, co serce ziębiły,
Zniknęły wszystkie—i żadnéj mgły ziemi,
I żadnéj chmury nie ma między niemi!—
Widzi Ją, widzi!—taki blask w spójrzeniu,
Tak nowa piękność jaśnieje z Jéj lica,
Jakby Ją w Niebios oglądał promieniu,
Co już mu duszę przed zgonem oświéca!—

Wtém głos się ozwał—Ha! któż się ośmiela?...—
Głos to jest Gwebra, brata, przyjaciela,
Co sam z Hafedem ocalał téj nocy.—
„Zbierz siły, wodzu!—czyż w Arabów mocy
„Umrzeć tu mamy? tu, gdy już tak blisko
„Stos nasz gotowy i święte ognisko?“—

Ten głos ostatek życia w nim rozżarzył.
„Co? wrógby jeszcze aż tu się odważył
„Zdeptać nas martwych, lub więzy narzucić?“—
Myśl go ta z martwych zdolnaby ocucić.
„Pójdźmy!“—Wstał z ziemi, i drżącém ramieniem
Wśpierając brata, choć sam słaby niemniéj,
Poszli pod górę.—Za każdém stąpieniem,
Twarz coraz bladsza, w oczach coraz ciemniéj—
Boże Iranu! zbaw ich mocą twoją,
Zbaw przed zniewagą!—śmierci się nie boją.

Śladem za nimi zdrój sączy się krwawy,
Krwią ich jak rosą oblały się trawy.
Miecz twój, Hafedzie!—ha! i on ci skłamał—
Pod wspartą dłonią na skale się złamał!—
Idą—wrzask z dołu powiększył ich trwogę—
Wrzask to tryumfu—wróg trafił na drogę!
Coraz to głośniéj brzmią wodzów rozkazy,
Coraz to bliżéj stal szczęka o głazy,
I psów przeciągłe rozległo się wycie.—
Śpieszcie się, Gwebry! lub ujść nie zdążycie!
Śpieszcie! krok jeszcze!...—Już są, dzięki Niebu!
Już są na górze!—widzą stos pogrzebu,
Widzą świątynię, i blask swego Boga.—
Lecz nim go doszli—towarzysz Hafeda
Upadł zemdlony, i skonał u proga.—
„Czyż razem nawet los nam umrzeć nie da?—
Zawołał Haded—„Maż tu pierś twą drogą
„Wróg z urąganiem hardą zdeptać nogą,

„Lub ją nikczemnik obrażać żelazem?—
„Nie! mężny bracie!—Bóg nas przyjmie razem!—
„Klnę się na ogień, co przedemną błyska!“—
Tak rzekł—i z mocą, co nie z tego świata
Być się już zdała, podniósł zwłoki brata.
I na swych rękach niósł je do ogniska.
Złożył na stosie—zdjął z ołtarza głownię,
I stos podpalił—a płomień gwałtownie
Buchnął wkrąg łuną po morzu i niebie.—
„Boże światłości! powracam do Ciebie!“
Zawołał Hafed—i z dumnym uśmiechem.
Sam na wierzch stosu rzucił się z pośpiechem:
I wysilony, gdy celu dokonał,
Wprzód nim go ognie ogarnęły—skonał!

A w téjże chwili—co za krzyk od morza
Rozdarł powietrze?—Ach! krzyk ten pochodzi
Z téj—snać rzuconéj bez wiosła i stróża,
Na tle fal czarnych bielącéj się łodzi,
Gdy na nią z góry padła jasność stosu.—
I znowu cicho—lecz dźwięk tego głosu!...

Łódź to jest—czemuż tak w drodze spóźniona.
Tak bliska dotąd?—łódź biednéj dziewicy,
Zwierzona straży wybranego grona
Sędziwych Gwebrów.—Dzielni wojownicy
W latach za młodu; lecz wiek sił ich zbawił.
Wiedział to Hafed, i w drogę wyprawił
Nie powierzywszy strasznéj tajemnicy.

Myślał, że Emir, gdy córkę zobaczy,
Gdy się w nim serce ojcowskie rozrzewni,
Nieprzyjaciołom w jéj stróżach przebaczy,
I szczodrze starość spokojną zapewni.—

Tak nieświadomi arabskiéj napaści,
Chlubni z opieki, co im wódz ich zwierzył,
Ledwie na morze łódź wyszła z przepaści,
Gdy wrzask wojenny ich uszy uderzył.
Zlękli, zdumiali, z podjętemi wiosły,
Wstrzymując oddech, ku górze słuchali:
Niepomni łodzi, jak ją nurty niosły,
Zlekka wzdłuż brzegu kołysząc na fali.
Każdy sam w sobie, blady i ponury,
Nie trwożąc braci, w złych domysłach tonął;
A wszyscy patrzą, gdzie na wierzchu góry
Spokojnie jeszcze święty ogień płonął.—

Lecz ty, o! Hildo!—próżno się wysili
Najokropniejszy pędzel wyobraźni,
By wydać w tobie uczucia téj chwili,
Śmiertelne męki żalu i bojaźni!...
Kto sam ich doznał, tenby ból ich wiedział,
Lecz nikt nie przeżył, by drugim powiedział!

Nie jest to tylko ów stan smutnéj duszy,
Gdy ją los złamie, a cierpienie skruszy:
Gdy, choć nic więcéj do straty już nié ma,
Trwoga o wszystko jak w pętach ją trzyma;
Gdy, choć nadzieja umarła w jéj łonie,
Cień jéj, jak widmo, jeszcze w myślach wionie:—

Nie!—Można tracąc szczęście i nadzieję
Nie umrzeć jeszcze, i przeżyć swe żale:
Jak ów płaz w zimnéj zasklepiony skale,
Żyje, choć wszystko w koło skamienieje.
Lecz się w tém życiu pokój, cisza mieści,
Straszna, grobowa—lecz szęściemby była,
W téj ostréj, gorzkiéj, płomiennéj boleści,
Co się w Jéj skroniach, w Jéj piersiach paliła;
W tych, jakby mękach tortur i konania,
W tych dzikich, strasznych widmach obłąkania,
Na których ulgę nie znaleźć sposobu,
Nie znaleźć miejsca—prócz śmierci i grobu!

Morze spokojne—pod łodzią dokoła
Błyskają gwiazdy—noc cicha, wesoła!
Był czas, dziewico! gdy innéj pociechy,
Innéj zabawy nie było ci trzeba,
Jak w takich nocach liczyć gwiazd uśmiechy,
Gdy się po morzu rozsypały z Nieba.
Jak w takich nocach, w samotnéj ustroni,
Gubić się myślą w nadziei błękicie,
I tchnąc balsamem świeżéj, nocnéj woni,
Jak kwiat w swych piersiach czuć kwitnące życie,
Czuć własne serce lśniące gwiazdy blaskiem!—
Lecz dziś!.....—

Wtém znowu przeraźliwym wrzaskiem
Zabrzmiało echo.—Gwebry się porwali,
Aż łódź w spienionéj zaryła się fali—
Błysnęli mieczem...—Ach! próżne nadzieje!—

Nie czas już, nie czas na powrót wam płynąć!
Włóżcie miecz w pochwę, niech wiecznie rdzawieje! —
Ten, co tam bez was śmierć i postrach sieje,
Wódz wasz, przyjaciel — bez was musi ginąć!
Próżno ze wzrokiem wzniesionym ku górze,
Chcecie odgadnąć, zkąd ten wrzask? co znaczy
To hasło wojny?—w tém miejscu?—w téj porze?—
Ona wié tylko—ona, co w rozpaczy,
Jak posąg z głazu, załamawszy dłonie,
O maszt zroszony blade wsparła skronie,
I w obłąkaniu patrzy ku ruinie —
Ona wié tylko—ale, umrze raczéj,
Niż wyrzec zdoła--przez kogo On ginie!—

Patrz! światło błysło w ruinach na wierzchu!
Wznosi się w górę—postępuje w zmierzchu—
Patrzają wszyscy — lecz ach! wzrok dziewicy!
Całe się życie pali w téj źrenicy!...

Nie długa chwila— stos stanął w płomieniu,
I wkrąg po morzu i niebios sklepieniu,
Krwawa, posępna jasność łuny padła,
I coraz daléj szerzy się i błyska —
Gdy do wietrznego podobien widziadła,
Hafed, stojący przed blaskiem ogniska,
Ciemny, wysoki, wydawał się z dołu
Jak duch płomieni śród swego żywiołu.
„To on!“—dziewica z rozpaczą wykrzykła—
Lecz nim głos zabrzmiał—już pierzchło widzenie.
Wyżéj ku Niebu wybuchły płomienie,
Jéj i Iranu nadzieja—już znikła!

Jeden krzyk tylko wyrwał się z jéj łona,
I w stos wlepiwszy nieruchome oko,
Skoczyła w morze—i wznosząc ramiona,
Patrząc nań, tonie—głęboko, głęboko!—
Gdzie już jéj ludzkie oko nie zobaczy,
Gdzie już nie dozna żalu ni rozpaczy!—

„Spoczywaj, spoczywaj, arabska dziewico!“
(Tak Peri pod morzem nóciła): *)
„Najczystsze się perły w swych konchach nie świécą,
„Jak dusza twa w tobie świeciła!

„Kwitnęło twe serce jak lilia biała,
„Nim miłość je ogniem przenikła;
„Jak Samur po lutni, w twych piersiach powiała **),
„I muzyka życia zanikła!—

„Lecz nieraz w arabskich dolinach i górach,
„Kochankom przypomną poeci,
„O téj, co śród pereł śpi w morskich lazurach,
„Gdzie nic prócz gwiazd morskich nie świeci ***).

---

*) Peri, duchy dobre; stopniem niższe od aniołów, ale równéj piękności.—Mieszkają na powietrzu i w wodzie, gdzie im się podoba; w zaczarowanych ogrodach lub kryształowych pałacach: żyją wonią kwiatów i rosą.

**) Samur, wiatr południowy, tak rozstraja stróny narzędzi muzycznych, że dopóki wieje, żadnego dźwięku wydać nie są zdolne.

***) Największą osobliwością zatoki Perskiéj, jest ryba zwana Gwiazdą Morską. Kształt jéj jest okrągły; a w nocy tak jest błyszczącą, że się wydaje jak księżyc w pełni, otoczony promieniami.

„Gdy w zbiory daktyli, szczęśliwi, weseli *),
„Zgromadzą się młodzi i starzy:
„Usłyszą twe dzieje—i co się śmiać mieli,
„Rozejdą się z łzami na twarzy.

„Pasterka-dziewica, na tańce, w dzień święta,
„W kwiat strojąc warkocze trefione,
„Przypomni o tobie—i żalem przejęta,
„Kwiat płacząc odrzuci na stronę.

„I Iran cię w swojéj uwieczni boleści,
„I obraz twój piękny, uroczy,
„Przy boku swojego rycerza pomieści,
„I blaskiem swéj chwały otoczy.

„Spoczywaj! my Peri stać będziem wkrąg łoża,
„Morskiemi je kwiaty okryjem;
„Z najdroższych kamieni, co błyszczą w dnie morza,
„Gwiazdzisty ci wieniec uwijem.

„Z konch, w których my same, w błękitach głębiny,
„Przy świetle księżyca nocujem,
„W najtkliwsze łzy ptaków, w najczystsze bursztyny**)
„Ozdobną ci grotę zbudujem.

---

*) Zbiór daktyli w Persyi, odbywa się z równą wesołością i uroczystościami, jak w niektórych krajach Europy winobranie

**) Niektórzy naturaliści byli niegdyś tego zdania, że bursztyn jest skamieniałością łez ptaków.

„Przyniesiem najżywsze gałęzie korali,
„I gajem zasadzim nad tobą;
„Żwir Złotéj-Zatoki, co w iskrach się pali,
„Jak gwiazdy rozsypiem przed tobą.

„Spoczywaj! niech łzami niebieskiéj litości,
„Mogiłę tych zroszą Anieli,
„Co jak Ty kochając, umarli z miłości,
„Co jako On walcząc, zginęli! —

KONIEC.

PERI I RAJ.

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

KLEMENTYNIE Z WYGANOWSKICH,

HRABINÉJ

GRABOWSKIÉJ.

W DOWÓD USZANOWANIA I PRZYJAŹNI,

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

PERI I RAJ.

I.

U progu Niebios gwiazdzistych podwoi,
Wygnanka Peri, zasmucona stoi *).
I kiedy słyszy, jak zdroje żywota
Rajskiemi dźwięki harmonijnie brzęczą:
I kiedy widzi, jak ich jasność złota
Z bram na jéj skrzydłach promieni się tęczą:
Płacze dumając, że jéj ród zuchwały
Stracił dziedzictwo wiekuistéj chwały.

„Szczęśliwi duchowie! co w wiecznych swobodach,
„Po gwiazdach niebieskich, po rajskich ogrodach,
„Bujają skrzydłami jasnemi!

*) Peri, w mitologii wschodniéj, są to duchy dobre, stopniem tylko niższe od Aniołów, chociaż równéj piękności. Niegdyś wygnane z Raju, mieszkają na powietrzu, w wodzie, i w najpiękniejszych okolicach na ziemi: w zaczarowanych napowietrznych ogrodach, lub w kryształowych na dnie morskiém pałacach. Żyją wonią kwiatów i rosą.

„I ja mam ogrody na ziemi i w morzu,
„Mam sady wiszące w powietrza przestworzu —
„Lecz możnaż je równać z rajskiemi?

„Przeczysta jest woda jeziora Kaszmiru,
„I rzeki mu niosą dań złota, nie żwiru,
„I piękny cień wysp Sing-su-haju *).
„Tam żyję ich wonią; tam w skwarność upału,
„Oddycham w ich głębiach, w pałacach z kryształu —
„Lecz cóż to jest wszystko przy raju?

„Leć z gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca,
„W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,
„Gdzie krążą na wiecznych zawiesiech:
„Zbierz wszystkie ich wszystkich rozkosze, radości,
„I pomnóż przez wieki, przez lata wieczności—
„Cóż one przy chwilce w Niebiesiech?“ —

Tak gdy nóciła, płacząc tém boleśniéj,
Anioł, stróż Raju, dosłyszał jéj pieśni:
I łza litości, w promienistém oku
Błysła, jak kropla rajskiego potoku
W kielichu kwiatów, co barwą błękitną,
Mówią Bramini — w Raju tylko kwitną **).

---

*) W Tybecie.

**) Błękitny kwiat *Champaka*, tak zwany w języku Braminów, podług ich podań kwitnie tylko w Raju.

„Duchu, cierpiący nie za swoje grzechy!
Rzekł—„nie rozpaczaj, przyjm promień pociechy!
„Jest jeszcze jedna nadzieja dla ciebie.
„W księdze wyroków napisano stoi:
„*Peri, co złoży u Niebios podwoi*
„*Dar godny Nieba—może zostać w Niebie.*“—
„Leć więc i szukaj!—Nam, synom zbawienia,
„Miło otwierać bramę przebaczenia.“—

Jak kometa ogniem tchnąca,
W płomienisty uścisk słońca:
Jak gwiazdziste owe groty,
Co gdy sprośny duch ciemnoty
Chce ku Niebu wkraść się zbliska,
Archanielska dłoń nań ciska *):
Peri na dół spada z góry.
I promienna zórz szkarłatem,
Co wschód barwią tłem purpury:
Błyszczącemi jak śnieg pióry,
Ulatuje po nad światem.

Lecz gdzież się zwróci, by iść szukać daru
Godnego Niebios?—„O! wiém ja—zawoła—

---

*) Muzułmanie mniemają, iż spadające gwiazdy, są to ogniste pociski, którémi Aniołowie odpędzają złych duchów, gdy się z nich który z przepaści ku Niebu przybliżyć ośmieli.

„Wiém skarby w lochach ruin Czilminaru **),
„Których znieść blasku źrenica nie zdoła.
„Wiém, gdzie w bezdennych głębokościach fali
„Są góry pereł i lasy korali;
„Gdzie w straży Gnomów, pod ziemią ukryty,
„Króla Dżamszyda puhar gwiazdolity,
„Co zdrojem życia nad brzegi się pieni **); —
„Ale dla Niebios ofiara to błaha!
„Cóż jest blask złota i drogich kamieni,
„Przy gwiazdach u stóp stolicy Allaha?
„A krople życia!—o! nicość nicości,
„Przy oceanie niebieskiéj wieczności!“—

I gdy tak duma, a skrzydła jéj płyną,
Po nad Indyjską ulata krainą.
Gdzie cała ziemia, jest kwiat i zieloność,
Całe powietrze, jest jasność i wonność;
Gdzie morze razem, w przezroczach swéj fali,
Odbija błękit i dno swe z korali;
Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,
Rzeki lśnią złotem przez rąbek swéj wody;
Gdzie w górach, ogniem słonecznym dojęty,
Głaz się w gwiaździste topi dyamenty;

---

*) Tak Persowie nazywają miasto Persepolis. Podług ich podań, był tam pałac zbudowany przez Geniuszów, dla ukrycia w podziemnych jego lochach nadzwyczajnych skarbów, które tam się dotąd znajdują.

**) Cudowny ten puhar, napełniony „żywiącą i gojącą wodą,“ ma się także znajdować w ruinach Persepolis.

A wonne lasy, wiecznym tchnące majem,
Sameby mogły być Perij rajem;
Tam ona w myślach posępnych ulata.
Żądza ku Niebu, i niedola świata,
Tęskność i litość budzą w niéj zarazem.
Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!
Wojna go niszczy:—krwi ludzkiéj rozcieki
Zafarbowały strumienie i rzeki,
Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.
O! kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,
Kruszy twe Bóstwa, obala Pagody *),
Pomiata twemi ludy i książęty?
To on, wódz z Gazny!—**) nie syt krwi rozlewu,
Gdzie szedł, w jéj morzu pływa kraj zniszczony:
Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu
Stopniały złote mocarzów korony.
Tyran, a Niebios prorokiem się mieni,
I jako szatan urąga z niedoli!
Psiarnie swe stroi w blask drogich kamieni,
Zerwanych z piersi cór książąt i króli.
Morduje dzieci, dziewice znieważa,
Kapłany rzeże u stopni ołtarza,

*) Świątynie Indyjskie.

**) Mahmud, Sułtan Gazny, albo Ghisni, który spustoszył i podbił Indye na początku XI wieku. Psiarnia jego, którą prowadził za sobą, składała się z 400 ogarów, które, na urągowisko, kazał ubierać w klejnoty zdarte z bożyszcz Indyjskich. Każdy z tych psów miał obrożę złotą, sadzoną dyamentami, i kapę do okrycia, naszywaną perłami.

I gruzem świątyń, runących w pożodze,
Zdroje wód świętych zatrzymuje w drodze.—

Peri spogląda—i tuż niedaleko
Od pola bitwy, po nad świętą rzeką,
Widzi młodzieńca:—sam, nieustraszony,
Stoi w ćmie wrogów;—w ręku miecz skruszony,
I tylko strzała ostatnia w kołczanie.
„Żyj!—woła Mahmud—„żyj, dzielny młodzianie!
„Żyj!—i przyjm moję przyjaźń i opiekę!"
Milcząc młodzieniec podniósł nań powiekę,
Milcząc ukazał na skrwawioną rzekę,
I za odpowiedź, ostatnią z kołczana
Strzałę z cięciwy puścił na tyrana.
Niestety! próżno!—grot cel swój ominął—
Łupieżca żyje—a bohater zginął!

Peri dostrzegła, gdzie upadł w drzew cieniu;
I gdy wróg daléj poniósł broń niszczącą,
Zbiegła na rannym jutrzenki promieniu,
I od jéj blasku jak rubin błyszczącą,
Ostatnią kroplę krwi zebrała z rany,
Krwi za ojczyznę i wiarę przelanéj!—

„O! gdzież mi—zawoła—gdzie inszéj ofiary,
„Czyż świętszéj gdzie szukać potrzeba?
„Krew mężna, przelana dla kraju i wiary,
„Lub będzie najmilszą dla Nieba,
„Lub nie ma méj męce ni granic, ni końca!"—

To rzekła, i cała radością świecąca,
Wbiegła na niebo — po promieniach słońca.

„Droga“ — rzekł Anioł, w dłoń swą promienistą
Biorąc dar Peri: — „droga krew męczeńska,
„Krew poświęcona za ziemię ojczystą!
„Ale, niestety! patrz! brama Edeńska
„Trwa nieruchoma. — Droższych darów trzeba,
„Niż ta krew nawet, by ci wejść do Nieba!

II.

Tak, gdy ją piérwsza nadzieja zawiodła,
Peri znów na dół pośpiesznemi póry
Spada, i między Księżycowe Góry *),
W ziemi Afryckiéj, buja po nad źródła
Rzeki Nilowéj: — któréj ród tajemny
Kryje się w puszczy i przepaści ciemnéj,
Gdzie tylko możne Geniusze wody,
Weselne swoje wiążąc korowody,
Cieszą się, patrząc modremi oczyma,
Na wzrost rzek ziemskich króla i olbrzyma.
Ztąd po nad bujne Egiptu oazy,
Bezdenne groty i podniebne głazy **),

*) *Montes Lunae*, w starożytności. U stóp ich mają być źródla Nilu, zwanego u Abissyńczyków *Abby* albo *Alawy*, co znaczy olbrzym.

**) O niezliczonych pomnikach i grotach, w górach Wyższego Egiptu, pokrytych całkiem hieroglificznemi napisami, mówi obszernie między innymi podróżnikami, p. Perry, w dziele swojém *View of the Levant*.

Peri wzdłuż Nilu po powietrzu płynie.
I to w rozkosznéj Rozetty dolinie *),
Słucha turkawek gruchających chórem;
To po nad modrém Merisu jeziorem **),
Zwieszona, z góry przygląda się rada,
Jak białoskrzydłych pelikanów stada,
W miesięczném świetle i mgle przezroczystéj,
Lśnią się jak gwiazdy na fali gwiazdzistéj.
Czarowny widok!—cudniejszéj krainy,
Śmiertelna nigdzie nie ujrzy źrenica! —
Lecz któżby widząc te żyzne równiny,
Których plon dziwi, a piękność zachwyca:
Te hoże palmy, rok cały wiosenne,
Co gnąc z owocem swe kształty powabne,
Chwieją się zlekka, jak dziewice senne,
Gdy idą spocząć na łoża jedwabne ***);
Te róże, z barwą i krasą jutrzenki,
Co jak sułtanki w tajnikach haremu,
Stroją się nocą w coraz nowe wdzięki,
Na podziw słońcu, kochankowi swemu;
Te gruzy świątyń, albo miast warownych,
Co się być zdają szczątkiem snów czarownych:

---

*) Gaje w dolinach Rozetty, napełnione są turkawkami. — *Sonnini.*

**) *Savary* wspomina o pelikanach na jeziorze Moeris.

***) Wspaniała palma, któréj szczyt schyla się zlekka, jak czoło pięknéj dziewicy, kiedy ją sen morzyć zaczyna.“ *Dafard et Hadad.*

Śród których głuchéj, uroczystéj ciszy,
Przelot puszczyka chyba słuch dosłyszy:
I w których mroku zbłąkana źrenica,
Gdzie niegdzie chyba, przy świetle księżyca,
Ujrzy, na szczycie skruszonéj kolumny,
Ptaka-Sułtankę—jak w postawie dumnéj,
Siedzi bez ruchu. i chociaż w pomroce,
Barw swoich tęczą wspaniale migoce; *)—
Któżby mógł, widząc te rajskie obrazy,
Myśleć, że nawet tu, szatan zarazy,
Rozwiał swém skrzydłem taki powiew moru,
Że życie ludzi i wszelkiego tworu,
Nikło w nim nagle. jak pod strzałem gromu,
Jak kwiat i zioła pod tchnieniem Simomu**).

Słońce dziś zaszło przed tysiącem oczu,
Co wtedy jasne, jak zachód na falach,
Teraz już w mękach i śmierci omroczu —
Nim gwiazdy błysły na Niebios przezroczu —
Gasną na wieki w morowych szpitalach!
Ach! a też w polach zwalone na kupy,
Te po ulicach i po drogach trupy!

---

*) Piękny ten ptak, z najpiękniejszym błękitem na skrzydłach, z purpurowemi nogami i dziobem, był ulubioną ozdobą Greckich i Rzymskich pałaców i świątyń; a z powodu wspaniałéj postawy i świetności kolorów, na Wschodzie imię Sułtanki otrzymał.—

**) *Simom* albo *Simum*, wiatr gorący. wiejący od strony pustyń.

Od których nawet, ujrzawszy zdaleka,
Sęp wygłodniały ze wstrętem ucieka;
I tylko hyen żarłocznych gromada,
Przybiega z pustyń, do miast się zakrada,
I na żer sprośny, przez puste ulice,
Śmiałemi kroki dybie nocną dobą —
I biada mrącym! gdy w mroku nad sobą,
Ujrzą ich duże, błyszczące źrenice! —

„O! biedny ludzki świecie i rodzaju!
„Ciężko spadł na was grzech piérwszego męża.
„Cóż, że wam kwitnie kilka kwiatów raju,
„Kiedy na każdym jest trucizna węża?“ —
Tak rzekła Peri, i łzami rzewnemi
Płakała mówiąc; — a łzy jéj, jak rosy,
Zdrowiącą świeżość rozniosły po ziemi.
Bo jest cudowna moc we łzach, któremi
Duch taki płacze nad ludzkiemi losy! —

W téj chwili właśnie, pod zieloném drzewem
Złotych pomarańcz· gdzie owoc i kwiecie,
Pochwiane jednym, przelotnym powiewem,
Igrały razem, jak ze starcem dziecię:
Po nad jeziorem, którego głębinie
Tchnęły oddechem świeżości wilgotnéj:
Słyszy jęk cichy; — ktoś widać w pustynię
Skrył się przed ludźmi, by umrzeć samotny. —

Młodzian — za którym, w każdym niegdyś kroku —
Szły czułe serca i tęskne westchnienia.

Kona—i nie ma, ktoby mu przy boku
Stanął na wsparcie, na ulgę cierpienia!
Coby dla spiekłych ust jego ochłody,
Podał mu choćby jedną kroplę wody,
Co o krok przed nim chęć w nim tylko draźni;
Coby choć jednym wyrazem przyjaźni,
Współdzieląc boleść i łagodząc trwogę,
Pokrzepił ducha na wieczności drogę!
Nikogo nie ma!—i jedna pociecha,
Co mu się jeszcze w téj chwili uśmiecha,
Jest—że ta, którą jedynie, statecznie,
Kochał kochany, od lat swych dziecięcych—
Że ta w téj chwili spoczywa bezpiecznie,
Spoczywa w ojca pałacach książęcych:
Gdzie wód przeczystych bijące fontanny,
I z drzew Indyjskich ogień nieustanny,
Tchną wkoło taką świeżością i wonią,
Że rzekłbyś, skrzydła Aniołów nad skronią
Wiejąc, jéj życie od zarazy chronią.

Ale patrz! któż to z pośpiechem i trwogą
Dąży od miasta? Anioł czy ziemianka?
Przebóg! to Ona!—nieomylną drogą
Serce ją wiedzie za śladem kochanka.
I już go widzi—jak w świetle księżyca
Leży, półciałem wsparty o pień drzewa:
I już jest przy nim—i lice do lica
Tuli, i łzami twarz jego oblewa:

I rozpuszczone pasma swych warkoczy
Macza w jeziorze—i dzierżąc na łonie,
Płonące niemi obwiązuje skronie,
Całując usta, patrząc w jego oczy!—
A on!—niestety! mógłże on to wróżyć,
Że przyjdzie chwila, kiedy te uściski,
Świętsze mu stokroć od pieszczot Huryski,
Będą go tylko przerażać i trwożyć:
Jakby splot węża wkoło jego szyi,
Jakby w tych ustach były jady żmii?
W ustach, co teraz rozpaczą zuchwałe,
Same się jego upajają tchnieniem:
A niegdyś wstydem spłonełyby całe,
Gdyby się cichém zdradziły westchnieniem!

„Luby mój, drogi! przestań mię odpychać!
„Patrz! czyż nie jestem narzeczoną twoją?
„Pozwól mi, pozwól twém życiem oddychać,
„Spełnić przysięgę i powinność moją:
„Żyć razem z tobą, lub umrzeć dla ciebie!
„Ach! tyś mię nie znał, jeśli mogłeś wierzyć,
„Że cię w ostatniéj opuszczę potrzebie,
„Lub że cię zechcę—albo zdołam przeżyć!—
„Nie, nie! mój luby!—Kiedy drzewo ginie,
„Żyjąca z niego zielona jemioła
„Ginąć téż musi.—Nie odwracaj czoła!
„Przyjm uścisk piérwszy, w ostatniéj godzinie!
„Złącz usta z memi!—i dzielmy oboje,
„Ty moje życie, ja skonanie twoje!“—

Rzekła, i blednąc—jako lampa właśnie,
Gdy w głębi lochów od wyziewów gaśnie—
Chwieje się, padła;—blask oczu i krasa
W powiewie moru mroczy się, zagasa:
I duch obojga, w jedno zlany tchnienie,
Uleciał razem nad świat i cierpienie.—

„O! śpijcie!—Peri rzekła z łzą w źrenicy,
Łowiąc ostatnie westchnienie dziewicy,
Co z ust w ostatnim wzleciało oddechu.
„Śpijcie w niebieskiéj harmonii echu,
„W rajskich marzeniach i tchu rajskiéj woni:
„Milszéj niż owa, co na ziemskiéj błoni
„Tchnie tylko wtedy, gdy ów ptak, syn słońca,
„Syty samotném życiem lat tysiąca,
„W słonecznych ogniach zaklętego stosu,
„Niknie w potokach wonności i głosu *)!—

Rzekła, i tchnieniem ambrozyjskiéj woni
Z ust napełniła całą okolicę;
I wstrząsłszy wieniec gwiazdzisty na skroni,
Taką rozlała jasność—że ich lice

---

*) Podług podań na Wschodzie, ptak Fenix, po przeżyciu tysiąca lat, układa sam sobie stos z najwonniejszych gatunków drzewa, i pali się na nim ogniem słonecznym, wpośród najrozkoszniejszéj woni i harmonii głosu, którą sam przed skonaniem wydaje.

Było jak świętych, co po trudach ziemi
Śpią snem wiecznego pokoju — a ona,
Na jasnych skrzydłach w równi zawieszona,
Jak ich Stróż-Anioł czuwała nad niemi.

Ale już piérwsze jutrzenki promienie
Rumienią chmury—i Peri w radości
Wraca ku Niebu, unosząc westchnienie
Czystéj i samoofiarnéj miłości.
Serce w niéj drgnęło rozkoszy oddechem,
Myśl w morzu szczęścia i nadziei tonie,
Widząc jak Anioł, stróż raju, z uśmiechem,
Dar przyniesiony przyjmował w swe dłonie.
I już przez bramę, natężoném uchem,
Słyszy dźwięk liści kryształnego drzewa,
Wstrząsanych wiecznie, jakby żywym duchem,
Tchem, co od tronu Allaha powiewa;
I już nad brzegiem zdrojów źwierciadlanych,
Widzi błyszczące gwiazdziste puhary,
Zkąd naprzód dusze szczęśliwych wybranych,
Nieśmiertelności czerpają nektary!....

Ale, niestety! nadzieja zwodnicza!
Znów się, jak przedtém, brama tajemnicza
Zamknęła sama; i z smutkiem w źrenicy,
Anioł rzekł: „Święta jest miłość dziewicy!
„Dzieje jéj uczuć, ofiary i zgonu,
„W gwiazdzistych słowach, u Allaha tronu,

„Będą uczyły same duchy Nieba,
„Jak się poświęcać i miłować trzeba.
„Ale patrz! Niebios zamknięte podwoje! —
„Idź! droższym darem okup wnijście twoje!
„Droższym, niż ziemskiéj miłości westchnienie,
„Lub dla miłości śmierć i poświęcenie.“ —

III.

Z różanych sadów, na zielone pola,
Wieczorny wietrzyk tchnie woń Suristanu *),
I słońce, jako wielka aureola,
Wieńczy, zachodząc, świętą skroń Libanu:
Co z wierzchu śnieżną obleczony szatą,
Sędziwém czołem między gwiazdy świeci,
A u stóp wiosna i zielone lato,
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

O! ktoby kraj ten mógł oglądać z góry,
Ten blask, to życie, tę piękność natury,
Jakżeby cudnym uderzon obrazem,
Dziwił się, wielbił, i zachwycał razem!
Te gaje cedrów, te równie bez końca,
Te rzeki ogniem iskrzące od słońca!

*) Suristan, *kraj róż*. Tak się nazywa Syrya, od niezmiernéj ilości tego rodzaju kwiatów, zwanych w języku krajowców: *Suri*.

Te łąk nadbrzeżnych kobierce bogate,
I te nad niemi, jak kwiaty skrzydlate,
Roje motyli, i tłumy jaszczurek *):
Co każda lśniąca jak brylantów sznurek,
Jedna za drugą, po dawnych zwaliskach,
Wciąż w gzygzakowych migają się błyskach!
Te, na tle jasnych błękitów u góry,
Stada gołębi, z migotnemi pióry,
W jaskrawym blasku zachodniego słońca,
Rażące oczy tęczą barw tysiąca,
Lub z drzew zieleni, swych skrzydeł trzepotem,
Przełyskujące purpurą i złotem! **)
A tenże ptasząt gwar, szczebiot wesoły,
Złączony z brzękiem Palestyńskiéj pszczoły,
Co lśniąc jak gwiazda, ssie kwiatów nektary!
I wdzięczne echo pastuszéj fujary, ***)
I dzwonki trzody rozpierzchłéj po łanie,
I godne raju, twe brzegi, Jordanie!

---

*) „Widzisz tam (w Syryi) nieprzeliczone mnóstwo osobliwszego gatunku motyli, których piękność kształtu i barwy, zjednała im nazwisko *panien*."—*Sonnini*.

„Liczba błyszczącycli jaszczurek, którą widziałem na ruinach świątyni słońca w Balbeku, dochodziła do wielu tysięcy; ziemia, gruzy i stojące jeszcze ściany ruin. były niemi prawie okryte. *Bruce*.

**) Gołębie syryjskie, latające ogromnemi stadami, odznaczają się osobliwszym blaskiem różnokolorowych piór swoich. *Bruce*.

***) Syrinx, albo piszczałka bożka Pana, jest dotąd pasterskim instrumentem w Syryi. *Russel*.

I szmer ku tobie bieżących strumyków;
I twoje gaje, tak pełne słowików!... *)

Peri spogląda—ale jak łza oczy,
Tak mgła jéj smutku wszystko przed nią mroczy,
Ach! sam blask słońca—co koroną jasną
Lśni nad świątynią—niegdyś swoją własną, **)
Któréj skruszone olbrzymie filary,
Jeszcze po polach ścielą cień daleki,
Rzekłbyś kompasy, co Czarodziéj stary,
Czas, wbił, by po nich liczyć jego wieki.

Ale któż zgadnie, czy w tych lochach ciemnych,
Zkąd brzmiała niegdyś wyrocznia natchniona,
Nie znajdzie jakich zabytków tajemnych,
Ksiąg, talizmanów z krain ponadziemnych,
Z wielkiém imieniem króla Salomona:
By z nich wziąć światła promień pożądany,
Gdzie i jakiego daru szukać trzeba,
Ażeby przezeń, duch grzechem skalany,
Mógł się oczyścić i dostąpić Nieba?—

W tych myślach Peri zmierza ku ruinie,
Nim słońce jeszcze skryło się za wzgórze;
I na rozkosznéj Balbeku dolinie,
Pomiędzy polne i rumiane róże,

*) Brzegi Jordanu po obu stronach okryte są małemi, pięknemi gaikami, w których kryje się tysiące słowików. *Thedenot.*

**) Świątynia słońca w Balbeku.

Widzi rumiane i dzikie, jak one,
Małe pacholę:—zabawą znużone
Leży na kwiatach, i patrząc wokoło,
Śmiejąc się nóci piosenkę wesołą.
I w téjże chwili, na otwartém błoniu,
Postrzega jeźdźca—na zziajanym koniu,
Pędzi ku brzegom blizkiego strumienia.
Przypadł—i szybko zeskoczył z strzemienia,
I padł na ziemię, i pił:—aż zdumiony,
Ujrzawszy dziécię, ogniste źrenice
Zwrócił ku niemu.—Chłopiec niestrwożony
Patrzał nań wzajem:—choć to groźne lice,
Te dzikie oczy nasępione srogo,
Najodważniejszych przejęłyby trwogą!
Z głębi ich dusza patrzała ponura,
Z mroku i ognia, jak piorunna chmura,
W któréj wzrok Peri mógł czytać dowodnie,
Jakby wyryte najczarniejsze zbrodnie:
Mord, zemstę, pychę, i Kaina zawiść,
I wzgardę Nieba, i ludzi nienawiść,
I urąganie z prawdy i uczucia,
I dzikość siły, i otchłań zepsucia.
Wszystko wyraźne i czarne, jak one
Głoski, któremi archanielskie pióro,
Wszystkie na ziemi grzechy popełnione
Wpisuje w księgę potępienia, którą,
Na straszym sądzie grzesznikom ukaże,
Nim je łza skruchy, albo Litość zmaże.

Ale w téj chwili ów człowiek rozboju—
Jakby ten obraz ciszy i pokoju,
Co świecił przed nim w jasności zachodniéj,
Wszedł w duszę jego:—w téj chwili łagodniéj,
Weseléj, nawet z czułości wyrazem,
Patrzał na dziécię: i za każdym razem
Spotkał wzrok jego, patrzący nań śmiało.
Tak blask pochodni, płonącéj noc całą
Przy jakim sprośnym obrzędzie, nad ranem
Styka się z światłem jutrzenki różaném.

Lecz patrz! już słońce, z za gór jeszcze grzbietów
Błysnąwszy, zgasło:—modlitwy godzina!
I w téjże chwili, z okolnych meczetów,
Rozległ się w dali okrzyk Muezzina.
Porwał się chłopiec, i w kornéj postawie,
Padł na kolana na wonnéj murawie,
I wznosząc w górę i oczy i ręce,
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.
Rzekłbyś, że małe anielskie pachole,
Upadło z Nieba, i na tym padole
Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącéj postaci
Wyciąga ręce do starszych swych braci.
O! był to widok!—ta pora! to dziécię!
Ten blask zachodu na niebios błękicie!
Widząc go Eblis—samby w sercu swojém
Czuł żal za rajem, i serca pokojem!

I on go uczuł!—On, człowiek dzikości,
I krwi, i pychy—w obec niewinności
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną
Sięgnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,
Nie świecił przed nią; gdzie żadnéj podpory
Nie znalazł dla niéj; aż sam z przerażeniem
Cofnął się przed nią:—i z ciężkiém westchnieniem:
„Był czas—rzekł w sobie—był czas, lube dziecię!
„Gdym i ja także, jak ty, na tym świecie
„Igrał, i kochał, i wierzył—i nieraz,
„Jak ty w téj chwili, modlił się;—a teraz!...“—
Opuścił głowę:—obraz lat dziecinnych,
Uczuć, nadziei i zabaw niewinnych,
I dawna czystość, i obecny zakał,
Stanęły w myśli—i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!
Błogosławieni, którzy płaczą niemi!
W nich jest jedyne uczucie pociechy,
Jaką występek czuć może na ziemi.
„Jest—rzekła Peri—tajemnicza rosa,
„Co raz w rok tylko, litośne Niebiosa
„Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,
„A co gdy spadnie, zaraza ustaje *).

*) *Nucta*, albo „Cudowna Kropla,“ padająca w Egipcie w sam dzień S. Jana, w czerwcu, ma mieć jakoby własność powstrzymania morowéj zarazy.

„Ach! czyliż nie tém dla duszy człowieczéj,
„Są łzy szczerego żalu i pokuty?
„Niech ją owionie duch złego zatruty,
„Niech ją rozranią sumienia wyrzuty,
„Jedna łza taka—a wszystko uleczy!“—

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,
Padł na kolana: rozpostarł objęcia.
Wzniósł je ku Niebu—co równie łagodnie
Oświeca obok niewinność i zbrodnię—
I hymn radości brzmi między niebiany,
Witając powrót duszy obłąkanéj!—

Mrok już zaciągał od wschodu—a oni.
Modląc się jeszcze, klęczeli na błoni;
Kiedy wtém nagle, jak struga szeroka.
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka.
I padła prosto na zbójcy oblicze.
Zgięte ku ziemi: i na tajemnicze
Łzy, co spadając kroplami bujnemi,
U kolan jego błyszczały na ziemi.

Jasność tę zdala śmiertelnikby może
Wziął za meteor lub polarne zorze:
Lecz Peri łatwo odgadła wesoła.
Że to był uśmiech, spójrzenie Anioła.
Znak wskazujący na łzy pokutnika,
Że w nich jest siła, co Niebo odmyka!—

„O! szczęście bez miary! o! radość bez końca!
Skończone me życie tułacze!
Żegnajcie mi blaski księżyca i słońca,
Ja światłość Allaha zobaczę!

„Żegnajcie mi ziemskie ogrody i kwiaty,
Nietrwałe jak ziemskie radości!
Żegnajcie bez żalu!—ja lecę w te światy,
Gdzie radość jest tchnieniem wieczności.

„Żegnajcie mi, ludzie! obyście wy chcieli
Raz szczerze zatęsknić do Nieba!
O! jakby was chętnie życzliwi Anieli
Uczyli, jak szukać go trzeba!

„Żegnajcie, żegnajcie! pokutą i łzami
Łagodźcie serc waszych rozpacze;
Ja lecę, gdzie chyba z litości nad wami,
Przed tronem Allaha zapłaczę.“ —

KONIEC.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

TRAGEDYA ROMANTYCZNA

SZYLLERA

W PIĘCIU AKTACH, Z PROLOGIEM

CIENIOM

KLAUDYNY Z DZIAŁYŃSKICH POTOCKIĖJ,

NAJWYŻSZĖJ W DUCHU,

JAKĄ ZNAŁEM W MĖM ŻYCIU,

A KTÓRĖJ WINIENEM POJĘCIE

NATCHNIEŃ ŁASKI BOŻĖJ W CZŁOWIEKU.

W HOŁDZIE

CZCI, WDZIĘCZNOŚCI I ŻALU

POŚWIĘCAM.

A. E. O.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O JOANNIE D'ARC.

Zjawienie się Joanny d'Arc na scenie dziejów, jest może najwyraźniejszém, z tysiąca innych świadectw, świadectwem, o bezpośrednim wpływie woli i Opatrzności Boskiéj, na los narodów i pojedyńczych ludzi; o czém i bez tego, żaden prawdziwy chrześcianin nie wątpi. Wszystkie jéj czyny i dzieje od kolebki prawie do grobu, opisane po wielokrotnie przez naocznych świadków, roztrząsane pod rozmaitemi względami przez współczesnych i przez następnych, i nakoniec przed najsławniejszych teraz żyjących historyków francuzkich, powtórzone z najdrobniejszemi szczegółami, podług nowo odkrytych autentycznych źródeł, nie zostawują najmniejszéj wątpliwości o jéj cudownem powołaniu i posłannictwie; o czynach wyższą wolą i siłą natchnionych, i nakoniec o niepokalanéj czystości i świętobliwości jéj życia, które uczyniło ją godną, stać się narzędziem Łaski dla swojego ludu, i można rzec, wybraną ofiarą odkupienia swego narodu.

Mając zamiar, jeżeli Bóg dozwoli, w osobnych kiedyś i obszerniejszych ramach, przedstawić ten wielki historyczny

obraz, równie dla chrześcianina jak i dla psychologa ważny: bo wyjaśniający nam niejako najświętsze i najtajniejsze stosunki pomiędzy Niebem a ziemią, pomiędzy stworzeniem a Bogiem: -tą razą poprzestanę tylko na skreśleniu kilku główniejszych rysów, potrzebnych dla lepszego pojęcia i ocenienia sztuki Szyllera, któréj tu nowy przekład pod sąd czytelników przynoszę [1]).

Na początku XV wieku, Francya uwikłana w nieszczęśliwą wojnę z Anglią; szarpana wewnątrz krwawemi niezgodami dwóch potężnych stronnictw: Burgundzkiego i Orleańskiego, z których pierwsze, pod wodzą Filipa, Księcia Burgundyi, połączyło się nakoniec z Anglią; w największém rozprzężeniu i nieładzie pod rządem obłąkanego na umyśle Karola VI, a raczéj żony jego, Izabelli Bawarskiéj, niewiasty sprośnych obyczajów i uczuć;—Francya, mówię, ujrzała się nad brzegiem ostatniéj i nieuchronnéj zguby. Stanowcza klęska pod Azincourt (1415) i inne, przywiodły w końcu pamiętny a upokarzający traktat w Troyes (1520), mocą którego, syn Karola VI, Delfin Karol, ostatni szczep królewskiego domu Walezych, pomówiony przez własną matkę o nieprawność rodu, został przez własnego ojca wyzuty z prawa następ twa, i prawo to przeniesione na osobę Henryka V. króla angielskiego, który poślubił także królewnę francuzką Katarzynę, i tymczasowo, do śmierci teścia, tytuł Rejenta Francyi otrzymał. We dwa lata późniéj, (1422), obaj królowie: Karol VI i Henryk V, pomarli; ostatni zostawiwszy w kolebce syna (Henryka VI), który sto ownie do traktatu w Troyes, zaraz po pogrzebie Karola V. w Saint-Denis, królem Francyi obwołany został. Delfin także ze swojéj strony, pod imieniem Karola VII, ogłosił się królem w Poitiers, nie mogąc dostać się do Rheims, gdzie

---

[1]) Pierwszy przekład, wykonany przez Andrzeja Brodzińskiego, brata Kazimierza, drukowany był w Warszawie w r. 1821, nakładem Zawadzkiego i Węckiego, i po wielekroć wystawiany na scenie.

według uświęconego wiekami zwyczaju, odbywało się zwykle namaszczenie królów francuzkich, nadające jedynie sankcyą w obliczu religii, prawa i narodu. Pomimo to, w oczach wszystkich dobrych Francuzów, Karol VII był prawym monarchą, i wsparty ich gorliwą pomocą, z orężem w ręku bronił praw swoich i kraju przeciw złączonym Angielskim i Burgundzkim siłom, będącym w posiadaniu Paryża i większéj części królestwa. Przez lat siedem toczyła się wojna, z różném szczęściem i ze wszystkiemi okropnościami wojny domowéj; aż nakoniec w r. 1429, rzeczy stanęły na tym stopniu, że podług wszelkich rachub polityki i rozumu, sprawa Karola VII ostatecznie chyliła się do upadku. Zawiści i intrygi własnych jego stronników, wzbudziły nań nowego wroga, w osobie najwierniejszego mu dotąd Konnetabla; inni opuścili go jawnie lub traktowali skrycie z Anglikami; nowe wojsko angielskie, pod wodzą hr. Salisbury, zdobyło wszystkie twierdze i miasta na północnym brzegu Loary, i nakoniec obległo miasto Orleans, od którego zdobycia lub utrzymania cały dalszy los wojny zależał. Obie strony czuły to dobrze: i dla tego téż obie zarówno wytężyły wszystkie swe siły, aby stanowczą tę walkę na swoję korzyść rozstrzygnąć. Kwiat francuzkiego rycerstwa i najprzedniejsi wodzowie zamknęli się w tém mieście; wszystkie sąsiednie prowincye i miasta wyczerpywały ostatnie zasoby, aby je zaopatrzyć w pieniądze i żywność; wszyscy mieszkańcy wzięli się do oręża, kobiéty nawet i dzieci dopomagały walczącym, już to podając kamienie, już roztapiając ołów albo smołę, którą z góry na szturmujących zlewano. Anglicy odbici od szturmu, otoczyli miasto szańcami i blokhauzami, aby je głodem do poddania się przymusić. Salisbury zginął ugodzony kamieniem z dział miejskich, ale następca jego, Suffolk, z niemniej-zém natężeniem oblężenie popierał. Wysłany na odsiecz miastu ośmiotysięczny korpus, pod wodzą hr. Clermont, cofnął się przed garstką Anglików, porażony haniebnie pod Rouvrai. Głód straszliwy panował już w mieście. Przywiedzeni do rozpaczy mieszkańcy, chcieli już byli poddać je Burgundzkiemu księciu Filipowi: ale gdy tę

ofiarę odrzucili Anglicy, ostatniém jeszcze wysileniem rozpaczy z dnia na dzień przewlekali swą zgubę. Widoczném wszakże było każdemu, iż prędzéj późniéj nie pozostanie nic innego Orleanowi, jak zdać się na łaskę Anglików; Karolowi, jak ujść za Loarę, do południowych prowincyi, a ztamtąd na tułactwo do Hiszpanii lub Szkocyi; Francyi nakoniec, jak wyrzec się swéj niepodległości i stać się prowincyą angielską. Wszystkie ludzkie sposoby i siły okazały się bezskuteczne, aby tę ostateczność odwrócić; wszystkie, nie już usiłowania, lecz same nawet nadzieje polepszenia losu, zdawały się być tylko szaleństwem w oczach ludzkiego rozumu.—A przecież Bóg chciał inaczéj, i wszystko się jak sen przemieniło.

Na zbiegowisku trzech granic. Szampanii, Burgundyi i Lotaryngii, w małéj wioseczce Dom-Remy, żyła prosta, uboga pasterka, córka poczciwych i bogobojnych rodziców, którzy wcześnie w tkliwe jéj serce gorącą miłość Boga i głęboką swą wiarę przelali. JOanna d'Arc—to było jéj imię—od samego dzieciństwa odznaczała się między rówiennicami szczególną pobożnością i najbardziéj chrześciańskiemi cnotami: pokorą, łagodnością, prostotą i najtkliwszą miłością bliźnich. Wewnętrzne życie duchowe pochłaniało ją całkiem, a wpływ jego, w oczach niepojmujących go nawet, otaczał ją tajemniczym urokiem: tak dalece, że nie tylko poczciwe serca ludzi, a mianowicie dzieci, czuły ku niéj niepojęty pociąg; ale same nawet ptaki powietrzne, podług słów współczesnego historyka, przytoczonych przez Micheleta: „przylatywały do niéj, jak niegdyś do Świętych w pustyni, i brały pokarm z jéj ręki, w zaufaniu Bożego pokoju.“ Piękność jéj porywała oczy, ale też razem przejmowała taką czcią i uszanowaniem, że w obec jéj, najzuchwalsi nawet, przystojności ubliżyć nie śmieli. Chroniąc się głośnych zabaw i tańców, szukała chętnie towarzystwa poczciwych niewiast dojrzałego wieku, a mianowicie dziatek i ubogich, którym z pokorą i miłością służyła. Pomimo przesądnych mniemań owego wieku, strzegąc ściśle nauki Kościoła, nie tylko nie dopuszczała się sama żadnych zabobonnych praktyk, jak jéj nieprzyjaciele potém zarzucali, lecz nadto

miała je w obrzydzeniu, i unikała starannie wszelkich miejsc podejrzanych w tym względzie, z jakich dwa właśnie były w blizkości jéj wioski: źródło, któremu przyznawano czarodzijską moc leczenia chorób, i starożytny dąb, zwany „*Drzewem Wróżek*,“ gdzie co rok, dla odpędzenia tych istot, pleban miejscowy mszę i nabożeństwo odprawiał. Kościół był dla niéj najmilszym przybytkiem, modlitwa największą rozkoszą; i gdy jéj zarzucano, że się nazbyt modli: rumieniła się tylko i milczała.—Taką była dziewica, którą Bóg za narzędzie cudu swego upatrzył. Nieszczęścia kraju i króla, o których od dzieciństwa słyszała; klęski i okrucieństwa wojny, których nieraz wraz z rodzicami była ofiarą i świadkiem; napełniły wcześnie jéj serce namiętną miłością ojczyzny i litością nad losem współziomków, tak, że dwa te uczucia stały się treścią jéj życia, przedmiotem ciągłych jéj modłów, które, zalewając się łzami, w samotności ku Niebu wznosiła. I gdy krew tysiąca rycerzy, w ziemskim tylko ufających orężu: gdy łzy miliona rodzin, nad sobą tylko płaczących: nadaremnie płynęły; Bóg wejrzał na łzy jednéj ubogiéj pasterki, na łzy głębokiéj wiary i miłości bliźnich, i ją samą do otarcia łez ziomków—ale téż i do przelania za nich niewinnéj krwi swojéj powołał. Oto są własne jéj słowa, któremi późniéj, przed krwawym trybunałem swych wrogów, opowiadała sama to cudowne powołanie swoje [1]).

„Dnia jednego latem, w samo południe—a mogłam mieć wtedy lat około 13-tu [2])—będąc sama w ogrodzie ojca, usłyszałam po prawicy mojéj, od strony kościoła, głos—i stanęła przedemną postać, wielką otoczona jasnością. Postać ta miała

---

[1]) Słowa te, oznaczone cudzosłowem, wyjęte z procesu Joanny d'Arc, są przekładu P. Kazimierza Bujnickiego, przytoczone przezeń w artykule o Joannie d'Arc, umieszczonym w Atheneum, Oddziale III Zeszycie IV z roku 1843.

[2]) Joanna urodziła się w r. 1411.

rysy bardzo dobrego i cnotliwego człowieka; na barkach jéj były skrzydła; ze wszystkich stron okrążało ją światło; orszak niebieskich Aniołów był przy niéj:— Aniołowie albowiem często nawiedzają Chrześcian, a ci ich nie postrzegają; jak to sama nieraz potém pośród nich widziałam. Postać ta, był to Archanioł Michał. Głos zdawał mi się bardzo poważny; alem podówczas młodą była dzieciną; zatrwożyłam się więc bardzo przed postacią, i wątpiłam, ażeby to był Anioł. Za trzeciém dopiéro ozwaniem się postaci, poznałam, że to był głos Jego. Nauczył mię i ukazał tyle rzeczy, żem mocno uwierzyła, iż to był On. Widziałam Jego i Aniołów własnemi oczyma, tak wyraźnie, jak was tu, Sędziowie, widzę; i wierzę w to tak mocno, jak wierzę w mękę i śmierć Pana naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Co mię zaś do takowéj wiary pobudza, są to zbawienne rady, wsparcia i nauki, jakie zawsze odbieram od Niego.

„Anioł nauczał mię, abym przedewszystkiém była dobrą dziewczyną, prowadziła siebie uczciwie i chodziła pilnie do kościoła. Opowiedział mi potém o wielkiém zmiłowaniu Boga nad Francyą, i że powinnam iść w pomoc królowi mojemu. Powiedział mi także, iż Święte: Katarzyna i Małgorzata nawiedzą mię, a co mi rozkażą, to czynić mam; albowiem posłane są od Boga, aby mię wodziły i radą mię swoją wspierały, w tém co mam do sprawienia.

„Święte Katarzyna i Małgorzata ukazały się mnie, jak to był przepowiedział Anioł, w wielkiéj jasności i w promiennych wieńcach na głowie, i rozkazały mi pójść do Roberta Baudricourt, Rotmistrza królewskiego w Vaucouleurs, zkąd będę odesłaną do Króla, i Orleans od oblężenia wybawię. Na to odpowiedziałam im, że jestem biédna dziewczyna, nieumiejąca dosiąść konia ani władać orężem. One zasię mi powiedziały, abym śmiało nosiła mój sztandar, albowiem Bóg mi dopomoże, a król mój odzyska napowrót całe swoje państwo, i otrzyma przezemnie królewskie swe namaszczenie w Reims. Święte rozkazały mi nie powiadać nikomu o tém zjawieniu; zostawiły mi wszakże do woli, zwierzyć się rodzicom moim lub nie;—ale.

bym tego za skarby świata uczynić nigdy nie śmiała. Nadewszystko bałam się ojca, aby mi nie przeszkodził dopełnić rozkazu Świętych. We wszystkiém z resztą ojcu i matce byłam zawsze posłuszną, a że w tym razie bez ich zezwolenia odeszłam, nie poczuwam się do grzechu; uczyniłam to bowiem z rozkazu Boga, a skoro Bóg przykazywał, byłabym poszła, chociażbym miała sto ojców i sto matek, choćbym była króla jakiego córką.“—

Zjawienia tego rodzaju, od piérwszego jéj nawiedzenia, ponawiały się często w dalszym ciągu jéj życia, już to krzepiąc ją swemi radami, już pocieszając w więzieniu i ośmielając przed śmiercią. Oto jest, jak sama daléj naturę ich opisuje:

„Rzadko widuję me Święte inaczéj, jak otoczone jasnością i w promiennych wieńcach na głowie. Widzę ich twarze, ale czy mają odzież, włosy, ramiona, i w ogólności widzialne członki, o tém nie z pewnością powiedzieć nie mogę. Często też, nie widząc Świętych, słyszę tylko same ich głosy, które mówią do mnie i odpowiadają na pytania moje. Mowę ich doskonale rozumiém. Głos ich jest nadzwyczaj miły, łagodny i aż do łez rozrzewniający; mówią czysto i *godnie* w języku francuzkim [1]. Przed oswobodzeniem Orleanu i potém, zwały mię nieraz *Joanną dziewicą i córką Bożą*, zalecając mi przytém częste odbywanie spowiedzi. Święte przychodzą często nie wezwane, a gdy ich długo nie widzę, proszę Pana, aby raczył przysłać je do mnie. Nigdy mię nie opuściły w potrzebie. Za każdém ich przyjściem doznaję niewymownéj radości, i oddaję im wszelką cześć, na jaką zdobyć się mogę: chociaż czuję, że nie potrafiłabym nigdy uczcić ich dosta-

---

[1]) „Przez to rozumieć trzeba, że Joanna w tym języku, jako jéj ojczystym, słowa Świętych rozumiała, nie zaś aby one koniecznie po francuzku mówiły. Dziewica w zachwyceniu ducha, widziała, słyszała i pojmowała duchownie, co jéj duchowe objawiały istoty. Zmysły nic tam zapewne do czynienia nie miały.“ (*Bujnicki*).

tecznie, bo wiém że oni to są, którzy mieszkają w królestwie niebieskiém. Gdy odejdą, całuję ziemię, gdzie stali i nieraz płakałam z żałości, że mię z sobą nie wzięli. O nic nie prosiłam ich nigdy, jedno względem mojéj wyprawy, i aby Bóg dopomógł Francuzom: dla siebie nie żądałam nigdy innéj nagrody, oprócz zbawienia méj duszy. Od piérwszego razu, jakem usłyszała głos Świętych, ślubowałam Bogu dobrowolnie pozostać czystą dziewicą, na duszy i na ciele, jeśli w tém będzie święta Jego wola; zaczém mi Święte przyrzekły, że mię wprowadzą do raju, jak tego od nich żądałam.“

Dziewica w swoich zeznaniach, nie mówi nic o walkach wewnętrznych, między wielkiém jéj powołaniem, a słabością dziecinnego serca; musiały jednak bydź trudne i długie, kiedy aż w pięć lat dopiéro po pierwszém usłyszeniu anielskiego głosu, rozkaz jego odważyła się wypełnić; w dniach zaś największéj swéj chwały, słyszano ją nieraz powtarzającą ze łzami: „iż wolałaby stokroć prząść kądziel przy biednéj swéj matce, niż czynić, co czynić musi, ponieważ Bóg jéj przykazał.“

W r. 1429, za przewodnictwem rodzonego stryja, który piérwszy w jéj posłannictwo uwierzył, Joanna d'Arc opuściła nakoniec dom rodzicielski i udała się do Vaucouleurs, do Roberta Baudricourt, oświadczając mu, iż przychodzi od Boga, aby oswobodzić Orleans i króla do Reims na namaszczenie wprowadzić; przyczém żądała, aby ją zaraz do obozu królewskiego odesłał. Baudricourt wziął ją za obłąkaną, i zamiast do obozu, chciał ją odesłać do ojca. Nieustraszona tém Joanna, oświadczyła stanowczo, iż musi być przed Środopościem u króla, „*chociażby miała nogi schodzić po kolana* [1]).“ Jakoż przykładna jéj świątobliwość, w czasie krótkiego w Vaucouleurs pobytu, i zapewne tajemniczy wpływ ożywiającego ją ducha, wzbudziły ku niéj wiarę w okolicznych

---

[1]) „*Dussé je user mes jambes jusqu'aux genoux.*“

mieszkańcach, i jeden z nich, niejaki szlachcic Novelompont, obiecał ją zaprowadzić do Króla. Co nadto jeszcze pomagało jéj w umysłach ludu, to znajoma powszechnie od wieków stara przepowiednia Merlina, iż Francya wtrącona w przepaść przez kobiétę, przez kobiétę téż wybawioną zostanie. Piérwsza część tego proroctwa spełniła się już była przez Królowę Izabellę, lud więc widział wszędzie i witał w Joannie obiecaną spełnicielkę drugiéj. Ona sama nie wątpiła o tém bynajmniéj: tém bardziéj, iż pytając o to swych Świętych, otrzymała od nich odpowiedź, iż ona jest ową wybraną. Gotując się w podróż do króla przywdziała po raz piérwszy strój męzki, który odtąd aż do śmierci nosiła, i przybywszy szczęśliwie do obozu pod Chinon, po trzech dniach namysłu i wahania się króla, otrzymała nakoniec pozwolenie stawienia się przed nim. Król przyjął ją otoczony całym swym dworem, w gronie przeszło trzystu rycerzy, i sam, by ją doświadczyć, wstał z miejsca i ukrył się w tłumie. Dziewica weszła z pokorą, jako uboga wieśniaczka; nie zmięszała się jednak bynajmniéj, i za pierwszym rzutem oka w około, poznała króla, chociaż go nigdy nie widziała przedtém, i ugiąwszy przed nim kolano, rzekła: „Najszlachetniejszy mój panie, Delfinie! Król Niebios ogłasza ci przezemnie, iż będziesz namaszczony i ukoronowany w Reims, i będziesz namiestnikiem Jego w królestwie francuzkiém, które jest Jego nie twoje, ale które ci On jako zakład poruczy.“ Po czém wziąwszy króla na stronę wymieniła mu treść tajemnéj jego modlitwy, któréj nikt prócz Boga nie słyszał. Inna jeszcze okoliczność podniosła wiarę obecnych w cudowne jéj posłannictwo. Gdy szła do króla, jakiś pijany rycérz urągał jéj bezbożnemi słowy. „Ach! mój Boże! rzekła Dziewica—ty bluźnisz, a nie wiesz że śmierć twoja jest tak blizko ciebie.“ Za chwilę potém, tenże rycerz wpadł przypadkiem do wody i utonął. Pomimo to, zdania dworzan były podzielone; lękano się nadewszystko, aby natchnienie jéj nie było dziełem szatana. Dla lepszego więc wybadania prawdy, odesłano ją do Poitiers, gdzie był uniwersytet, parlament, i wielu uczonych doktorów kościoła. Król sam udał się za

nią ze swym dworem. Arcybiskup Reimski, Kanclerz Francyi, zwołał wszystkich professorów teologii, i przedniejszych, jacy byli, kapłanów, i zlecił im wybadanie Dziewicy. Doktorowie badali ją ściśle, chociaż łagodnie. Jeden z nich rzucił uwagę, że jeśli Bóg chce zbawić Francyę, nie potrzebuje żołnierzy. „Ach! mój Boże! odpowiedziała z żywością—żołnierze będą wojować, a Bóg da im zwycięztwo.“ Inną razą, gdy jéj chciano dowodzić cytacyami z różnych autorów, iż niepodobna było wierzyć jéj opowiadaniu. „Słuchajcie! rzekła spokojnie—więcéj jest rzeczy w księgach Pana mego, niż w waszych. Nie umiem ani A ani B, ale to wam powiadam, że jestem posłana od Boga, aby oswobodzić Orleans i króla zaprowadzić do Reims.“—Te i tym podobne odpowiedzi, zmusiły do milczenia rozumujących doktorów; czujący uwierzyli wraz z ludem. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że można śmiało przyjąć pomoc Dziewicy.

Tu zaczyna się wojenny zawód Joanny. W lekkiéj zbroi, na czarnym koniu, z tajemniczym mieczem przy boku—który sama za radą swych: *głosów*, kazała przynieść sobie ze składu dawnéj broni w kaplicy Ś. Katarzyny z Fierboi—i z białym sztandarem w ręku, stanęła na czele wojska; prosta pasterka na czele najdumniejszych rycerzy; osiemnastoletnia dziewica, na czele rozpasanego w ciągłych wojnach żałnierstwa. A przecież jedni i drudzy, ulegli przed nieziemską jéj mocą!—Pierwszém jéj usiłowaniem było wytępić rozwiązłość i ożywić pobożność w swém wojsku, z którem na odsiecz Orleanu iść miała. Przykład jéj działał silniéj niż słowa. Przed wzniesionym na polu ołtarzem, kapelan jéj odprawiał codzień mszę świętą; wodzowie i całe wojsko odbyło razem z nią spowiedź i przyjęło Przenajświętszy Sakrament. Na czele hufców szli księża ze świętą chorągwią, śpiewając *Veni Creator*, i inne psalmy kościelne. Dnia 29 Kwietnią 1429 r. weszła do Orleanu, wprowadzając wojsko i żywność, i nie doznawszy jak była przepowiedziała, żadnego oporu Anglików; a to z powodu nadzwyczajnéj mgły, która im to wejście zakryła. Nazajutrz rano chciała zaraz szturmować ich szańce, a gdy jéj to odra-

dzano, i w ogólności, w dalszym ciągu działań wojennych, gdy nie ufając całkiem jéj natchnieniom, wahano się w wypełnieniu jéj woli, lub chciano ją podstępnie uchylić: „Rada Pana mojego.—odpowiadała z żywością—lepsza jest od wszystkich rad waszych; ona tylko jest mądra i pewna, i ona się jedna utrzyma. Wierzcie mi, że chcąc mnie oszukać, w rzeczy tylko oszukacie siebie.“ Raz nawet oburzona tym fałszem, pogroziła Hr. Dunois, że go natychmiast ściąć każe, jeśli prawdę przed nią zatai. Jakoż w każdém zdarzeniu skutek, jakkolwiek z nieprzewidzianych często okoliczności wynikły, przekonywał nakoniec, że jéj rada była najlepsza, i że się wszystko tak stało, jak była przewidziała w natchnieniu. Przykład jéj odpowiadał słowom. Najpierwsza wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo groziło, chociaż sama nie zabiła nikogo i sam widok krwi ją przerażał, przecież w natłoku bitwy, ze sztandarem tylko swym w dłoni, torowała drogę najśmielszym, narażając się na tysiące śmierci. Głos jéj jak dźwięk trąby wojennéj dolatywał do ostatnich szeregów i zapalał żołnierza odwagą. Przy tém wszystkiém litościwa i ludzka, płakała widząc tylu chrześcian bez spowiedzi poległych; sama opatrywała rannych, i z narażeniem się własném ocalała jeńców angielskich od zapamiętałości żołnierstwa. Przewidzenie że musi być ranną, nie osłabiło jéj męstwa. Pierwsza wdarła się na szańce angielskie. Wszakże, odniósłszy już ranę, płakała; aż ją święte przyszły pocieszyć. Naówczas wyrwała sama strzałę, tkwiącą na wylot w jéj ramieniu, i nie chcąc bydź, jak mówiła, uleczoną przeciw woli Boskiéj, oddaliła ze wstrętem żołnierzy, którzy chcieli zamawiać jéj ranę; poczem kazawszy ją tylko obwiązać, odbyła spowiedź, i powróciła do boju. W trzech krwawych wycieczkach i bitwach, najgłówniejsze szańce angielskie wpadły w ręce Francuzów. Po ostatniéj, poprzedzonéj uroczystą spowiedzią Joanny i całego wojska, Talbot i Suffolk, wodzowie angielscy, zwołali w nocy radę wojenną, i d. 8 Maja o świcie, odstąpili od oblężenia. Dzie-

wica zakazała ich ścigać; ale gdy jeszcze byli na widoku, rozkazała wznieść ołtarz na tém miejscu gdzie stali, przed którym całe wojsko, wraz z ludem, Bogu hołd dziękczynień składało.

Od téj to cudownéj odsieczy, współcześni nadali Joannie imie Dziewicy Orleańskiéj, które odtąd zachowała w dziejach. Odgłos niespodziewanego zwycięztwa rozniósł jéj sławę w całém chrześciaństwie. Strach paniczny przejął Anglików, Francuzi uwierzyli w pomyślność. Joanna za powrotem do Króla, nastawała koniecznie, aby natychmiast przedsięwziąć wyprawę do Reims dla dopełnienia obrzędu namaszczenia. Przedsięwzięcie to zdawało się niepodobném do wykonania. Na przestrzéni blizko 80 mil drogi, wszystkie miasta, twierdze i przeprawy były w ręku nieprzyjaciela. Rozumowa roztropność radzców, z politowaniem słuchała Dziewicy. Ale Dziewica była nieugiętą. „Nie długie moje trwanie—mówiła—rok, albo mało co dłużéj; trzeba umieć ze mnie korzystać.“—Jakoż usłuchano nakoniec. Wojsko w początkach Czerwca wyruszyło z obozu, i d. 11 zdobyło warowne miasto Jargeau, gdzie się Suffolk zamknął ze swym ludem, i w niewolę pojmany został. Dziewica piérwsza, wdarła się po drabinie na mury, gdzie ugodzona kamieniem, spadła w fossę i miano ją za umarłą. Ale w tejże chwili powstała, i ukazawszy się swoim, przechyliła szalę zwycięztwa. Lordowie Talbot i Fastolf, nie mogąc już pośpieszyć ku odsieczy miastu, zaszli Francuzom drogę pod Patay (29 Czerwca). Oba wojska nie wiedząc wzajem o sobie, zeszły się na zarosłéj małym lasem równinie. Jeleń spłoszony przypadkiem, wpadłszy oślep na wojsko angielskie, odkrył piérwszy Francuzom zbliżanie się wroga, i przednie jego czaty pomięszał. Dziewica zapowiedziała zwycięztwo. Anglicy porażeni, pierzchnęli. Fastolf uciekł; Lordowie: Talbot, Scales i Hungerford stali się jeńcami Dziewicy. Zostawało jeszcze do zdobycia po drodze warowne miasto Troyes. Joanna wbrew zdaniu całéj Rady wojennéj, rozkazała iść prosto do szturmu, idąc sama, jak zawsze, na czele. Przestrach ogarnął załogę; miasto poddało się na łaskę. Król d. 15 lipca wszedł z woj-

skiem zwycięzkiém do Reims, i tamże d. 17 w niedzielę, uroczyste namaszczenie otrzymał. Dziewica ze sztandarem swym w ręku, stała przed ołtarzem przy królu, i w chwili dokonania obrzędu, ze łzami do nóg jego upadłszy, dziękowała gorąco Niebu za szczęśliwie spełnione dzieło. „Wszyscy co ją wtenczas widzieli—powiada kronika współczesna—„uwierzyli więcéj niż kiedy, iż była posłaną od Boga, a nie od złego ducha, jak głosili Anglicy.“

Ale tu był kres posłannictwa Joanny. Co było niepodobném dla ludzi, Bóg cudownie przez nią wypełnił; resztę ludzie mogli dokonać. Ona sama czuła to dobrze, i wśród powszechnéj radości i uwielbienia, dręczona wewnątrz przeczuciem blizkich swoich cierpień i śmierci, prosiła usilnie króla, ażeby jéj dozwolił wrócić do rodziców. „Oni tak będą radzi mię widzieć!—mówiła. Będę znowu pasła ich trzody, i czyniła co mi rozkażą. Wola Pana mojego spełniona.“—Ale król nie dał się zmiękczyć. Jak gdyby na okazanie, jak rozum ludzki działa w odwrótnym stosunku z natchnieniem ducha Boskiego, wahano się powierzyć jéj wojsko, gdy tego z woli Boga żądała; a w brew jéj woli zatrzymano wtenczas, gdy jéj to głos wnętrzny odradzał. Jakoż od téj chwili Joanna przestaje bydź przewodniczką natchnioną, i jest tylko wybraną ofiarą, którą na śmierć męczeńską prowadzą. Nie uczy już co czynić potrzeba, ale wypełnia z pokorą co jéj Pan ziemski rozkaże. W życiu swém równie bogobojna i skromna, w bitwach równie poświęcająca się i mężna; ale już ich losem nie rządzi. Sam tajemniczy ów miecz Świętéj Katarzyny, godło rycerskiego jéj posłannictwa, skruszył się w jéj ręku przypadkiem, i pomimo usiłowań płatnerzy, nie dał się już więcéj naprawić. Sztandar swój wraz z całym rynsztunkiem zawiesiła w kościele Ś. Dyonizego, na grobie tego świętego patrona Francyi, i na podziękowanie Bogu, Najświętszéj Pannie i ŚŚ. Męczennikom, za okazane jéj łaski. Ostatniém jéj dziełem wojenném było zdobycie szturmem miasta *Pierre-le-Moutiers*, gdzie sama jedna, opuszczona od wojska, pod murami twierdzy zostawszy, głosem swym przywołała uciekających, i piérwsza przebywszy fossę,

bramy miasta zdobyła. Ale zbliżał się kres jéj przeznaczenia. W Maju 1430 roku, (w rok po oswobodzeniu Orleanu), weszła z wojskiem do miasta Compiegne, oblężonego przez wojsko Burgundzkie, i zaraz nazajutrz rano przedsięwzięła wycieczkę. Szczęście z razu sprzyjało Francuzom, ale w końcu liczba przemogła. Joanna ostatnia w odwrocie, nie pierwéj wejść chciała do miasta, aż ostatniego ze swoich w bezpieczeństwie obaczy. Tymczasem poznana po stroju i oskoczona od wrogów, przy samém już wejściu do bramy, którą przed nią nagle zamknięto, w niewolę pojmaną została. Głos publiczny oskarżał dowódzcę twierdzy, Wilhelma Flavy, człowieka głośnego w całéj Francyi z okrucieństw swych i bezbożności, iż z góry już oblegającym krew Joanny zaprzedał, i umyślnie ją w niebezpieczeństwie opuścił. Ona sama zdała się o tém wiedziéć z natchnienia. Tegoż albowiem dnia, przed wycieczką, spowiadając się i kommunikując w kościele Św. Jakóba, rzekła do licznie zebranych tamże mieszkańców i dzieci: „Dobrzy moi przyjaciele, i wy kochane dziatki! powiadam wam niewątpliwie, że jest człowiek który mię przedał; jestem zdradzona i jeszcze przed Świętym Janem będę wydana na śmierć. Módlcież się za mną do Boga, proszę was, bo wkrótce nie będę już mogła służyć memu królowi, i szlachetnemu królestwu Francyi.“ Odtąd wszakże, po swojém pojmaniu, nie obwiniała nigdy nikogo, i we wszystkiém co się zdarzyło, Boską tylko wolę widziała.

Pojmanie Joanny było prawdziwym tryumfem dla Anglików; we wszystkich zajętych przez nich miastach, odśpiewano z rozkazu Rejenta, uroczyste *Te Deum.* Żeby zaś dać wyobrażenie, jak dalece byli na nią zawzięci, dość jest powiedzieć, iż spalili na stosie uczciwą obywatelkę Paryża, za to tylko, że śmiała utrzymywać publicznie prawdę Boskiego posłannictwa Dziewicy. To też żeby ją dostać w swe ręce, (była albowiem jeńcem Księcia Burgundyi), po wyczerpaniu wszystkich środków prożby i groźby, nie wahali się nakonice zapłacić mu za nią 10.000 liwrów; summę, jaką naówczas za wykup tylko Króla albo panującego księcia płacono, a za którą najbogatszy naów-

czas w chrześciańsiwie książe, gorliwy opiekun dawnéj instytucyi rycerstwa, ustanowiciel orderu Złotego Runa, nie wzdrygał się przedać krew dziewicy, krew jeńca. Takie były obyczaje wieku.—Ale nie sama tylko chęć zemsty zapalała Anglików tą nienawiścią Dziewicy; najwyższy wzgląd ich polityki wymagał zarówno jéj zguby. Jeśli bowiem była od Boga, prawo ich króla do korony francuzkiéj musiało bydź niesprawiedliwe i płonne; przeciwnie, tenże sam zarzut spadłby na stronę Karola VII. gdyby można było przekonać, że wszystko mocą tylko czarów, a więc z natchnienia złego ducha działała. To miało bydź głównym celem procesu, którego przewodnictwo przyjął na siebie biskup francuzki z Beauvais, nazwiskiem Cauchon, w nadziei otrzymania w nagrodę za to arcybiskupstwa w Rouen.

Do tego to właśnie miasta, gdzie się znajdował małoletni Henryk VI, wraz z opiekunem swoim, kardynałem Winchester, przywiedziono nakoniec Joannę. Osadzona w wieży zamkowéj, zamknięta w żelaznéj klatce, okuta ciężkiemi łańcuchy, wystawiona na urąganie i obelgi żołdactwa, miała stanąć przed trybunałem duchownym, którego członków sam Cauchon wybierał. Ale Bóg jéj i tu nie opuścił. Święte nawiedzały ją codzień. Miejsce archanioła bitew, Michała, zajął, podług jéj zeznań, Gabryel, anioł łaski i miłości Boskiéj. Duchy cieszyły ją i ośmielały; uczyły być cierpliwą i śmiałą, wesoło znosić męczeństwo; obiecywały tryumf i królestwo niebieskie. I tych to swych Boskich przyjaciół i pocieszycieli, zmuszano ją zaprzeć się przed sądem! I te to cudowne widzenia, chciano, aby sama wyznała, że od złego ducha pochodzą! Ale wszystkie podstępy i groźby, wszystkie męczeństwa i przygotowania tortury, nie zachwiały ani na chwilę dziewiętnastoletniéj dziewicy. „Przyszłam posłana od Boga; spełniłam co Bóg mi rozkazał; nie mam tu do czynienia nic więcéj; odeszlijcie mię do Boga zkąd przyszłam.—Wolałabym umrzeć sto razy, niżeli odwołać to, com z rozkazu Bożego spełniła.—Wiém dobrze, że Anglicy chcą mię skazać na śmierć, myśląc, że potém łatwiéj zdobędą królestwo Francuzkie. Ale choćby ich było sto tysię-

cy razy więcéj jak teraz, nie odmienią co Bóg przeznaczył.“— Te i tym podobne odpowiedzi, przytoczone przez Baranta, nie dopuszczały zarzutu czarnoksięstwa; trzeba więc było szukać innego—i znaleziono zarzut herezyi. Powodem były jéj tajemnicze widzenia. Dziewica wierzyła w nie równie jak w Boga. Kazano jéj, aby swą wiarę pod rozwagę Kościoła poddała. „Kocham Kościół, i chciałabym go wspierać z całéj siły; ale z dobrych dzieł, które spełniłam, winnam tylko zdać rachunek Bogu, który mię posłał. Bóg a Kościół to jedno.“— Natenczas powiedziano jéj, że trzeba rozróżnić: że jest Kościół *tryumfujący w niebie*, to jest Bóg, święci i dusze zbawione i Kościół *wojujący na ziemi*, to jest papież, duchowieństwo i dobrzy chrześcianie, i że temu to ostatniemu poddać się powinna. „Wierzę, odpowiedziała, że święty nasz Ojciec, biskupi, i inni mężowie Kościoła, postawieni są od Boga stróżami wiary chrześciańskiéj, i że powinni karać tych, co przeciw niéj grzeszą. Ale ja nie zachwiałam się nigdy w téj wierze. Przyszłam do króla Francyi od Boga, od Najświętszéj Maryi Panny, od świętych Pańskich, od Kościoła tryumfującego, i temu Kościołowi poddaję siebie i wszystko, co uczyniłam, albo jeszcze uczynię.“—„A Kościołowi wojującemu?“—„Nic na to nie odpowiém więcéj, nad to, co już powiedziałam.“—I te to wzbranianie się Dziewicy, poczytano jéj za największą zbrodnię, za dostateczny dowód herezyi; a przecież, był to tylko skutek najczarniejszego podstępu jéj wrogów, skutek jéj najniewinniejszéj prostoty. Jeden z sędziów, zausznik Cauchona, ksiądz Mikołaj l'Oiseleur, pod maską duchownego jéj ojca, przychodząc niby skrycie do więzienia, potrafił wkraść się w jéj ufność, i wmówił w nią, że poddać się Kościołowi, jest to uznać nad sobą prawo sądu, który ją sądził. Tenże l'Oiseleur stał się po tém jéj spowiednikiem, i w całym ciągu processu, same jéj tylko zgubne odpowiedzi doradzał. Podczas zaś gdy z nią rozmawiał, ukryci po za drzwiami Biskup z Beauvais i Hr. Warwick, jeden z pierwszych lordów angielskich, chcieli spisywać wszystkie jéj słowa; tylko że przywiedzeni razem notaryusze, okazali się szlachetniejszemi od nich

i odmówili upadlającéj posługi. Ale przecież i w gronie sędziów znaleźli się nakoniec ludzie, których litość i sumienie ruszyło. Trzéj z nich udali się do jéj więzienia, i starali się jéj wytłómaczyć prawdziwe znaczenie wojującego Kościoła; że go składają właściwie papież i święte sobory, i że im śmiało poddać się i zaufać może. Jeden z nich nawet, brat Isambert, nie lękał się radzić jéj publicznie przed sądem, aby się odwołała do powszechnego koncylium w Bazylei.—„Coś to jest koncylium?“ spytała.—„Jest to ogólne zebranie Kościoła, odpowiedział Isambert, gdzie będzie tyluż kapłanów z twojéj strony, co i ze strony Anglików.“—„O! kiedy tak, to się chętnie poddaję.“—„Milcz do stu tysięcy djabłów!“ wrzasnął na Isamberta rozgniewany Cauchon, i odpowiedzi Dziewicy do protokułu wpisać zabronił. „Niestety! rzekła łagodnie—„wpisujecie przeciw mnie wszystko; a odrzucacie wszystko, co może bydź za mną. Wszakże niech będzie wola Boska nie moja.“—Zacny Isambert i towarzysze jego, zagrożeni przez Anglików, że ich do Sekwany wrzucić rozkażą, usunęli się z grona sędziów; inni też, korzystając z pozoru, zaczęli uciekać tłumnie od tego dzieła nieprawości, tak, że ze stu zasiadających z początku, trzydziestu ledwie w końcu zostało. Ale i tym nie dowierzał Cauchon. Sam, z kilku tylko zaufanémi, ułożył akt oskarżenia, którego drugim głównym artykułem, było noszenie przez nią męzkiego ubioru. Pytana o przyczynę, odpowiedziała, że czyni to za radą swych *głosów*; widoczném jednak było, że miała i inne powody, których jéj wstyd dziewiczy nie dozwalał wymienić, a sędziowie zgadnąć nie chcieli. Wystawiona na samowolność rozbestwionego żołnierstwa, z których trzech stało ciągle w jéj izbie; strój ten był dla niéj jedyną rękojmią, bezpieczeństwa. Jeden nawet z młodych lordów angielskich, zapewne z dozwolenia starszych, usiłował ją gwałtem znieważyć, i nie mogąc, uderzył w policzek. Skromność nie dozwoliła jéj nawet uskarżać się na tę zbrodnię przed sądem, i tylko ją przed śmiercią na spowiedzi odkryła. Cauchon omylony w nadziei uczestnictwa ogółu sędziów, szukał upoważnienia swych kroków w zdaniu prawników świeckich, których rady

niby zasięgał. Najznakomitszy z nich, Jan Lohier, nie wahał się oświadczyć, że cały process, tak w zasadzie jak w formach, jest całkiem zły i nieprawny, i że należy naprzód dodać obwinionéj obrońcę. Dawca téj rady musiał ujść aż do Rzymu przed zawziętością Anglików. Cauchon zwrócił się więc do Uniwersytetu w Paryżu i do kilku biskupów utrzymujących stronę angielską, i przesłał im fałszywy swój akt oskarżenia. Tą razą otrzymał co żądał. Wszyscy uznali Dziewicę winną herezyi i odszczepieństwa. Zguba jéj była już pewną; gdy zaś w tym czasie zapadła niebezpiecznie na zdrowiu, użyto wszelkich środków, aby ją uleczyć [1]. „Za skarby świata" mówił hr. Warwick, „Król nie chciałby aby umarła śmiercią naturalną; nie na to zapłacił zą nią tak drogo." — Ozdrowiała, i wyrok zapadł; wyrok wyłączający ją z grona wiernych i z pod opieki Kościoła, i przekazujący ją władzy świeckiéj, dla wymierzenia zasłużonéj kary. Ale trzeba było jeszcze Anglikom, ażeby wprzód sama niejako sprawiedliwość tego sądu uznała. Udano się więc znowu do podstępu, i przygotowano straszliwą scenę, aby zatrwożyć obwinioną, a przynajmniéj publiczność omamić. Dnia 24 Maja, 1431 r., na placu przed kościołem Ś. Owena, wzniesiono dwa rusztowania; na jedném zasiadł Kardynał Winchester, Cauchon, i pozostali sędziowie; na drugie wprowadzono Joannę. U stóp jego stał wózek kata, mający ją niby odwieść na spalenie na stosie. Jeden z doktorów w długiém kazaniu nakłaniał ją do uległości. Dziewica słuchała cierpliwie. Ale gdy wspomniał króla Karola VII i nazwał go heretykiem: „Nie prawda!" przerwała z żywością „Mów o mnie, a nie o królu. Mogę przysiądz pod karą śmierci, że król jest najlepszym chrześcianinem, kochającym

[1] Podczas téj choroby, czując się blizką zgonu, prosiła aby ją po śmierci ubrano w suknie niewieście; a kiedy ją pytano o przyczynę téj prośby, dodała za całą odpowiedź: „Błagam tylko, aby ta suknia była bardzo długa."

najbardziéj wiarę i Kościół, a nie takim, jak go nazywasz!“— „Każ milczeć téj djablicy!“ krzyknął zapamiętały Cauchon. Po kazaniu mówca oświadczył jéj, że musi podpisać *abjuracyą*. „Co to jest *abjuracya?*“ spytała. Wytłómaczono jéj, iż to jest akt poddania się Kościołowi. „Jeżeli tak, to podpiszę,“ rzekła. Ale nie o to chodziło. To, czego od niéj żądano, było uznanie sprawiedliwości wyroku. Lecz w tém Dziewica była nieugiętą. Anglicy zebrani na placu, sądząc, że ją chcą zbawić, zaczęli krzyczeć i ciskać kamieniami; Cauchon groził jéj torturami i ogniem; L'Oiseleur, jako spowiednik, namawiał; inni szczerze poruszeni jéj losem, błagali prawie ze łzami, ażeby się zgodziła podpisać, obiecując, że będzie uwolniona z więzienia Anglików i przejdzie pod dozór duchowny. Przeczytano jéj krótką formułę w kilku wierszach, w któréj to tylko było wyrażono, że widzenia swoje i czyny poddaje pod zdanie Kościoła, a siebie pod pokutę kościelną, i że wyrzeka się męzkiéj odzieży. Nieszczęśliwa uległa nakoniec. Natychmiast podano jéj inny papier, zawierający długie wyznanie, że wszystko co mówiła, było kłamliwém, oraz prożbę o przebaczenie jéj zbrodni. Jeden z sekretarzy królewskich ujął jéj rękę i podpisał znak krzyża u spodu, Naówczas Cauchon odczytał przygotowany już wyrok, skazujący ją „na chleb boleści i na wodę pokuty,“ i w brew poprzedniéj obietnicy, do dawnego więzienia odesłał. Anglicy, i sam Hr. Warwick, obwiniali Cauchona o zdradę. „Nie bójcie się, rzekł im z uśmiechem, wkrótce złapiemy ją znowu.“

Jakoż zajęto się niezwłocznie wynalezieniem powodu, aby wznowić poprzedni wyrok. Zostawiono umyślnie ubiór męzki w więzieniu, azali go przywdziać nie zechce. W tymże czasie podwojono srogość i brutalstwo, zakuto w cięższe łańcuchy, i nie zaniedbano niczego, aby ją przywieść do rozpaczy. Widząc wreście, że się nie daje pojmać w zastawione sidła, zabrano jéj podczas snu suknie niewieście, i zostawiono tylko strój męzki. „Panowie! rzekła budząc się do żołnierzy; ja tego odzienia nie włożę; wiécie, że mnie to zabroniono.“ Sprzeczka trwała aż do południa; nakoniec, po daremnych błaga-

niach, musiała wstać i odziać się czém mogła. Anglicy na to tylko czekali. „Złapana!" wołał uradowany Warwick. Cauchon pośpieszył do więzienia, i wyrzucając jéj odpadnienie w herezyą, zapytał z urąganiem, zali nie słyszała znowu swych *głosów*. „Tak jest, zawołała z zapałem, i Bóg oznajmił mi przez nie, że to był żal, dla ocalenia życia podpisywać waszą abjuracyą. Uczyniłam to przez bojaźń ognia; ale wolę sto razy umrzeć, niźli kiedykolwiek odwołać, że *głosy* me były od Boga."— W tych słowach był wyrok jéj śmierci.

Dnia 30 Maja, w tydzień po owém podpisaniu abjuracyi, wstąpiła na stos męczeński. Kapłan, który ją wyspowiadał w więzieniu, i zacny ów brat Isambert, szli obok przy wózku katowskim, na którym ją w szatach niewieścich na plac exekucyi wieziono. Ośmiuset Anglików w pełnéj zbroi, otaczało ją w koło. W drodze modliła się tak rzewnie, i żaliła się tak łagodnie, że wszyscy Francuzi płakali. Sam nawet l'Oiseleur, ów fałszywy spowiednik, przedarł się przez tłum do wózka, wyznał swój grzech i błagał o przebaczenie. Anglicy chcieli zabić go za to.

Na wielkim rynku przed ratuszem, wzniesiono znowu dwie galerye: na jednéj był kardynał i biskupi, sędziowie świeccy i duchowni na drugiéj. Joannę stawiono przed nimi. W głębi placu wznosił się stos, przerażający swą wysokością, a to w tym celu, aby dłużéj cierpiała. Po wysłuchaniu wyroku śmierci, Dziewica upadła na kolana, i w rzewnych słowach polecała swą duszę Bogu, Najświętszéj Pannie i Świętym, przebaczając wszystkim i prosząc o przebaczenie; nadewszystko zaś błagając księży, aby odprawili mszę za jéj duszę. Głos jéj tak był przenikający, że nikt od łez wstrzymać się nie mógł. Tymczasem zgromadzeni Anglicy niecierpliwili się tą zwłoką; wściekłe okrzyki wzniosły się na placu. Słudzy sądowi sprowadzili ją na dół. Natychmiast rozjuszone żołnierstwo porwało ją i wlokło do stosu. Widok ten był tak przerażający, że biskup z Noyon i wielu sędziów, porwali się z miejsc swoich, i łkając głośno, zbiegli z rusztowania, i schronili się do

domów. Ona wszakże, krzyż przyciskając do piersi, i nie przestając się modlić, szła na śmierć spokojnie i cicho; żaden wyraz rozpaczy ni skargi nie wyrwał się z jéj serca. Wstąpiwszy na wierzch stosu, i przywiązana do pala, nad którym był napis w języku francuzkim: „*heretique, relapse, apostate idolatre*,“ poglądając na miasto zawołała: „Ach! Rouen, Rouen, boję się abyś za śmierć moją nie ucierpiało!“—Ujrzawszy w téj chwili Cauchona, który się śmiał zbliżyć do stosu, rzekła doń głosem łagodnym: „Biskupie! umieram przez ciebie! Gdybyś mnie zamknął w więzieniu duchownném, nic byłoby to nastąpiło. Appelluję od ciebie do Boga, do wielkiego sędziego krzywd i niesprawiedliwości, które nademną spełniono.“—W téj chwili kat podłożył ogień.—„Jezus!“ krzyknęła z przestrachem i prosiła o wodę święconą. Spowiednik jéj jeszcze był przy niéj. Bojąc się oń, zmusiła go aby zstąpił natychmiast. „Ale stój blizko na dole, rzekła, i podnieś krucyfiks wysoko, abym go mogła widzieć do końca.“ Gdy już płomienie gorzały, zawołała donośnym głosem: „Tak jest, *głosy* moje były od Boga; wszystko uczyniłam przez Boga! I gdy już ją ogień ogarnął, słyszano jeszcze głos jéj modlitwy, i ostatnie jéj słowa były: „Jezus Jezus, Jezus!“—

Jęki i łkania rozległy się na placu; niektórzy tylko Anglicy przymuszali się do uśmiechu. Jeden z nich, w zapamiętaniu, przysiągł był, że własną swą ręką głownie do jéj stosu dorzuci. Jakoż spełnił swą obietnicę; lecz w téjże chwili padł twarzą na ziemię i zemdlał. Było to właśnie, gdy Dziewica konała. Przywrócony do zmysłów, przysiągł publicznie, i tegoż dnia na spowiedzi wyznał przed bratem Isambertem, iż widział z ostatniém tchnieniem wylatującą z ust jéj białą gołębicę. Inni widzieli imie Jezus, napisane ogniem nad stosem. Kat także, z wielkim przestrachem, spowiadał się tegoż wieczora, rozpaczając o przebaczeniu Bożém. Jeden z sekretarzy angielskiego króla, nie lękał się zawołać głośno: „Wszystko stracone! spaliliśmy świętą!“—„Tak jest—woła w uniesieniu historyk francuzki Michelet—w obliczu religii, w obliczu ojczyzny, Joanna d'Arc była świętą!“—Papież Pius II, zowie ją

w pismach swoich natchnioną duchem Bożym, (*afflata spiritu divino*). — W kilka lat późniéj, oprócz miasta Calais, noga angielska nie postała na ziemi francuzkiéj [1]).

Taką była Joanna d'Arc w historyi; rzecz naturalna, że nie mogła pozostać obojętną dla sztuki: będąc najwyższą poezyą ludzkości, uosobieniem najwyższych światowych i religijnych ideałów średniego wieku: Dziewica, Rycerka, Natchniona i Męczennica. Stos jéj téż, można powiedzieć, był zarazem pogrzebnym stosem i ostatnim zabłyskiem poetyckich idei wieków średnich; od ostygłych jego popiołów, zaczynają się wieki nowożytne. Blask jego w historyi, będzie zawsze sygnałem, wołającym na drogę wiary dusze błądzące w mroku wątpliwości lub w labiryntach ziemskiego rozumu. Czuł to zapewne Wolter, i bojąc się potęgi tego niezaprzeczonego świadectwa wyższych objawień, w obec własnego narodu, który chciał omamić: obrócił przeciw niemu broń bluźnierczego szyderstwa i śmieszności. Inni poeci francuzcy, Chapelain, Astezano, i t. p. nie dorównali talentem wysokości przedmiotu. Szekspir, w stronniczéj dzikości, w tragedyi swéj „Henryk VI“ wystawia Joanny jak czarownicę. Dopiéro Robert Southey, usiłował naprawić krzywdę poprzednika, i poświęcił na cześć jéj całe poema bohaterskie. Nikt wszakże nieoddał jéj pięknicjszego hołdu jak Szyller. Odstąpił on wprawdzie od szczegółów historycznych, zewnętrznych, ale nigdzie od prawdy duchowéj faktu. Joanna w sztuce jego jest taką, jaką była w istocie. Celem poety była nie sama tylko osobista historya Joanny, ale téż razem historya natchnionego ducha w człowieku, we wszystkich swych najważniejszych epokach. Epoki te w sztuce jego są: *Powołanie*: światło Łaski zstępujące z wysoka; siła ducha gromadząca się wewnątrz; wyrzeczenie się

---

[1]) Wszystkie powyższe szczegóły i słowa Joanny, wzięte są z Historyi Książąt Burgundzkich, przez Baranta, i z Historyi Francuzkiéj, przez Micheleta, którzy je czerpali z akt jéj processu i dwukrotnéj jego rewizyi w latach następnych.

ziemi dla Nieba. *Działanie*: moc cudowna nad wypadkami i ludźmi: pokorna bierność woli i natury ludzkiéj. *Doświadczenie*: pokusa (Czarny Rycerz), ułomność serca bez uczestnictwa woli; żal i pokuta. *Zlitowanie*: powrót Łaski i mocy, jak rzeczywiście w Joannie przed męką; — i nakoniec *Ofiara*, potwierdzająca Prawdę; i nagroda wszystkiego — po krótkiéj boleści na ziemi, wiekuista radość w Niebiesiech.

OSOBY.

KAROL VII, Król Francuzki.
KRÓLOWA IZABELLA, jego matka.
AGNIESZKA SOREL.
FILIP, zwany Dobrym, Książę Burgundyi.
HRABIA DUNOIS, poboczny syn Księcia Orleanu.
LA HIRE.
DU CHATEL.
ARCYBISKUP Z REIMS.
CHATILLON, Rycerz Burgundzki.
RAOUL, Rycerz z Lotaryngii.
TALBOT, Wódz naczelny Anglików.
LIONEL, FASTOLF — Wodzowie Angielscy.
MONTGOMERY, Rycerz z Walii.
RADZCY miejscy z Orleanu.
HEROLD Angielski.
TEOBALD d'ARC, zamożny wieśniak z Dom-Remi.
ANNA, ANIELA, JOANNA — jego córki.
STEFAN, KLAUDYAN, RAJMUND — młodzi pasterze z Dom-Remi.
BERTRAND, wieśniak.
RYCERZ Czarny.
WĘGLARZ i jego ŻONA.

ŻOŁNIERZE — LUD — SŁUŻBA KRÓLEWSKA — KSIĘŻA — MARSZAŁKOWIE — CZŁONKOWIE MAGISTRATU — DWORZANIE, I ORSZAK KORONACYJNY.

(Rzecz dzieje się w latach 1429—1431).

PROLOG.

Teatr wystawia wiejską okolicę, w bliskości wsi Dom-Remi.—Na prawo widać obraz Najświętszéj Panny, w małéj murowanéj kaplicy; na lewo stary i wysoki dąb.

SCENA I.

TEOBALD d'ARC, ANNA, ANIELA, JOANNA;

(*ostatnia zbiera kwiaty i wiąże je w wieniec*);

STEFAN, KLAUDYAN, RAJMUND.

TEOBALD.

Tak jest, sąsiedzi! dziś jeszcze się zwiemy
Synami wolnéj, francuzkiéj ojczyzny;
Dziś jeszcze swoim nazywać możemy
Kraj ten, krwią ojców i znojem ich żyzny.
Ale któż zgadnie, jakich jutro panów
Znosić nam przyjdzie?—Zewsząd od Loary,

Tratując końmi plony naszych łanów,
Anglik zwycięzkie potrząsa sztandary.
Niewierny Paryż czci go śród swych progów,
I Dagoberta, dotąd nieskażoną,
Świętą, odwieczną, rycerską koroną
Wieńczy niemowlę z pokolenia wrogów.
A król nasz prawy—o! hańbo i wstydzie!
Wnuk królów naszych, Pański pomazaniec,
Lud swój o wsparcie próżno błagać idzie,
W państwach swych własnych błądzi jak wygnaniec.
A przeciw niemu, wpośród krwi i gruzów,
Najbliższy z krewnych, najpiérwszy z Francuzów,
Ha! własna matka—potwór pełen zgrozy!
Nieprzyjacielskie prowadzi obozy.
Wioski i miasta jedną wielką łuną
Świecą ich drodze; a dym i popioły,
Kłębiąc się nakształt czarnéj chmury suną,
Ćmiąc kirem niebo i kraj nasz wesoły.—
A więc, sąsiedzi! zgodnie z wolą Nieba,
Dziś zabezpieczyć chcę i przedsięwziąłem
Los córek moich; bo dziś to im trzeba
Męża obrońcy; a dzielona społem
Miłość, pomaga znieść wspólną niedolę.

(Do piérwszego z pasterzy)

Zbliż się, Stefanie!—wiém, że kochasz Annę.
Z pastwiskiem mojém graniczy twe pole;
Wzrośliście razem:—przywiązanie ranne
Szczęśliwe wróży stadło.

(Do drugiego)

Klaudyanie!—

Cóż to? drżysz cały — i mojéj Anieli
Twarz, widzę, zbladła. — Zkąd to nieufanie?
Zaliż myślicie, że ojciec rozdzieli,
Co Bóg połączył: dla tego, że łanu,
Że skarbu nie masz równego jéj wianu? —
Któż dziś ma skarby? — Dom, stodoła, trzody,
Są pastwą ognia, lub piérwszego wroga;
Ale dłoń męża, śmiała na przygody,
Ale pierś męża, co nie zna co trwoga,
To skarb, co żadnéj nie boi się szkody,
To puklerz lepszy niż zamki i grody!

ANIELA.

Ojcze!

KLAUDYAN

Anielo!

ANIELA (*ściskając Joannę*),

Siostro moja droga!

TEOBALD.

Każdéj z nich daję tyle, com zostawił
Pola sam sobie, i trzodę w wyprawie;
Dom i zagrodę. — Bóg mnie błogosławił,
Z Bogiem, jak ojciec, ja was błogosławię.

ANNA (*do Joanny*).

Czyż i ty ojca nie zechcesz pocieszyć?
Młodsza, z sióstr starszych niechby przykład brała.

TEOBALD.

Idźcie!—ślub jutro—potrzeba się śpieszyć.
Gościem na godach będzie wioska cała.
(Obie pary biorą się za ręce i odchodzą).

SCENA II.

TEOBALD, RAJMUND, JOANNA.

TEOBALD.

Joanno! czemu nie idziesz ich torem?
Widok ich szczęścia cieszy starość moję;
Ty, ty mię tylko trapisz swym uporem.

RAJMUND.

Dość, ojcze! przestań martwić dziecię swoje.

TEOBALD *(wskazując na Rajmunda).*

Oto jest młodzian, ozdoba wsi całéj,
Pilny, poczciwy!—już to trzecie żniwo,
Jak tając boleść, pokorny a stały,
W sercu ku tobie żywi miłość tkliwą.
A ty; ty zimna, zasklepiona w sobie,
Ulżyć mu nawet nie umiesz cierpienia;
Ani widziałem, by kto inny w tobie
Obudził tkliwsze czucia lub wzruszenia.
A jednak widzę, że piękność dziewicza
Zewsząd ku tobie ciągnie serca ludzi;
Anielska słodycz twojego oblicza,
Blask twego oka podziwienie budzi.

Bóg cię obsypał, jako drzewo kwiatem,
Dary swojemi; lecz czyliż dożyję,
Że miłość kiedyś, jako słońce latem,
Szczęścia twojego owoc z nich wywije?
Bo serce zimne, nieczułe za młodu,
Lub znaczy ciężką pomyłkę natury,
Lub wbrew jéj woli popełnia grzech, który
Zwarzy je samo tchem własnego chłodu.

RAJMUND.

Krzywdzisz ją, ojcze! — Miłość twéj Joanny,
Nie jest to owoc powszedniego drzewa.
Szybko, jak rozkwitł, przemija kwiat ranny,
Co ma trwać wiecznie—powoli dojrzewa.
Myśl jéj dziś jeszcze, jak ptak na swobodzie,
Buja po świecie, po wysokiém niebie,
Bojąc się zniżyć ku wiejskiéj zagrodzie,
Gdzie mieszka Troska, myśląca o chlebie.
Widzę ją nieraz, gdy na wzniosłych górach
Idzie za trzodą; lub na skał urwisku,
Na wpół ukryta w mgły porannéj chmurach,
Duma, podobna wietrznemu zjawisku.
Jest coś w jéj twarzy, w postaci, w jéj ruchach,
Co mimowolną cześć i trwogę budzi,
I mimowolna myśl o wyższych duchach
Łączy ją z niemi, i wznosi nad ludzi.

TEOBALD.

I toć to właśnie, co mię trwoży o nię.
Obca śród swoich; smutna, gdzie się śmieją;

Posępne lasy, odludne ustronie,
To jéj zabawa. Nim kury zapieją,
Zrywa się z łoża, i w strasznéj godzinie,
Gdy każdy człowiek rad szuka człowieka,
Cóż ją tak ciągnie w najdziksze pustynie,
Że jak ptak nocny od ludzi ucieka?
I wiém, że nieraz na rozstajnych drogach
Rozmawia z echem, czy z wiatru powiewem;
I niepamiętna o ojca przestrogach,
Godziny trawi pod tém zgubném drzewem,

(wskazuje na dąb)

Gdzie przed wiekami swe krwawe ofiary
Święcił Druida: a dziś nikt z sąsiadów,
Za skarby świata nie siadłby w mrok szary.
Bo któż nie słyszał od ojców i dziadów
Strasznych powieści i podań?—kto nie wie,
Jakie tu szatan widziadła i mary
Wywodził nieraz; lub jakie na drzewie
Słyszano głosy?—Mógłbym nie dać wiary:
Lecz sam—pamiętam—gdym był jeszcze młody,
Wracając tędy—ja, ja sam widziałem,
Widmo-niewiastę—olbrzymiéj urody,
Cała okryta jakby płótnem białém,
Stała pod drzewem, i skinieniem dłoni
Zwała mię k'sobie;—lecz ufałem w Bogu,
Szybko, nie patrząc, przebiegłem koło niéj,
I napół martwy padłem na mym progu.

RAJMUND (*wskazując na kaplicę*).

Lecz zkąd wiész, ojcze! że ów obraz święty,
Źródło niebieskiéj łaski i otuchy,
Nie ma dla córki twéj większéj ponęty,
Niż to złowrogie drzewo z swemi duchy?

TEOBALD.

Nie, nie! niestety!—długo tak mniemałem,
Lecz sen mi odkrył prawdę tajemnicy.—
Trzykroć się zdało, że ją w Reims widziałem
Zasiadającą na królów stolicy.
Siedm gwiazd jéj skronie otaczało kołem,
A z berła w ręku, trzy lilije białe,
Jak z pnia żywego wykwitały społem.
Biskupi, wodze, wojsko zda się całe,
Ja—sam król nawet, bili przed nią czołem,
A okrzyk ludu ogłaszał jéj chwałę.
Zkądże to?—czyliż spodziewać się mogę,
By w méj lepiance taki blask się zjawił?—
Nie!—Bóg to we śnie zesłał mi przestrogę,
W widzeniu pychę myśli jéj objawił.
Wstyd jéj nizkiego stanu poniewierki.
I że zbyt wiele wzięła z ręki Pana,
Że się zna wyższą nad inne pasterki.
Nie chce znać granic duma rozigrana.
A grzech to przecież, co Aniołów chóry
Potrącił w przepaść; i najpiérwszych ludzi
Wygnał z bram Raju; i aż do téj pory,
Przezeń to szatan najłatwiéj nas łudzi.

Rajmund.

Mylisz się, ojcze!—bo w czémże jéj pycha?
Kto jéj tu równy?—a przecież, znajdź drugą,
Coby tak skromna, pokorna i cicha,
Zdała się wszystkich najuboższych sługą!
Kto z nas ją widział, by w pracy leniwa,
Od powinności zraziła się trudem?
Czyż pod jéj ręką twe trzody i żniwa,
Jakby widocznym nie mnożą się cudem?—
W każdym jéj czynie znać wpływ łaski Bożéj,
Co na nią zlewa szczęście niepojęte.

Teobald.

Tak, niepojęte!—i toć to mię trwoży.
Nie wszystko bowiem nadludzkie, jest święte.—
Lecz dosyć o tém!—Chciałżebym oskarżać,
Ojciec swe dziecię?—lecz milczeć nie mogę.
Nie!—jedno zawsze będę ci powtarzać:
Pomnij na Boga, na ojca przestrogę!
Nie chodź tu sama ni we dnie, ni w nocy,
Nie błądź po polach przy księżyca blasku;
Nie zbieraj nocnych ziół, nie śledź ich mocy,
Ani kréśl znaków na wietrze, ni piasku!—
Bo wiedz, o! córko! że ducha jaskini,
Każda występna myśl nasza ośmiela.
Nie stroń od ludzi!—pomnij, że w pustyni
Szatan śmiał nawet kusić Zbawiciela.

SCENA III.

CIŻ I BERTRAND.

(wchodzi, trzymając hełm w ręku

RAJMUND.

Patrz! Bertrand wraca!—Cóż to? z hełmem w dłoni?

BERTRAND.

Dziwno wam, widzę, że wracam tak zbrojny.

TEOBALD.

Zkąd masz ten szyszak?—W spokojnéj ustroni,
Znakiem złéj wróżby zda się godło wojny.

*(*JOANNA. *która dotąd milcząc z obojętnością stała na stronie, zbliża się nagle i słucha z uwagą).*

BERTRAND.

Słuchajcie! jest w tém jakby trochę cudu.
Byłem w Vaucouleurs.—W mieście, na ulicy,
Na rynku, wszędzie tłum i ciżba ludu:—
Orleans bowiem napadli Anglicy,
I kto mógł ztamtąd ucieka w te strony.
  Patrząc więc na nich, idę zamyślony;
Aż na zakręcie, zjawia się przede mną
Jakaś cyganka: urody z olbrzyma,
Czarna, okryta jakąś płachtą ciemną,
Idzie wprost do mnie, a hełm w ręku trzyma.

I wzrok swój we mnie wlepiwszy, powiada:
„Wiém, szukasz hełmu;—masz! za tanio przedam.“—
—„A mnież to na co?—rzekłem—co mi nada?
„Jam, Bogu dzięki, nie żołnierz;—nic nie dam.“—
A ona znowu: „Bracie! czas wojenny;
„Hełm dziś pewniejszą ochroną dla głowy,
„Niż dach miedziany, albo mur kamienny!“—
I krok w krok za mną, z podobnemi słowy,
Idzie przez miasto, i hełm swój podaje
Zniecierpliwiła mię w końcu:—więc staję,
Biorę go w ręce: myśląc, że jak zganię,
Da mi już pokój;—lecz patrzę, robota
Cudna, i kruszec, i droga pozłota—
Rycerz go mógłby użyć za ubranie.
Gdy go więc ważę i probuję dźwięku,
Coś mi się nagle migło przed oczyma—
Spójrzę—cyganki przede mną już niéma:
Szukam—napróżno!—hełm został w mych ręku.

JOANNA *(przystępując szybko).*

Daj mi go!

BERTRAND.

Na co?—Blask wojennéj stali
Dziko odbija na dziewiczém czole.

JOANNA *(wyrywając hełm).*

Daj mi go! mówię.—Dla mnie go przysłali!

TEOBALD.

Co téj dziewczynie?

RAJMUND.

Zostaw jéj swą wolę!
Strój ten rycerski przystoi dziewicy,
W któréj téż piersiach tchnie serce rycerza.—
Któż nie pamięta w naszéj okolicy,
Jak dzieckiem prawie pokonała zwierza,
Wilka-hyenę, który tak bezkarnie
Pustoszył nasze trzody i owczarnie?
Z rąk młodzi naszéj wypadała dzida
Na widok jego; pierzchali—a ona,
Jakby w nią z góry wstąpił duch Dawida:
Dziewica. sama, lecz nieustraszona,
Z pasterską tylko laską w słabéj ręce.
Puszcza się w pogoń za mordercą trzody,
I młode jagnię, co już niósł w paszczęce,
Beczącéj matce powraca bez szkody!—
O! czyjekolwiek hełm ten zdòbił skronie.
Godniejszych nie mógł!

TEOBALD (*do Bertranda*).

Cóż opowiadali
Ci z Orleanu? Gdzie król? w jakiéj stronie
Jest wojsko nasze?

BERTRAND.

Bóg się niech użali
Ziemi francuzkiéj! bo dłoń Jego kary
Cięży nad nami.—Znowuśmy przegrali
Dwie krwawe bitwy.—Anglik wzdłuż Loary

Stanął obozem—rabuje i pali,
I obległ zewsząd mury Orleanu.

TEOBALD.

Boże! strzeż króla!

BERTRAND.

Mówią, co widzieli,
Że jak szarańcza, gdy padnie śród łanu,
Jak pszczoły w ulu—rój nieprzyjacieli,
Nieprzeliczony—jak oko zasięga,
Zaczernił wkoło równiny i wzgórza.
Cała Burgunda zebrana potęga,
Od gór Szwajcarskich do zimnego morza;
Ludzie różnego narodu i stanu,
Różnych języków, zgromadzeni razem,
Przysięgli, mówią, zgubę Orleanu,
I chcą go zniszczyć ogniem i żelazem.

TEOBALD.

O! straszne czasy! gdy się brat krew brata,
Ziomek krew ziomka przelewać ośmiela!—
Mściwy Burgundzie!

BERTRAND.

Gorszy wzór dla świata!
Matka królewska, dumna Izabella,
Jest téż z Filipem.—Konno, w pełnéj zbroi,
Przejeżdża szyki; błaga i zaklina
Wszystkich o pomstę—niby krzywdy swojéj—
Matka! o pomstę przeciw swego syna!...

TEOBALD.

Oby skończyła jak owa, do któréj
Tak jest podobną z pychy i imienia!
Sprośna Jezabel!

BERTRAND.

Straszny Salisbury
Stoi na czele wojsk i oblężenia.
Przy nim Lionel, i tygrys niesyty
Krwi naszéj—Talbot. Trzy wysokie wieże
Wznieśli przed miastem:—na jednéj rozbity
Namiot ich wodza, z którego on strzeże
Poruszeń miasta: z dwóch drugich, dzień cały
Ogniste kule miota nakształt gromów.
Połowę miasta gruzy zasypały,
Mieszkańcy giną pod zwaliskiem domów.
Sam katedralny ów kościół wspaniały
Najświętszéj Panny, od gęstych wyłomów
Grozi upadkiem:—a prochowe miny,
Ten wymysł piekieł—podkopane wszędzie.
I nikt tam nie wié dnia ani godziny,
Gdy na sąd straszny powołany będzie.

(JOANNA słucha z natężoną uwagą i zwolna wkłada hełm na głowę).

TEOBALD.

Lecz gdzież są nasi waleczni obrońcy,
La Hire i Santrailles, i niezwyciężony

Dunois?—Gdzie są? że tryumfujący
Wróg tak się wdziera w nasz kraj opuszczony?
Gdzie król?—Czyż zawsze jako zimny świadek,
Patrzy na państwa, na miast swych upadek?

BERTRAND.

Król z dworem bawi w Chinon;—lecz snać nié ma
Dość wojska z sobą, by wyjść przeciw wroga.
Lecz choćby wyszedł—czyż garstka dotrzyma
Pola tysiącom: gdy strach, jak od Boga,
Jako zaraza powiał w serca ludzi,
I w najmężniejszych krew i zapał mrozi?—
Próżno głos wodzów nadzieję w nich budzi,
Ojczyzna błaga, i monarcha grozi.
Jak trzoda owiec, gdy ją zwierz napadnie,
Francuz niepomny swéj sławy od wieka,
Kupi się tylko i pierzcha bezładnie,
Lub zgiąwszy szyję, na miecz wroga czeka!—
Jeden się tylko znalazł, jak słyszałem,
Co zebrał kilka chorągwi konnicy,
I w pomoc króla, z tym małym oddziałem
Ciągnąc, po naszéj błądzi okolicy.

JOANNA (*prędko*).

Jak imię jego?

BERĄRAND.

Baudricourt.—Lecz czyli

Zdoła się przerznąć, i pogoń omyli?...
Wątpię—bo zewsząd ściskają go wrogi.

JOANNA.

Wiész, gdzie on teraz?

BERTRAND.

O dzień ledwo drogi
Od Vaucouleur'u.

TEOBALD (*do Joanny*).

Zkąd ci to pytanie,
W rzeczach, co wcale nie tyczą się ciebie?

BERTRAND.

Że wróg tak mocny, a król nasz nie w stanie
Dać nam odsieczy, ni wsparcia w potrzebie:
W Vaucouleurs przeto dziś mają uchwalić,
Że Burgundowi poddać się należy.
Bo tak i miasto może się ocalić
Od angielskiego jarzma i łupieży,
I nam, z pod władzy pokrewnego księcia,
Łatwiéj powrócić do prawego pana,
Gdy sytych wreście wspólnego zawzięcia,
Złączy znów kiedyś zgoda pożądana.

JOANNA (*występując z zapałem*).

Żadnych układów! żadnego przymierza!
Bo przyszła chwila, że wstanie obrońca.

Pod Orleanem wróg kresu domierza.
Dzień chwały jego chyli się do końca!
Dojrzał na zgubę, jako plenna niwa,
I już żniwiarka. z krwawym sierpem w ręce,
Zbliża się—przyjdzie—i z wzgardą pozrywa
Z gwiazd, dumy jego rozwieszone wieńce!—
Nabierzcież serca, ludzie małéj wiary!
Bo nim ten księżyc dójdzie pełni swojéj,
Żaden angielski koń z nurtów Loary,
Żaden krwią naszą wróg się nie napoi!—

BERTRAND.

Minął czas cudów!

JOANNA.

Nie!—przyszedł czas cudu!
Biała gołąbka wzleci orła lotem,
Spadnie na sępów, chciwych krwi jéj ludu,
Skruszy Burgunda zdrajcę—i z Talbotem,
Bluźniercą Nieba—i z owym ponurym
Łupieżcą świątyń, dzikim Salisburym—
I z tym Fastolfem—i z temi wszystkiemi
Najezdnikami naszéj pięknéj ziemi,
Łamać się będzie—i wszystkich wyżenie,
Jako lew trzody, lub tygrys jelenie.
Bo Pan z nią będzie:—bo jak wiatr palący,
Duch Jego przed nią:—bo On jéj prawicy
Da siłę śmierci—i w słabéj dziewicy,
Okaże światu, że On wszechmogący!

TEOBALD.

Co za duch, przebóg! opętał dziewicę?

RAJMUND.

Hełm to w niéj budzi ten zapał wojenny.—
Ale patrz, ojcze! patrz na jéj źrenice,
Co w nich za jasność! co za blask promienny!

JOANNA.

(*z wzrastającym zapałem*).

Krajby nasz upadł?—kraj zwycięztw i chwały,
Raj krajów świata, wybrany od Boga?
Dzieciby jego wiecznie dźwigać miały
Hańbiące więzy zamorskiego wroga? —
Nie!—tu runęła moc poganów dzika,
Krew męczenników oblała tę ziemię;
Tu leżą prochy Świętego Ludwika,
Ztąd odzyskano grób w Jeruzalemie!...

BERTRAND (*z podziwieniem*).

Któżby nie wierzył, że mówi natchniona?—
Bóg ci, sąsiedzie! dał cudowne dziecię.

JOANNA.

Naszych-że królów odwieczna korona
Pójdzie w pogardę, lub zniknie na świecie?—
Gdzież są królowie, by jéj byli godni,
Prócz królów naszych?—Rolnika obrońcy,

Opiekunowie wszystkiego—prócz zbrodni;
Dawce i stróże swobód;—panujący
Z Bogiem po ludzku;—sędziowie łagodni,
Straszni rycerze—lecz nie nastający
Na właść sąsiada, ni ludu szczęśliwość!—
W cieniu ich tronu, trzy lilije białe
Rozkwitły: Wiara, Miłość, Sprawiedliwość,
A woń ich święta tchnie na państwo całe!...—
Czyliż król, obcéj wychowaniec ziemi,
Którego przodków nie tu prochy leżą,
Co dzieckiem z dziećmi nie igrał naszemi,
Młodzieńcem z naszą nie kochał młodzieżą;
Któremu słowa naszéj pięknéj mowy
Czczym tylko dźwiękiem; pamięć wielkich czynów
Przeszłości naszéj, chwały narodowéj,
Nie zabrzmi w duszy jak pieśń cherubinów:—
Będzież on ojcem swéj ojczyznie nowéj?
Lub czyż w niéj dla się znajdzie miłość synów?—

TEOBALD

Boże! zachowaj Francyą i króla!
Lecz nie nam dumać o losach mocarzy!—
Wieśniak pilnuje swéj chaty i po'a,
I czeka, komu Bóg zwycięztwo zdarzy.
Bo losem bitew Boska rządzi wola,
Bo los narodów Bóg w swéj ręce waży.
Dla nas ten będzie pomazaniec Boży,
Kto w Reims koronę królów naszych włoży.—
Lecz czas do pracy!—W naszym nizkim stanie,
Dość myśleć tylko o jutrze. -Królowie.

I radzcy królów, niech myślą o zmianie
Przyszłości świata;—bo na ich to głowie
Leży świat cały.—Mniejsza nasza troska.
Co bądź się dzieje, my możem spokojnie
Patrzeć na przyszłość.—Bo ta ziemia Boska,
Co nam uprawiać kazał:—choć ją zbrojnie
Najdzie i zdepce wróg; choć dom i wioska
Ulecą z dymem:—ona znów nam hojnie
Nagrodzi stratę;—bo gdzie szczera praca,
Gdzie ufność w Bogu—szczęście prędko wraca.

(*Odchodzą wszyscy, prócz Joanny*).

SCENA IV.

Joanna (*sama*).

Góry wy moje, wy pola rodzinne!
Joanna wiecznie, wiecznie żegna was.
Przeszły jéj lata, jéj mary dziecinne,
Swobody serca przeszedł dla niéj czas.
Z wami me były zabawy niewinne:
Tu mi z wiatrami mroczny śpiewał las;
Tu zdrój kryształy przetaczając płynne,
Dźwiękiem harmonik słodki zwabiał wczas.
Tu łąk tych wonnym obwiana oddechem,
Pieśnią z tych dolin rozmawiałam echem.

Kwitnijcie w ciszy i miłéj pogodzie!
Mnie tam w kraj burzy i piorunów zwą.
Trzody wy moje! igrajcie w swobodzie!
Pasterka wasza traci wolę swą.

Innéj ja teraz przewodniczyć trzodzie,
  Pójdę na pola—ludzką zlane krwią!
Pchnie mię i ciągnie moc wyższego ducha,
Nie żądza sławy, nie szczęścia otucha.

Bo Ten, co niegdyś ogniem na Horebie,
  W duszę Mojżesza swoję wolę tchnął,
I Izajasza pacholę, do siebie
  Wzniósł, i z przyszłości chmurę przed im zdjął:
On, Wszechmogący na ziemi i niebie,
  On mnie pasterkę za swą sługę wziął;
I z drzewa tego tchem wiatru rzekł do mnie:
„Idź, i na ziemi daj świadectwo o mnie!

„Uzbrój twe serce, jak twą pierś dziewiczą,
  „Piersi i serce w twardą odziéj stal!
„A wzgardź miłością i ziemską słodyczą,
  „Zamrzyj na ziemskie wesele i żal!
„Ani się chwałą daj unieść zwodniczą,
  „Ale mnie tylko każdém dziełem chwal!
„Bo ja to będę, co sławy wojennéj
„Na skronie twoje dam wieniec promienny.

„I gdy wróg hardy moc Francyi zetrze,
  „Gdy zadrżą przed nim rycerze i król;
„Ty mą chorągiew roztoczysz na wietrze,
  „Ty, jak żniwiarka plony bujnych pól,
„Zmieciesz ich wojska—a strach jak powietrze
  „Wejdzie w ich piersi;—pomścisz wstyd i ból

„Ojczyzny twojéj, i przez cię zbawioną,
„W Reims króla swego uwieńczysz koroną!“—

Bóg znak swéj woli miał mi zesłać w porę;
  Hełm ten jest znakiem—On go zesłał mnie!
Nie ziemski ogień we krwi mojéj gore,
  Nie ziemskie męztwo w piersiach moich tchnie.
Ty mi daj, Panie! stałość i pokorę,
  Bym mogła godnie spełnić dzieło Twe!—
Głos trąb wojennych już słyszę w mém uchu—
Stało się! wiedź mię, tajemniczy Duchu!

(Odchodzi).

KONIEC PROLOGU.

AKT PIÉRWSZY.

(*Obóz króla Karola pod Chinon*).

SCENA I.

DUNOIS, DUCHATEL.

DUNOIS.

Nie! zostać dłużéj nie chcę i nie mogę,
Opuszczam króla, co się sam opuszcza.
Cóżbym tu czynił?—radę i przestrogę
Obrazą tronu zwie dworaków tłuszcza.
A we mnie serce zalewa się łzami,
Widząc jak wrogi dzielą naszą ziemię;
Jak ku nim miasta wychodzą z kluczami,
Jak lud nasz cierpi—i jak tu król drzemie!
Słyszę, że blizka zguba Orleanu—
Rzucam się na koń; z brzegów oceanu

Pędzę, przybywam—drżąc, zali już może
Król nie zwiódł bitwy; pewny, że już stoi
Na czele wojska;—a on tu, na dworze,
Z Trubadurami swoję arfę stroi!
Śpiéwa ballady—lub u stóp Agnieszki,
Wzdycha, i świetne wyprawia biesiady,
Jakby na świecie nie było zamieszki!...—
To nadto!—idę w Konetabla ślady.
Opuszczam wojsko i kraj;—ale biada,
Biada nam wszystkim!

Du Chatel.

Cicho! król na progu.

SCENA II.

CIŻ I KRÓL KAROL.

Król.

Konetabl miecz swój odesłał, i składa
Urząd swój w ręce nasze.—Dzięki Bogu!
Mniéj będzie jednym, co z całego świata
Nieradzi, wszystkim mistrzowaćby chcieli.

Dunois.

Nie tak mnie małą zda się jego strata,
Mąż taki dzisiaj wart tysiąc Minstreli.

Król.

Dunois! mówisz przez ducha przekory.
Póki był z nami, waśniłeś z nim nieraz.

DUNOIS.

Prawda, że lubił i rad wszczynał spory,
Nie wiedząc nigdy co wybrać;—lecz teraz,
Wybrał najlepsze—i w czas się oddala
Z miejsc, w których pobyt bez sławy i celu.

KRÓL (*urażony, z przekąsem*).

Dunois zawsze szlachetny!—wychwala
Tylko za oczy.—Słuchaj, Du Chatelu!
Od króla René *) przybyli posłowie,
Króla wesołych pieśni i pasterzy;
Trzeba ich przyjąć:—wszyscy trzej bardowie,
Każdemu złoty łańcuch dać należy.

(*do Dunois*).

Czego się śmiejesz?

DUNOIS.

Że łatwo królowi
Ze słów królewskich wić złote łańcuchy.

---

*) René, zwany *dobrym*, hrabia Prowancyi, z domu Adagaweńskiego (Anjou). Ojciec jego i brat byli królami neapolitańskimi, i on sam, po śmierci brata, rościł prawo do tegóż tronu, ale nie mógł dopiąć zamiaru. Wielki miłośnik staréj prowanckiéj poezyi i czasów rycerskich, usiłował w państwach swoich przywrócić jedno i drugie. Ustanowił, a raczéj przywrócił tak zwany *Trybunał Miłości* (*Cour d'Amour*), na czele którego stał najwyższy sędzia, z tytułem *Księcia Miłości* (*Prince d'Amour*), rozstrzygający ostatecznie w rzeczach miłości i rycerskiéj grzeczności dla dam. W tymże duchu romantyczności, sam z żoną przebrał się za pasterzy i wiódł zycie pasterskie.

Król *(do Du Chatela).*

Cóż to?

Du Chatel.

Niestety! gorzką prawdę mówi.
Skarb twój, o! królu! oddawna już suchy.

Król.

To się postaraj zkądniebądź!—Śpiewacy
Nie mogą od nas odejść nie uczczeni.
Oni nam słodzą trud królewskiéj pracy,
Ich sprawą berło laurem się zieleni.
Duch ich, sam twórca swych wietrznych pałacy,
Rządzi z nich sławą w czasie i przestrzeni.
Ztąd się wieszcz z królem równać może śmiele—
Obadwaj stoją na ludzkości czele.

Du Chatel.

Królu i panie! oszczędzałem ciebie.
Póki sam mogłem dać pomoc i radę:
Lecz dziś wzgląd musi ustąpić potrzebie.
Nie stać cię, Panie! ach! nie na biesiadę,
Nie na podarki—lecz na chleb powszedni!
Niepłatne wojsko burzy się:—nie jedni
Broń już rzucili:—ledwie wiém co ranku,
Jak dzień opatrzyć, twój i dworzan twoich.

Król.

Obmyśl więc sposób:—zastaw w jakim banku
Dochody celne, lub które z dóbr moich

Du Chatel.

Cło na trzy lata zastawione z góry.

Król.

Ziem przecięż pięknych mamy jeszcze wszędzie.

Dunois (*z przekąsem*).

Tak! póki zechce Bóg i Salisbury.
I niechno jeszcze Orleans zdobędzie—
Wtenczas ci chyba z królem René w parze,
Wziąć kijek w rękę—i grać na fujarze.

Król.

Zawsze swój dowcip ostrzysz na tym królu,
On przecież jeden pomni nas w złym czasie.

Dunois.

Mała pociecha! gdy zamiast wojsk w polu,
Nasz sprzymierzeniec sam swe owce pasie.

Król.

Jest to żart tylko, zabawa niewinna!
Nęci go urok pasterskiéj prostoty,
Ich szczera radość, ich miłość niewinna.
Chce sobie w życiu przypomnieć wiek złoty.—
Lecz co prawdziwie wielkiego zamierza,
To jest zwrót owych bohaterskich czasów,
Gdy miłość była natchnieniem rycerza,
A piękność celem i sędzią zapasów.
W tych czasach starca żyje duch młodzieńczy,
I jak je dawne pieśni przekazały,

Chciałby je wskrzesić, wznieść jak gmach wspaniały,
Z mgły przezroczystéj i kolorów tęczy.
Dwór swój uczynił tych wieków obrazem:
Gdzie rycerz musi hołdować piękności,
Gdzie piękność tkliwa i skromna zarazem,
A sąd osobny przestrzega wierności.
Sąd ten dziś właśnie, za króla rozkazem,
Szle mi dyploma na Księcia Miłości.

DUNOIS.

Któż jéj potęgę czuć może nademnie,
Com jest jéj razem dowodem i czynem?
Przez nią krew książąt płynie tylko we mnie,
I Orleańskim nazywam się synem.
Lecz w ojcu moim mam wzór, jak należy
Sarbić jéj łaski:—w ojcu moim, który,
Jak serca niewiast—na czele rycerzy
Umiał zdobywać nieprzyjaciół mury.
Jeśliż więc, królu! chcesz piastować godnie
Nowy twój urząd:—ucz się jego czynów.
Wdziej hełm na skronie, a dłoń z sercem zgodnie
Niech nam przypomną sławę paladynów!
Bo jak czytałem—nie owiec pasterze—
Jak ów król René—za Okrągłym Stołem,
Lecz w twardych zbrojach i laurach rycerze,
Z królem Arturem biesiadali społem. —
Bo kto niewiasty obronić nie zdoła,
Nie wart jéj serca!—Teraz czas, o! królu!
Potrzeba nagli, i powinność woła:
Wystąp jak rycerz, i na bitew polu,

Walcz o tron przodków, o cześć twéj ojczyzny!
A gdy ją zbawim i wroga pożyjem:
My sami wtedy twe znoje i blizny
Otrzem laurami, i mirtem okryjem.

(Paż *wchodzi*).

KRÓL.

Cóż tam?

PAŻ.

Z Orleans przybyli posłowie.
Proszą o wejście.

KRÓL.

Wprowadź! —

(Paż *odchodzi*).

Chcą pomocy.
Jakąż im damy? —

SCENA III.

CIŻ I TRZEJ RADZCY Z ORLEANU.

KRÓL.

Witam was, Panowie!
Cóż nam niesiecie? Czy wrogów przemocy
Miasto się jeszcze opiera? czy zdoła
Oprzeć się długo?

RADZCA.

Królu nasz i panie!
Miasto do ciebie o ratunek woła,
W tobie ostatnie złożyło ufanie!—
Zewnętrzne szańce runęły; załoga
Przez pół zginęła na murach, lub w mieście
Wymiera z głodu; a cała moc wroga
Bije do szturmu dzień i noc:—że wreście
Musim się poddać lub zginąć.—Wódz zatém,
Rochepierre hrabia, łącznie z Magistratem,
Weszli w umowę z wrogiem: któréj mocą,
Jeśli w przeciągu całych dni dwunastu,
Wojska nam, królu, nie przyszlesz z pomocą,
Lub zkąd żywności nie opatrzysz miastu,
Miasto się podda.

(DUNOIS *wzdryga się z gniewem*).

KRÓL.

Czas krótki.

RADZCA.

O! panie!
Szlą nas ku tobie bracia i ziomkowie,
By do twych uszu doszło ich wołanie,
Byś w czas nieszczęsnéj zabieżał umowie.

DUNOIS.

Jakże mógł Santrailles przystać na haniebną?

RADZCA.

Póki żył Santrailles, ufano w orężu.

DUNOIS (*z przerażeniem*).

Santrailles nie żyje?

RADZCA.

Legł śmiercią chwalebną
Za kraj i króla.

KRÓL.

Ach! w tym jednym mężu
Straciłem wojsko.

(RYCERZ *wchodzi i rozmawia cicho z* DUNOIS, *który porywa się z gniewem).*

DUNOIS.

Zdrajcy!

KRÓL.

Cóż się stało?

DUNOIS.

Wojsko się szkockie buntować zaczyna
O żołd zaległy, i zapowiedziało,
Że rzuci oręż.—Lord Duglas zaklina
O prędką radę.

KRÓL (*do Du Chatela*).

A więc jaka rada?

Du Chatel.

Niestety! żadnéj! —

Król.

Nie zechcąż poczekać?
Przedam, zastawię wszystko.

Du Chatel.

Nic nie nada!
Nie będą wierzyć:—bo cóż im przyrzekać?

Król.

To są najlepsze ze wszystkich wojsk moich.
Cóż poczniem bez nich?

Radzca *(na kolanach)*.

Pomnij o nas, królu!
W nas jest ostatnie przedmurze państw twoich;
Jeśli upadniem—nie oprzesz się w polu.

Król *(z rozpaczą)*.

Cóż mam uczynić? Widzicie, słyszycie!
Czyliż mi zboże wyrośnie na dłoni,
Lub wojsko z ziemi?—Mam, i oddam życie,
Lecz zkąd wziąć złota, żołnierzy i broni?

(Postrzega wchodzącą Agnieszkę Sorel, *i z otwartemi rękoma rzuca się na jéj spotkanie).*

SCENA IV.

CIŻ I AGNIESZKA SOREL (*ze szkatułą w ręku*).

KRÓL.

O! pójdź najmilsza! mój Stróżu Aniele!
Pójdź! niech twe słowa mą rozpacz ukoją!
Z tobą mi wszędzie pokój i wesele—
Nic nie stracone, pókiś ty jest moją!

AGNIESZKA (*rzucając wkoło pytającém okiem*).

Prawdaż to? mówcie!—prawdaż, co słyszałam?
Wojsko się burzy?

DU CHATEL.

Niestety!

AGNIESZKA (*do króla, z godnością i żalem*).

Karolu!
Ja tobie serce, ja siebie oddałam,
A tyś mi nie powierzył twych potrzeb i bolu!

(*do* DU CHATELA, *podając mu szkatułę*).

Masz! tu jest złoto, tu drogie kamienie —
Przedaj, stop wszystko—a zapłać żołnierzy!
Mam jeszcze zamki, mam bogate mienie,
Bierz, przedaj—śpiesz się, nim pora ubieży!

KRÓL.

I cóż wy na to, przyjaciele moi?
Jestżem ubogi, gdy takiego serca

Miłość posiadam? Czyż jéj nie przystoi
Cześć, co mam dla niéj?—Niejeden oszczerca,
Wiém, szukał dumy w jéj miłości ku mnie.
Lecz godna rodem, wyższa sama sobą,
Dość niechby tronu pożądała dumnie,
Najpotężniejszych byłaby ozdobą.
Lecz ona gardzi tronem; ziemskie dary
Nogą pomiata:—i w tém jest jéj pycha.
Że wszystkie dla mnie poniósłszy ofiary,
Wszystkie wzajemne, prócz serca, odpycha.
I teraz—patrzcie!—na obronę moję
Oddała resztę.

(*do* Dunois).

Czujesz wielkość w czynie?

Dunois.

Czuję to, żeście szaleni oboje.
Ciebie nie zbawi—sama tylko zginie.
W dom gorejący rzuca skarby swoje,
Leje w bezdenne Danaid naczynie!...

Agnieszka (*do króla*).

O! nie wierz jemu!—sto razy dla ciebie
Krew swą poświęcał: a na mnie się gniéwa,
Że ci strój błahy oddaję w potrzebie!
Chce, bym bez ciebie być mogła szczęśliwa!—
Nie, nie! Karolu!—Precz od nas blask zwodny,
Precz miękkość zbytku, w niebezpieczeństw chwili!
Daj wzór poświęceń, jeśli chcesz być godny
By się za ciebie drudzy poświęcili.

Dwór swój zmień w obóz! pierś odziej żelazem!
Znoś głód i trudy! płać życiem i zdrowiem!
Niech żołnierz widzi, że i król ich razem
Wiatr ma przykryciem, a ziemię węzgłowiem.
Wtenczas w ich piersiach znajdziesz tarcz niezłomną:
Dokażą cudów—bo siebie zapomną.

Król (*z uniesieniem*).

Teraz pojmuję tajemnicze słowa,
Com z ust natchnionéj niegdyś prorokini
Słyszał w Klermoncie: że mię białogłowa
Zbawi—zwycięzcą i królem uczyni.
Wierzyłem wróżbie—lecz do jéj spełnienia
Czekałem matki, aż swój gniew rozbroi.—
Lecz tyś jest Anioł mego przeznaczenia,
Bóg mi zbawczynię dał w najmilszéj mojéj.

Agnieszka.

Miecz twych przyjaciół przepowiednię ziści,

Król.

W niezgodzie wrogów mam także nadzieję.
Wiém, że oddawna żar skrytéj zawiści
W sercu Burgunda i Anglików tleje.
La Hira przetoż wysłałem do księcia,
Azali, pomny na krwi naszéj związki,
Nie złoży z serca mściwego zawzięcia,
I w dawne ku nam wróci obowiązki?—
Co chwila nazad oczekuję gońca.

Du Chatel (*u okna*).

Widzę go właśnie, jak pędzi do bramy.

KRÓL.

Tém lepiéj! prędzéj dowiemy się końca,
Czego się lękać lub spodziewać mamy,

SCENA V.

CIŻ I LA HIRE.

KRÓL *(idąc naprzeciw niemu).*

Witaj nam! jakież przynosisz nowiny?
Jestże nadzieja?

LA HIRE.

Tak! w Bogu i w broni.

KRÓL.

Co? Burgund nie chce naprawić swéj winy?
Odrzuca zgodę?—Cóż powiedział o niéj?

LA HIRE.

Przed wszystkiém inném, nim dalszéj umowie
Nakłoni ucha—chce, byś Du Chatela,
Co go zabójcą ojca swego zowie,
Wydał mu w ręce.

KRÓL.

Ja dać przyjaciela
Na zemstę wrogom!—Cóż, jeśli odmówię?

LA HIRE.

Układ zerwany.

Król.

Nazbyt się ośmiela!—
Czyżeś go wyzwał, by jako mąż z mężem,
Mimo krwi związków i stanu różnicę,
Sam spór swój ze mną rozstrzygnął orężem?

Lą Hire.

Złożyłem przed nim twoję rękawicę,
Mówiąc, że zstąpisz z wysokości tronu,
By kraj swój przed nim swą piersią zasłonić,
I choć niewinny ojca jego zgonu,
Czci swéj chcesz mieczem od zarzutów bronić.—
Lecz odpowiedział, że nie ma potrzeby
Wieść bojów o to, czego jest już panem.
Gdy zaś koniecznie chcesz tego, ażeby
Walczyć z nim:—znajdziesz go pod Orleanem.—
To mówiąc, usta przygryzał zawzięcie,
I z tém do innych oddalił się gości.

Król.

Żaden-że za mną w moim Parlamencie
Nie wzniósł się czystéj głos sprawiedliwości?

La Hire.

Głuszy go wściekłość stronnicza.— Parlament,
Ród twój i ciebie pozbawił korony.

Dunois.

O! biedny kraju! gdzie ufny w praw zamęt,
Gmin chce obalać i stanowić trony!

KRÓL.

Cóż matka moja? Byłżeś u niéj?

LA HIRE *(po chwili namysłu).*

Panie!
Byłem w Saint-Denis, gdy przywłaszczyciela
Święcono królem.—Strojni paryżanie,
Jak w dzień godowy, z okrzykiem wesela,
Stali po drodze; a gminna chałastra,
Śród muru włóczni i puklerzy stalnych,
Ciągnęła powóz Henryka Lankastra,
Pod cieniem łuków i bram tryumfalnych.
Król-dziecko omal nie płakał z przestrachu,
Gdy lud z szalonym witał go zapałem.
Angielskie wojska, przy kościelnym gmachu,
Stały pod bronią.—Wszedłem, i widziałem,
Jak siadł na świętéj Ludwika stolicy.
Po bokach stali dumni jego stryje,
Bedford i Gloster; a u stóp lennicy,
Na klęczkach, kornie nachylając szyje,
Hołd mu składali;—Burgund na ich czele!

KRÓL.

O! zdrajca!

LA HIRE.

Dziecię patrzyło nieśmiele,
I wchodząc na tron, potknęło się w kroku.
„Zły znak, zła wróżba!"—szeptano dokoła;
Śmiech nawet powstał:—gdy wtém nagle z boku

Matka twa, panie! weszła do kościoła.
I—

KRÓL.

Mów!

LA HIRE.

I w pomoc podawszy mu dłonie,
Sama go na twym posadziła tronie.

KRÓL.

O! matko! matko!

LA HIRE.

Widziałem—lud cały
Wezdrgnął się na to;—i nawet Anglicy
Spuścili oczy. Sam Burgund zuchwały
Oblał się wstydem;—a w każdéj źrenicy
Znać było zgrozę.—Zapewne dostrzegła.
Wzrok jéj zaiskrzył, i skinieniem ręki
Dając znak, groźném lud okiem przebiegła:
„Francuzi!—rzekła—mnie składajcie dzięki,
„Że w pień spróchniały waszych królów domu,
„Zaszczepiam gałąź laurowego wieńca,
„I tron wasz świetny ochraniam od sromu,
„By na nim wami rządził syn szaleńca!“

(KRÓL *zakrywa twarz i odwraca się z boleścią.* AGNIESZKA *bieży ku niemu i stara się go pocieszyć.—Wszyscy obecni okazują wzgardę i przerażenie. Chwila milczenia).*

DUNOIS.

Tygrzyca! potwór!—O! furyo z piekła!

KRÓL (*po pauzie do Radzców*).

Widzicie sami w jakim rzeczy stanie.
Śpieszcie, by próżno krew ludzka nie ciekła,
Powiedzieć waszym braciom w Orleanie,
Że ich uwalniam od wierności ku mnie,
I na Burgunda, radzę, by się zdali.—
Zawzięty na mnie, postępuje dumnie,
Lecz zwą go Dobrym — on miasto ocali.

DUNOIS.

Jak to? czyż innych nie znajdziesz już środków?

RADZCA.

Nie! słów tych, królu! nie odniesiem ziomkom.
Sławę z wierności wzięliśmy od przodków,
I nieskażoną zostawim potomkom.
Ty nam swéj tylko nie cofnij opieki,
A zginiem raczéj!

DUNOIS.

Nie wstyd-że ci, królu!
Że wolisz hańbą okryć się na wieki,
Niż oko w oko wrogom zajrzeć w polu?
Że poniewierasz miast Francyi perłą,
Co, jako ona, przodków twoich berło
Zdobiło z wieków?...

Król.

Dość już krwi płynęło!
Bóg snać swą rękę ociężył nade mną.
We wszystkich bitwach wojsko me pierzchnęło,
Najwaleczniejsi zginęli daremno;
Parlament wyzuł mię z tronu; stolica
Z bezwstydną pompą święci tryumf wroga;
Najbliższy krewny—ha! własna rodzica,
Zguby méj pragną; lud przejęła trwoga.
Mam-liż krew jeszcze, jak próżną ofiarę,
Lać dla méj dumy?—Nie! ustąpmy raczéj.
Opór daremny!—Przejdźmy za Loarę,
Czekać i znosić, co nam Bóg przeznaczy.

Agnieszka.

Nie dopuść Boże! byś spełnił twe słowa,
Byś tak sam sobie i ojczyznie skłamał!—
Nie! nie z twéj duszy pochodzi ta mowa,
Sprośny czyn matki twoję stałość złamał!
Lecz wiém, że męzka wnet wróci otucha,
I znów, jak puklerz, moc twojego ducha
Zastawisz losom.

Król (*ponuro*).

Nie! dłoń przeznaczenia
Widna w tém wszystkiém.—Bóg od mego domu
Twarz swą odwrócił;—matki złorzeczenia
Wzięły swój skutek!—Pasmo klęsk i sromu
Snuje się zdawna.—Ojciec mój w szaleństwie
Wiek skończył; bracia pomarli w lat kwiecie;

A ja!—Ach! próżno, próżno ufać w męztwie!
Plemię Walezych upadło na świecie.

AGNIESZKA.

W tobie, Karolu! zakwitnie na nowo,
Wierz tylko w siebie!—O! nie bez zamiaru
Bóg cię ocalił, gdy i nad twą głową
Wisiał cień śmierci; i z Jego to daru
Dzierżysz to berło, co trzech pierworodnych
Posiąść wprzód miało.—Bo On w duszy twojéj,
W uczuciach twoich słodkich, i łagodnych,
Opatrzył balsam—co kiedyś zagoi
Rany ojczyzny, i w sercach niezgodnych
Uśmierzy gniewy i zemstę rozbroi!
Tyś jest wybrany, by w cieniu oliwy,
Dźwignąć i wsławić swój naród szczęśliwy!

KRÓL.

Ja?—nie, niestety! W téj burzliwéj toni,
Z któréj ojczyznie nie wyniść bez cudu,
Ster jéj silniejszéj potrzebuje dłoni.—
Ach! i ja może byłbym ojcem ludu.
Coby mię poznał—coby chciał mię wspierać,
I miłość płacił miłością wzajemną!—
Ale nie umiém serc mieczem otwierać,
Które nienawiść zamyka przede mną.

AGNIESZKA.

Lud dał się uwieść—namiętność go łudzi!
Ale dzień blizki, że z mlekiem wyssana,

W sercach się Franków na nowo obudzi
Dziedziczna miłość dla prawego pana.
Obudzi dawna dwóch ludów nienawiść,
Co je na wieki, jak morze rozdziela,
A dumnych wodzów niezgoda i zawiść
Musi osłabić moc nieprzyjaciela.
Wytrwaj więc tylko, i nie cofaj kroku!
Każdy ślad wrogów niech krew ich oznaczy!—
A nadewszystko, jak źrenicy w oku,
Strzeż Orleanu!—Popalić każ raczéj
Mosty i łodzie; poniszczyć przeprawy;
Niżbyś swą hańbę i żywot tułaczy
Niósł za Loarę—ten Styx twojéj sławy!

KRÓL.

Com mógł, zrobiłem;—pojedyńczym bojem,
Rycerz z rycerzem chciałem spór mój skończyć,
Pokój okupić chciałem życiem mojém.—
Lecz mamże darmo krew mych ludów sączyć?
Mamże, jak owa nieprawdziwa matka,
Dozwolić raczéj, by wróg krwawym mieczem,
Płatał me kraje, niszczył do ostatka?—
Nie!—by je zbawić—sami się ich zrzeczem.

DUNOIS.

Toż mowa króla? to zapał młodzieńca?
To zamiar, który mężowi przystoi?—
Najlichszy z gminu krew, życie poświęca,
Zdaniu, miłości, nienawiści swojéj.

Strona jest wszystkiém—gdy domowéj wojny
Sztandar powionął. Starzec i niewiasta
Chwyta za oręż; rzemieślnik spokojny
Kruszy swój warsztat; kupiec pali miasta;
Rolnik swe własne zasiewy wyniszcza,
By ci zaszkodzić, lub pomódz w potrzebie;—
Nikt nie oszczędza drugich, ani siebie,
Walcząc za swoje Bogi lub Bożyszcza.
A ty! król! miałbyś z litości niemęzkiéj
Praw się swych zrzekać? odrzucać nadzieje,
By skrócić wojny nieuchronne klęski?—
Nie!—niech się wojna sama wyszaleje!
Nie tyś ją zaczął;—a że lud za króla
Krew swą lat musi:—w tém jest Niebios wola
W tém prawo świata!—I biada narodom,
Coby swym królom, swéj czci i swobodom,
Krwi swéj lub mienia szczędziły w ofierze!

Król (*do Radzców*).

Próżno czekacie! Bóg was niechaj strzeże!
Ja nic nie mogę.

Dunois (*z gniewem*).

Niechże Bóg zwycięztwa
Tak się na wieki odwróci od ciebie,
Jak ty od kraju w dniach niebezpieczeństwa!—
Ale pamiętaj! że gubisz sam siebie.
Że cię nie Burgund, nie moc Albionu,
Lecz własna małość strąca z ojców tronu!—
Francyi trzeba króla-bohatéra.
A ty!—Żegnam cię!

(*do Radzców*).

Król się was wypiera—
Lecz ja, w téj ojca mojego dziedzinie,
Idę się z wami zagrzebać w ruinie.

(*Chce odchodzić*, AGNIESZKA *go zatrzymuje*).

AGNIESZKA (*do Króla*).

O! nie dopuszczaj, aby odszedł w gniewie!—
Zbyt ostry w słowach—prawda! lecz któż nie wie,
Jakim jest w sercu? jak w każdéj potrzebie
Ostatnią kroplę krwi odda za ciebie?—
Pójdź, pójdź, Dunois! wyznaj, że w zapale
Nadtoś powiedział!—a ty mu wspaniale
Przebacz z prędkości niemyślane słowo!—
O! pójdźcie, pójdźcie! niech złączę na nowo
Dłonie i serca wasze!—nim zawzięty
Gniew je zajątrzy, i drobną dziś szparę
Zamieni w przepaść!

(DUNOIS *pogląda na* KRÓLA, *zdając się oczekiwać na odpowiedź jego*).

KRÓL (*do* DU CHATELA).

Każ mój dwór i sprzęty
Przenieść na łodzie!—Idziem za Loarę.

DUNOIS (*do* AGNIESZKI).

Żegnaj!

(*Odwraca się i odchodzi śpiesznie; za nim Radzcy*).

Agnieszka (*załamuje ręce*).

O! teraz, tośmy pozostali
Jedni prawdziwie!—On był nam podporą.—
Idź, śpiesz, La Hirze! błagaj go, azali
Nie da się zmiękczyć?—i wróć go nam skoro.

(La Hire *odchodzi*).

SCENA VI.

KAROL, AGNIESZKA, DU CHATEL.

Król.

Także to wielkiém dobrem jest korona,
Iż by ją tylko utrzymać na czole,
Znieść miałbym raczéj, by nieokrócona
Duma mi czyjaś krępowała wolę?
Zdać się na łaskę zuchwałych wassali,
By żyć, czuć, myśléć, gwoli ich skinieniu?—
O! to jest boleść, co rdzeń duszy pali,
To cięźéj, niżli uledz przeznaczeniu!

(*do* Du Chatela).

Czyń, com rozkazał!

Du Chatel (*padając na kolana*).

Panie!

Król.

Przedsięwzięcia
Mego nie zmienię;—ogłoś to na dworze.

Du Chatel.

Królu! przejednaj Burgundzkiego księcia!
To jeszcze jedno, co cię zbawić może.

Król.

Ty mi to radzisz? a on twojéj głowy
Żąda za pieczęć do naszéj umowy!

Du Chatel.

Masz ją, o! królu!—Krew mą nie dopiero
Jam ci poświęcił:—i zarówno z chlubą.
Pod mieczem wroga, czy kata siekierą.
Umrę za ciebie:—byleś moją zgubą
Ukoił księcia; bylebym w spuściznie
Zostawił pokój—tobie i ojczyznie.

Król *(z goryczą)*.

Do tegóż przyszło? że ci, co mą duszę
Znają najbliżéj—że ci hańby drogę
Śmią mi wskazywać? i mówią, że muszę
Iść nią—i myślą, że zechcę i mogę?—
O! teraz czuję, że wszystko stracone,
Gdy i mój honor ufność ludzi stracił!

Du Chatel.

Rozważ!

Król.

Dość o tém!—za świata koronę
Krwiąbym przyjaciół moich nie zapłacił!—

Idź, spełń com kazał! — Niech się niemieszkanie
Gotują w podróż!

Du Chatel.

Wola twoja, Panie!

(*Powstaje i odchodzi.* — Agnieszka *płacze rzewnie*).

SCENA VII.

KAROL I AGNIESZKA.

Król.

Nie płacz, o! luba! wszak i tam za rzeką
Francya jeszcze! — i milsze daleko
Niebo i ziemia! — Tam na łonie twojém
Odetchnę znowu szczęściem i pokojem.

Agnieszka.

O! dniu nieszczęsny! dniu żalu i sromu!
Król z państwa swego ucieka przed wrogiem;
Syn nie śmie bronić ojców swoich domu,
Lub pod rodzinnnym zagrzebać się progiem!... —
Stało się! — idźmy na życie tułacze! —
Francyo moja! — już cię nie zobaczę!

SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

Agnieszka.

Wracasz sam jeden? — nie dał się więc użyć?

(*wpatrując się w niego*).

Lecz cóż to?—przebóg! La Hirze! co znaczy
Ten wzrok twój dziwny?—Mów, co z niego wróżyć?
Nowe nieszczęście?...

LA HIRE (*z zapałem*).

Koniec nieszczęść raczéj!
Minęła burza—słońce zajaśniało!

AGNIESZKA.

Co? jak? mów! błagam.

LA HIRE (*do* KRÓLA).

Każ, by się wrócili
Posłowie Orleańscy!—

KRÓL.

Cóż się stało?

LA HIRE (*z uniesieniem*).

Stoczono bitwę—myśmy zwyciężyli!

AGNIESZKA.

My?—O! niebieska muzyko téj wieści!

KRÓL.

La Hire! Czyż prawda?—Czy nie czcza ułuda?—
Powtórz!—bo nie śmiem wierzyć twéj powieści.

LA HIRE.

O! w większe wkrótce uwierzycie cuda!

(*postrzegając wchodzącego* Arcybiskupa).

Lecz Arcybiskup sam ci o nich. Panie!
Opowie lepiéj;—z nim na pojednanie
Dunois wraca.

Agnieszka.

O! piękne zarody
Zwycięztwa! z których tak rychło dostajem
Owoców Nieba: pokoju i zgody!

SCENA IX.

CIŻ, ARCYBISKUP Z REIMS, DUNOIS, DU CHATEL, I RAUL (*Rycerz we zbroi*).

Arcybiskup.

(*łącząc ręce* Dunois *i* Króla).

Zgoda, książęta! podajcie dłoń wzajem!
Nie dziś czas pomnieć o ziemskiéj roztercе,
Gdy Bóg nad wami czyni cuda swoje.

Król.

Odmęt słów waszych pochłania me serce,
Chciałbym uwierzyć—i wierzyć się boję.
Co? jak się stało?—w krótkiéj, jasnéj mowie,
Powiedzcie!—błagam, każę.

Arcybiskup (*wskazując na* Raula).

On opowie.

RAUL (*występując przed* KRÓLA).

Było nas wszystkich chorągwi szesnaście,
Które szlachetny Baudricourt zgromadził,
I odpierając angielskie napaście,
Ku tobie, królu! na odsiecz prowadził.
Lecz gdy przeszedłszy Vermatońskie wzgórza,
Schodzim w dolinę, gdzie się kręci Yonna,
Patrzym—przed nami z lasu się wynurza
Kolumna wrogów piesza, potém konna.
Chcemy się cofnąć—aż widzim, za nami,
Drugie ich wojsko już wzgórza osiadło.
Tak między dwóma zamknięci ogniami,
Najodważniejszym z nas serce upadło.
Chcą złożyć oręż:—i daremnie wodze
Szukają jeszcze rady, któréj nié ma.
Gdy wtém—w powszechnym nieładzie i trwodze,
Cud się nam dziwny jawi przed oczyma!
Z gaju, wprost ku nam, wychodzi Dziewica,
W błyszczącym hełmie, jak Bogini wojny,
Piękna jak Anioł—choć groźne jéj lica
Tchnęły postrachem, a wzrok, acz spokojny,
Gorzał jak ogniem;—wiatr włosy rozwiewał,
A blask poziomy zachodniego słońca
Dziwną jasnością jéj postać odziewał.—
Szła ku nam, nakształt niebieskiego gońca,
I głosem, który wskróś wszystkich przeniknął:
„Francuzi!—rzekła—próżno się boicie!
„Dość już wróg wami pomiatać nawyknął,
„Dziś jest kres jego!—wierzcie, a ujrzycie!

„Nic to, że okrył doliny i wzgórza:
„Bóg cud obiecał, i cud wam uczyni!
„Niech będzie silny, jako fale morza,
„Niech będzie liczny, jak piaski w pustyni —
„Na przód! dziś z wami jest Bóg i Dziewica!
„Duch Jego za was uzbroił jéj ramię.
„Za mną, Francuzi!“—to rzekłszy, pochwyca
Z rąk chorążego rozwinięte znamię,
I z niém najpiérwsza bieży w stronę wroga.—
Co krwi w nas było, zawrzała płomieniem.
Wszyscy, jak jeden, za posłanką Boga
Lecim z orężem;—a wróg z podziwieniem
Patrzy się na nas, stojąc nieruchomy.
Lecz w tém—jak gdyby głos trąb ostatecznych
Posłyszał nagle: jakby niewidomy
Anioł swym mieczem zmiótł wszystkich walecznych:
Zachwiał się—widzim—miesza się i pierzcha,
Broń i rynsztunek miecąc po za siebie;
Jedni na wzgórza, by dosiądz ich wierzcha,
Drudzy ku rzece;—a my ku potrzebie
Sprawiwszy hufce, tu i tam za niemi! —
Rzeź się prawdziwa, nie bitwa zaczęła.
Tysiąc ich z górą poległo na ziemi,
Nie licząc tego, co rzeka połknęła.
Z nas ani jeden nie zginął.—

Król.

Cud Boski!

AGNIESZKA (*do* RAULA).

I cud ten, mówisz, stał się przez dziewicę? —
Któż? zkąd jest ona?

RAUL.

Różne czynią wnioski.
Lecz ona sama swoję tajemnicę,
Rzekła, że tylko królowi objawi.
Natchnioną z Nieba zowie sama siebie,
I zapowiada, że Orleans zbawi,
Wprzód nim się księżyc odmieni na niebie.—
Wojsko, lud cały, wierzy w nią, i wszędzie
Rwie się do broni.

(Słychać za sceną dzwony, trąby, i szczęk oręża).

KRÓL.

Cóż to? trąby? dzwony?

RAUL.

To ona z wojskiem! Za chwilę tu będzie.—
Lud jéj jak świętéj oddaje pokłony.

KRÓL (*do* DU CHATELA).

Każ ją wnet przyjąć!

(*do* ARCYBISKUPA).

Ty mię ucz, kapłanie!
Co myśleć o tém?—Bóg swój cud okazał,
Gdy cud już tylko zbawić nas był w stanie.
Tegoby żaden człowiek nie dokazał!
Lecz mogęż wierzyć, że dla mnie to czyni?

(Głosy za sceną).

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

KRÓL.

To ona!

(*do* DUNOIS).

Usiądź na miejscu królewskiém!
Obaczym zali prorokować umie.
Jeśli jest duchem natchniona niebieskim,
Pozna nieprawdę, i znajdzie mię w tłumie.

DUNOIS *siada*, KRÓL *staje przy nim po prawéj ręce; obok Króla*, AGNIESZKA SOREL: *daléj* ARCYBISKUP, *i inni szykują się po obu stronach, tak, że środek sceny zostaje próżny).*

SCENA X.

CIŻ I JOANNA,

(*w towarzystwie* RADZCÓW *i wielu* RYCERZY, *którzy napełniają głąb sceny, ze szlachetną powagą postępuje naprzód, i przegląda stojących wokoło).*

DUNOIS.

(*po długiém uroczystém milczeniu*).

Tyś to, cudowna?...

JOANNA

(*przerywa mu, z wyniosłością patrząc na niego*).

Synu Orleana!
Doświadczasz Boga!—Nie to miejsce twoje!
Jam jest do tego wyższego posłana.

(*Idzie pewnym krokiem do* KRÓLA, *ugina przed nim kolano i powstaje natychmiast. Wszyscy obecni okazują największe zdumienie.* DUNOIS *opuszcza krzesło).*

KRÓL.

Zkąd mię znasz? piérwszy raz widzisz twarz moję.

JOANNA.

Widziałam ciebie, gdy cię nikt, prócz Boga,
Nie widział więcéj.—Pomnisz, przeszłéj nocy,
Gdy wiatr trząsł domem, a rozpacz i trwoga
Walczyła w tobie z nadzieją pomocy:
Upadłeś krzyżem, i w pokorze ducha
Błagałeś Boga—a łez twych strumienie
Zlały podłogę.—Każ, niech nikt nie słucha,
A treść ci twojéj modlitwy wymienię.

KRÓL.

Co zwierzam Bogu, przed ludźmi nie kryję.
Wymień!

JOANNA.

Trojakie były twoje modły.
Naprzód:—jeżeli dawne winy czyje,
Królów czy ludu, na ten kraj przywiodły
Zgubną tę wojnę:—ty, gdy tego trzeba,
Oddać się za nie chciałeś na ofiarę,
I o to tylko błagałeś u Nieba,
By twéj ojczyznie odpuściło karę.

KRÓL.

(cofając się z przerażeniem).

Kto? zkąd ty jesteś? Istoto cudowna!

JOANNA.

Druga twa była modlitwa:—jeżeli
Tak już chce Niebios wola nieodzowna,
Abyś utracił tron, i co dzierżeli
Przodkowie twoi:—prosiłeś ziszczenia
Trzech tylko życzeń, trzech dóbr na tym świecie.
Za piérwsze kładłeś spokojność sumienia;
Za drugie, szczerość przyjaciół; za trzecie,
Miłość Agnieszki.

(KRÓL *zakrywa twarz, łkając gwałtownie. Największe poruszcnie między obecnymi*).

JOANNA (*po pauzie*).

Mamże mówić daléj?

KRÓL.

Dość, dość! już wierzę.—Tyś z Boga natchniona!

ARCYBISKUP.

Lecz kto? zkąd jesteś?—mów, niedocieczona!
Kto są szczęśliwi, co ci życie dali?

JOANNA (*do* ARCYBISKUPA).

Wielebny ojcze! zowią mię Joanną.
Ojciec mój, z włości królewskiéj Dom-Remi,
Ubogi wieśniak, pracą nieustanną
Uprawia z Bogiem własny kawał ziemi.
Tam ja z dziecińtwa pasąc jego trzody,
Słyszałam nieraz, jak opowiadali

O tych wyspiarzach, co przyszli z za wody,
I kraj nasz cichy mieczem najechali.
I jak ich nasza przyjęła stolica,
Jak król ich naszą okrył się koroną,
Jak królów naszych prawego dziedzica
Chcą wygnać z kraju:—To gdy mi mówiono,
Nieraz w skrytości padłszy na kolana,
I płacząc głośno, wołałam do Boga,
By nam obcego nie narzucał pana,
By nas uchronił od niewoli wroga.
A niedaleko od wrót naszéj wioski,
Stoi na wzgórzu niewielka kaplica,
A w niéj cudowny obraz Matki Boskiéj,
Gdzie trzykroć w roku, cała okolica
Idzie pielgrzymką i składa ofiary.
A tuż naprzeciw rośnie dąb sędziwy,
O którym różnie i młody i stary,
A wszyscy różne powiadają dziwy.
Pod cieniem jego, sama nie wiém czemu,
Tak mi swobodnie, tak rozkosznie było,
Że serce gwałtem ciągnęło ku niemu.
I ile razy czasem się zdarzyło
Stracić gdzie w górach jagnię albo owcę:
Jak skoro przyszłam spocząć w jego cieniu,
Wnet mi sen między najdziksze manowce,
Gdzie je mam znaleźć, wskazywał w widzeniu.
Jednego razu, gdy późno w noc ciemną,
Siedząc tak pod nim, marzyłam na jawie:
Bogarodzica stanęła przede mną—
Z chorągwią w ręku i z mieczem, lecz prawie

Z kształtu i stroju podobna pasterce,
I rzekła głosem, co mi poszedł w serce:
„Jam jest, Joanno!—powstań, rzuć swą trzodę!
„Pan cię upatrzył za narzędzie cudu!
„Sztandar ten wzniesiesz za kraju swobodę,
„Mieczem tym pomścisz krzywdy twego ludu;
„Pokonasz wrogów, i przez cię zbawioną,
„W Reims, króla swego uwieńczysz koroną!“—
Ja wszakże rzekłam: Cóż ja zdziałać mogę,
Słaba pasterka, bez sił do oręża?—
A Ona na to: „Uspokój tę trwogę!
„W czystości serca jest moc, co zwycięża
„Bramy piekielne.—Tę tylko przestrogę
„Pamiętaj: chroń się przed miłością męża!
„Zresztą miéj wiarę, i idź prostą drogą!—
„Wszak i ja byłam pasterką ubogą!“—
To rzekłszy, dłonią dotknęła mych oczu,
I kiedy za nią spójrzałam do góry,
Ujrzałam w Niebios błękitném przezroczu
Nieprzeliczone Serafinów chóry,
A każdy w ręku miał liliję białą,
A dziwne echo na powietrzu brzmiało.—
Noc w noc trzy razy, przed jutrzenką ranną,
Miałam toż samo Najświętszéj widzenie.
Zchodziła z Niebios, wołając: „Joanno!
„Idź! zbaw twój naród! spełń twe przeznaczenie!“—
Lecz gdy raz trzeci stanęła przy drzewie,
Wzrok jéj był groźny, i rzekła mi w gniewie:
„Wiedz, posłuszeństwo jest wyrok niewieści!
„Cierpieć tu musi i być sługą wszędzie.

„Ale się serce oczyszcza w boleści:
„Kto się tu korzy, tam podwyższon będzie!“ —
I gdy ostatnie domawiała słowa,
Z ramion jéj spadło pasterskie odzienie,
I w całym blasku, jak Niebios Królowa
Stała przede mną:—błyskawic promienie
Skroń jéj wieńczyły;—i chociaż surowa,
Litośne ku mnie zwróciła wejrzenie,
I na złocistym wzniesiona obłoku,
W krainie chwały znikła memu oku.

(*Wszyscy mocno wzruszeni.* AGNIESZKA, *łkając, ukrywa twarz na piersiach króla*).

ARCYBISKUP (*po długiém milczeniu*).

Przed niepojętą wolą przeznaczenia,
Rozum się ludzki uniża i korzy.
Czyn jéj już dowiódł prawdy objawienia —
Zdziałać go przez nią mógł tylko duch Boży.

KRÓL (*wznosząc oczy i ręce ku Niebu*).

Panie! jam grzesznik! jaż mogłem zasłużyć
Na dar tak wielki, co z Twéj ręki biorę?...
Uczże mię teraz, jak mam łask twych użyć!
Wszystkowidzący! ty znasz mą pokorę.

JOANNA.

Pokora serca prowadzi do Boga.
Z wiarą w moc Jego, człek piekło przemoże.

KRÓL.

A więc mi wróżysz, że zwyciężym wroga?

JOANNA.

Francyą całą pod twe stopy złożę.

KRÓL.

Orleans, mówisz, nie będzie stracony?

JOANNA.

Loara piérwéj cofnie się do źródła.

KRÓL.

I w Reims dostąpię mych przodków korony?

JOANNA.

Przez tysiąc przeszkód, ja cię będę wiodła.

(Wszyscy obecni Rycerze wstrząsają z łoskotem włócznie i tarcze, i okazują znaki zapału i odwagi).

DUNOIS *(do* KRÓLA*)*.

Postaw Dziewicę wodzem wojsku twemu!
Wzrok jéj nam w trudach i bitew zapędzie,
Jak gwiazda Królom do Jeruzalemu,
Do Reims i zwycięztw przewodniczyć będzie.

LA HIRE.

Wróg nie zaufa mocy tego świata,
Gdy moc niebieską obaczy widomie.
Jéj zwierz twe wojsko! a trwoga skrzydlata
Uprzedzać będzie pogrom po pogromie.

(Wszyscy Rycerze uderzają tarczę o tarczę, i postępują naprzód przed KRÓLA*)*.

KRÓL.

Tak jest! ty, Święta! ty wiedź wojska moje!
Książę i Rycerz niech twéj słucha woli!—

(biorąc w ręce miecz Konetabla).

Oto miecz, którym od wieków na boje
Hetmanił Frankom namiestnik ich króli.
Dziś go Konetabl odrzucił od siebie,
Odtąd, Natchniona! ty go dźwigaj w polu!
I niech się szerzéj rozsławi przez ciebie
Mocą niebieską!

JOANNA.

Nie! Panie i Królu!
Nie tém my ziemskiéj wielkości narzędziem,
Tak jak nie ziemską potęgą i siłą,
Lecz innym mieczem tryumfować będziem,
Jak mi widzenie ducha objawiło.

KRÓL.

Gdzież on jest?

JOANNA.

Poszlij do miasta Firboi!
Tam pod kościołem Świętéj Katarzyny,
Jest sklep, gdzie stosy oręża i zbroi
Leżą z lat dawnych;—tam jest ów jedyny
Miecz, w którym siła tajemna się mieści.
Poznać go łatwo, bo na rękojeści
Ma trzy lilije nabijane złotem.

KRÓL (*do* DU CHATELA).

Śpiesz! i niech goniec orlim pędzi lotem!

JOANNA.

Chorągiew także każ mi zrobić białą,
Z obrazem Niebios Królowéj w obłoku,
Z dzieckiem Jezusem;—a dziecię by miało
Świat w swojéj dłoni, a bóstwo we wzroku.
A całe Niebo aby się zdawało
Jak z głów Aniołów, skupionych w natłoku.
Bo taki obraz jaśniał na znamieniu,
Które Najświętsza trzymała w widzeniu.

KRÓL.

Wszystko się stanie.

JOANNA (*do* ARCYBISKUPA).

Teraz ty mnie, Ojcze!
Błogosławieństwo daj w imię Kościoła!
Dziewica, idę na dzieło zabójcze,
Litość wstrzymuje—lecz Powinność woła.
Ono w téj walce będzie duch mój wspierać.

(*Uklęka przed nim*).

ARCYBISKUP.

Córko! tyś przyszła dawać, nie odbierać
Błogosławieństwa!—W kim jest Pańska siła,
Nie potrzebuje pomocy grzeszników.

(*Kładzie rękę na jéj czole.* JOANNA *powstaje*).

PAŻ (*wchodzi*).

Herold przysłany z obozu Anglików
Chce wnijść.

JOANNA.

Niech wnijdzie! Bóg go tu przysyła.

(KRÓL *daje znak przyzwolenia;* PAŻ *odchodzi*).

SCENA XI.

CIŻ I HEROLD ANGIELSKI.

DU CHATEL.

Z czém i od kogo przychodzisz do króla?

HEROLD.

Mów, do hrabiego Ponthieu, Karola.—
Król wasz jest w naszym obozie.

DUNOIS.

Zuchwały!
Gdyby nie miejsce i nie szata gońca,
Sprośny twój język, jak żmiję w kawały.....

KRÓL *(przerywając).*

Przestań, Dunois!

(*do* HEROLDA).

Mów, czekamy końca.

HEROLD.

Wódz nasz, żałując krwi, co nadaremnie
Płynie i płynąć musi w Orleanie,
Nim da znak szturmu—raz jeszcze przeze mnie
W spokojne z tobą chce wejść pojednanie.

KRÓL.

On ze mną?

JOANNA (*występując*).

Królu! ja na miejscu twojém
Mówić z nim będę.

KRÓL.

Mów, natchniona z góry!
Mów, i rządź sama wojną i pokojem!

JOANNA (*do* HEROLDA).

Kto mówi przez cię?

HEROLD.

Wódz nasz, Salisbury.

JOANNA.

Kłamiesz, Heroldzie! bo tylko żyjący
Mówić przez żywych może, nie umarły.

HEROLD.

O! wódz nasz żyje! i zdrowiem kwitnący
Na zgubę waszą, jako olbrzym karły
Gromi swych wrogów.

JOANNA.

Żył, kiedyś odchodził.
Lecz Pan go dotknął—olbrzym w prochu leży.
Wystrzał go z miasta dziś rano ugodził,
Gdy je z swéj średniéj przepatrywał wieży.

Ty się uśmiéchasz, że ci oddalone
Rzeczy obwieszczam;—nie żądam twéj wiary.
Lecz wspomnij o mnie, gdy z pompą niesione
Spotkasz w obozie pogrzebowe mary!—
Teraz zdaj sprawę z polecenia twego.

HEROLD.

Jeśli tak wszystko przenikasz—bez tego
Wiedzieć je musisz.

JOANNA.

Nawet nie chcę wiedzieć!
Ale ty słuchaj, co ja mam powiedzieć!
Słuchaj! i w wiernéj rzecz powtórz osnowie
Tym, coć przysłali:—bo do nich to mówię.
Królu angielski! książęta Bedfordu
I Glocesteru! Bóg się upomina
Rachunku od was z naszéj krwi i mordu.
Bóg sąd swój zaczął:—bo przyszła godzina!
Przyszła Dziewica, któréj Pan poruczy
Moc swą nad wami!—Ona do was mówi:
Zrzeczcie się naszéj korony, i kluczy
Miast, i ziem naszych, i pokój ludowi
Naszemu dajcie—a idźcie w pokoju!
Albowiem biada, biada wam, wodzowie!
I ludom waszym biada! gdy do boju
Stanie Dziewica!—Bo ja to wam mówię:
Że Pan nie dla was Francyą przeznaczył,
Ani nas stworzył do wiecznéj niewoli!

(*wskazując na* Króla).

Lecz on—on dziedzic, on wnuk naszych króli,
Co gò Bóg w probach poznał i doświadczył,
On siądzie z chwałą na ojców stolicy!—
Idź, i te słowa odnieś twemu panu!
Lecz nim pośpieszysz—już sztandar Dziewicy
Powiewać będzie z murów Orleanu.

(*Odchodzi, za nią wszyscy.— Zasłona spada*).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

(Okolica otoczona skałami).

SCENA I.

TALBOT i LIONEL, Wodzowie Angielscy. FILIP, Książę Burgundyi. FASTOLF, CHATILLON. z wojskiem i chorągwiami.

TALBOT.

Tu w skał tych cieniu stańmy, i warowny
Zatoczmy obóz;—azali nie zbierzem
Wojsk, które popłoch, jako wiatr gwałtowny,
Rozproszył wczoraj.
(do FASTOLFA*).*
Idź, osadź żołnierzem
Szczyt i wąwozy skał!—Choć w téj ustroni,
W téj ciemnéj nocy—jeśli chyba skrzydeł
Wróg mieć nie będzie—żartuję z pogoni:

Przecież ostrożność!—Strach nie zna wędzideł.
I łada powód, ima zwyciężonych.
(Fastolf z żołnierzami odchodzi).

Lionel.

Dość o tém, wodzu! Krew się pali we mnie
Słysząc to słowo.—Po tylu wsławionych
Zwycięztwach naszych, pierzchnąć tak nikczemnie!
O! Orleanie! Orleanie! w tobie
Grób chwały naszéj!—Lecz czyż przyszłe wieki
Uwierzyć zechcą? Kto wystawi sobie,
Aby zwycięzcy pod Azincourt, Crequi,
Pierzchli—i przed kim?—przed jedną niewiastą!—
Nie! musim zdobyć to przeklęte miasto!

Filip.

To nas niech cieszy, że nie ludzka siła.
Ale nas szatan przemógł z ludźmi w zmowie.

Talbot.

Tak! szatan głupstwa!—Czyżby i wodzowie
Dzielili wiarę, co gmin omamiła?—
Nie!—przesąd nadto jest błahą pokrywą
Tchórstwa wojsk twoich!—to bitwę przegrało.

Filip.

Popłoch był wszędzie.

Talbot.

Nie, nie! jako żywo!

Wojsko twe naprzód zgubny przykład dało.
Wpadliście do nas, wołając, że piekło,
Że sam Lucyper przeciw nam się wiąże.
To nas zmięszało.

LIONEL (*do* FILIPA).

Jużciż wyznaj, Książę!
Że skrzydło twoje najpiérwéj uciekło,

FILIP.

Bo na nie naprzód uderzyli wrogi.

TALBOT.

Wiedzieli dobrze kto im nie dostoi
I drugim jeszcze da przyczynę trwogi.

FILIP.

Co? więc przegrana ma być z winy mojéj?

LIONEL.

Gdybyśmy swoje tylko wojska mieli,
Orleans naszéj nie widziałby klęski.

FILIP (*z goryczą*).

Tak! gdyż wybyście jego nie widzieli!—
Kto wam w głąb' kraju otwarł wstęp zwycięzki?
Kto zjednał serca Franków, i w Paryżu
Króla waszego osadził na tronie?—
Jako Bóg żywy! gdyby nie te dłonie
Wwiodły was tutaj: niktby z was w pobliżu
Nie widział dymu z francuzkich kominów!

LIONEL.

Gdyby dość było wielkich słów, nie czynów,
Burgund sam jeden byłby panem świata.

FILIP.

Boli was, widzę, Orleanu strata,
Lecz z czyjéj winy?—Gdy mieszkańcy chcieli
Mnie poddać miasto—kto z lichéj zawiści
Zerwał układy?

TALBOT.

Chciałżbyś, byśmy leli
Krew ludów naszych, dla twojéj korzyści?

FILIP.

Gdybymże odszedł—coby z wami było?

LIONEL.

O! nic gorszego jak pod Azinkurem!
Gdzie wojsko nasze samo poradziło
Z całém francuzko-burgundzkiém—nad którém
Tyś sam przewodził.

FILIP.

Jednak me przymierze
Snać wam potrzebne było, gdy mi za nie,
Rejent wasz tyle poświęcił w ofierze.

TALBOT.

Ha! nawet naszą cześć przy Orleanie!

Filip (*wybuchając*).

To już za wiele! Lordzie! to za wiele!
Rozmowa taka—zostanie pamiętną.—
Na tożem rzucił swoich, i na czele
Mém nieskażoném wyrył zdrady piętno:
By mi wróg w obec urągać mógł śmiele,
A jam to znosił duszą obojętną?...—
Nie, nie! Lordowie!—toć gdy los przeznaczył,
Bym zawsze tylko służył niewdzięcznemu;
Toć lepiéj żeby brat bratu przebaczył.
Bym wrócił służyć królowi mojemu.

Tałlot.

O! rzecz nie nową powiadasz nam, Książę!
Wiémy żeś zaczął z La Hirem układy,
Że skryty spisek przeciw nam się wiąże:—
Lecz mamy sposób ustrzedz się od zdrady.

Filip.

Ha! śmierć i piekło!—Idź, śpiesz, Chatillonie!
Dziś jeszcze idziem ku naszéj granicy.
Każ zwijać obóz!—Niech ludzie i konie
Stają do szyku!—Żegnam was, Anglicy!
(Chatillon *odchodzi*).

Lionel.

Szczęśliwa droga!—Nigdy miecz Anglików
Nie słynął szerzéj, jak kiedy w potrzebie,
Bez pomocników i bez przewodników,
Sami w swéj sprawie walczyli za siebie.

Bo na co kłamać zgodę przyjacielską,
Gdy nas wstręt wieczny rozdziela, jak morze?
Gdy czujem, że krew francuzka z angielską,
Z ran chyba w bitwach połączyć się może?—

SCENA II.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELLA.

IZABELLA.

Cóż to ja słyszę? co za wpływ złowrogi
Gwiazdy nieszczęsnéj pomięszał wam zmysły?—
Toż czas do swarów? gdy zwycięzkie wrogi
Jak grom spaść mogą na nas: a od ścisłéj
Jedności waszéj, śród powszechnéj trwogi,
Jedyne wojska nadzieje zawisły?...

(*do* FILIPA).

Nie! książę! cofnij porywcze rozkazy!
A ty, Talbocie! nie wstydź się przebłagać
Gniew przyjaciela!

(*do* LIONELA).

Pójdź mi dopomagać,
Przywrócić zgodę i zatrzeć urazy!

LIONEL.

Ja?—nie! Milady!—mnie to obojętnie,
Czy się to zgodą, czy niezgodą skończy.
Owszem, co z sobą trzyma się niechętnie,
Najlepiéj zrobi, kiedy się rozłączy.

IZABELLA.

Ha! teraz widzę, że piekielne czary,
Jak w bitwie na nas, i tu się sprzysięgły.—
Kto wszczął najpiérwszy te szalone swary?
Zkąd się te żmije w sercach wam wylęgły? —

(*do* TALBOTA).

Tyżbyś to, wodzu! niepomny korzyści,
Co kraj twój jego powinien przymierzu,
Chciał wzniecać iskrę dawnéj nienawiści,
I serce Franka oburzał w Rycerzu?—
Lecz cóż poczniecie bez jego ramienia?—
On tron wasz dźwignął—i on w każdéj porze,
Samą potęgą swojego imienia,
Byleby zechciał, obalić go może.
Albowiem wiedzcie! niech Anglia cała
Falami morza na Francyą biegnie:
Francya zgodna, dostoi jak skała,
I sama siebie chyba w jarzmo zegnie.

TALBOT.

Któżby prawdziwéj nie cenił przyjaźni?
Lecz przed fałszywą strzedz się rozum każe.

FILIP.

Temu, w kim wdzięczność dumę tylko drażni,
Nie trudno kłamać bezwstydne potwarze.

IZABELLA.

Co? książę! tyżbyś twój rozum i serce
Mógł tak poniżyć? tak zbyć uczuć syna?

Byś ojca twego uściskał mordercę,
Byś się powierzył przyjaźni Delfina?—
Aza ci, myślisz, przebaczy w swéj dumie,
Żeś go był wtrącił i dźwignął z przepaści?
Aza nie będzie obmyślał, jak umie,
By ci na przyszłość uszczuplić téj właści?—
Nie, nie! Filipie! bądź księciem i synem,
A będziesz wyższym od obrazy lichéj!

FILIP.

Nigdym nie myślał o zgodzie z Delfinem,
Ale nie ścierpię cudzoziemców pychy.

IZABELLA.

O! pójdź! zapomnij niebacznego słowa!
Wczorajsza klęska serce wodza boli,
A gorycz myśli łatwo zdradzi mowa:
Niesprawiedliwym być łatwo w niedoli.—
Ale dość o tém!—czas zgasić w iskierce
Zgubny ów pożar, nim go wiatr rozdmucha.

TALBOT.

Co mówisz? książę!—Gdzie jest prawe serce,
Tam rozum chętnie zdrowéj rady słucha.—
Królowa mądrze dla n s obu radzi.

(*podając rękę*).

A więc masz! zgoda zależy od ciebie.
Uznanie błędu niechaj błąd zagładzi.

FILIP (*podając dłoń wzajem*).

Niech i tak będzie!—ulegam potrzebie.

IZABELLA.

Zgoda! wodzowie! i niech uścisk bratni
Świętszém niż dotąd spoi was ogniwem,
By spór ten zgubny był odtąd ostatni!

(FILIP I TALBOT *ściskają się*).

LIONEL (*patrząc na nich; na stronie*).

Nietrwała zgoda za Furyi wpływem!

IZABELLA.

Los bitwy wprawdzie ostał się przy wrogu,
Lecz niech nas męzka pokrzepi otucha!
Napróżno Delfin, nieufny snać w Bogu,
Przyzywa w pomoc przeklętego ducha.
Straci swą duszę, jak swój kraj i władzę.—
Niewiasta stoi na wojsk jego czele:
Chcecie?—ja wasze wojska poprowadzę,
I wzorem lepiéj, niż czarem ośmielę.

LIONEL.

O! nie, nie! raczéj wracaj do Paryża!
Anglik w broń ufa, nie w sztuki niewieście.

TALBOT.

Tak, wracaj!—W wojsku przesąd się rozszérza,
Że nam twa bytność przyniosła nieszczęście.

FILIP.

Widok twój tutaj osłabia żołnierza.
I dla cię saméj przyzwoiciéj w mieście.

IZABELLA (*patrząc na nich z podziwieniem*).

Cóż się to znaczy? Co te słowa wróżą?
I ty, Burgundzie! przeciw mnie, jak oni?

FILIP.

Tak! żołnierz nie śmie ufać w pomoc Bożą,
Póki rozumie, że twéj sprawy broni.

IZABELLA.

Czyście szaleni?—Ledwom między wami
Zgodę zawarła—łączycie się na mnie.

TALBOT.

Jedź pani z Bogiem! Gdy zostaniém sami,
Czarta się lękać nie będziem przynamnie.

IZABELLA.

Czyliż nie jestem przyjaciółką waszą?
Czyż sprawa wasza nie jest także moją?

TALBOT.

Tak!—ale sprawa twoja nie jest naszą!—
My toczym wojnę za ojczyznę swoją.

FILIP.

Ojciec mój poległ z naprawy Delfina.
Synowska czułość moję zemstę budzi.

TAŁBOT.

Lecz twoja, Pani! zawziętość na syna,
Obraża Boga i oburza ludzi.

IZABELLA.

Syna?—przeklęty niech będzie na wieki!
On śmiał mię sądzić!

FILIP.

Mścił się ojca swego.

IZABELLA.

On mię potępił! wygnał w kraj daleki!

TAŁBOT

Prawo i naród domagał się tego.

IZABELLA.

Ha! teraz skutku przekleństw mych doświadczy!
I niżbym miała wyrzec przebaczenie,
Niżby miał posiąść tron swych ojców!—raczéj..

LIONEL (*przerywając*).

Wolisz poświęcić swą cześć i zbawienie!

IZABELLA.

Wy, słabe dusze! wy czuć nie możecie
Co jest za siła w matki nienawiści!—
Co mi cześć świata?—Mój cel na tym świecie,
Jest: niech się nad nim zemsta moja ziści!

Lecz wy—wy drudzy, co go wojujecie!
Co, prócz łakomstwa, dumy i zawiści,
Dało wam oręż przeciw mego syna?—
Zkąd prawo wasze? W czém jest jego wina
Przeciw bądźkomu, prócz mnie?—Obłudnicy!
Chcecie świat mamić słowy barwionemi.
Lecz czyż świat nie wié, że jak rozbójnicy
Przyszliście dzielić łupy cudzéj ziemi,
Lać krew dla zysku?—Ha! a tenże książę,
Co sobie imię Dobrego wykłamał!
Z wrogiem na własną ojczyznę się wiąże,
Ziomkom, królowi, Bogu wiarę złamał,
Przez co?—Przez zemstę?—Nieprawda!—Przez chci-
[wość,
Przez zazdrość tylko!—A słuchać was przecie:
Co trzecie słowo w ustach Sprawiedliwość,
Choć czyn wasz każdy woła, że kłamiecie!—
Ja—ja przynajmniéj obłudą się brzydzę,
I gardzę wami!—Lubię wolność moję.
Mam krew, mam serce; kocham, nienawidzę—
Lecz jaką jestem, wyznać się nie boję.

Talbot.

Téj sławy, Pani! nikt ci nie zaprzeczy.

Izabella.

I nie przed wami będę się tłómaczyć!
Uczucie dla was, jest słowem bez rzeczy.—
Żegnam was!—oby nigdy nie zobaczyć!—

(Odchodzi).

SCENA III.

TALBOT, FILIP, LIONEL.

TALBOT (*patrząc za odchodzącą*).

To mi niewiasta!

LIONEL.

A teraz, czas drogi!
Radźcie, co czynić, co przedsięwziąć mamy?
Cofać się?—czyli ochłonąwszy z trwogi,
Iść wstecz, wczorajszéj powetować plamy?

FILIP.

Nadtośmy słabi, popłoch nazbyt świeży!

TALBOT.

Popłoch ten powstał z płonnéj wyobraźni:
Lecz niech się z widmem oko w oko zmierzy,
Żołnierz przesądnéj wnet zbędzie bojaźni.
Moja więc rada—dodawszy odwagi,
Zgromadzić wojsko, i wieść do rozprawy.

FILIP.

Rozważcie tylko!—

LIONEL.

Co tu do rozwagi?
Gdy trzeba umrzeć, lub pomścić niesławy.

TALBOT.

Tak jest—stanęło!—Z piérwszych kurów pianiem
Wrócim za rzekę, na spotkanie wroga.
Ja sam najpiérwszy, z tém widmem szataniém
Zmierzyć się muszę;—i z pomocą Boga,
Czy się mnie czekać odważy szalona:
Ufam, że skończy swe gusła i czary:
Czy pierzchać będzie: wojsko się przekona
Jak zabobonnéj ulękło się mary.

LIONEL.

Nie, nie!—mnie, wodzu! zostaw bój ten łatwy!
A ja ci ręczę—bez dobycia broni,
W obec wojsk obu, ten postrach dla dziatwy,
Jak lalkę, żywcem uniosę w méj dłoni.

FILIP.

Wieleś obiecał!

TALBOT.

Ze mną pojedynek.
Nie tak łagodne wróży jéj uściski.—
Lecz czas, wodzowie! czas pójść na spoczynek!
O świcie w drogę—a świt już jest bliski.

(Odchodzą).

SCENA IV.

(JOANNA z chorągwią i z mieczem w ręku, w hełmie i pancerzu, z resztą po niewieściemu ubrana. DUNOIS, LA HIRE,

RYCERZE i wojsko, ukazują się na wierzchołku skał; zstępują zwolna i coraz przybywają na scenę).

JOANNA.

(*do Rycerzy, którzy ją otaczają*).

Skały przebyte!—tu są ich obozy.
Na nic nam teraz noc i tajemnica!
Niech z trąb i z piersi, głos śmierci i zgrozy
Zbudzi ich!—Hasłem, jest: Bóg i Dziewica!

WSZYSCY (*uderzając mieczami o tarcze*).

Bóg i Dziewica!

(*Trąby i kotły*).

STRAŻE (*za sceną*).

Do broni! do broni!

JOANNA.

A teraz ognia! zapalić namioty!
Przy blasku łuny, gdy ich strach rozgoni,
Wpadną nam oślep na miecze i groty.
Za mną!

DUNOIS (*zatrzymując ją*).

Joanno! uczyniłaś swoje!
Przewiodłaś wojsko niedeptanym szlakiem.
Nam teraz zostaw krwawe kończyć boje.

LA HIRE.

Przodkuj przed nami ze zwycięztwa znakiem,
Lecz nie bierz sama zabójczego miecza!

Los wojny ślepy i modłów nie słucha.
Dość nas, gdzie siła wystarczy człowiecza.

JOANNA.

Kto mi śmie radzić? kto wstrzymywać ducha,
Co mnie prowadzi?—W nim wasze zwycięztwo!
Strzała tam leci, gdzie ją wypuszczono:
Ja tam iść muszę, gdzie niebezpieczeństwo!—
Nie tu, nie dziś mi zginąć przeznaczono!
Póki wróg w kraju, a król nie na tronie,
Ten, co mię posłał, walczy w méj obronie.

(*Odchodzi; za nią Rycerze i wojsko*).

LA HIRE (*odchodząc, do* DUNOIS).

Dunois! bądźmy blizko ku odsieczy
I puklerz dla niéj złóżmy z naszych mieczy.

SCENA V.

ANGIELSCY ŻOŁNIERZE (uciekają przez scenę), potém TALBOT.

ŻOŁNIERZ PIÉRWSZY.

Śmierć, śmierć nam wszystkim! Dziewica w obozie!

ŻOŁNIERZ DRUGI.

To niepodobna!—Śród skał? o téj porze?...

ŻOŁNIERZ TRZECI.

Z obłoków spadła na ognistym wozie.

Żołnierz Piérwszy.

Nie walczyć z djabłem!

Inni Żołnierze (*wbiegają krzycząc*).

Ratuj się, kto może!

(*Wszyscy uciekają*).

Talbot (*wbiegając z mieczem w ręku*).

Stójcie!—Nie słyszą!—Strach pozbył wędzidła.
Stargany urok czci i posłuszeństwa!
Jak gdyby piekło swe wszystkie straszydła
Rzuciło w pogoń: jeden wir szaleństwa
Ogarnął wszystkich;—mężny i nikczemny
Pierzcha zarówno;—z nizkąd do oręża
Garstki nie zebrać;—głos wodzów daremny.
Wróg bez oporu pali i zwycięża!—
Jaż tylko jeden pomiędzy wszystkimi
Zdrowe mam zmysły? Mnież jednego pali
Wstyd za ich wszystkich?—Uciekać przed tymi,
Cośmy w dwudziestu bitwach pokonali!...
I któż jest ona? nietknięta żelazem,
Niezwyciężona! na czyj wzrok Gorgony,
Najśmielsi nasi kamienieją głazem,
A lwią odwagą tchnie Frank ośmielony?—
Kuglarkaż cudów kłamanych obrazem
Wydrze mi z ręku tylu zwycięztw plony?
Moc bohaterów złamie czarownica?..

Żołnierz (*wpadając zadyszany*).

Dziewica!—Wodzu! ratuj się! Dziewica!

Talbot (*przebija go*).

Ha! nikczemniku! masz za twą przestrogę!

(*wstrząsając mieczem do góry*).

I śmierć każdemu, co roznosi trwogę!

(*Odchodzi*).

SCENA IV.

Teatr wystawia rozległy widok; widać obóz angielski w płomieniach.—Głos trąb—ucieczka i pogoń.

Montgomery (*wbiega z przestrachem*).

Gdzież się udam? nieszczęsny! jak ujdę pogoni?
Tu wódz zapamiętały, z krwawym mieczem w dłoni,
Grozi swoim, i gwałtem zwraca na miecz wroga
Tam Ona! Niepożyta, jak mór i pożoga,
Szerzy śmierć!—O! ja nędzny! o! na cóż mi było
Iść za burzliwe morze!—Serce mię łudziło
Nadzieją łatwéj sławy na francuzkiéj wojnie.
A teraz!—O! czemużem nie został spokojnie
W domu moim rodzinnym! gdzie mię matka tkliwa
Płacząc zatrzymać chciała: gdzie mię próżno wzywa
Marya moja!...

Joanna (*ukazuje się w oddaleniu*).

Przebóg! to ona!—Z płomieni,

Na tle czerwonéj łuny, wznosi się śród cieni.
Jak z gorejących piekieł czarne widmo nocy!—
Zajrzała mię!—w méj duszy czuję wzrok jéj mocy.
Biada mi!—Nogi moje w pętach jéj uroku
Wikłają się i mdleją: wzrok mój w jéj widoku
Utkwił zaczarowany.—O! straszne katusze!
Bać się śmierci, i wiedzieć, że ją ponieść muszę!—

(Joanna *postępuje nieco ku niemu i zatrzymuje się*).

Zbliża się!—Precz odemnie nieszczęśliwa broni!
Miecz mój jéj nie pożyje, tarcz mię nie zasłoni;
Moc piekieł walczy przez nią!—Lecz przecież ma du-
[szę,
Jest niewiastą:—w jéj sercu może litość wzruszę.

(*Rzuca na ziemię miecz i tarczę i chce iść na spotkanie.* Joanna *szybko zbliża się ku niemu*).

SCENA VII.

JOANNA, MONTGOMERY.

Joanna.

Zginąłeś! krew angielska w żyłach twoich płynie.

Montgomery (*padając na kolana*).

Wstrzymaj się!—jam bezbronny!—u nóg twych jedy-
[nie
Chcę błagać ocalenia.—Widzisz młodość moję,
Ulituj się!—Raz piérwszy wyszedłem na boje,
Czcza chwała mię uwiodła.—Przebacz méj młodości!

Weź mię jeńcem!—Mój ojciec, pan bogatych włości,
W pięknym Walii kraju, nad brzegiem Sawerny.
Da złota ile zechcesz, da okup niezmierny.
Gdy się dowié, że żywy uszedłem pogromu.—
Jam syn jego jedyny, ostatni szczep domu!

Joanna.

Nieszczęsny! zły twój Anioł dał cię w moje ręce!
Prędzéjbyś w krokodyléj ocalał paszczęce,
W szponach tygrysich; litość wyżebrał u lwicy,
Dzieci jéj wprzód zabiwszy!—Lecz kto miecz Dziewicy
Ujrzał—ten zginąć musi.—Próżna twa otucha!
Jam nie jest z tego świata:—wyższa wola ducha
Rządzi mną, nieugięta;—nie może ujść żywy.
Kogo mi raz w moc poda wojny Bóg straszliwy.

Montgomery.

Dzika jest mowa twoja—lecz słodycz oblicza
Pociąga mię ku tobie; piękność twa dziewicza
Nie wróży okrucieństwa.—Przez litość płci twojéj.
Zbaw mię, miej miłosierdzie!

Joanna.

Nie wzywaj płci mojéj,
Nie myśl, żem jest niewiastą!—Jam jest duch bez ciała.
Ślepe narzędzie woli, co mi iść kazała
Krew przelewać na ziemi.—Żadna płeć nie moją!—
Gotuj się umrzeć!—serca nie ma pod tą zbroją.

MONTGOMERY.

O! przez świętéj miłości wszechmogące prawo,
Które Bóg wlał w nas wszystkich—cofnij dłoń twą
[krwawą!
Jam zaręczony w kraju!—W piérwszéj wiośnie życia,
Piękna, jak ty, Anielska! mojego przybycia
Czeka w domu kochanka.—O! jeśliś już może
Doznała co jest miłość; jeżeli, jak wróżę,
Pragniesz szczęścia przez miłość:—nie rozdzielaj srogo
Dwójga serc, co bez siebie wzajem żyć nie mogą!

JOANNA.

Obcych mi wzywasz bożyszcz, których ja świętości
Nie znam, ani potęgi.—Nie w imię miłości
Ubłagasz mię:—jéj ogień byłby zbrodnią we mnie.—
Walcz jak mąż, i umieraj!—bo żebrzesz daremnie.

MONTGOMERY.

A więc w imię rodziców! zlituj się nad memi!
W opustoszałym domu, laty sędziwemi
Schyleni, tęsknią po mnie.—Ach! tyś sama pewnie
Zostawiła rodziców, co cię płaczą rzewnie.

JOANNA.

Nieszczęsny! przypomniałeś, ile u nas matek
Pozostało bez dzieci; ile małych dziatek
Sierotami bez ojców; ile wdów strapionych,
Ile łez nieotartych i serc zakrwawionych
Miecz wasz u nas uczynił!—Ha! teraz doświadczą

Żony wasze i matki, z jaką my rozpaczą
Płakałyśmy nad krajem i braćmi naszemi!

MONTGOMERY.

O! jak ciężko umierać nie na swojéj ziemi!

JOANNA.

Któż was wezwał na cudzą? by jéj bujne łany
Kopytami tratować? by pod dach słomiany
Nizkiéj chaty rolnika, i w zamożne grody
Nieść ogień i żelazo? i z naszéj swobody
Urągać się? i swoich narzucać nam króli?—
Myśléliście, zuchwali! że jarzmo niewoli
Zegnie nas i poniży; że kraj dawnéj sławy,
Przywiążecie jak łódkę do swéj hardéj nawy!
Nie wiedzieliście, głupi! że nasz herb królewski
Tkwi u stóp tronu Boga; że wprzód sklep niebieski
Z gwiazd wam obrać, niżeli jeden zagon żyzny,
Jedną wioskę od naszéj oderwać ojczyzny!—
Ale przyszedł dzień zemsty!—Żaden z was przez [wodę
Wielkiego morza— które, jak wieczną przegrodę
Bóg między nas położył, a wyście złamali—
Żaden żywy nie wróci!— Broń się! muszę daléj.

MONTGOMERY.

Teraz czuję że umrę:—błagać cię daremnie!

JOANNA *(łagodnie)*.

Tak! lecz umrzyj jak rycerz! Po co drżeć nikczemnie
Przed śmiercią, przed konieczną?—Los nasz w ręku [Boga.

Patrz na mnie! któż ja jestem? Pasterka uboga,
Słaba dziewica;—dłoń ma nienawykła broni.
Przecież z cichego domu, z samotnéj ustroni
Wyrwana—z łona ojca, z sióstr kochanych grona,
Muszę tutaj—nie swoją wolą prowadzona,
Wam na zgubę, i sobie nie na radość—muszę,
Być jak widmem postrachu; zatwardzić mą duszę,
Brodzić we krwi, i w końcu nie ujść śmierci grotu.
Bo nie błyśnie i dla mnie miły dzień powrótu
Do méj strzechy rodzinnéj!—Wiele jeszcze, wiele,
Wdów na mnie płakać będzie; wielu z was uś ielę
Łoże w zimnéj mogile:—lecz i mnie dosięże
Dłoń mego przeznaczenia.—Bierz więc swe oręże,
Broń się! walcz!—Nie unikniesz, co ci Bóg przeznacza.
Lecz biada nędznikowi, co drży i rozpacza!—

MONTGOMERY (*porywając się z ziemi*).

Ha! gdyś i ty śmiertelna, gdy cię dłoń człowiecza
Dosiądz może:—obaczym, czy dla mego miecza
Bóg nie przeznaczył chwały posłać cię do piekła!—
Ja teraz pragnę boju!—ja, Furyo wściekła!
Ja! i Bóg mi jest wsparciem!—W Nim moja otucha!—
Ty broń się, i zwij w pomoc piekielnego ducha!

(*Porywa miecz i tarczę. Walczą.—Montgomery upada*).

SCENA VIII.

JOANNA (*sama*).

Stało się! Przeznaczenie, nie jam go zabiła!

(*Oddala się od niego i stoi w zamyśleniu. Po pauzie*).

Duchu! jakżeś ty straszny! jak twa dziwna siła
Potężnie działa we mnie!—W dłoni méj, tyś męztwo;
W sumieniu, tyś powinność; w sercu, okrucieństwo!—
Dusza płacze z litości—dłoń drży, jakby miała
Burzyć ołtarz w świątyni: gdy ze krwi i z ciała
Stanie przed nią przeciwnik: a wiém, że upadnie,
Że krew lunie mu z piersi, że twarz śmiercią zbladnie!—
Sam błysk miecza mię trwoży, jak łyskanie nieba,
Poprzednicze piorunu;—a jednak, gdy trzeba,
Czuję w sobie moc cudzą, i w méj dłoni drżącéj,
Miecz zabija sam przez się, jakby duch żyjący.

SCENA IX.

JOANNA I RYCERZ (ze spuszczoną przyłbicą).

RYCERZ.

Ha! tużeś wreście, posłanko szatana!
Tu kres twych guseł, i próżna ich siła!
Broń się, przeklęta! i do swego pana
Idź po zapłatę, za złe, coś zbroiła.

JOANNA.

Szaleńcze! na śmierć idziesz w moje ręce.—
Lecz tyś nie Anglik! tyś syn naszéj ziemi!
Burgundzkie barwy i herby książęce!...
Ostrz mego miecza schyla się przed niemi.

RYCERZ.

Ty mi pochlebiasz, piekielna Megero!
Broń się!—Choć czuję, że za twe zaklęcia,

Umrzeć ci raczéj pod kata siekierą,
A nie pod mieczem Burgundzkiego księcia.

JOANNA.

Tyś więc ów książę?

RYCERZ (*podnosząc przyłbicę*).

Jam jest, na twą zgubę.—
Gmin dotąd pierzchał przed twoim orężem,
Lecz nie mnie zwiodą twoje kłamstwa grube—
Mąż jest przed tobą!

SCENA X.

CIŻ, DUNOIS I LA HIRE (wpadając nagle).

DUNOIS.

Mąż niech walczy z mężem,
Nie z niewiastami!

LA HIRE.

Nim świętéj Dziewicy
Skroni dosięgniesz, nas wprzód zabić trzeba.

FILIP.

Nie ja się zlęknę guseł czarownicy,
Ni was, co dla niéj zrzekliście się Nieba! —
Lecz wstyd ci wieczny, synu Orleana!
Wstyd ci, La Hirze! że swój miecz zwycięzki
Czynicie tarczą sprośnych sztuk szatana,
A z siebie giermków wiedmy czarnoksięzkiéj!

Pogardzam wami, i czekam.—Do broni!
Z kim Bóg, ten w czarta nie będzie jassyrze.

(*Wszyscy gotują się do walki* JOANNA *staje w pośrodku*).

JOANNA.

Stójcie!

FILIP.

Ha! nędzna! strach ci mojéj dłoni!

(*naciera na* DUNOIS)

Broń się, bo zginiesz!

JOANNA.

Rozłącz ich, La Hirze!
Dość już z obu stron bratniéj krwi przelano,
Dość!—lecz nie oręż tę walkę rozstrzygnie.
Inaczéj o tém w gwiazdach napisano!
I biada temu, kto go piérwszy dźwignie!
Kto nie uwierzy, i kto nie usłucha
Z ust moich głosu wszechmocnego ducha!

DUNOIS.

Poco wstrzymujesz cios mój sprawiedliwy?
Krew niechaj zdrajcy wstyd Francyi zmaże!

JOANNA

(*rozłączając ich, staje znowu w pośrodku*).

Złóżcie broń! mówię.—Bóg, Pan litościwy,
Nie chce krwi waszéj—mnie z nim mówić każe.

(*do* Filipa).

Co chcesz? Filipie! zważ, i przeciw komu
Stoisz z orężem w bratobójczéj dłoni?—
On, jak ty, książę francuzkiego domu,
On jest twój ziomek, i towarzysz broni!
Jam téż nie obca—córka jednéj ziemi.
Wszyscy, na których następujesz głowę,
Twoi są.—Powróć, stań pomiędzy niemi,
A poznasz wszystkich!—Serca ich gotowe
Kochać cię; ręce uściskać; kolana
Zgiąć się przed tobą;—bo nawet w potrzebie,
Święta nam w tobie krew naszego Pana,
Oręż nasz ostrza mieć nie śmie dla ciebie!—
O! pójdź! wróć do nas!—Czyż dla cię bez ceny
Są cześć i miłość—serc najdroższe dary?—

Filip.

Dość, dość, obłudna! Śpiew zdradnéj Syreny
Insze w głąb piekła niech wabi ofiary!
Mnie nie ułudzą szatańskie mamidła,
Przezorny rozum zatkał moje uszy;
I oczu twoich zalotnicze sidła,
Jak z gładkiéj zbroi, zemkną się z méj duszy!—
Teraz my z sobą!—Dunois! do broni!
Mąż z mężem walczy żelazem, nie słowy.

Dunois.

Złą snać ma sprawę, kto się prawdy chroni.
Wysłuchaj piérwéj!—Jam zawsze gotowy.

Joanna.

Patrz wkoło, Książę! i sądź, czy nas trwoga,
Czy nas potrzeba u stóp twoich zgina?
Jednėm płomieniem gore obóz wroga,
Trupem się jego zasłała równina;
Głos trąb wojenych, jako piorun Boga,
Rozprasza resztę:—naszą jest godzina!
Jako zwycięzcy, sławą i weselem
Chcemy się z dawnym dzielić przyjacielem.—
O! wracaj do nas! Dość mściwėj niechęci!
Z nami jest słuszność i błogosławieństwo.
Wy nie widzicie—lecz Duchowie święci
Walczą za nami!—Bóg nam dał zwycięztwo!
Bóg ci przezemnie swą wolę ogłasza,
Przezemnie'ć Jego chce dźwignąć prawica.—
Jako ten nasz sztandar, biała sprawa nasza;
Godłem i hasłem jėj—Bóg i Dziewica!

Filip (*na stronie*).

Umiem znać kłamstwa mamiące wykręty,
Ale jėj mowa prosta jest jak dziecka!—
Czyżby i pozór niewinności święty
Wykłamać mogła piekieł moc zdradziecka?—
Nie słucham więcėj!—Dunois! do broni!
Ucho me, czuję, jest słabsze od dłoni.

Joanna.

Zwiesz mię szatanką! Szatańskież to dzieło,
Rozbrajać zemstę, koić serc trucizny?

Piekłoż chce zgody? Onoż mię natchnęło
Żądzą pokoju, miłością ojczyzny?—
Lub się więc zmienił porządek natury,
Że dobrą sprawę wśpierać muszą piekła:
Albo—jeżeli jest prawdą, com rzekła,—
Zkąd me natchnienie, jeżeli nie z góry?
Kto zstąpił ku mnie, ku biednéj pasterce,
I męztwo w piersiach dziewicy rozniecił?
Nadludzki zamiar tchnął w dziecinne serce,
I duszę światłem nadziemskiém oświecił?—
Jam nie wzrastała przed królów obliczem,
Obca mym ustom sztuka słów mamiąca;
Przecież gdy trzeba—gdy tchem tajemniczym
Duch mię owionie:—jakby w blasku słońca
Widzę przed sobą cały świat widomy,
Wiém wszystkie rzeczy:—czuję mimowoli
Przeszłość i przyszłość narodów i króli—
A słowa moje wstrząsają jak gromy.

FILIP.

Co mi się dzieje? co za dziwna zmiana!
Moc-że to czarów to wzruszenie budzi?—
Nie!—ta mię postać, ten mię wzrok nie łudzi!
Serce mi mówi:—Tyś z Nieba zesłana!

JOANNA.

On już wzruszony! stało się! wzruszony!—
Twoja w tém, Panie! a nie moja siła!—

Chmura się gniewu we łzy roztopiła.
Pogodą serca świeci wzrok natchniony!—
Precz z tym orężem!—łączmy łzy ze łzami!
On płacze!— Boże! dzięki Ci!—On z nami!

(Miecz i chorągiew wypadają z jéj dłoni; bieży do Księcia i ściska go. Dunois *i* La Hire *rzucają również miecze. i śpieszą uściskać Księcia).*

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

(Obóz królewski w Chalons nad Màrną).

SCENA I.

DUNOIS, LA HIRE.

DUNOIS.

Jesteśmy bracia, towarzysze broni;
Tyleśmy razem wspólnéj krwi przeleli,
Nierozerwani w złéj i dobréj toni —
Nas-że dziś miłość kobiéty rozdzieli?

LA HIRE.

Posłuchaj, Książę!

DUNOIS.

Wiém, kochasz Dziewicę,
Idziesz twą miłość objawić królowi,
Prosić go o nię.—Król ci nie odmówi;

Król zna twą wierność, twą dzielną prawicę.
Lecz ja—wiedz o tém!—wprzód niźli ją cudzą
Ujrzę, La Hirze!...

LA HIRE.

Wysłuchaj mię, Książę!

DUNOIS.

Nie wdzięki lica oczy moje łudzą,
Nie płochy urok serce moje wiąże.
Serce to w bojach zdziczałe od młodu,
Ze strzał miłości urąga pod zbroją.
Lecz ta cudowna zbawczyni narodu,
Ta bohaterka — ta być musi moją!
Przysiągłem sobie przed obliczem Nieba,
Bo siłę tylko zdoła pojąć siła;
A w duszy mojéj czuję, że jéj trzeba
Współczucia drugiéj—coby równą była.

LA HIRE.

Któżby twych zasług był tak nieświadomy,
Iżby śmiał z tobą stawać do zawodu? —
Ale zważ, Książę! czy stan jéj poziomy
Godzien jest twego imienia i rodu?

DUNOIS.

Mojego rodu? Ona jest dziecięciem
Boskiéj natury, śród ziemskich padołów!
Onażby równać nie śmiała się z księciem,
Oblubienica niebieskich Aniołów?

Którą nad wszystkie ziemskich koron blaski,
Otacza jaśniéj święty promień Łaski;
Co wszelką wielkość, wszelką jasność ziemi,
Widzi poziomą pod stopami swemi?—
O! tam, gdzie ona, na niedoścignionéj
Swéj wysokości, świeci śród gwiazd koła,
Tam—weź za szczeble wszystkie świata trony,
Dójść nie potrafisz—bez skrzydeł Anioła!

La Hire.

Król więc rozstrzygnie.

Dunois.

Nie! jéj własna wola.—
Ona, co wolność wróciła krajowi.
O losie swoim niech sama stanowi!—

SCENA II.

CIŻ, KRÓL, ARCYBISKUP, AGNIESZKA SOREL, DU CHATEL, CHATILLON.

Król (*do Chatillona*).

Sam więc przybędzie uznać mię za króla?
Hołd mi swój złożyć?

Chatillon.

Dziś jeszcze tu stanie.
Wysłał mię przodem, ażebym ci, Panie!
Niósł jego lenną cześć i pozdrowienie.

AGNIESZKA.

O! piękne słońce dnia! co nam przynosi
Pokój i zgodę, i krzywd przebaczenie!

CHATILLON.

Dwiestu rycerzy składa orszak księcia,
Z nimi przed tobą kolano uniży.
Rozumie jednak, że gdy się już zbliży,
Ty jak brat brata przyjmiesz go w objęcia.

KRÓL.

Niczego w życiu nie pragnę goręcéj.

CHATILLON.

Książę też prosi, by o tém, co było,
Teraz i nigdy nie wspominać więcéj.

KRÓL.

Serce mu moje wszystko przebaczyło.

CHATILLON.

Przebaczyć równie raczysz wszystkim, którzy
Z nim przeciw tobie śmieli podnieść bronie.

KRÓL.

Francya wszystkim serce swe otworzy,
Wszystkich jak dzieci przytuli na łonie.

CHATILLON.

Z matką też twoją, jeśli żądać będzie,
Przyzwolić, Panie! zechcesz na ugodę.

Król.

Oby chęć syna mieć chciała na względzie!
Ona to ze mną, nie ja z nią spór wiodę.

Chatillon.

Dwunastu świadków z piérwszych mężów kraju,
Z obu stron wspólne zaręczą przymierze.

Król.

Niech i tak będzie.

Chatillon.

A podług zwyczaju,
Gdy Arcybiskup, przy świętéj ofierze,
Między was jedną hostyą rozdzieli,
Sami przysięgą stwierdzicie układy.

Król.

Niech mi tak święci pomogą Anieli,
Jak w sercu mojém nie ma cienia zdrady! —
Cóż jeszcze książę żąda po mnie?

Chatillon.

Panie!
Widzę tu męża, którego spotkanie
Mogłoby zatruć piérwszych wzruszeń chwile.

Król.

Rozumiem.

(*do* Du Chatela).

Musisz odejść, Du Chatelu!

(Du Chatel *oddala się w milczeniu.* Król *przeprowadza go oczyma, nakoniec śpieszy za nim i ściska go*).

Nie miej mi za złe!—Ach! ty mi nie tyle
Poświęcić chciałeś, wierny przyjacielu!

(Du Chatel *odchodzi*).

(Chatillon *podając zwój pargaminowy*).

Resztę warunków ten pargamin mieści.

Król.

Przyjmuję wszystkie, nie badając treści.
Zwrót przyjaciela cóż godnie opłaci?—

(*do* Dunois i La Hire).

Wy ze stem jeźdzców idźcie spotkać braci!
Hełmy swe kwieciem niech stroją żołnierze,
A miasto postać godową przybierze:
Podczas gdy święty głos dzwonów ogłosi,
Że Burgund pokój Francyi przynosi!—

(*Głos trąb za sceną.* Paż *wchodzi*).

Cóż to jest?

Paż.

Książę Burgundzki przybywa.

Dunois.

Śpieszmy go spotkać!

(*Odchodzi z* Lą Hirem i Chatillonem).

AGNIESZKA.

O! chwilo szczęśliwa!

KRÓL.

Ty płaczesz, luba!—Ach! i we mnie serce
Ściska się, myśląc, ile krwi rodzinnéj,
Ile łez przelać musiał lud niewinny,
Nim on kres bratniéj położył roztercе.—
Lecz nie dziś o tém!—Dzień po nocy błyska,
Po burzy słońce i nam zajaśnieje.

ARCYBISKUP (*patrząc przez okno*).

Co za tłum!—Orszak ledwo się przeciska.—
Otóż i Filip!—Lud nakształt mrowiska
Kupi się w koło—z radości szaleje.
Klęczą przed koniem, podnoszą ramiona—
Ha! cóż to?—z konia porwali na ręce!
Niosą w tryumfie!—a kwiaty i wieńce
Zaćmiły niebo jak chmura zielona.

KRÓL.

Dobry lud! jakże prędko zapomina
Krzywd swych i kraju; krwi ojców i dzieci!
Miłość się jego, jak gniew, ogniem nieci,
Wszystkiém dla niego obecna godzina!—

(*do* AGNIESZKI).

Dość łez, najmilsza! uzbrój serce w stałość,
Wróć pokój twarzy!—bo wszystko w téj porze,
Zbyteczna radość, jak zbyteczna żałość,
Równie go zdraźnić lub zawstydzić może.

SCENA III.

CIŻ, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, CHATILLON,
i dwaj inni Rycerze z orszaku Księcia.

(FILIP *zatrzymuje się w miejscu;* KRÓL *porusza się ku niemu, ale go Książę uprzedza, i w chwili, gdy chce ugiąć przed nim kolano,* KRÓL *przyjmuje go w swe objęcia*).

KRÓL.

Pośpiech twój tylko uprzedził nas, Książę!
Chciałem cię spotkać:—lecz szybkie masz konie.

FILIP.

Nie dziw! do mojéj powinności dążę.

(*ściska i całuje w czoło* AGNIESZKĘ).

Wybacz, kuzynko! ale w mojéj stronie,
Jest to obyczaj, któremu bez sporu
Piękność ulega.

KRÓL.

Podług naszych wieści,
Na dworze twoim szukać trzeba wzoru
Wdzięcznéj godności i krasy niewieściéj.

FILIP.

Ze wszystkich skarbów Burgundzkiéj krainy,
To jest najdroższe, czém ją Niebo darzy.

Król.

Lecz ty sam, Książę! przyznaj się do winy,
Albo się musisz oczyścić z potwarzy:
Że lekce ważąc miłość i jéj wiarę,
Nie wierzysz w wierność.

Filip.

Najcięższą swą karę
Ma samo w sobie każde odszczepieństwo!—
Błogo ci, Królu! żeś się w tém z natchnienia
Pięknego serca, ustrzegł doświadczenia!

(*Postrzegając* Arcybiskupa).

Witaj, Pasterzu! twe błogosławieństwo
Niech stwierdzi węzły braterskiego związku!—
Dawnom cię widział:—bo chcąc spotkać ciebie,
Trzeba iść, widzę, drogą obowiązku.

Arcybiskup.

O! dniu radośny! teraz mię do siebie
Pan niech powoła!—Cóżbym więcéj żądał
Widzieć na ziemi, gdym ten dzień oglądał?—

Filip (*do* Agnieszki).

Mówią, kuzynko! żeś swe dyamenty
Przedać kazała, by mię ścigać zbrojnie.—
O! nie wiedziałem, że duch tak zawzięty
Mieszka w twém sercu —Lecz już koniec wojnie!
Wraca się wszystko, co było stracone:
Pociechy serca, i ozdoby stroju.—
Patrz! twe klejnoty są téż znalezione!...

(bierze z rąk Dworzanina szkatułkę i podaje ją AGNIESZCE*).*

Na wojnę ze mną były przeznaczone.
Przyjm je odemnie za godło pokoju!—

(AGNIESZKA *waha się, poglądając na* KRÓLA).

KRÓL.

Przyjm! jest to zakład podwójnéj świętości:
Braterskiéj zgody, i szczeréj miłości.

(AGNIESZKA *płacząc usuwa się na stronę;* KRÓL *i wszyscy mocno wzruszeni*).

FILIP.

(Spójrzawszy po kolei na wszystkich, rzuca się w objęcia KRÓLA).

Królu mój!

(W tejże chwili trzej Burgundzcy rycerze ściskają się z ARCYBISKUPEM, DUNOIS i LA HIREM. KRÓL *i* FILIP *pozostają przez czas niejaki we wzajemnych uściskach*).

FILIP *(po pauzie).*

Jaż cię mogłem nienawidziéć?
Ja wroga twoją uwieńczyć koroną?...

KRÓL *(przerywając).*

Dość!

FILIP.

Nie!—Występek powinien się wstydzić.

KRÓL.

Dość!—Wszystko przeszło—wszystko przebaczono!—
Był to błąd losu—wpływ gwiazdy złowrogiéj.

FILIP.

Naprawię wszystko, wierzaj mi, naprawię!
Francyą całą złożę pod twe nogi:
Żadnéj wsi, żadnéj lepianki ubogiéj
Nie będzie braknąć twych przodków dzierżawie!—

KRÓL.

Gdyśmy złączeni, któż nas zachwiać zdoła?—

FILIP.

Ah! nie wiész, Królu! jak cięźkie zgryzoty
Truły mi duszę śród twych wrogów koła!

(*wskazując na* AGNIESZKĘ).

Czemuś mi tego nie przysłał Anioła?
Samby jéj widok wrócił mię do cnoty.—
Lecz teraz, teraz—żaden podstęp wroga,
Żadna moc piekieł—nic nas nie rozdwoi!
Tutaj się kończy moich błędów droga.
Pokój mój, czuję, jest na piersi twojéj!—

ARCYBISKUP (*stając pomiędzy nimi*).

A więc, Książęta! pokój między wami!
Francya znowu, jak feniks z popiołu,
Wzniesie się—blizny zakryje laurami:
Praca, i ziemia bogata darami,
Wrócą zamożność i miastu, i siołu.

Lecz ci, co przez was i dla was zginęli,
Tysiące ziomków, czyż z mogił swych wstaną?
Lecz łzy, co przez was i dla was wylano,
Któż je powróci tym, co je wyleli?—
Zakwitnie może przyszłe pokolenie,
Lecz przeszłe przez was było łupem zbójców;
Pomyślność synów, nie wskrzesi ich ojców,
Krew ich na wasze opadła sumienie!—
Obyż z niéj przecie wyszła wam przestroga,
By nim spór kiedy zaczniecie orężny,
Pomnieli naprzód na ludzi i Boga!
Bo wojnę łatwo rozkiełzna Potężny.
Lecz wojna nie jest jako sokół, który,
Pojmawszy zdobycz, posłusznemi pióry
Wraca do łowca na dzwonek mosiężny.
Nie! sęp to dziki, co się krwią rozjada,
I gardzi głosem człowieka:—i biada
Tym, co go puszczą!—A nie zawsze z Nieba
Cudowna pomoc zstępuje, gdy trzeba.

Filip.

Tak, Królu! Anioł walczy przy twym boku! —
Lecz gdzież jest ona?

Król (*do otaczających*).

Kędy jest Dziewica?
Czyżby się szczęścia chroniła widoku,
Co nam jéj własna zjednała prawica?—

ARCYBISKUP.

Nie dla niéj, Panie! zgiełk dworskiéj zabawy.
Gdy ją powinność nie woła na bitwy,
Gdy nic nie może dla Francyi sławy,
W ustroniu za nią przesyła modlitwy.
I w Bogu tylko, przez Boga natchniona,
Żyje dla Boga.

DUNOIS.

Lecz otóż i ona.

SCENA IV.

CIŻ I JOANNA.

(w pancerzu, ale bez hełmu, i z wieńcem we włosach).

KRÓL.

Pójdź, pójdź, kapłanko! w tym świątecznym stroju,
Pójdź stwierdzić związek spojony przez ciebie!—

FILIP.

Onaż to? niegdyś tak groźna w potrzebie,
Tak dziś łagodna, jak Anioł pokoju!

(do JOANNY*)*

Widzisz, spełniłem, com obiecał tobie.
Nie wart-żem dzięków?

JOANNA.

O! dziękuj sam sobie!
O! dziękuj Panu! że dziś gwiazdą jasną

Jaśniejesz przed Nim; ty, coś wczoraj jeszcze,
Groźny kometa, nad ojczyzną własną
Rozsiewał światło krwawe i złowieszcze.

(*patrząc dokoła*).

Wszyscy tu, widzę, radzi i weseli,
A tam smutnego spotkałam w przedsieniu,
Co się kryć musi, i szczęścia nie dzieli!

FILIP.

Któż jest tak winnym, że się nie ośmieli
Dziś nawet w naszém ufać przebaczeniu? —

JOANNA.

Możeż on ufać?—O! powiedz, że może!
I niech się w pełni twa zasługa ziści!
Bo gdy chcesz godnie spełnić dzieło Boże,
Pełń je do końca!—Kropla nienawiści
Sam zdrój zbawienia zamienia w truciznę.
Zdaj Miłosierdziu twéj zemsty spuściznę! —

FILIP.

Teraz rozumiem.

JOANNA.

I przebaczysz, Książę? —
Tak, tak! przebaczysz!— Pójdź tu, Du Chatelu!

(*Otwiera drzwi i wprowadza* DU CHATELA, *który zatrzymuje się opodal*).

(*do* FILIPA).

Kto tu odpuścił winowajcom wielu,
Z wielu go grzechów Pan w Niebie rozwiąże.

FILIP.

Joanno! wszystko uczynię dla ciebie,
Ale ty nie wiész, jakiéj chcesz ofiary!

JOANNA.

Wiém, że jak słońce dla wszystkich na Niebie:
Jak rosa z Nieba: jak wszystkie swe dary
Niebo zarówno dla wszystkich swych dzieci:
Tak Miłosierdzie, które jest od Boga,
Na wszystkich spada, i dla wszystkich świeci.
Wiém, że przebaczyć i miłować wroga,
Jest to zwycięztwo nad wszystkie zwycięztwa,
Natchnienie Łaski. Boskość człowieczeństwa!

FILIP.

O! Niepojęta! zkąd ci moc nade mną?

(*do* DU CHATELA).

Zbliż się!—Przebaczam!—Duchu mego ojca!
Przebacz mi równie, że twój wróg zabójca
Ściska dłoń syna, co cię pomścić miała!—
A wy, Bogowie śmierci! których ramię
Sięga szeroko: niech wasz gniew nie pała,
Że wam złożony ślub méj zemsty łamię! —
W waszych tam państwach, gdzie serce nie bije,
Wszystko niezmienne, niezachwiane, wieczne:
Lecz póki człowiek tu czuje i żyje,
Wpływ chwili musi rodzić czucia sprzeczne.

KRÓL (*do* JOANNY).

Com ci nie winien? posłanniczko Boga!
Tyś zawróciła koło méj fortuny;

Ty mi powracasz brata: ty z rąk wroga
Wydzierasz berło; ty wojny pioruny
Gasisz nad nami!—Któryż z ziemskich króli.
Tyle dobrodziejstw, jak warte, odpłaci?

JOANNA.

Bądź ludzkim w szczęściu, jakeś był w niedoli!
Boga za ojca—bliźnich miéj za braci!—
Najuboższemu z pośród twego ludu
Czyń sprawiedliwość; strzeż praw i swobody:
A nie pogardzaj nizkim!—bo od trzody
Bóg tobie zesłał spełnicielkę cudu!—
Francya tobie ukorzy się cała.
I będziesz ojcem królów pokolenia:
I wielka będzie ich moc i ich chwała:
Dopóki pycha serca i myślenia
Nie zbluźni Bogu, i ludem nie wzgardzi.
Bo wtenczas!—wtenczas, i Bóg się zatwardzi,
I zkąd ci pomoc—z pod wieśniaczéj strzechy,
Wyzwie mścicieli za mocarzów grzechy!

FILIP.

Gdy ci otwarte przeznaczenia księgi,
Czytaj z nich, Święta! przyszłość mego domu!

JOANNA.

Obok królewskich tron jego potęgi:
Chce wznieść się wyżéj:—nie lęka się gromu
Boga, ni ludzi.—Grom przecież uderzy,
Grom przeznaczenia!—Lecz się nie bój zbytnie!

Dom twój nie upadł!—Nie z miecza rycerzy.
Z łona dziewicy szczep jego odkwitnie,
I na dwóch tronach, w pełni majestatu,
Króluje, widzę, znajomemu światu,
Ha! i nowemu! który wola Boża
Kryje dziś jeszcze za zasłoną morza!

KRÓL.

O! mów! czy węzeł, co nas dzisiaj wiąże,
W przyszłe też wieki, dwa bratnie narody
Połączać będzie?

JOANNA.

O! Królu! o! Książę!
Mocarze ziemi! strzeżcie się niezgody!
Nie budźcie Jędzy! niech w swych lochach drzemie!
Bo raz zbudzoną, kto zdoła powstrzymać?
Z jadu jéj smocze rozrodzi się plemię,
Z pożaru pożar będzie się rozdymać!—
Dość!—Obłok stanął u przyszłości progu.—
Cieszcie się z dzisiaj, jutro zwierzcie Bogu!

AGNIESZKA.

Święta Dziewico! ty wiész myśli moje,
Powiedz, co przyszłe rokują mi lata?

JOANNA.

Duch widzi tylko wielkie dzieje świata,
Własnym twym losem rządzi serce twoje.

DUNOIS.

Lecz jakież szczęście, jakie ziemskie blaski,
Jaka nagroda będzie godną ciebie?
Ty! coś nam zlała zdrój niebieskiéj łaski!

JOANNA.

Szczęście prawdziwe mieszka z Ojcem w Niebie.

KRÓL.

Lecz dać ci ziemskie, należy do króla.
On cię uczyni celem czci narodu,
On!—I wnet jego dopełni się wola.—
Klęknij, Joanno!

(JOANNA przyklęka, KRÓL dobywa miecza, i uderza ją nim zlekka po ramieniu).

I z nizkości rodu
Wstań!—Ja król, ciebie, i twój ród, i w grobie
Prochy twych przodków, uszlachcam zarazem!
Lilije białe będą herbem tobie,
Jak są cnót twoich godłem i obrazem.
A nikt z rycerzy, ni książąt, przed tobą,
Nikt, prócz krwi królów, nie ma mieć pierwszeństwa
Związek twój będzie najwyższych ozdobą,
A mnie, królowi, zdaj swadźbę małżeństwa!

DUNOIS *(występując).*

Serce ją moje wybrało już wprzódy,
Nimeś ją, Panie! w blask twéj łaski odział.
I jeślim godzien tak wielkiéj nagrody,
By los mój z ręką chciała przyjąć w podział:
Was samych, Królu! i ty mężu Boży!
Wzywam na świadków méj szczeréj przysiędze.

Król (*do Joanny*).

Cuda po cudach Bóg nam w tobie mnoży!
Cóż niepodobném będzie twéj potędze,
Gdy nawet jego—miłości szydercę,
Zhołdować mogłaś?

La Hire (*występując*).

Znam Dziewicy serce,
Piérwszą jéj cnotą jest pokora święta.
I jakbądź warta czci, którą odbiera—
Nie ją ułudzi wielkości ponęta,
Nie od niéj wzgardy dozna miłość szczera.
Więc chociam prosty rycerz—wybacz, Książę!
Wybór jéj serca niech nasz los rozwiąże.

Król.

I ty, La Hirze?—Dziewico! dla Boga!
Ledwieś pomogła przejednać mi wroga,
Chcesz-że poróżnić przyjaciół mych?—Oba
Godni są ciebie;—dla obudwóch jedna
Życzliwość moja.—Po co długa proba?
Mów, kto szczęśliwy, co twe serce zjedna?

Agnieszka.

Nagłość twa, Królu! przeraża Dziewicę.
Rumieniec wstydu widzę na jéj czole.
Daj czas, niech sama zbada tajemnicę
Serca swojego!—Ani ją w tém kole
Wyjawić może.—Zostawcie nas same!
Siostrze przed siostrą powróci swoboda,
Ufność przemoże nieśmiałości tamę.
Wyrok jéj serca, ja ogłoszę.

Król.

Zgoda!

(Chce odchodzić).

Joanna.

Nie, Królu! zostań! Nie rumieniec sromu,
Nie żar miłości czoło moje pali.
Nic do zwierzenia nie mam tu nikomu,
Cobym nie rada, by drudzy słuchali.
Umiem czuć wdzięcznie cześć, co mię spotkała;
Alem nie na to wzięła miecz śmiertelny,
Bym krwią mych bliźnich, sobie kupić miała
Książęcą mitrę, albo mirt weselny.
O! nie! mój Królu!—Wielkie dzieło Boże,
Co mi na ziemi spełnić przeznaczono,
Czysta dziewica tylko spełnić może.—
Żadnemu z mężów nie mogę być żoną.

Arcybiskup.

Azaliż nie wiész, że na ulgę troski
Piérwszemu z mężów, Bóg niewiastę stworzył? —
W głosie natury, jest głos woli Boskiéj.
Gdy dójdziesz celu, co ci Bóg założył,
Rychło, odwykłszy od miecza i zbroi,
Piękniejszy zawód obaczysz przed sobą:
Byś cnót niewieścich dała wzór płci twojéj,
Jak byłaś mężom wzorem i ozdobą.

Joanna.

Ojcze! któż zgadnie przyszłą wolę ducha?
Lecz gdy czsa przyjdzie, a poznam, co trzeba:

Serce go moje z pokorą usłucha.—
Tymczasem spełńmy piérwszą wolę Nieba!
Król nie jest jeszcze pomazańcem Boga,
Olej mu święty nie namaścił czoła;
Do Reims nam drogę zaszło wojsko wroga —
Tam, bracia! za mną! tam powinność woła!—

Król.

Jedna myśl, widzę, rządzi sercem twojém,
Miłość się przed nią ozwać nie ośmiela.
Lecz gdy kraj cały zakwitnie pokojem,
A w serca ludzi wróci duch wesela:
Wierz mi, że wtenczas twe serce niewieście
Wzbudzi też w sobie uczucia dziś śpiące;
I coś zaczęła zbawiając tysiące,
Szczęściem jednego zakończysz nareście.

Joanna.

Delfinie! takżéś syt już Bożéj łaski,
Że chcesz w proch ziemski rzucić jéj narzędzie?
Tak-że cię rażą wyższych światów blaski,
Że ziemię tylko mieć umiesz na względzie?—
O! ślepe serca! ludzie małéj wiary!
Niebo przed wami działa na odkryte;
Cuda po cudach świadczą jego dary,
A wy w tém tylko widzicie—kobiétę!—
Gdzież jest kobiéta? gdzie jest ziemska siła,
Aby uczynić, co Pan przez mię czyni?—
Biadaż mi, biada! gdybym się ważyła
Myśleć o sobie:—i cudu sprawczyni,

Ziemskim rozumem mierzyć moje życie!
Biada wam wszystkim, którzy mię kusicie!
Lecz Pan jest ze mną! On mię wziął w opiekę!...

(urywa nagle—i po chwili woła w natchnieniu):

Słyszę głos Jego!—Do broni, mój Królu!

SCENA V.

CIŻ I RYCERZ.

(wpadając z pośpiechem).

KRÓL.

Cóż nam przynosisz?

RYCERZ.

Wróg przeszedł przez rzekę,
I szyk bojowy rozwija na polu.

JOANNA.

Do broni! mówię.—Dziś kres jego pysze!
Sami na oślep idą w nasze ręce.
Za mną, kto Francuz!

(Wybiega).

KRÓL.

Idźmy, towarzysze!
Niech mą koronę zwycięztwem uświęcę!—
Sam jako żołnierz chcę walczyć na czele.

(do AGNIESZKI*).*

Bądź zdrowa, luba! nie płacz!

AGNIESZKA.

O! nie płaczę,
Nie drżę o ciebie!—Bóg nazbyt już wiele
Uczynił dla nas, by tylko rozpacze
Zsyłać miał w końcu!—Jemu ufam śmiele,
Że cię w Reims dzisiaj zwycięzcą zobaczę.

(Wszyscy odchodzą).

(Słychać głos trąb wojennych, który podczas przemiany dekoracyi, coraz w większą wrzawę przechodzi, naśladując zgiełk i zamięszanie bitwy. Orkiestra łączy się z nim przy otwartéj scenie, wraz z odgłosem wojennych instrumentów za sceną).

SCENA VI.

(Teatr zamienia się w obszerne, otwarte pole, otoczone drzewami. Podczas muzyki widać w głębi szybko przebiegających żołnierzy).

TALBOT wsparty, wsparty na FASTOLFIE i otoczony żołnierzami; wkrótce potém LIONEL.

TALBOT.

Dość!—pod tém drzewem złóż mię, przyjacielu!
Wracaj na bitwę!—Nic mi już nie trzeba,
A umrzeć umiem.

LIONEL *(wchodząc).*

Co widzę?—o! Nieba!

FASTOLF.

Na smutny widok trafiasz, Lionelu!
Wódz nasz umiera.

LIONEL.

Nie daj tego Boże!

(do TALBOTA).

Dziś nam najbardziéj potrzebna twa siła.
Wstań, wodzu! doświadcz, co moc woli może!
Powstań! i rozkaż naturze, by żyła!

TAŁBOT.

Próżno! nie zmienić, co zły los przeznaczy! —
Tron nasz, dźwigniony tylu prac ogromem,
Wali się w gruzy;—próżno bój rozpaczy
Wiodłem do końca;—patrz! rażony gromem
Leżę, bym nie wstał.—Reims jest już stracony,
Brońcie Paryża!

LIONEL.

Paryż sprzymierzony
Z Delfinem;—właśnie odebrałem gońca.

TALBOT *(odrywając zawiązki ran).*

A więc krwi moja, upływaj do końca!
Bo już mi światło obrzydło słoneczne.

LIONEL *(do* FASTOLFA).

Śpiesz unieść wodza na miejsce bezpieczne!
Wróg z całą na nas następuje siłą.

TALBOT.

O! głupstwo gminu! tyś mię zwyciężyło!
Ty!—i nie ludziom walczyć z mocą twoją,
Przed którą same Bogi nie dostoją! —

Lecz ty, rozumie! światło Niebios tronu!
Ty sprawco świata! ty bóstwo człowiecze!
I cóż ty jesteś? gdy szał zabobonu
Porwie cię z sobą, i w przepaść zawlecze?—
Przeklęstwo temu! co w krainie myśli
Szuka wielkości: trwoni moc i lata,
I wierzy planom, gdy je mądrze skréśli! —
Bo szał i głupstwo—to są władzcy świata!

LIONEL.

Przestań, Milordzie! Krótkie są twe chwile.
Myśl o wieczności! pojednaj się z Bogiem!

TALBOT.

Gdybyż przynajmniéj męzkiéj uledz sile,
Upaść w zapasach z godnym siebie wrogiem!... —
Lecz stać się pastwą głupstwa i obłudy—
O! to dotkliwsze od śmierci tysiąca!—
Czyż wszystkie nasze ofiary i trudy
Nie były warte—choć lepszego końca?—

LIONEL

(podając mu rękę).

Żegnaj, Milordzie!—Hołd łez i modlitwy
Złożę ci w czasie, gdy mię los ocali.
Teraz powinność zwie mię na plac bitwy,
Gdzie los ojczyzny waży się na szali.
Żegnaj, Talbocie!—Tak! do powitania
Na lepszym świecie, gdzie nie ma rozstania!

(Odchodzi).

TALBOT.

Stało się! trzeba spłacić dług natury,
Oddać żywiołom, to co z nich powstało!—
Chwila nie minie—a z Talbota, który,
Swiat niegdyś cały napełniał swą chwałą,
Zostanie tylko—proch!—Tak kończy człowiek!
A cała korzyść światła, co dziedziczym,
Jest—że ze wzgardą, przed zawarciem powiek,
Widzim, że wszystko było tylko - niczém!

SCENA VII.

CIZ, KRÓL, FILIP, DUNOIS, DU CHATEL,
i Żołnierze francuzcy.

FILIP.

Zwycięztwo nasze!

KRÓL.
(postrzegając TALBOTA*).*

Patrzcie! ktoś umiera!
Śpieszcie dać pomoc! gdy już nie daremnie.

(Żołnierze francuzcy zbliżają się do umierającego).

FASTOLF
(zastępując im drogę).

Precz ztąd! szanujcie zwłoki bohatera,
Przed którym w życiu drżeliście nikczemnie!

FILIP *(zbliżając się).*

Co widzę? Talbot!

FASTOLF.

Oddal się, Filipie!
Niech zgonu męża wzrok zdrajcy nie brudzi!

(TALBOT *wlepia wzrok w* FILIPA *i kona).*

DUNOIS.

Toż ten, tak ufny w męztwie i dowcipie,
Że za nic ważył i Boga i ludzi?—
Straszny Talbocie! jak ci teraz mało
Ziemi potrzeba!—a dziś jeszcze rano,
Francyi całéj nie dosyć się zdało!—

(do KRÓLA).

Teraz cię królem witać mogę śmiało!
Bo szczęście zawsze groziło odmianą,
Póki duch żywy poruszał to ciało.

KRÓL.

Nie my, moc wyższa zmogła cię, rycerzu!
Na ziemi Franków, jak na swym puklerzu,
Coś i konając nie chciał puścić z dłoni,
Ległeś, byś spoczął!—I ona cię przyjmie
Do swego łona.—Tu, gdzie kres twéj broni,
Tu grób ci wzniesiem;—a samo twe imię,
Sam ten grób, w środku państw naszych dzierżawy,
Stanie za pomnik twych czynów i sławy.

FASTOLF

(zbliża się i oddaje miecz).

Przyjm, Panie!—jestem twym jeńcem.

KRÓL (*nie przyjmując*).

Nie, wcale!
Świętą powinność umiem czcić i w wojnie.

(*do Żołnierzy angielskich*).

Idźcie, i wierni wodza swego chwale,
Cześć mu ostatnią oddajcie spokojnie!—

(FASTOLF *z Żołnierzami odchodzi*).

Ty, Du Chatelu! śpiesz, nie tracąc chwili,
Śpiesz do Agnieszki!—uspokój jéj trwogę!
Powiedz, że żyjem; żeśmy zwyciężyli;
Że ją w Reims czekam.—Ty jéj wskażesz drogę.

(DU CHATEL *odchodzi*).

SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

DUNOIS (*do wchodzącego*).

Gdzież jest Dziewica?

LA HIRE.

Właśnie pytać chciałem.
Przy tobie była w pośród bitwy pola.

DUNOIS.

W twojéj ją straży zostawić mniemałem,
Gdym z jazdą poszedł na obronę króla.

FILIP.

Przed chwilą jeszcze śród zastępów wroga,
Widziałem zdala jéj chorągiew białą.

DUNOIS.

Biada nam! gdzież jest?—Jakaś myśl złowroga
Trwoży mię o nię;—drżę, by nazbyt śmiało
Nie wpadła w tłumy, gdy nikt nie był przy niéj.

KRÓL.

Do broni! śpieszmy na odsiecz zbawczyni!
(Odchodzą).

SCENA IX.

(Inna pusta okolica bitwy. W oddaleniu widać wieże miasta Reims, oświecone słońcem).

*(*RYCERZ *w czarnéj zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, wchodzi cofając się.* JOANNA *ściga za nim aż na przodęk sceny, gdzie on staje i czeka na nią).*

JOANNA.

Ha! nędzny! teraz doszłam twych podstępów!
Chciałeś ocalić resztę twoich braci,
Uwieść mię zdala od waszych zastępów.—
Lecz krew mi twoja tę zdradę zapłaci!

CZARNY RYCERZ.

Po cóż mię ścigasz?—Po coś tak, jak widzę,
Zawzięta na mnie?—

JOANNA.

Bo cię nienawidzę.
Bo jak noc piekieł, którój nosisz barwę,
Sama twa postać wściekłość budzi we mnie. —
Zedrzyj z twéj twarzy tę szatańską larwę,
Co cię mym oczom chce ukryć daremnie!
Mów, ktoś jest?—Gdybym nie widziała w boju,
Jak tuż przedemną, choć nie moim grotem,
Legł mężny Talbot:—z postaci i stroju
Mogłabym wnosić, żeś ty jest Talbotem.

CZARNY RYCERZ.

Nic-że ci wewnątrz nie mówi głos ducha?

JOANNA.

Ha! zkąd wiész o tém, że mi złém zagraża?—
Lecz duch mój tylko głosu Boga słucha!
Groźba złych duchów, czystych nie przeraża.

CZARNY RYCERZ.

Joanno! słuchaj!—Duch ci prawdę wróży.
Oto Reims!—Nie wchódź!—złóż oręż przed bramą!
Szczęście nikomu do końca nie służy —
Puść je od siebie—nim odbiegnie samo!—

JOANNA.

I któż ty jesteś, co mi na pół drogi
Radzisz opuścić nieskończone dzieło?
Mnież to rozumiesz zachwiać widmem trwogi,
Mnie, którą Niebo swém męztwem natchnęło? —

Czarny rycerz.

Siła się tobie nie oprze człowiecza,
Lecz jest moc wyższa, co i tobą władnie.

Joanna.

Żadna, prócz Boskiéj!—i nie złożę miecza,
Aż tron Lankastra w proch się nie rozpadnie.

Czarny rycerz.

Złóż broń! powtarzam—ostrzegam raz jeszcze.
Nie wchódź do miasta!

Joanna.

Milcz, widmo piekielne!
Mów, kto ci natchnął te groźby złowieszcze?
Mów, lub giń!

(podnosi miecz jak do cięcia).

Czarny rycerz

(dotyka ręką Joannę, *która staje nieruchoma).*

Zabij to, co jest śmiertelne!—

*(Nagła ciemność—uderzenie piorunu—*Rycerz *znika).*

Joanna *(z przerażeniem).*

To nie był człowiek!—Zwodna mara piekła
Wyszła z przepaści, by mi zachwiać serce,
Bym się méj świętéj powinności zrzekła!—
Lecz mnież to—Boga mojego rycerce,
Mnież to wszechmocnéj nie ufać potędze?—
O! niech się cała moc piekieł sprzysięże,

Pan mój jest ze mną!—wierna méj przysiędze,
W Nim ufać będę, i przezeń zwyciężę!

(Chce odchodzić).

SCENA X.

LIONEL I JOANNA.

LIONEL (*wchodząc*).

Przeklęta! broń się!—bo jedno z nas obu
Zginąć tu musi.—Krew tysiąca braci,
Szlachetny Talbot z przedwczesnego grobu
Woła o pomstę;—miecz ci mój odpłaci!—
I byś wiedziała, zwodzicielko podła!
Że mię nie splątasz w guseł twoich matni:
Jam jest Lionel—wojska wódz ostatni!—
Walcz! i klnij chwilę, co cię ze mną zwiodła!

(*Walczą.—Po krótkiéj chwili* JOANNA *wytrąca mu miecz z ręki*).

Niewierne szczęście!

(*Pasuje się z nią*).

JOANNA.

(*porywa go lewą ręką za pióro od hełmu i zdziera mu hełm z głowy, tak, że twarz jego odsłania; w prawéj ręce podnosi miecz jak do ciosu*).

Miej więc, czegoś żądał!

(*W téj chwili spogląda mu w oczy; wzrok jego miesza ją nagle i jakby przeraża. Staje nieporuszona, i powoli opuszcza rękę*).

LIONEL.

Uderz, przeklęta!—Próżno będziesz czekać;
Nie przyjdzie nigdy dzień, coby oglądał
Pokorę moję.—Uderz!

(JOANNA *daje mu znak ręką, aby się oddalił*).

Mam uciekać?
Przed tobą?—Nigdy!—Stokroć umrzeć raczéj!

JOANNA

(z odwróconą twarzą).

Nie chcę pamiętać, żeś był w mojéj mocy.

LIONEL.

Nie!—Gardzę tobą! nie chcę twéj pomocy!—

JOANNA.

Zabij mię, a uciekaj!

LIONEL.

Cóż to znaczy?

JOANNA.

(zakrywa twarz rękoma).

Biada mi!

LIONEL.

Mówią, że każdego jeńca
Zabijać zwykłaś.—Czemuż mię jednego
Ocalasz?

JOANNA.

(w gwałtowném poruszeniu podnosi miecz, ale spójrzawszg mu w oczy, znowu go opuszcza).

Boże! wśpieraj mię!

LIONEL.

Jakiego
Smiesz wzywać Boga?—Nasz Bóg nie uświęca
Czarów piekielnych!—

JOANNA
(w najgwałtowniejszéj bolceści).

Cóżem uczyniła!—
Ślub mój złamany!—
(załamuje ręce z rozpaczą).

LIONEL
(spogląda na nią z politowaniem, i zbliża się do niéj).

Co się dzieje : e mną?—
Ty płaczesz!—Jakaś niepojęta siła
Gniew mój rozbraja!—Czuję, że daremno
Chcę nienawidzieć!—Ktoś ty, Tajemnicza?

JOANNA.

Uciekaj! —

LIONEL.

Piękność twojego oblicza
Chwyta mi serce.—Chcę cię zbawić—muszę!
Pójdź ze mną!—zerwij piekielne sojusze!
Rzuć ten miecz!—

JOANNA *(z przerażeniem).*

Ja mam iść z tobą?

LIONEL.

Czas drogi!
Nie trać go!—idźmy!

(pokazując rękojeść swego miecza).

Na to znamię krzyża!
Zaklinam—każę—rzuć ten miecz złowrogi!
Idźmy!

(porywa ją za rękę).

JOANNA.

Co widzę?—Dunois się zbliża!—
Uchodź, nieszczęsny! Czuję, że twéj zguby
Przeżyć nie zdołam.

LIONEL.

Jestżem ci więc luby?

JOANNA.

Święci niebiescy!

LIONEL.

Spotkamyż się jeszcze?

JOANNA.

Nie!—nigdy, nigdy!

LIONEL.

Spotkamy się!—ręczę.
Przeczucia serca nie mylą mię wieszcze.—
Twój miecz na zakład!

(wydziera jéj miecz).

JOANNA.

Co czynisz? szaleńcze!

LIONEL.

Kocham cię!—Ufaj rycerskiemu słowu:
Będę cię szukał—spotkamy się znowu!—
(Odchodzi).

SCENA XI.

LA HIRE, DUNOIS, JOANNA.

LA HIRE.

To ona!—żyje!

DUNOIS.

Wszędzie cię szukamy.

LA HIRE.

(patrząc w stronę gdzie odszedł LIONEL*).*

Któż to uchodzi?—Ha! znam go zdaleka,
To jest Lionel!

DUNOIS.

Mniejsza! niech ucieka!

(do JOANNY*).*

Zwycięztwo nasze! Reims otwiera bramy.
Lud cały tłumnie, z radości wyrazem,
Spotyka króla!—Pójdź z nami, Joanno!

(Podaje jéj rękę. JOANNA *chwieje się i ma upaść).*

LA HIRE (*podchwytując ją*).

Cóż to jest?—Przebóg! Dziewica jest ranną!
Krew jéj upływa!

JOANNA.

Oby z życiem razem!

(*Upada zemdlona na ręce* LA HIRA).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

(*Scena w Reims*).

SCENA I.

(*Wspaniale ozdobiona sala; kolumny otoczone girlandami. Za sceną słychać oboje i flety*).

JOANNA (*sama*).

Umilkł szczęk broni, przeszła groza wojny,
Po krwawych znojach wraca pokój miły.
Do świątyń Pańskich lud tłoczy się strojny,
Ganki i ołtarz kwieciem się okryły.
Wszędzie wesołość, albo wczas spokojny,
Nęcą po mieście lud zdala przybyły:
Reims nie ogarnie niezliczonych gości.
Na wielkie święto chwały i radości.

A wszystkie serca jedném czuciem gorą,
A z wszystkich oczu bije blask wesela.
Co gniew i zemsta dzieliły przed porą,
Razem dziś szczęście i radość podziela.

Frank, co drżał tylko i cierpiał z pokorą,
Olbrzymem wzniósł się nad nieprzyjaciela.
Francya, krusząc pęta swéj niewoli,
Wita na tronie potomka swych króli!

A ja!—ja jedna!—ja, com to zdziałała!
Mnie jednéj szczęście tych wszystkich nie wzrusza!—
Moc potężniejsza serce mi wyrwała,
W obozie wrogów uwięzła ma dusza!—
W proch mię poniża dawana mi chwała,
Hołdem jéj zgryzot jątrzy się katusza.
Stronię od braci, uciekam z ich koła,
By ukryć rozpacz, i wstyd mego czoła!—

Kto? ja? w piersi méj dziewiczéj
Nosić obraz męża?—Ja?—
Światłoż Łaski tajemniczéj
W ziemskiém czuciu zgasnąć ma?—
Ja ludu mego pasterka,
Ja Boga mego rycerka,
Ja goreć miłością wroga?...—
I nie ściągnęż Niebios gromu?
I nie spłonęż ogniem sromu,
Przed okiem ludzi i Boga?—

(Muzyka przechodzi zwolna w miękką, rzewną melodyą).

Biada, biada! co za tony!
Dźwięk ich, czuję, urzekł mnie.
W każdym, zda się, ulubiony
Głos z wiatrami ku mnie tchnie!—

Oby mię porwał szał wojny człowieczéj!
Oby usłyszeć świst strzał i szczęk mieczy!
Śród nichby może nanowo ożyła
Duszy méj siła!

Lecz te dźwięki! lecz te nóty!
Myśl ich echem tylko brzmi.
Dusza mdleje od tęsknoty,
Serce taje w żalu łzy!—

(po pauzie, z żywością).

Miałażem zabić? mogłażem go zabić,
Widząc te oczy, ten wyraz oblicza?...
O! wprzódbym na się cios wolała zwabić!—
Zbrodniąż jest ludzkość i litość dziewicza?—
Ha! ludzkość, litość! Czułażeś je wprzódy,
Gdy cię posłano nieść mord na morderce?
Czułażeś litość, gdy Walijczyk młody
Błagał cię o nię?—Milcz, milcz, podłe serce!
Nie kłam przed Bogiem!—On zna prawdy skrytość.
Nie kłam nikczemnie!—To nie była litość!—

Na cóż mi było patrzeć w jego lice?—
Bóg chce mieć ślepe woli swéj narzędzia.
Jam śmiała spójrzeć!—Przeklęte źrenice!
Z Ojca i Stróża, został tylko—Sędzia!

(Głos fletów odzywa się znowu. JOANNA *w smutném pogrążona dumaniu.—Po pauzie).*

Obym cię nigdy, lasko pastusza,
Nie zamieniała na miecz wojowniczy!

Czemuż cię, czemu, prosta moja dusza
Słuchać musiała, dębie tajemniczy?!—
Królowo Niebios! oby twój przeczysty
Nigdy przedemną nie zjawiał się blask!—
Odbierz go, odbierz twój wieniec gwiaździsty!
Jam jest grzesznica niegodna twych łask.

Jam widziała śmiertélnemi,
Chwałę Niebios, oczyma;
Przecież cel mój jest na ziemi,
W Niebie dla mnie go nié ma!—

Ciężkie, ciężkie powołanie,
O! Wszechmocny! na mnieś włożył! —
Jaż zatwardzić jestem w stanie
Serce, któreś tkliwém stworzył?—

Chcesz okazać moc twą światu,
Masz twe duchy, masz Anioły!
Ich, z twéj chwały majestatu,
Na śmiertelne szlij padoły!
Im, zleć woli twojéj czyny!
Im wybranym – co bez winy,
Co bez serca—nieskalani,
Nieśmiertelni, niezachwiani
Ziemską trwogą, ni rozpaczą,
Ani czują, ani płaczą!
Nie dziewicy, nie pasterce,
Kładź ten ciężar na jéj serce! —

Co mi do losów krajów i króli?
Co mi do ludów niezgody?—
Swobodna, rada z ubogiéj doli,
Wesoło pasłam me trzody.

Tyś mię wyrwał z pod méj strzechy,
Ty na krwawy popchnął bój! —
Mojeż za to będą grzechy?... —
Ach! to nie był wybór mój!—

SCENA II.

AGNIESZKA SOREL, JOANNA.

AGNIESZKA

(wbiega w najwyższém poruszeniu, i postrzegając JOANNĘ *rzuca się jéj na szyję; lecz w téjże chwili cofa się, i upada na kolana przed nią).*

Nie, nie tak!—W prochu...

JOANNA.

Co czynisz?

AGNIESZKA.

Wesele,
Zbytek wesela przepełnił mą duszę.
Szukam cię—z Bogiem podzielić je muszę,
Niewidomego czczę w tobie, Aniele!—
Pójdź, skończ twe dzieło! ty sprawczyni cudu!
Król, pan mój, Karol, śród swych Parów koła,

Wodzowie, wojsko, tłum radośny ludu,
Czekają na cię, by iść do kościoła. —
Ja to widziałam!—ja słyszałam zdala
Okrzyk tryumfu narodu i miasta!—
O! zbytek szczęścia tłoczy mię, przywala!...
Ratuj mię, wśpieraj! bom słaba niewiasta.

(JOANNA *podnosi ją zwolna w milczeniu.* AGNIESZKA *wpatruje się w nią z podziwieniem, i po chwili*).

Aleś ty smutna?—Szczęścia, coś nam dała,
Nie dzielisz sama?—Nie dziw! twoja dusza,
Co nieśmiertelny blask Niebios widziała,
Ziemską się naszą radością nie wzrusza.

(JOANNA *ujmuje ją za rękę, ale wnet ją znowu opuszcza*).

O! gdybyś chciała czuć sercem kobiety!...—
Lecz precz ten oręż! precz hełm z twego czoła!
Nie gardź słodszemi płci twojéj zalety!—
Miłość się zbliżyć nie śmie i nie zdoła,
Póki w twych ręku lśni miecz Archanioła.

JOANNA.

Czego chcesz po mnie?

AGNIESZKA.

Złóż oręż i zbroję,
Daj się miłości z twém sercem oswoić!
Stań się niewiastą!—

JOANNA.

Ja mam się rozbroić?—
Teraz?—O! wiedź mię na mordy i boje,
Na groty wrogów!—tam ja się rozbroję,

Tam!—Ale teraz!—murem nie żelazem
Kryć mi się od was—i od siebie razem!

AGNIESZKA.

Dunois kocha ciebie.—Ach! czyż szczera
Miłość serc takich ma goreć daremnie?—
Pięknie jest zyskać miłość bohatera,
Lecz piękniéj stokroć kochać go wzajemnie!

(JOANNA *odwraca się ze wstrętem).*

Wzdrygasz się? Cóż to?—Miałażbyś się brzydzić
Hołdem rycerza?—Nie!—Możesz odrzucić,
Możesz nie kochać:—lecz go nienawidziéć!...
Nie! nigdy, nigdy!—Nienawiść ocucić
Może ten tylko, co nam chce wydzierać
Cel uczuć naszych.—Ty go jeszcze nie masz—
Lecz z najgodniejszych, chciej, możesz wybierać.

JOANNA.

Żałuj mię!—jestem biedniejsza niż mniemasz.

AGNIESZKA.

Ty?—i cóż jeszcze braknie szczęściu twemu?—
Stargałaś kraju niewolnicze pęta,
Król przez cię stoi zwycięzcą śród Remu,
Tyś jest Boginią twéj ojczyzny święta!
Milion serc dla cię jedném czuciem płonie.—
Król w całym blasku swego majestatu,
Nie jest tak wielkim, jak ty, któréj skronie
Bóg opromienił swą Łaską tajemną!

Janna.

Milcz! dość!—O! ziemio! rozstąp się pode mną!

Agnieszka.

Joanno! przebóg! cóż ta rozpacz dzika
Znaczy w twych ustach?—Ach! komuż z nas, komu
Czuć dzisiaj radość, gdy cię żal przenika?—
Mnie to, mnie trzeba płonąć ogniem sromu,
Mnie, com przy tobie tak nizka i mała,
Że nie śmiem śpójrzeć ku twéj wysokości!—
Bo znaj mą słabość!—Nie ojczyzny chwała,
Nie szczęście braci, nie tryumf jedności,
Nie to, nie! wzrusza duszę moję biedną!
Nim tylko jednym i sobą zajęta,
We wszystkiém widzi, czuje tylko jedno:
On Pan tych ludów, On cel tego święta!
Jemu koronę i laurowy wianek
Zesłało Niebo!—On mój—mój kochanek!

Joanna.

O! tyś szczęśliwa!—Szczęśliwa dziewico!
Kochasz, gdzie wszystko kocha razem z tobą.
Miłość twa nie drży przed ludzką źrenicą,
Ona ci szczęściem i razem ozdobą.
Słyszysz ten okrzyk, to radości echo,
One boleśnym nie rażą cię wstrętem;
Pociecha braci, jest twoją pociechą,
Święto narodu, jest twych uczuć świętem.
We wszystkiém tylko masz nowe ogniwo
Szczęścia twojego, z ojczyzną szczęśliwą;

A On, najwyższy, jak słońce na niebie,
Świecąc dla wszystkich—kocha tylko ciebie!

Agnieszka *(rzuca się jéj na szyję).*

Joanno! jam się myliła!—Ty czujesz,
Ty znasz co miłość! ty mnie tak pojmujesz!
Wszystkieś tajniki méj duszy przenikła.
Dotąd cię tylko czcić byłam nawykła,
Teraz cię kocham!—O! gdybyż wzajemnie!

Joanna *(wyrywając się z jéj objęć).*

Odstąp, nieszczęsna! uciekaj ode mnie!
Chroń się zabójczéj tchu mego zarazy,
Idź, bądź szczęśliwa!

Agnieszka.

Dziwne twe wyrazy!
Badać ich nie śmie dusza czcią przejęta.—
Aleś ty dla mnie zawsze niepojęta!
Nie dziw! któż z ludzi zrozumie lub zgadnie,
Co w duszy świętych ukrywa się na dnie?—

Joanna.

Świętych?—Niebaczna!—Tyś czysta, tyś święta!—
Gdybyś zajrzała w otchłań mego serca,
Każdy twój wyraz zdałby się bluźnierca!—

SCENA III.

TEŻ, DUNOIS, DU CHATEL, I LA HIRE,

(*z chorągwią* JOANNY).

DUNOIS.

Szukamy ciebie, Joanno! — Król żąda,
Byś piérwsza przed nim święte niosła znamię.
Bo jak sam czuje, chce niech świat ogląda,
Że twoje tylko zbawiło go ramię.

LA HIRE.

Oto chorągiew! Śpiesz! bo chwila droga.

JOANNA.

Ja iść przed królem? — Ja ją nieść? —

DUNOIS.

Któż inny
Śmiałby się mniemać, że jest dość niewinny,
By miał tknąć znamię posłanniczki Boga? —
Tyś z niém do zwycięztw przodkowała w boju,
Ty nam wskaż drogę szczęścia i pokoju!

(LA HIRE *chce jéj podać chorągiew.* JOANNA *odwraca się ze wstrętem*

JOANNA.

Precz z nią! precz!

La Hire.

Cóż to? czyż ci nieznajomy
Sztandar twój własny? obraz Matki Bożéj?—

(Roztacza chorągiew).

Joanna *(poglądając na nią, z rozpaczą).*

Ach! tak!—to Ona!—patrzcie, jak się sroży!
Jak z ócz jéj biją płomieniste gromy!

Agnieszka.

Co ci jest? przebóg!—Urojeń mamidło,
Czcza jakaś mara obłąkała ciebie.—
Patrz! wszak to tylko ziemskie malowidło,
Sama Najświętsza, z Aniołami w Niebie!

Joanna *(z okiem wlepioném w chorągiew).*

Przyszła-żeś znowu, by gromić grzesznicę?—
Karz, karz! jam winna! jam cierpieć gotowa!
Ale te gniewu twego błyskawice—
Któż je wytrzyma?

Dunois.

Przebóg! co za mowa!

La Hire *(do Du Chatela).*

Cóż sądzisz o tém?

Du Chatel.

Nie śmiem rzec, co myślę,
Lecz nie od dzisiaj już mię ta myśl trwoży.

DUNOIS.

Jaka myśl?

DU CHATEL.

Sam jéj nie chcę badać ściśle.
Bóg daj! niech tylko król koronę włoży!

LA HIRE (*do* JOANNY).

Jak to? czyż powiew tajemniczéj trwogi
Z sztandaru twego, i ciebie pochłania?—
O! niechaj przed nim drżą Francyi wrogi!
Nam on jest zawsze godłem zmartwychwstania!

JOANNA.

Tak! prawdę mówisz!—tak! niechaj drżą wrogi!

(*Słychać marsz koronacyjny za sceną*).

DUNOIS.

Bierz więc chorągiew! Śpiesz! bo czas jest drogi.

(*Przymuszają ją do wzięcia chorągwi.* JOANNA *porywa ją nakoniec z gwałtownością i odchodzi; wszyscy za nią*).

SCENA IV.

(Teatr zmienia się, i wystawia otwarty plac przed kościołem katedralnym. Tłum ludu zapełnia głąb sceny; ze środka jego wychodzą BERTRAND, STEFAN i KLAUDYAN. Słychać zdaleka muzykę koronacyjnego marszu).

BERTRAND.

Słyszycie granie?—To oni!—już blizko!
Pójdźmy pod kościół!—tam najlepiéj z boku
Będziemy widzieć całe widowisko.

STEFAN.

Gdzie tam! nie sposób przecisnąć się w tłoku!
Zostańmy lepiéj gdzie stoim; toć przecie
I ztąd coś ujrzym.

KLAUDYAN.

Jak żyję na świecie,
Nigdym nie widział tyle razem ludu.

BERTRAND.

Cóż za dziw? Któżby nie chciał widzieć cudu,
Nie święcić święta narodowéj sławy?—
A rzecz téż słuszna, aby król nasz prawy
Nie mniejszy przecież miał orszak, niżeli,
Co go w Saint-Denis królem zrobić chcieli:
I by mu każdy, w czyich piersiach bije
Serce francuzkie—krzyknął dziś: „Niech żyje!"

SCENA V.

CIŻ, ANNA I ANIELA (wychodzą z tłumu).

ANIELA.

Ach! moja Anno! będziem ją widziały!
Serce me, czuję, to raz drży, to skacze.

ANNA.

Ujrzym ją w blasku wielkości i chwały!

ANIELA.

Wiész ty co? siostro! póki nie zobaczę,
Nie mogę jakoś wierzyć w sobie szczerze,
Żeby ta, którą cały świat ogłasza,

Któréj słuchają sam król i rycerze,
Żeby to była ona—siostra nasza!

ANNA.

Wątpisz?—Za chwilę obaczymy same.

BERTRAND (*patrząc w stronę*).

Już idą! przeszli tryumfalną bramę!

SCENA VI.

MARSZ KORONACYJNY.

(MUZYCY *z obojami i fletami idą na czele orszaku.—Po nich* DZIECI, *ubrane biało, z palmami w ręku.—Za niemi* DWAJ HEROLDOWIE.—*Daléj poczet* HALABARDZISTÓW.—CZŁONKOWIE MAGISTRATU *w obrzędowych togach.*—DWAJ MARSZAŁKOWIE *z laskami w ręku.*—KSIĄŻĘ BURGUNDZKI *niosący miecz koronacyjny.* DUNOIS *z berłem.*—*Inni* DYGNITARZE *z koroną, jabłkiem i laską sądową; Inni z ofiarnemi darami.—Za nimi* RYCERZE *w obrzędowych strojach.* CHŁOPCY CHORALNI *z kadzielnicami.*—KSIĘŻA.—DWAJ BISKUPI *ze świętą ampułką.*—ARCYBISKUP REIMSKI *z krucyfiksem w ręku.—Za nim* JOANNA *z chorągwią; idzie zwolna niepewnym krokiem, ze spuszczoną głową.* (SIOSTRY *na jéj widok dają sobie nawzajem znaki radości i podziwienia*). *Za nią* KRÓL *pod baldachimem, niesionym przez czterech* BARONOW. *Daléj* DWORZANIE *i* ŻOŁNIERZE *zamykający orszak. Gdy wszyscy wnijdą do kościoła, muzyka ustaje*).

SCENA VII.

ANNA, ANIELA, KLAUDYAN, STEFAN, BERTRAND.

ANNA.

Widziałeś siostrę?

KLAUDYAN.

Ta, co szła we zbroi?
Z chorągwią w ręku?

ANNA.

Tak jest, tak! to ona!
Nie myśli pewno, że ją widzą swoi.

ANIELA.

Ależ, mój Boże! jaka zamyślona!
Jak cała drżąca!—jakby czuła trwogę.—
Widząc ją nawet, cieszyć się nie mogę.

ANNA.

Ktoby mógł myśleć, znając ją w Dom-Remi,
Gdy za trzodami chodziła po polu,
Że ją tak ujrzym oczyma naszemi,
W takiéj świetności, i piérwszą po królu?

ANIELA.

Pamiętasz przecie, co się ojcu śniło,
Że w Reims jéj będziem kłaniać się w kościele.—
Toż Reims—to kościół—wszystko się spełniło!
Lecz w śnie tym było i złych marzeń wiele.—
Ach! strach mię o nią, że jest tak wysoko!

BERTRAND.

Cóż tu stoimy? Trzeba wejść do środka,
Widzieć jak króla w purpurę obloką.

Anna.

Tam może łatwiéj dójrzy nas lub spotka.

Aniela.

Darmo! tłok taki! ludzi jak w mrowisku!—
Wracajmy raczéj!—Wszakżeśmy widziały
Siostrę;—dość na tém.

Anna.

Jak to? bez uścisku?
Bez powitania?

Aniela.

Czyż będziemy śmiały
Zbliżyć się do niéj w téj prostéj odzieży?—
Ach nie! już ona do nas nie należy.
Miejsce jéj teraz z królmi i panami!
Któż my jesteśmy, by się równać do niéj?—
Obcą nam była będąc jeszcze z nami.

Anna.

Myślisz, że wzgardzi? że się nas zapłoni?

Bertrand.

Wzgardzić?... Król królem, a nikim nie gardzi,
Wita się z każdym;—a onaż tém bardziéj!...
Bo niechaj będzie jak chce wywyższona,
Król przecież zawsze jest wyższy jak ona.

(*Z głębi kościoła słychać huk trąb i kotłów*).

KLAUDYAN.

Ależ się śpieszmy! bo już późno będzie.
A żal byłoby nie być na obrzędzie.

(Oddalają się w głąb sceny i gubią się w tłumie).

SCENA VIII.

TEOBALD (wchodzi, ubrany czarno). RAJMUND (idzie za nim i chce go zatrzymać.)

RAJMUND.

Nie idź tam, ojcze! zostańmy na boku,
Trudno ci będzie między taką rzeszą.
Albo wracajmy!—Z twoim smutkiem w oku,
Co tu masz czynić, gdzie się wszyscy cieszą?

TEOBALD.

Widziałeś moje nieszczęśliwe dziecię?—
Czy uważałeś?—

RAJMUND.

Dość o tém!

TEOBALD.

O! biada!
Czy uważałeś? czy widziałeś przecie
Jak drżała idąc?—jak smutna, jak blada?—
Nieszczęsna! czuje sama czego warta.—
Lecz jeszcze pora! ratować ją muszę.

(Chce iść).

RAJMUND (*zatrzymując*).

Stój! co chcesz czynić?

TEOBALD.

Skruszyć jarzmo czarta,
Gwałtem do Boga nawrócić jéj duszę!
Strącić ją z szczytu wielkości i grzechu,
Któréj swe wieczne szczęście poświęciła!...

RAJMUND.

Ach! ojcze! bój się zbytniego pośpiechu!

TEOBALD.

Mniejsza o ciało, byle dusza żyła!

(JOANNA *wybiega z kościoła bez chorągwi.* LUD *ciśnie się ku niéj; klękają przed nią, całują jéj szaty; natłok zatrzymuje ją w głębi sceny*).

TEOBALD.

To ona!—Patrzaj! ucieka z kościoła!
Trwoga ją wnętrzna z świętych miejsc wygania.
Patrz, jaka blada!—trąba Archanioła
Brzmi już w jéj duszy na sąd zmartwychwstania!

RAJMUND.

Bądź zdrów! okrutny! idziesz krzywo świadczyć.
Żal twój ma za nic przyjaciela słowo.—
Bądź zdrów!—Ach! na toż miałem ją zobaczyć,
Abym czuł tylko, że tracę nanowo!—

(*Odchodzi.* TEOBALD *usuwa się w przeciwną stronę sceny*).

SCENA IX.

JOANNA, LUD, potém ANNA I ANIELA.

JOANNA.

(wydziera się z tłumu, i postępuje szybko na przód sceny).

Nie mogłam zostać! nie!—Organ mię głuszy,
Jak huk piorunów; kościół zda się cały
Wali się na mnie;—piekło w mojéj duszy!—
O! nie mnie teraz nieść mój sztandar biały!
Tam na ołtarzu oddałam go Bogu.—
Tu jakoś lepiéj!—tu oddychać mogę;
Tu śmieléj!... O nie! nie myśleć o wrogu,
Nie!—pragnę tylko uspokoić trwogę.—
Czy mi się zdało? czy przed chwilą w tłoku
Widziałam siostry?—Byłoż to w istocie?
Czy tylko widmo pożądane oku,
Przyszło urągać, czy ulżyć tęsknocie?—
Ach! tak, tak!—po co łudzić się daremnie?
One daleko, daleko ode mnie!
Jak moje szczęście, moja młodość ranna!...

(ANNA *i* ANIELA *wchodzą*).

ANNA (*do* ANIELI).

Patrz, patrz! to ona!

ANIELA (*biegnąc ku* JOANNIE).

To nasza Joanna!

JOANNA.

To wy? O! siostry! o najmilsze moje!
Więc to nie mara?—Nie! sen mię nie łudzi!—
O! co za rozkosz spotkać serca swoje,
Śród téj pustyni nieznajomych ludzi!

ANNA.

A co? Anielo!—czy się nas wyrzeka?
Czy gardzi nami?

JOANNA.

I wy z tak daleka
Przyszłyście do mnie—com was opuściła!?

ANIELA.

Boska w tém wola, a nie twoja była.

ANNA.

Sława dzieł twoich napełnia świat cały,
Bóg cię uczynił swoich łask obrazem;
I myśmy przyszły widzieć blask twéj chwały—
I to nie same!

JOANNA (*prędko*).

Co? ojciec jest razem?—
Gdzież on?—gdzie? mówcie!—

ANNA

Nie, ojca tu nié ma.

JOANNA.

Nié ma?—Dla czego?—Czy może trwa w gniewie?
Nie chce mię widzieć przed swemi oczyma?—
Może złorzeczy?—

ANIELA.

O! nie! lecz on nie wie,
Że tu jesteśmy.

JOANNA.

Nie wie?—Cóż to znaczy?—
Wy się mięszacie?—Gdzież on jest? dla Boga!
Mówcie! czy żyje?

ANNA.

Żyje, i przebaczy
Wszystko!—Lecz odkąd poszłaś, siostro droga!
Ojciec nasz—

ANIELA *(dając znak aby milczała)*.

Anno!

ANNA.

Stał się więcéj jeszcze
Smutnym, niż dawniéj.

JOANNA.

Smutnym z winy mojéj!

ANIELA.

Znasz ojca umysł i myśli złowieszcze.
Los go twój trwoży.—Lecz się uspokoi,
Gdy mu powiemy, że jesteś szczęśliwa.

ANNA.

Bo wszakże jesteś?—Na czémże ci zbywa?

JOANNA.

O! tak! na niczém!—Niczego nie żądam,
Kiedy was widzę; gdy z ust waszych słyszę,
Że mię kochacie: i zda się, oglądam
Nasze rozkoszne, rodzinne zacisze,
Gdzie w cieniu ojca i waszéj opieki,
Chodząc za trzodą po zielonym gaju,
Byłam szczęśliwa—szczęśliwa jak w raju,
I jak już nigdy nie będę na wieki!

(*Ukrywa twarz na piersiach* ANIELI).

SCENA X.

TEŻ, STEFAN, KLAUDYAN I BERTRAND, (wchodzą i z nieśmiałością zatrzymują się zdaleka).

ANNA (*do wchodzących*).

Chodźcie tu, chodźcie! wszystko się spełniło!
Siostra nie dumna, nie ma nas za cudze.

Ci zbliżają się i chcą podać jéj rękę; JOANNA *wpatruje się w nich bystro i wpada w głębokie zamyślenie*).

JOANNA.

Gdzież to ja jestem? Czyż to wszystko było
Snem tylko marnym?—a teraz się budzę?—
O! tak, tak! pewnie!—Musiałam, jak nieraz,
Zasnąć pod drzewem i marzyć—a teraz!...
Lecz mówcież, mówcie! Jesteśmyż w Dom-Remi?
Was-że to widzę przed oczyma memi?—
Czyż więc te króle, te mordy, te boje,
Były snem tylko?—Ach! bo myśli moje
Dziwnie splątane!—Nic nie wiém, nie pomnę.
Dąb ten mię urzekł!—Gdzież są te ogromne
Wojska? te tłumy radośnego ludu?—
Byłoż to wszystko dziełem snu, czy cudu?—
Mnież to mówiono, że Francyą zbawię?—

ANIELA.

Tak! i zbawiłaś, zbawiłaś na jawie!
Przed tobą pierzchli jéj nieprzyjaciele.
To jest Reims—patrzaj! Król jest w tym kościele,
Król, co przez ciebie posiadł państwo swoje!—
To nie sen, siostro!—patrz! widzisz swą zbroję!

(JOANNA *chwyta się ręką za piersi, przychodzi do przytomności. i wzdryga się z przerażeniem*).

BERTRAND.

Jam ci hełm przyniósł—pamiętasz to przecie?

ANNA.

Nie dziw, że wszystko snem ci się być zdaje.
Bo co przez ciebie Bóg zdziałał na świecie,
Ludzkim rozumem pojąć się nie daje.

JOANNA.

Idźmy ztąd, idźmy! uciekajmy razem!

ANIELA.

Ty chcesz iść z nami?

JOANNA.

Ach! ci obcy ludzie,
Czcią swoją dla mnie, gorzéj niż żelazem
Rażą me serce:—hołd niosą ułudzie!
Ale wy moi!—wy mię lepiéj znacie!
Wyście mię znali jako słabe dziécię,
Jako pasterkę w nizkiéj, wiejskiéj chacie—
Wy mię kochacie— ale nie wielbicie!

ANNA.

Masz-że dość serca rzucić taką chwałę?

JOANNA.

O! precz ode mnie, przez te blaski liche!
Wam chcę poświęcić życie moje całe,
Służyć jak sługa; by odkupić pychę,
Co się tak bardzo nad was wynieść chciała.

(*Słychać trąby i kotły*).

SCENA XI.

KRÓL (wychodzi z kościoła, w ubiorze koronacyjnym). AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, DU CHATEL, Rycerze, Dworzanie, Lud.

Okrzyki Ludu.

Niech żyje Karol Siódmy! Chwała! chwała!

(Trąby i kotły. Na znak Króla, *Heroldowie podnosząc laski, nakazują milczenie).*

Król.

Dzięki, mój ludu! dzięki ci!—Korona,
Którą Bóg dzisiaj dał na skronie nasze,
Twoim jest znojem i krwią okupiona,
Lecz ja ją wieńcem oliwnym opaszę.
Dzięki tym wszystkim, co praw jéj bronili,
A wrogom, łaska i krzywd zapomnienie!
Bóg nam przebaczył—i nasze w téj chwili
Piérwsze niech będzie słowo: przebaczenie!

Lud.

Niech żyje Karol łaskawy! niech żyje!

Król.

Przez łaskę tylko Bożą, a nie czyję,
Wszyscy królowie, poprzednicy moi,
Tron swój dzierżyli;—lecz jam z Jego dłoni
Wziął go widoczniéj.—Patrzcie! oto stoi
Zesłanka Niebios! Jéj to dziełem broni
Zwycięztwo nasze; Jéj syn waszych króli
Winien swe berło; Ona z pęt niewoli
Lud swój wywiodła;—Jéj więc przed wszystkiemi
Cześć naszą dajmy!—i odtąd w modlitwach,
Obok świętego Patrona téj ziemi,

Kładźmy jéj imię w pokoju i bitwach,
I ołtarz dla niéj zbudujmy w świątyni!

Lud.

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

Król (*do* Joanny).

Jeśliś ty ze krwi i z ciała, Dziewico!
Mów! jakich darów, jakiéj żądasz łaski?
Największa, małą stanie się dla ciebie.—
Lecz jeśli twoja ojczyzna jest w Niebie;
Jeżeli tylko przed ludzką źrenicą
Ukrywasz w ciele Archanielskie blaski:
Zjaw się, czém jesteś!—bo nie mogąc dociec
Natury twojéj, chwiejem się i trwożym.
Zjaw się!—a w prochu przed posłańcem Bożym
Padniem na twarze.

(*Ogólne milczenie; wszystkich oczy zwrócone na* Joannę).

Joanna (*postrzegając* Tbobalda).

Nieba! to mój ojciec!

SCENA XII.

CIŻ I TEOBALD, (wychodzi z tłumu i zatrzymuje się naprzeciw JOANNY).

Wiele głosów.

Jéj ojciec!

TEOBALD.

Tak jest! ojciec nieszczęśliwy,
Najnieszczęśliwszy, jaki był na świecie!
Ojciec, któremu sąd Boga straszliwy
Każe oskarżać swe najmilsze dziecię!

FILIP.

Ha! cóż to?

DU CHATEL.

Tu się wyda tajemnica.

TEOBALD.

Zwiedziony królu! zaślepiony ludu!
Myślisz że Boska dźwiga cię prawica?—
Nie! jest to dzieło czarta, a nie cudu!

(Wszyscy cofają się z przestrachem).

DUNOIS.

On jest szalony!

TEOBALD.

Nie! wyście szaleni!
Wy, co myślicie, że Bóg majestatu,
Dla lichéj dziewki prawa swoje zmieni,
Że przez jéj pychę objawi się światu!...—
Ale obaczym, czy kuglarka podła
Będzie się ważyć, w obec ojca swego,
Popierać kłamstwa, któremi was zwiodła?—

(*do* Joanny).

W Imię Najświętsze w Trójcy Jedynego,
Pytam cię: jestżeś święta i niewinna?—

(*Przerażenie i cisza powszechna. Wszystkich oczy zwrócone na* Joannę, *która stoi nieporuszona*).

Agnieszka.

O! Nieba!—Milczy!

Teobald.

Bo milczeć powinna,
Bo milczeć musi przed straszném imieniem,
Przed którém nawet drżą otchłanie piekła.—
Ona natchniona!—Pod przeklętym cieniem
Drzewa Druidów, gdzie krew ludzka ciekła,
Gdzie moc swą dotąd szerzy duch piekielny,
Tam z nim bezbożne zawarła przymierze,
I całą wieczność duszy nieśmiertelnéj,
Za czczy blask świata oddała w ofierze.

Filip.

Dziwna rzecz wprawdzie! lecz ojciec dziecięcia
Świadom najlepiéj;—trudno nie dać wiary.

Dunois.

Co? wierzyć w gminu szalone pojęcia,
W zabobonnika chorowite mary?...

Agnieszka (*do* Joanny).

O! mów, mów! przerwij to straszne milczenie!
My ci wierzymy, my ufamy w tobie:

Ale rzecz słowo! zbij czcze oskarżenie!—
Winnaś to Bogu, królowi, i sobie.

(JOANNA *stoi nieporuszona;* AGNIESZKA *oddala się od niéj z przestrachem*).

LA HIRE.

Strach ją oniemił— bo i kogóż z ludzi
Na taką skargę przestrach nie ogarnie?—
Ale, Joanno! niech się duch twój zbudzi!
Jest w niewinności moc, na którą marnie
Wszystkie swe jady wywrze potwarz wściekła.
Ufaj jéj, przemów! i w szlachetnym gniewie
Skarć lud—co widział twe czyny, a nie wie
Kto je mógł zdziałać: duch z Nieba, czy z piekła?—

(JOANNA *stoi nieporuszona:* LA HIRE *odstępuje od niéj ze zgrozą. Szmer i poruszenie między ludem*).

DUNOIS.

Co są te szmery? Czego chce gromada?—
Ona niewinna!—Na mą cześć rycerza,
Ja ręczę za nią!—a kto nie dowierza,

(*rzucając rękawicę*).

Niech ją podniesie, i niech mi fałsz zada!—

(*Gwałtowne uderzenie piorunu: wszyscy stoją przerażeni*).

TEOBALD (*do* JOANNY).

Przez tego Boga, który grzmi na Niebie,
Mów! czyś niewinna? czyś z Boga natchnięta?
Czy duch zwodziciel nie obłąkał ciebie?—
Milczysz—nieszczęsna!—A więc bądź przeklęta!

(Drugie, mocniejsze uderzenie piorunu; lud pierzcha na wszystkie strony).

FILIP.

Boże! ty naucz, co nam czynić trzeba!

DU CHATEL (*do* KRÓLA).

Pójdź! pójdź ztąd, Królu! ustąp woli Nieba!

ARCYBISKUP (*do* JOANNY).

Nie w imię Boga gniewu, lecz litości,
Pytam cię, córko! co ci mówić broni:
Uczucie winy? czy gniew niewinności?—
Jeśliś niewinna—weź krzyż z mojéj dłoni.

(Podaje krzyż. JOANNA *stoi zawsze nieporuszona. Nowe gwałtowne uderzenie piorunu.* KRÓL, AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, LA HIRE *i* DU CHATEL *odchodzą).*

SCENA XIII.

DUNOIS, JOANNA.

DUNOIS.

Teraz tyś moją!—Uwierzyłem w ciebie
Od piérwszéj chwili, i dotychczas wierzę—
Więcéj, niż wszystkim tym znakom na niebie,
Których się uląkł lud, król, i rycerze.
Nie! tyś niewinna! Gniew krzywdzonéj cnoty
Zamknął twe usta; gardzisz sądem zgrai.

Aniś jéj mogła, bez wnętrznéj sromoty,
Objawiać świętość, co się w duszy tai.
I oto wszyscy odbiegli nikczemnie.—
Lecz jam ci został;—złóż twą ufność we mnie!
Nie chcę słów nawet:—jeden znak twéj dłoni,
Jedno spójrzenie—dość mi będzie na tém.
Miecz cię mój tarczą przed światem zasłoni,
Jak mię twój wybór zaszczyci przed światem.

(Podaje jéj rękę. JOANNA *odwraca się ze wstrętem.* DUNOIS *patrzy na nią długo z podziwieniem).*

SCENA XIV.

CIŻ I DU CHATEL, potém RAJMUND.

DU CHATEL.

Słuchaj, Joanno d'Arc! Król ci dozwala
Opuścić miasto wolno i bezpiecznie,
Bez krzywd i zniewag.—Idź więc, i żyj zdala,
Żyj tak, byś potém nie cierpiała wiecznie!—
Dunois! ze mną!—My wszyscy błagamy,
Król każe—wracaj!—spełń Niebios przestrogę.

(DUNOIS *obudza się nagle z zamyślenia, spogląda jeszcze raz na* JOANNĘ, *i odchodzi z* DU CHATELEM. JOANNA *zostaje sama. Po chwili ukazuje się* RAJMUND, *i czas niejaki, stojąc zdaleka, patrzy na nią z cichą boleścią. Nakoniec zbliża się do niéj, i bierze ją za rękę).*

RAJMUND.

Śpiesz ztąd, śpiesz! póki otwarte są bramy.—
Ja idę z tobą, ja ci wskażę drogę.

(W téj chwili JOANNA *okazuje piérwszy znak czucia; spogląda bystro na niego, i wznosi oczy ku Niebu; poczém porywa go silnie za rękę, i odchodzą razem).*

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

(Teatr wystawia dziką puszczę: w odległości widać chaty węglarzy. Ciemność zupełna. Burza, grzmoty i błyskawice. Zdaleka słychać strzelanie).

SCENA I.

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

WĘGLARZ.

Co za okropny szturm! co za ulewa!
Niebo się zdaje stopi w błyskawicach,
Lub spłynie z deszczem. Najsilniejsze drzewa,
Nieporuszone w zwykłych nawałnicach,
Gną się jak trzciny, lub się kruszą w borze.
Istny dzień sądny!—A jednak, mój Boże!
Że też ta walka żywiołów zawzięta
Złości człowieczéj złagodzić nie może! —
Słyszysz te, z wiatru i gromów hałasem,
Strzały po strzałach!—to ludzkie modlitwy!
Obadwa wojska stoją tuż za lasem,
I lada chwila przyjść musi do bitwy.

Żona.

Boże zmiłuj się! A już tak spokojne
Były te strony; wróg był uciekł z pola.—
Cóż jest, że znowu śmie podnosić wojnę?

Węglarz.

Jest to, że znowu nie boi się króla.—
Wszystko jak z płatka szło nam przy Dziewicy,
Było i szczęście, była i odwaga;
Lecz jak w Reims naród zląkł się czarownicy,
Wszystko znów na wspak;—czart już nie pomaga.
A król!—

(*ściskając ramionami*).

Ha! prawda, że to się nie godzi
Trzymać z szatanem!—jednak...

Żona.

Ktoś nadchodzi!

SCENA II.

CIŻ, RAJMUND, JOANNA.

Rajmund (*wchodząc, do* Joanny).

Widzę tu chaty, widzę ludzkie twarze,
Pójdź! tu się schronim:—iść nie możesz dłużéj.
Trzy dni o głodzie i śród takiéj burzy!

(*zbliżając się*).

Ludzie ci, widzę, są biedni węglarze,
Gościnność zawsze jest w ubogich domu.

(do Węglarza).

Prosim was o gościnność w imię Boże!

Węglarz.

Nie odmówiłem jéj nigdy nikomu,
Waszém jest wszystko, co mój dom mieć może.

(Burza zaczyna się uciszać).

Żona (*wpatrując się w* Joannę).

Cóż to się znaczy? niewiasta we zbroi? —
Lecz prawda, prawda! że w dzisiejszych czasach
Oręż i zbroja każdemu przystoi,
I że w niéj może bezpieczniéj niż w lasach. —
Wszakciż to sama królowa, jak wiecie—
Odpuść jéj Panie! — w obozie Anglików
Chodzi we zbroi;—a i u nas przecie
Dziewica była wodzem wojowników.

Węglarz.

Ot przestań bajać, a idź obacz lepiéj,
Nie ma tam czego, co ich trud pokrzepi?

(Żona *odchodzi do chaty).*

Rajmund (*do* Joanny).

Widzisz! nie wszyscy ludzie nieużyci.
Wszędzie człek znajdzie wsparcie i pociechę.
Rozwesel myśli!—patrz! słońce już świéci,
Szturm się uciszył;—pójdź spocząć pod strzechę!

WĘGLARZ.

Chcecie iść pewno do obozu króla,
Żeście tak zbrojni? lecz idźcież ostróżnie!
Obóz angielski stoi tuż od pola,
A czaty jego krzyżują się różnie.

RAJMUND.

Cóż radzisz czynić?

WĘGLARZ.

Spocząć tu tymczasem.
Syn nasz wnet z miasta być musi z powrótem.
Wié on najskrytsze ścieżki między lasem,
Co chyba sarny deptały przelotem:
Bądźcie spokojni! on was przeprowadzi.

RAJMUND (*do* JONANY).

Złóż już tę zbroję! bronić nie obroni,
A tylko znuży, lub co gorsza, zdradzi.

(JOANNA *daje znak odmówny*).

WĘGŁARZ.

Ktoś idzie!—cicho!—skryjmy się w ustroni!

SCENA III.

CIŻ, ŻONA WĘGLARZA (*powraca z chaty z kubkiem w ręku*), *potém* ICH SYN.

ŻONA.

To syn nasz, Franek, wraca widzę z miasta.

(*do* JOANNY, *podając kubek*).

Napij się kroplę!—to cię wnet posili.

WĘGLARZ (*do wchodzącego syna*).

No! cóż tam w mieście?

SYN (*postrzegając* JOANNĘ).

Cóż to za niewiasta?

(*Zbliża się szybko ku niéj, właśnie gdy ona kubek do ust przykłada; poznaje ją, wyrywa kubek, i woła z przerażeniem*).

Ach! ojcze! matko! coście to zrobili?—
To czarownica!—zgubicie się sami!
Precz z nią!

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

Ach! Boże! zmiłuj się nad nami!

(*Żegnają się i uciekają*).

SCENA IV.

JOANNA, RAJMUND.

JOANNA (*spokojnie i łagodnie*).

Widzisz! przekleństwo ściga za mną wszędzie.
Idź i ty!—po co masz cierpieć daremno?

RAJMUND.

Ja miałbym odejść? Któż przy tobie będzie?

JOANNA.

O! bądź spokojny! jest, kto pójdzie ze mną!—
Słyszałeś głos tych gromów?—Przyjacielu!

One mi rzekły, że mam przewodników,
Co mię chcąc nie chcąc prowadzą do celu.

RAJMUND.

Gdzież się obrócisz? tu obóz Anglików,
Co krwi twéj pragną; tam nasi, co ciebie
Sami wskazali na wstyd i wygnanie.

JOANNA.

Nie bój się! wszystko widzą tam na Niebie,
I to się tylko, co stać musi, stanie.

RAJMUND.

Któż cię pożywi? kto obronić zdoła
Od dzikich zwierząt, i od dzikszych ludzi?
W kim znajdziesz pomoc, gdy cię życie strudzi?

JOANNA.

Znam wszystkie zdrowe i pożywne zioła,
Znam biegi planet;—po nich w nocach ciemnych
Znajdę mą drogę.—Szmer zdrojów podziemnych
Słyszę mém uchem!—Niewiele, co trzeba,
Sama natura daje człowiekowi.

RAJMUND *(biorąc ją za rękę).*

Joanno! przebacz, co przyjaciel powié!—
Czyżby nie pora przejednać gniew Nieba,
Zmyć grzech pokutą, i na łonie wiary?...

JOANNA.

Jak to? i ty mnie sądzisz godną kary?

RAJMUND.

Ach! czyż nie muszę?—To milczenie twoje.....

JOANNA (*z żalem*).

O! to już nadto! Ty jeden na świecie,
Ty mój ostatni! co niedolę moję
Podzielasz ze mną:—myślałam, że przecie
Ty mię znasz lepiéj!

RAJMUND (*z radośném podziwieniem*).

Czyżbyś więc nie była
W zmowie ze złemi?

JOANNA.

Ja w zmowie ze złemi?

RAJMUND.

I wszystkie cuda, któreś uczyniła,
Czyniłaś z Bogiem i Jego świętemi?

JOANNA.

Z kimżeby innym?

RAJMUND.

I trwałaś w milczeniu,
Gdy jedno słowo mogło zbawić ciebie?

JOANNA.

Milcząc uległam memu przeznaczeniu,
Które tu na mnie zesłał Pan mój w Niebie.

RAJMUND.

Zniosłaś gniew ojca w niesłusznym zapędzie?

JOANNA.

Co szło od ojca, znać przyszło od Boga.—
To téż ojcowska próba tylko będzie.

RAJMUND.

A też pioruny? a twa niema trwoga?...

JOANNA.

Niebo mówiło, jam milczeć musiała.

RAJMUND.

I mogłaś ścierpieć, że Francya cała
Będzie podzielać błąd i omamienie?

JOANNA.

O! nie! to nie był błąd, lecz dopuszczenie!

RAJMUND.

Więc tyś niewinna! i taką sromotę
Zniosłaś cierpliwie!...—O! teraz pojmuję,
Teraz się korzę i wielbię twą cnotę—
Kto to mógł zrobić, w tym już Bóg współczuje!

JOANNA.

Toż więc rozumiesz, iżby mię posłano,
Gdybym nie ślepo czciła Jego wolę?
Ani śmiej sądzić, że gdy mię wygnano,
Gdy mię skazano na wstyd i niedolę,
Bóg mię opuścił!—Nie! On mi przebaczył,
I tylko nowy cud swéj łaski czyni.
Potrzebę serca mojego obaczył
Wejść saméj w siebie kazał na pustyni! —
Gdy mię światowe otaczały blaski,
Wtenczas to, wtenczas w sercu wrzały burze!
Teraz w ciemnościach świta promień Łaski.—
Zamęt żywiołów w widoméj naturze,

Co zdał się w gruzy roztrząść świat poziomy,
Cud odrodzenia w duszy mojéj ziścił.
Myśli wezbrały nad swój cel znikomy,
Jak to powietrze, duch się mój oczyścił,
I to, bez czego byłam mniej niż niczém,
Moc Jego, czuję, wraca w piersi moje.

RAJMUND.

O! pójdźmy, pójdźmy! przed świata obliczem
Ogłosić prawdę, i niewinność twoję!

JOANNA.

Kto błąd dopuścił, ten go sam rozjaśni.
Lecz jak i kiedy? nikt prócz Jego nie wie.—
Czas wszakże przyjdzie, że ziomkowie właśni,
Co mię dziś z wzgardą odepchnęli w gniewie,
Uznają prawdę—i z gorzką rozpaczą,
Razem nade mną i sobą zapłaczą.

RAJMUND.

Co? miałbym czekać aż traf kiedyś zrządzi?..

JOANNA *(biorąc go za rękę)*.

Wszystko chcesz mierzyć na rozum człowieczy,
Co się sam tylko sędzią świata sądzi!—
Lecz ja widziałam blask nadziemskich rzeczy
Ja ci powiadam: jak gwiazdy na niebie,
Jak ziarna piasku w oceanach na dnie,
Bóg z nas każdego policzył u Siebie,
Bez woli Jego włos z głowy nie spadnie.

(wskazując ręką ku Niebu).

Widzisz to słońce u kresów zachodu?
Jak to jest pewno, że znów jutro wejdzie,
I świecić będzie: tak wierz bez zawodu,
Że prędzéj późniéj, dzień Prawdy nadejdzie!

SCENA V.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELLA Z ŻOŁNIERZAMI

IZABELLA *(za sceną).*

Tędy na lewo! tu jest droga nasza.

RAJMUND.

Przebóg! Anglicy!

ŻOŁNIERZE *wchodzą, i postrzegając* JOANNĘ, *zatrzymują się, i cofają się w nieładzie).*

IZABELLA *(do Żołnierzy).*

Czegoście stanęli?

ŻOŁNIERZE.

Boże zmiłuj się!

IZABELLA.

Cóż was tak przestrasza,
Jakbyście czarta samego ujrzeli?

(Przedziera się przez tłum żołnierzy i cofa się postrzegając JOANNĘ).

Cóż to ja widzę? Ha! ona to, ona!

Wstrzymuje się—i szybko postępuje na przód ku Joannie).

Poddaj się, nędzna!

Joanna *stoi nieporuszona.* Rajmund *uchodzi w stronę, czyniąc znaki rozpaczy).*

Izabella(*do* Żołnierzy).

Okuć ją w łańcuchy!

(Żołnierze *zbliżają się z bojaźnią;* Joanna *sama im ręce do okucia podaje*).

Toż jest ta mężna, ta niezwyciężona?
Ha! niech cię teraz wyzwolą złe duchy!

(*do* Żołnierzy).

Patrzcie! widzicie tę, coście mniemali
Wyższą nad ludzi i nad siłę wszelką;
Patrzcie, nikczemni! i niech was wstyd spali!—
Małość to wasza czyniła ją wielką:
Strach wasz i podłość, to były jéj czary!—
Precz z nią z mych oczu!—Niech widzą w obozie,
Przed kim rzucali i broń i sztandary.—
Do Lionela wieść ją na powrozie!
Niechaj się pomści śmierci przyjaciela.—
Ja wnet przybędę.

Joanna *(z przerażeniem.)*

Mnie do Lionela!
Nie! nigdy, nigdy! Każ raczéj sto razy
Śmierć mi tu zadać!

IZABELLA (*do* ŻOŁNIERZY):

Wiecie me rozkazy.

(*Odchodzi*).

SCENA VI.

JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JONNAA.

Anglicy! wyż to ścierpicie, bym żywa
Wyszła z rąk waszych?—Ja to, ja, pomnicie
Morze krwi waszéj przelałam, i mściwa
Bezbronnym jeńcom wydzierałam życie.
Macie mię teraz! zemsta sprawiedliwa!
Bierzcie ją, radzę;—bo gdy ocalicie,
Wierzcie mi! porę stracicie przychylną.
Nie zawsze będę, jak jestem bezsilną.

DOWÓDZCA.

Dość tego!—pełńcie rozkazy Królowéj.

JOANNA (*wznosząc oczy w Niebo*).

Cóż jeszcze po mnie chcesz, o! Niepojęty!
Mam-że nanowo wpaść w grzechu okowy?
Dasz-że mi siłę zmódz pokus ponęty?—
Biada mi! czuję że pytam daremno—
Duch milczy we mnie, i Niebo nade mną!

(*Odchodzi z Żołnierzami*).

SCENA VII.

(*Obóz Francuzki*).

DUNOIS, między ARCYBISKUPEM i DU CHATELEM.

ARCYBISKUP.

Raz przecie, Książę! zwalcz posępność myśli!
Chcesz że twój naród opuszczać w potrzebie.
Dziś, gdyśmy znowu na ten koniec przyszli,
Że musim upaść i zginąć bez ciebie?

DUNOIS.

Zginąć? Któż winien, że Francya ginie?
Że jak łeb smoczy wróg się znów odradza?—
Ja was mam bronić?—Kto wygnał Zbawczynię,
Ten was niech broni! ten niech dziś zaradza!
Jam tylko jeden—a tych jest tak wielu!

DU CHATEL.

Książę! ojczyzna wzywa twojéj broni.

DUNOIS.

Ty milcz!—rad twoich nie chcę, Du Chatelu!
Ty byłeś piérwszy, któryś zwątpił o niéj.

ARCYBISKUP.

Któż z nas nie zwątpił? Kto z nas nie wykroczył,
Gdy samo Niebo przeciw niéj się zdało?—
Przestrach obłąkał, przesąd nas omroczył!
Lecz omamienie nazbyt krótko trwało.

Pomnimy teraz, jaką była z nami,
Jéj świętą skromność, jéj anielskie cnoty!—
Niesłuszność naszą uznaliśmy sami—
Gniew-że twój jeszcze ma zwiększać zgryzoty?

DUNOIS.

Ona fałszywa!...—Gdyby tajemnicza
Prawda się chciała ukazać na ziemi,
Wziąćby musiała rysy jéj oblicza!—
Jeśli są jeszcze między śmiertelnemi,
Szczerość, niewinność czystość nieskażona—
To ich obrazem jedna chyba Ona!

ARCYBISKUP.

Bóg sam zna prawdę;- bo rozum człowieczy
Dójść jéj w tym razie napróżno się kusi.—
Lecz jakbądźkolwiek obrócą się rzeczy,
To jedno z dwojga w końcu wypaść musi:
Że albo w pomoc przyzwaliśmy czary,
Albośmy Świętą wygnali niegodnie.
A to czy owo, są to równe zbrodnie,
Które pozostać nie mogą bez kary.

SCENA VIII.

CIŻ, I GIERMEK, potém RAJMUND.

GIERMEK (*do* DUNOIS).

Wieśniak tu jakiś z Waszą Wysokością
Chce mówić.—Mówi, że jest od Dziewicy.

DUNOIS.

Śpiesz! wiedź go tutaj!

ARCYBISKUP.

O! z jakąż radością
Ujrzymy wreście koniec tajemnicy!

(GIERMEK *otwiera drzwi*, RAJMUND *wchodzi*).

DUNOIS *(idąc naprzeciw niemu)*.

Tyś od Dziewicy? Gdzież jest? mów! gdzie Ona?

RAJMUND.

O! szczęście moje, żem was znalazł wreście.
Szlachetny Książę! i że tu jesteście
Ojcze wielebny!—W was cnoty obrona.

DUNOIS.

Gdzież jest Dziewica?

ARCYBISKUP.

Powiedz nam, mój synu!

RAJMUND.

Ach! Panie! Ona nie jest czarownicą!
Niesłuszny wyrok był króla i gminu.
Świadczę się Bogiem i Boga-Rodzicą,
Ona niewinna!

DUNOIS.

O! wiem, że niewinna!
Lecz gdzież jest Ona?

RAJMUND

Ach! Panie jedyny!
Toć gdy wam o niéj przyszła już myśl inna,
Brońcież ją, brońcie! bo zginie bez winy.

DUNOIS.

Zginie?—Nieszczęsny! mów, co się z nią stało?

RAJMUND.

W lesie Ardeńskim, gdzieśmy się chronili,
Wojsko angielskie jeńcem ją zabrało!—
Sam byłem swiadkiem, jak ją prowadzili.

ARCYBISKUP.

O! nieszczęśliwa!

DUNOIS.

Do broni! do broni!
Kto Francuz, za mną! Ogniem i żelazem
Idźmy ją zbawić—albo zginąć razem!

(Odchodzi śpiesznie).

ARCYBISKUP.

(wznosząc ręce ku Niebu).

Boże! błogosław sile jego dłoni!

(Odchodzą wszyscy).

SCENA IX.

(Obóz Angielski).

(Teatr wystawia wieżę strażniczą, z oknem u góry).

JOANNA, LIONEL, FASTOLF I IZABELLA.

FASTOLF.

(wchodząc z pośpiechem).

Nie ma sposobu! bunt coraz się szerzy,
Tłum krwi jéj pragnie.—Nie oprzem się dłużéj.
I albo głowę jéj zrzućmy z téj wieży,
Lub ją wnet wojsko zdobędzie i zburzy.

IZABELLA

(wchodząc do LIONELA*).*

Ratuj się, wodzu! już stawią drabiny.—
Co tu się wahać?—ratunek jedyny
Wydać ją:—zbrodnię niech krwią swą opłaci.
Inaczéj zginiem z rąk własnych współbraci.

LIONEL.

Ha! niech szturmują! Uchodź ztąd, Królowo!
Bo ja się raczéj w tych gruzach zagrzebię,
Niż uledz zgrai!—Joanno! rzecz słowo,
Rzecz, żeś jest moją; a jak Bóg na Niebie!
Choćby świat cały chciał być twoim katem,
Walki za ciebie nie zlęknę się z światem!

IZABELLA.

Czyś ty szalony?

LIONEL (*do* JOANNY).

Twoi cię wygnali,
Twoi skazali na wstyd i sromotę.
Podli! o twoję wprzód rękę żebrali,
A potém wierzyć nie śmieli w twą cnotę!—
Lecz jam ci został—ja wszystkim dostoję,
Ja twój obrońca!—Niegdyś życie moje,
Dałaś mi wierzyć, że ci było drogiém.
A jam natenczas był tylko twym wrogiem!
Dziś, prócz mnie, innych nie masz przyjacieli.
Wszystko nas łączy.

JOANNA.

Nie! wszystko nas dzieli!
Wróg ludu mego zawsze będzie moim!—
Lecz gdy się ku mnie serce twoje skłania,
Dowiedź to czynem!—a stronom oboim
Przyjaźń ta będzie godłem pojednania.
Cofnij twe wojsko! zaniechaj napaści!
Oswobódź jeńców! wróć nam nasze właści,
Wróć łup nieprawy! i przysięgą szczerze
Zatwierdź umowę!—a wtedy ci wzajem
Król mój przeze mnie zaręczy przymierze,
I Bóg grom zemsty wstrzyma nad twym krajem.

IZABELLA.

Zuchwała! w więzach chcesz nam dawać prawa!

JOANNA.

I śpiesz się, radzę, aby czas nie minął!—
Bóg wam nie wiecznie w moc Francyą dawa,
Nie przez gniew nad nią będzie wiecznie słynął!—
W proch już runęła broni waszéj sława,
Pod mieczem naszym kwiat rycerstwa zginął;
Śpiesz się! powiadam—bo i reszcie biada!
Wyrok wasz: pokój, lub śmierć i zagłada!

IZABELLA *(do* LIONELA*)*.

I tyż bezkarnie zniesiesz te bluźnierstwa?

SCENA X.

CIŻ I KILKU DOWÓDZCÓW

(wchodzą śpiesznie).

JEDEN Z DOWÓDZCÓW.

Wodzu! w imieniu wojska i rycerstwa,
Błagamy, przebacz uniesienia chwilę!
Francuzi na nas idą w całéj sile—
Bronią ich cała połyska równina.
Wróć nam hetmanić!

JOANNA

(wznosząc oczy ku Niebu).

Przyszła więc godzina!
Sprawiedliwości Twéj stało się zadość!—

FASTOLF.

Nieszczęsna! poskrom tę niewczesną radość!
Wprzód nim my zginiem, głowie twojéj biada!

JOANNA.

Lud mój zwycięży, a ja umrę rada!
Umrę szczęśliwa— że ich dość beze mnie!

LIONEL.

Nędzni! w stu bitwach pierzchali nikczemnie,
Nim ta Cudowna stanęła za niemi!—
Toć prócz niéj jednéj, pogardzam wszystkiemi!—
Pójdźmy, Fastolfie! uczują po chwili,
Żeśmy ci sami, co pod Crequi byli.

(do IZABELLI *wskazując na* JOANNĘ).

Ty ją, Królowo! miéj tutaj w swéj straży,
Nim Bóg, czy szatan, los bitwy przeważy.

FASTOLF.

Co? czarownicę chcesz w tyle zostawić?

JOANNA.

Tak cię więc trwoży bezbronna niewiasta?

LIONEL *(do* JOANNY).

Słowo! że sama nie zechcesz się zbawić.

JOANNA.

Ja?—Z każdą chwilą chęć swobody wzrasta.

IZABELLA (*do Żołnierzy*).

Hola! w potrójne okuć ją łańcuchy!—
Że ztąd nie ujdzie, ja wam ręczę głową.

(*Żołnierze przynoszą pęki łańcuchów i krępują niemi* JOANNĘ).

LIONEL (*do* JOANNY).

Zmuszasz nas!—Widzisz! próżne twe otuchy!—
Lecz jeszcze pora!—Jedno twoje słowo—
A wnet ci sami, co krwi twojéj pragną,
U stóp twych w prochu harde czoła nagną.

FASTOLF.

Czas śpieszyć, wodzu!

JOANNA (*do* FASTOLFA).

Śpiesz, śpiesz! śmierć cię wzywa.

(*Słychać głos trąb* LIONEL *wybiega*).

FASTOLF
(*wskazując na* JOANNĘ)

Królowo! pomnij! gdyby się los wojny
Przeciw nam zwrócił....

IZABELLA
(*dobywając sztylet*).

O to bądź spokojny!
Klęski wojsk naszych nie obaczy żywa.

Fastolf (*do* Joanny).

Słyszałaś?—Teraz módl się za twojemi!

(*Odchodzi*).

SCENA XI.

IZABELLA, JOANNA, ŻOŁNIERZE.

Joanna.

Ja się nie modlić?—Żadna moc na ziemi,
Żadna twa groźba nie wzbroni mi tego!—

(*Za sceną słychać trąby i pieśni wojenne*).

Boże! to trąby! to pieśń ludu mego! —
Śmiało, mój ludu! z tobą ramię Boże,
Z tobą Dziewica!—Ach! ona nie może,
Nie może swego sztandaru rozwinąć,
Nie może z wami zwyciężać lub ginąć!—
Lecz duch jéj wolny, z niewolniczéj cieśni,
Buja nad wami, z echem waszych pieśni!

Izabella
(*do jednego z Żołnierzy*).

Wstąp tam ku oknu, i patrz co się dzieje!

(*Żołnierz wstępuje ku oknu w górze*).

Joanna.

Śmiało! mój ludu! śmiało! miéj nadzieję!
Bóg nie opuści twojéj dobréj sprawy!—

IZABELLA (*do Żołnierza*).

Co widzisz?

ŻOŁNIERZ.

Widzę obłoki kurzawy,
Lecz nic w niéj dójrzeć nie mogę na błoniu.—
Ha! widzę, widzę! już się zwarli z nami.
Jakiś szaleniec na arabskim koniu,
W tygrysiéj skórze, leci z żandarmami *).

JOANNA.

Dunois!—Boże! twa moc niech go wśpiera!

ŻOŁNIERZ.

Jazda Burgundzka na nasz most naciera.

IZABELLA.

Przeklęstwo zdrajcom!

ŻOŁNIERZ.

Lord Fastolf go broni.—
Co za rzeź! widzę—zeskakują z koni,
Wręcz się ścinają.

IZABELLA.

Nie widzisz Delfina?
Znaków królewskich?

ŻOŁNIERZ.

Nie!—cała równina
Znowu się kurzu zakryła obłokiem.

---

*) *Gens d'armes*, ówczesna jazda francuzka.

JOANNA.

Oby on mojém mógł poglądać okiem,
Lub jam tak mogła, jak on, patrzeć z góry!
Wzrokby mój przebił te mgły i te chmury,
Nicby tam, nicby nie skryło się przed nim!—

ŻOŁNIERZ.

Bój najzaciętszy wre przy szańcu średnim.
Wszyscy tam nasi.

IZABELLA.

A nasz sztandar?

ŻOŁNIERZ.

W górze!

JOANNA.

Oby mi spójrzeć, choć przez szparę w murze!
Wzrokby mój bitwą rządził na wsze strony.

ŻOŁNIERZ.

Nieba! co widzę! wódz nasz otoczony!

IZABELLA.

(*podnosząc sztylet nad* JOANNĄ).

Giń!

ŻOŁNIERZ (*prędko*).

Już jest wolny!—Widzę w chmurach pyłu
Lord Fastolf z jazdą zabiega im z tyłu.
Już, już są blisko—ledwie mały przedział!

IZABELLA
(*opuszczając sztylet*).

Ha! twój to Anioł, a nie on powiedział!

ŻOŁNIERZ.

Pierzchają—widzę—pierzchają!

IZABELLA.

Kto?

ŻOŁNIERZ.

Oni!—
Tłum się w bezładzie rozsypał po błoni.—
Lord sprawił szyki—i w pogoń się puścił.

JOANNA.

Boże mój, Boże! takżes mię opuścił?

ŻOŁNIERZ.

Kogoś rannego prowadzą w tę stronę.
Wódz, widać, jakiś—bo tłum za nim bieży.

IZABELLA.

Nasz, czy francuzki?

ŻOŁNIERZ.

Czoło ma zwieszone,
A w tłoku dójrzeć nie mogę odzieży.—
Ha! cóż to? omdlał?—hełm zdjęli mu z głowy—
Dunois!

JOANNA
(*wstrząsając kajdany*).

Boże! skrusz mi te okowy!

ŻOŁNIERZ.

Patrz, patrz! ktoś w płaszczu błękitnym ze złotem...

JOANNA (*z przerażeniem*).

To król!

ŻOŁNIERZ.

Koń jego dosięgniony grotem,
Wśpina się—nasi opadli go zblizka.
Broni się—widzę—miecz raz po raz błyska.
Znikł!—

JOANNA.

Czyż Bóg teraz cudu nie uczyni?!

IZABELLA
(*śmiejąc się szyderczo*).

Teraz masz porę, zbawiaj go, Zbawczyni!

JOANNA.
(*w najgwałtowniejszém poruszeniu, rzuca się na kolana. i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i naglonym głosem*).

Słuchaj mię, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojcze na Niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą,
Ach! nie dla siebie wzywam Cię, Panie!
Nad ludem moim miéj zlitowanie!
Ty sieć pajęczą w stalne obręcze,
Ty więzy zmienisz w sieci pajęcze,
Boś Ty Wszechmocny! bo to się stanie,
Co Ty chcesz, Panie!

Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów—jak ja w téj chwili,
Wołał do Ciebie:—oni szydzili,
A on Ci ufał!—stary i ślepy!—
I dałeś siłę, ze twarde sklepy
Zrzucił na wrogów:—boś Pan nad pany!

ŻOŁNIERZ.

Tryumf nasz! tryumf!

IZABELLA.

Cóż jest?

ŻOŁNIERZ.

Król pojmany!

IZABELLA.

Ha! zginął wreście nienawistny wróg!

JOANNA
(porywając się z ziemi).

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

(Wstrząsa oburącz i rozrywa łańcuchy. W téjże chwili rzuca się na stojącego u drzwi Żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega. Wszyscy zostają w osłupieniu).

SCENA XII.

CIŻ SAMI, prócz JOANNY.

IZABELLA *(po długiém milczeniu).*

Prawdaż to była? czy mi się to śniło?—
Jak mogła zerwać potrójne łańcuchy?—
Nie! ludzką tego nie zdołała siłą!

(*do Żołnierza*).

Widzisz ją?

ŻOTNIERZ.

Widzę.—Zda się, że złe duchy
Pędzą ją wichrem!—Już tonie w natłoku—
Rozrywa szyki;—bystrzejsza od wzroku,
Jest tu, jest ówdzie—wszędzie zda się razem!—
Jak błyskawicą wywija żelazem!—
Francuzi ku niéj zbiegają się—stają—
Pędzą na naszych.—Zmięszali się zgrają—
Biada nam! nasi ustępują z pola!

IZABELLA.

Przeklęta!

ŻOŁNIERZ.

Wpadła na wiodących króla!—
Co za rzeź!—Boże! Lord Fastolf upada!—
Lionel wzięty! —

IZABELLA.

Dość! nie kończ!

ŻOŁNIERZ.

O! biada!
Królowo! uchodź!—ich jazda tu bieży!

IZABELLA
(*dobywając miecza*).

Broń cież się, nędzni!

SCENA XIII.

CIŻ i LA HIRE z wojskiem).

(Żołnierze angielscy składają broń przed wchodzącym).

LA HIRE.

Poddaj się, Królowo!
Najpiérwsi z waszych wodzów i rycerzy
Są w ręku naszym.—Zdaj się na me słowo!
Mów, gdzie chcesz mieszkać w państwach twego syna?

IZABELLA.

Wiedź gdzie chcesz—byle nie spotkać Delfina!

(Oddaje miecz i odchodzi z LA HIREM *i Żołnierzami).*

SCENA XIV.

(Teatr zmienia się i wystawia plac bitwy).

(Żołnierze francuzcy z rozwiniętemi chorągwiami napełniają głąb sceny. Na przodzie KRÓL *i Książę Burgundzki* FILIP; *na ręku ich obudwóch* JOANNA *śmiertelnie raniona, bez znaku życia.* AGNIESZKA SOREL *przybiega ze strony).*

AGNIESZKA (*do* KRÓLA).

Królu mój! panie! tyżeś mi wrócony?—
Przy tobie tryumf!

KRÓL.

(*wskazując na* JOANNĘ).

Patrz! czém okupiony.

AGNIESZKA.

Joanna! Boże! umiéra!

FILIP.

Widzicie,
Zejście Anioła!—Jak znużone dziécię,
Usypia, zda się.—Jak piękna! jak cicha!
Pokój już Niebios z jéj twarzy oddycha!—
Serce ustało—lecz jeszcze krwi drganie
Zdradza znak życia.

KRÓL.

Ach! już nie powstanie!
Nie wróci do nas dusza wniebowzięta,
Nie ujrzy naszych zgryzot i żałoby!

AGNIESZKA.
(z wykrzyknieniem).

Otwiera oczy! żyje!

FILIP.
(z podziwieniem).

Czyż i groby
Zwalczyć potrafi jéj moc niepojęta? —

JOANNA.
(powstaje o własnéj sile, i spoglądając wkoło).

Gdzież to ja jestem?

FILIP.

Śród twoich, Dziewico!
Śród ludu twego!

KRÓL.

Król twój wspiera ciebie!

JOANNA.

Nie! ja nie byłam nigdy czarownicą!
Nie! —

KRÓL.

O! tyś czysta, jak Anieli w Niebie!
Nas to błąd uwiódł—nas niegodnych cudu!

JOANNA

(uśmiechając się łagodnie).

Prawdaż to, prawda? żem śród mego ludu?
Że mną nie gardzą? nie winią o czary?...

(pogląda wkoło).

Tak, tak!—to król nasz!—to nasze sztandary!—
Gdzież jest mój sztandar?—Dajcie mi go w dłonie!
Pan mi go zwierzył:—z nim przy Jego tronie
Stanąć powinnam—bom go nie skalała.

KRÓL.

Dajcie jéj sztandar!

(Żołnierze podają rozwiniętą chorągiew. Joanna bierze ją w ręce, i stoi chwilę z oczyma wzniesionemi ku górze. W tej chwili różana jasność ukazuje się na niebie, i coraz się bardziéj rozszerza).

JOANNA (*w natchnieniu*).

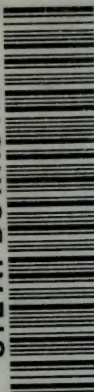
Całe Niebo pała
Blaskiem swéj chwały!—Widzicie, widzicie!
Tę jasną tęczę na niebios błękicie?
To droga moja!—Tam widzę—to Ona!
Z Synem na ręku, śród Aniołów grona.
Zstępuje ku mnie!—O! Nieogarniona!
O! Pani moja!—O! jakąż rozkoszą
Pierś moja pełna!—Chmury mię unoszą —
Jasność mię od Niéj otacza słoneczna!—
Krótka jest boleść—ale radość wieczna!

(*Chorągiew wymyka się z jéj ręku; sama upada na nią bez życia. — Chwila powszechnego milczenia. — Wszyscy w najgłębszém rozrzewnieniu.—Na znak Króla wszystkie chorągwie schylają się nad Joanną, tak, że niemi całkiem zakrytą zostaje.—Zasłona spada.*

KONIEC TOMU IV I OSTATNIEGO.

Spis Rzeczy

W Tomie czwartym zawartych.


UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 12 12 06 08 012 8